

ATENEUM.

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM ~~XXXIV.~~ XXXV

ROK IX.

TOM III.—ZESZYT I.

Lipiec.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

—

1884.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 2 Lipca 1884 r.

BYRON

I NIEKTÓRZY JEGO POPRZEDNICY.

XVI.

Charakteryzując Byrona, H. Taine (*Hist. de la lit. angl. III, ks. 4 rozd.* 2) podnosi w nim szczególniéj cechy rasowe: krew normandzką, ponurą dzikość, butę, potrzebę walki, wściekłe niszczycielstwo, które tchnęły w królach morskich i beserkierach skandynawskich. Nie podlega wątpliwości, że ród Byrona był normandzki, starodawny chociaż nie świetny, że przybyli z Wilhelmem Zdobywcą, rycerze Erneis i Ralf de Burun'owie otrzymali nadania ziem zapisane w Doomsday book'u, że jeden z ich potomków przezwiskiem Janek Długobrody (*sir John the litte with the Great Beard*), obdarowany został przez Henryka VIII, po odszczepieniu się Anglii od religii katolickiéj, pięknym kęsem kościelnym, dobrami bogatego klasztoru de Novo loco czyli Newstead a posiadał oprócz tego dobra Rochdale. Byronowie stali mocno przy Stuartach w walce tych ostatnich z parlamentem; za swe w téj walce zasługi John Byron w 1643 r. podniesiony został do godności para jako baron Rochdale. Wzrastając w godności, dom podupadł materyalnie i zubożał. Był to ród nie odznaczający się ani umysłowemi talentami ani awanturniczością, ród ziemian krzątających się około roli i gospodarnych. Cecha awanturniczości i gwałtowności charakteru zda się, że przyszła nie po mieczu lecz po kądzieli, od Berkeleyów, czystych Saksonów, z domu których wziął żonę William, czwarty lord Byron. W obu synach Williama uwydatniają się całkiem nowe rysy charakteru, nierówność, popędliwość, gwałtowność.

Starszy syn William, piąty z kolei lord Byron (1722—1798), człowiek zniesławiony i znienawidzony powszechnie, zabił swojego brata

stryjecznego Chawortha (1765) w pojedynku na szpady. Pojedynek odbywał się po pijanemu, w tawernie, przy świecy i bez świadków, pomiędzy wytrawnemi jednak rębaczami. W owym wieku takie pojedynki bywały nie rzadkie. Byron osadzony w Tower, sądzony był przez izbę parów; uznano, że winien jest prostego zabójstwa (*manslaughter*) nie morderstwa; od kary uwolnił go przywiléj parowstwa. Zły sąsiad, okrutny mąż i ojciec, odludek, po śmierci jedynego syna został bezdzietnym, a ponieważ po nim dobra familijne miały spaść na całkiem mu obcego krewnego, poetę, którego inaczéj nie nazywał jak „małym chłopcem w Aberdeen,“ więc bez miłosierdzia niszczył majątek, sprzedał nieprawnie Rochdale i wyrąbał najpiękniejsze lasy w Newstead. Brat tego cudaka, admirał John Byron, dziad poety, był sławnym ze swoich przygód i przedsiębierczym marynarzem a nawet i pisarzem. Jego opis rozbicia się na zachodnich brzegach południowéj Ameryki i powrotu do Europy przez cieśninę Magellana rozpalił wyobraźnię i nęcił w dzieciństwie umysł wnuka do wypraw morskich i dalekich podróży. Ciotka po matce admirała, Barbara Berkeley, wydana za Trewaniona z Cornwalls'u, miała córkę Zofią, siostrę cioteczną admirała, z którą się tenże ożenił, przez co do potomstwa ich przybyło nieco krwi Berkeleyów i nieco celtyckiéj od Trewanionów.

Od admirała poszły dwie gałęzie: jedna, którą przedstawiał kapitan John ojciec poety, skończyła się na poecie, druga pochodząca od brata jego kapitana Ansona Byrona, ożenionego z Dallas'owną, odziedziczyła po poecie parowstwo. Ojciec poety był sławny swojego czasu urwis, trzpiot, elegant i utracyusz, znany w wojsku pod przydomkiem: „Mad Jack.“ Wychowany we Francyi, służył w gwardyi, zawracał swoją pięknością i wesołością głowy kobietom, uwiódł starszą od niego markizę Carmarthen, córkę posła angielskiego w Haadze hrabiego Holderness, uwiózł ją do Francyi, rozwiódł z mężem i sam się z nią ożenił, poczem strwonił we Francyi w najskandaliczniejszy sposób wielki jéj majątek. Z tego małżeństwa przybyło dziecko Augusta Byron, późniejsza pani Leigh, urodz. 1783, która straciła matkę, mając zaledwie kilka miesięcy (styczeń 1784). Po śmierci żony John Byron wrócił do Anglii i szukał nowéj posażnéj pani, przez ożenienie się z którą mógłby poprawić swoje złe interesa pieniężne. Lekkomyślny i potrzebujący człowiek nie mógł przebierać i poprzestał na partyi niebardzo świetnéj, ale mogącéj go na czas jakiś uwolnić od kłopotów.

Cała fortuna panny wynosiła tylko 23,000 f. Mimo jéj pochodzenia od królewskiéj linii Stuartów (od Annabelli Stuart córki Jakóba II), była mis Katarzyna Gordon z Gight w Aberdeenshire tak

źle wychowana i ordynaryjna jak jaka przekupka, nie nauczyła się nigdy pisać poprawnie i bez grubych omyłek. Po ożenieniu się pojechali małżonkowie do Paryża; tam John Byron w bardzo krótkim przeciągu czasu przeszastał fortunę drugiéj żony, poczém małżonkowie goniąc ostatkami grosza przebyli kanał Lamanche i stanęli w Londynie. Tu, na Cavendish square Holles Streat N. 24, urodziła p. Byron 22 stycznia 1788 r. Jerzego Gordona Byrona, ułomne chrome dziecię, okaleczone przy połogu, czy z winy matki, jak twierdził potém Byron, czy z winy operatora. W czém był defekt jednéj czy obu nóg B. jest to do dziś dnia trudną do rozwikłania zagadką. Poeta maskował o ile mógł swoje kalectwo; Trelawney, który robił z ciekawości obserwacye na trupie po śmierci, twierdzi, że obie stopy były skaleczone, najwięcéj prawa, która była nieco krótsza od lewéj i którą starano się w dzieciństwie prostować biorąc ją w szruby i przez to jeszcze gorzéj popsuto; obie miały być słabe w łydkach i mocno atrofiowane. Wedle Jeaffresona, wada obu nóg na tém polegała, że achillesowe ścięgna obu stóp (*tendo Achillis*) były skurczone, tak, że poeta nie mógł stąpać dotykając ziemi płaszczyzną podeszwy i stawać na pięcie, ale całym ciężarem ciała opierał się na palcach, nie mógł ujść bez zmęczenia więcéj niż kilkaset kroków, nie mógł usiąść na ziemi, bo by o własnych siłach niepowstał, a kiedy się boksował, albo fechtował napadał z furyą i naskakiwał na przeciwnika by od pierwszych razów go pokonać, bo przy dłuższém potykaniu się prawa noga, w któréj doznawał kurczów i bólów, odmawiała mu posłuszeństwa.

Nędza zazierała do domu, trzeba było wynosić się do Szkocyi, do Aberdeen, gdzie zapobiegliwość prawników szkockich zabezpieczyła pani Byron nietykalny fundusz 3,000 f., dający rocznie 150 f. intraty całe odtąd utrzymanie rodziny z męża, żony i syna złożonéj (córkę Augustę wzięla na wychowanie bogata holenderska babka jéj, wdowa po hrabi Holderness). Kapitan Byron wyciągał ostatni grosz od żony, miał za to piekło domowe. Kłótnie dochodziły do bójek, mąż w końcu uciekał, potém wyniósł się do Francyi, gdzie wkrótce umarł (1791) mając zaledwie 36 lat wieku, gorzko opłakiwany przez żonę, którą do nędzy doprowadził, a która z żalu wrzeszczała w niebogłosy.

Matka Byrona, mala, tlusta, raptusowa osóbka apoplektycznéj kompleksyi, to go zacałowywała na śmierć, to gotowa była tłuc, cisnąć nań talerzem, szczypcami od kominka albo przez urąganie przezywać go pogardliwie kulasem (lame brat). W słowach demokratka, była jednocześnie p. Byron głęboko przekonana o niezmiernéj wyższości rodu Gordonów nad Byronami, a téj linii starych Gor-

donów, z których pochodziła, nad Gordonami Seytonami. Nie nauczyła się nigdy pani Byron ani ubierać z gustem, ani zachowywać się przyzwoicie, ani pisać gramatycznie. Niańka May Gray gorliwa kalwinka wszczepiła w dziecko pierwsze religijne pojęcia. Gdy miał rok piąty zaczął chodzić do szkoły, w roku ósmym po odbytéj szkarlatynie powieziono go latem w góry na kuracyą z koziego mleka, w okolicy Ballateru nad spienionym biegiem Dee, skąd widać było wiecznym śniegiem przypruszony czarny szczyt Lochna-gar'u. Ślady higlandów wryłysię głębokiemi rysami w wyobraźnię dziecka: w strofie 18 pieśni 10 Don-Żuana poeta sławi szkockie pledy i wstążki, błękitne góry i czyste strumienie Dee Don, Balgunskiego mostu czarne ściany i wszystkie sny i uczucia młodzieńcze przeciągające niby potomstwo Banka w powiewnych szatach. W jego późniejszych wędrówkach stało się z nim prawie to samo, co z Bohdanem Zaleskim, który śnił Ukrainę na Kapitolu i śród rzymskiéj Kampanii. Oto co pisał wierszem Byron na rok przed śmiercią w Genui (Jeaffreson 1,107). „Długo błądziłem po krajach nie moich, ubóstwiałem Alpy i kochałem Apeniny, uszanowałem Parnas i oglądałem spad Jowiszowéj Idy i koronę stromego Olimpu. Nie myśl o dawnych wiekach ani ich natura trzymały mię w drżącém względem nich poddaństwie. Dziecięcia zachwyt przetrwał w młodzieńcu i Lochna-gar wraz z Idą pozierały na Troję, Celtyckie wspomnienia przymieszały się do gór Frygijskich a Highlandzkie wodospady zlewały się z jasném źródłem Kastalskiém. Daruj o cieniu wielki Homera, daruj mi Febie ten obłęd fantazyi. Północ i natura nauczyły mię uwielbiać wasze wzniosłe widoki z powodu innych dawniéj ukochanych.“

Pani Byron tak była zaniedbaną przez krewnych swoich i mężowskich, że przypadkiem i bardzo późno, bo z gawęd, dowiedziała się o zejściu 19 maja 1798 starego Williama Byrona, po którym dobra i godność parowską dziedziczył 10 letni Żorż. Instytucya *court of Chancery* powierzyła opiekę nad chłopcem dalekiemu krewnemu hrabiemu Carlisle. Kiedy matka z synem zjechali do swych posiadłości, znaleźli je w stanie straszliwego opuszczenia, dobra w Rochdale trzeba było wyprocesować od nieprawnych nabywców, chude czynsze dzierżawców nie starczyły na pomieszczenie dziecka w jednym z arystokratycznych zakładów konwiktowych, w Eton albo Harrow. Pałac przerobiony z opactwa z jego pysznym gotyckim łukiem łączącym dwa skrzydła, park z dębem druidyckim, przezroczystem jeziorem i wodotryskiem trzeba było wynająć obcym ludziom, ażeby się nie obróciły ostatecznie w pustkowie i ruderę. W szkole przygotowawczéj pastora Glennie w Dulwich matka co moment odrywała dziecko, dość w naukach zaniedbane, od zajęć i była w ciągłych

z pedagogiem kłótniach, które musiał w końcu rozpoznawać opiekun; lecz lord Carlisle uchylił się prędko do roli pośrednika, nie chcąc mieć żadnéj odtąd styczności z histeryczką i złośnicą, o któréj koledzy mówili do Żorża B. „twoja matka waryatka,“ na co im odpowiadał z podełba patrząc: „wiem o tém.“

Cztery lata w szkole w Harrow (1801—1805) wywarły na B. wpływ stanowczy, stąd wstąpił na uniwersytet w Cambridge z uformowanym charakterem i wcale dobremi początkami literackiéj ogłady, dzięki bystrości oka swojego przełożonego, ochmistrza w szkole dra Drury, który w opasłym i nieokrzesanym gamoniu, mówiącym ze szkocka, dopatrzył jenialne zdolności, ale zarazem odgadł, że trzeba go prowadzić nie na łańcuchu lecz na jedwabnym pasku. Bardzo się zdziwił opiekun i przecedził z niedowierzaniem przez zęby: „doprawdy“ (*indeed*), gdy mu powiedział master Drury, że jego kuzyn ma talenta, które mogą stan jego uświetnić. Doprowadziliśmy Byrona aż do Trinity College w Cambridge, gdzie on się ostatecznie od matki wyzwolił, zaczął żyć po pańsku, potrosze hulać i wierszować, a z tych wierszy ułożył się jeszcze w Cambridge mały tomik: „Godziny Próżnowania“ (*Hours of Idleness*) nie zdradzający bynajmniéj ostrych szponów i natury lwa; wiązanka w stylu Pope'a z wspomnień szkolnych, z uczuć miłosnych i z bardzo małéj ilości porywów do wysokiego polotu. Wskazaliśmy pokrótce nagą historyą, wszystkie zewnętrzne warunki i wpływy otoczenia, zastanówmy się potroszę nad tém, jaka w tych warunkach i śród tych wpływów wyrastała ciekawa i oryginalna roślinka.

XVII.

Po tysiąc razy portretował siebie Byron za zwyczaj na czarno; mimo to informacye jego o sobie samym stanowią pierwszorzędne źródło do wytłómaczenia gruntu jego duszy i charakteru. W wierszu do T. Guiccioli Byron pisał: „Krew moja południowa, azaliżbym inaczéj—porzucił moje klima, azaliżbym mimo niepodobne do zapomnienia męczarnie—dał się zniewolić przez miłość, kochając ciebie pani.“ Byron miał siebie za prawdziwego południowca, był on prawdziwym czcicielem słońca „jam zawsze religijniejszy w każden dzień słoneczny,“ w tym względzie dziwne zachodzi podobieństwo między Byronem i Krasińskim, który odczuwał też każdą zimę jako ateizm natury. Byron może być uważany za południowca nietylko przez to, że niewymownie tęsknił do ciepłego powietrza i ciemnych błękitów nieba Grecyi albo Azyi, a na północy w mgle i przy płomy-

ku od węgla kamiennego nie służyły mu ni arfa, ani serce, ani głos (T. Moore 136, rok 1811), ale że miał temperament południowca, zapalny i gwałtowny, nierówny i na razie nie reflektujący, tak że dopiéro po wypadku trapił się myślami o tém, co zaszło. „Urodziłem się, pisał, ze srebrną jak powiadają łyżką w gębie, bo nic mi nie smakuje chyba pieprz Cayeński. Nie mogę wyobrazić istnienia, którego trwanie nie znużyło by mnie“ (M. 208). „Jestem gwałtowny, ale niezłośliwy, pisał do żony, tylko na razie zaczepka wywołuje mój gniew (1821, M. 582). Nie rozumiem powolnéj czułości (*yielding sensitiveness*); co do mnie, doświadczam strasznéj wściekłości w ciągu 48 godzin.“ „W Anglii przed 5 laty miałem (około 1816) atak hipochondryi z tak gwałtownem pragnieniem, że wypiłem 15 butelek sody jednéj nocy, w łóżku, odbijając szyjki butelek, tak byłem niecierpliwy. Dziś opanowuje mnie ociężałość i niesmak, budzę się wściekły, sądzę, że skończę jak Swift na waryacyi (*dying at the top*. M. 485).“ „Przyniesiono mi rachunek do opłacenia wenecki, o którym zdawało mi się, że go przed kilku miesiącami opłaciłem. Wpadłem w paroksyzm wściekłości, od którego zemdlałem. Cały rachunek był tylko na 25 funtów“ (Ravenna 1821. M. 479). „Miałem ja zawsze *une âme*, która męczyła się sama i męczyła tych, co się z nią stykali, i *un esprit violent*, który mię w końcu zostawił bez wszelkiego *esprit*“ (M. 485). „Lubię energią, nawet zwierzęcą energią wszelkiego rodzaju i potrzebuję energii umysłowéj i fizycznéj.“ Mając lat 20 Byron tak się określał w liście do przyjaciela Harnessa (M. 24). „W przyszłym roku wyjdę na świat i popędzę w moim waryackim zawodzie z innemi; ty nie znasz mojego usposobienia niesfornego i buntowniczego, które mię pociągnęło do wszelkiego rodzaju zdrożności.“ W trzy lata potém, już pełnoletni i w żałobie po matce, pisał po pierwszéj podróży na wschód, gotując do druku pierwsze pieśni Child Harolda do Hodysona: „Śmiéj się ze mnie: robię się nerwowym, ale co się nazywa realnie, nędznie, śmiesznie i po damsku nerwowym. Klimat wasz mnie zabija, dnie mam próżne a noce bezsenne, rzadko mam gości, a kiedy mam, uciekam. Brak mi metody do uporania się z myślami i to mię dręczy. Może to skończy się waryacyą, ale Davis powiada, że to raczéj głupota (*silliness*); nic mię nie wyleczy od konjugowania przeklętego słowa *ennuyer*.“ (Newstead 13 paźdz. 1811. M. 141).

Byron nigdy nie miał pochopu do samobójstwa. „Jestem za leniwy, pisał, w łeb sobie palnąć, zresztą zmartwiłoby to Augustę (siostrę) i kogoś jeszcze, ale uszczęśliwiłoby Żorża (sukcesor kuzyn) a i dla mnie byłoby nie źle, ale nie chcę pokusy“ (M. 213). Myśl o waryacyi trapiła go ciągle, bo mózg pracował i kipiał i wydawał się w tym nieustannym wysiłku samemu poecie wirującym morzem

ognia (Ch. H. III a 7). „Myśli ma, bądź mniéj dziką, myślałem zbyt długo i posępnie, aż mózg stał się od kipienia i wysiłku wirującém morzem z fantazyi i płomienia.“

W téj pełnéj gwałtowności organizacyi każde mocne przeciwieństwo wywoływało albo furyą, albo co gorzéj niemą wściekłość, któréj się bała nawet matka, gdy małe dziecię bladło i zaciskało milcząc zęby (*silent rage*), a każda chęć albo pociąg obracały się w niepowściągnioną i absorbującą pasyą. Od małego dziecka pożerał książki: „czytałem jedząc, leżąc w łóżku, czytałem, kiedy nikt nie czytał i to od pięciu lat“ (M. 20). „Wszystkie moje szkolne przyjaźni były pasyami (bo zawsze byłem gwałtowny).“ „Nie mogę dotąd słyszéć imienia Clare (lord Clare, kolega z Harrow) bez bicia serca. Moja pasya (miłość do miss M. Parker) wywarła na mnie wpływ swój zwykły; nie mogłem spać, nie mogłem jeść, a chociaż miałem powód do mniemania, że i ona mnie kocha, żyłem tylko myślą o czasie, który ubiegnie zanim się zobaczymy, a przerwy widzenia były zwykłe na godzin 12.“ Byron nic nie odczuwał słabo, a każde uczucie mocne, chociażby przyjemne i rozkoszne przechodziło w cierpienie i kończyło się na spazmie. W 1814 gra Kean'a w roli sir Giles Overreach przyprawiła go o konwulsye (M. 252). W 1819 r. takiegoż rodzaju konwulsyi doznał B. w Bolonii na przedstawieniu Mirry Alfiego, „nie damska histeryka, ale powódź łez mimowolnych i wstrząsające dreszcze, w które mnie rzadko wprawiają fikcye“ (M. 404).

W duszy tak wrażliwéj, ale w któréj wszelkie wrażenie było nadzwyczaj mocne i przechodzące wskutek tego w cierpienie, od cierpień wyzwalało jedno tylko lekarstwo—twórczość poetycka, ulżenie sposobem połogu. „Wszystkie moje konwulsye kończą się rymami,“ powiadał B. (1813. M. 197). W taki sam sposób jak u każdego prawdziwego poety, u Goethego i u Mickiewicza, cierpienie ustawało, skoro się w utwór poetycki skrzysztaliło. „Przychodzi to na mnie powiada Byron (1821 Rawenna. M. 492), jak paroksyzm wściekłości od czasu do czasu, gdybym nie pisał by zająć umysł, zwaryowałbym. Nie rozumiem regularnego nieprzerwanego zamiłowania w pisaniu. Czuję jakąś torturę, którą trzeba odbyć, ale bynajmniéj nie przyjemność. Twórczość uważam za wielką pracę.“ „Przekładanie pisarzy nad ludzi czynu nie jest że to oznaka zniewieściałości i wyrodzenia się. Czyny, czyny powiadam, a nie pisanie, a szczególniéj nie pisanie wierszy...“ „Moją jedyną, całą szczerą pobudką do gryzmolenia jest potrzeba oderwania siebie od siebie; co za przeklęta rzecz samolubstwo (*selfishness*)“: „Ogłaszanie drukiem jest dalszym ciągiem tejże roboty przez zajęcie umysłu, który inaczéj cofałby się sam w siebie (M. 206, 208).“ „Pisałem z pełnego serca,

z namiętności, z popędu, z wielu pobudek, ale nie dla pięknych głosów tych pań (*for their sweet voicess*)..." Tworzenie było wrzeniem umysłu napełnionego jednym przedmiotem, póki to wrzenie trwało dorabiały się całe strofy i stronice w korekcie, lecz przerabianie nie udawało się nigdy (świadkiem listy o ciężko wymęczonym w ten sposób 3 akcie Manfreda). „Mówiłem — pisał B. — że nie mogę nic poprawiać. Jestem jak tygrys, skoro chybię od pierwszego skoku, wracam mrucząc do dżungli, ale gdy trafię—złamię odrazu (*crush*)."

Wszelka poetycka twórczość składa się koniecznie z dwóch czynników: idealizacyi czyli fantazyowania i realnego podkładu. B. był doskonale świadom procesu idealizacyi wrażeń: „pierwsze moje wrażenia bywają mocne i pomieszane, z nich pamięć wybiera i robi pewien porządek niby perspektywę w krajobrazie; cieniuje je lepiéj choć stają się mniéj wyraźne. Muszą być inne zmysły jeszcze oprócz tych, które posiadamy my ludzie śmiertelni, bo dużo jest do objęcia i zawsze coś tracimy, a czujemy, że powinnibyśmy mieć wyższe i rozleglejsze pojmowanie (Rzym 1817. M. 355). Wszakże w poezyi B. był i uważał się przeważnie i stanowczo za realistę i był w tym względzie antypodą Rousseau. O niczem nie mogę pisać bez osobistego doświadczenia i podstawy... Nienawidzę rzeczy będących li tylko zmyśleniem. Musi być podkład faktyczny w najeteryczniejszym utworze, czysty wymysł jest to talent łgarza" (M. 348). Stąd skrupulatna szczerość i miłość prawdy w utworach: „nie mogę i nie chcę zadawać fałszu mym myślom i wątpliwościom, schlebiając bądź co bądź panującéj opinii" (M. 208). U téj twórczości tak realistycznéj była na posługach fenomenalna i zadziwiająca pamięć, przytém pamięć sercowa, przechowująca z niesłychaną trwałością i świeżością nie tyle gołe fakta, ile zrodzone przez wrażenia uczucia.

Poprzyjmy założenie nasze kilku przykładami. W 9-tym roku życia 1797 w Aberdeen Byron zakochał się w małéj dziewczynce Maryi Duff; była to mocna miłość, ale jeszcze całkiem dziecięca bez pociągów płciowych. Po paru latach w 1800 r. jeszcze przed wstąpieniem do szkoły Harrow B. zakochał się powtórnie w kuzynce Małgorzacie Parker, ślicznéj panience o czarnych oczach, długich rzęsach, greckim profilu i o płci przezroczystéj, wyglądającéj wedle słów poety jak jaka powietrzna istota, utkana z tęczy. Panna Parker umarła, jéj były poświęcone pierwsze wiersze poety, na znak wzajemności dała mu pukiel włosów, który noszony był przez B. do końca życia na piersiach. W 16 roku życia, gdy już uczył się w Harrow (1803), miało miejsce trzecie i naturalnie daleko głębsze zakochanie się poety w bogatéj powinowatéj sąsiadce z Annesley, Maryi Chaworth. Nowa kochanka była wnuczką tego Chawortha,

którego zabił stryj Żorża „zły lord B.“, jego poprzednik w parowstwie; była ona o dwa lata starsza od poety, wyzywająco wesoła, bawiła się rozpaloném w młodzieniaszku uczuciem, wreszcie poeta usłyszał przypadkiem jéj bez ogródek słowa o nim do towarzyszki: „czyż ty naprawdę sądzisz, że mnie obchodzi ten kulawy malec.“ Słowa te spiekły go jak rozpalone żelazo, wstyd mu było, że go postawiono w śmieszném położeniu, że go można było posądzić o chciwe zamiary wspomożenia swojego bardzo chudego majątkowo lordostwa kapitałami i dochodami bogatéj dziedziczki, że zresztą sprofanował pamiątkę — pukiel włosów Małgorzaty Parker, z którym paradował przed miss Chaworth niby z upominkiem od żywéj kochanki, by miss Chaworth sobą zainteresować. Byron uciekł jak ukąszony, nie żegnając się z nikim do Newstead, a po wakacyach pocieszał się z bolesnego upokorzenia, rzucając się w namiętne koleżeńskie przyjaźni, w których podobał sobie, jak młoda pensyonarka. Następnych wakacyj widzimy go jeszcze raz w Annesley. Rana jątrzyła się, ale cierpiący zachowywał lodowatą powierzchowność. Ukradkiem B. zapisał ołówkiem na jednéj z książek miss Chaworth wiersz nie swój (lady Tuite), ale malujący jego stan duszy (*Oh memory, torture me nomore... Regret and hope are both in vain, Jask but to forgive* (1), a potém.... nastąpiła scena mniéj więcéj podobna do téj jaka jest zapisana w cudownym wierszu „Śnie“ (przekład Mickiewicza). Stoi w przedsieniu rumak z siodłem do drogi:

Chłopiec blady i smutny przechadzał się, myślał,
Usiadł, dobywa pióra, kilka słów nakryślił
I z pochyloną głową na ręku oparty,
Wstał znowu, wstrząsnął głową i pisane karty
Na części rozerwawszy, w drżącéj ciśnie dłoni,
I z gniewem w zębach szarpie, ale łez nie roni;
Uspokoił się nieco, rozpalone lica
Ostygły i zmartwiały. Wtém wyszła dziewica.
Z obojętnym uśmiechem spotyka młodziana.
Choć dostrzegła, że była od niego kochana,
Że jéj cień jako całun padł na jego duszę
I zgadła, że on dla niéj ma cierpieć katusze
Długie, straszne; nie zgadła, że miał *cierpieć wiecznie.*
Chłopiec ją wziął za rękę obojętnie, grzecznie,
Spojrzał. W téj chwili na zwierciadło lica
Wybiła niewymownych uczuć tajemnica
Rozstali się z uśmiechem, on wyszedł z kaplicy,
Dosiadł konia, pojechał i więcéj nie wrócił.

---

(1) Pamięci, nie męcz mnie... Żal i nadzieja oba są próżne, — Ja chcę tylko przebaczyć.

Dodajmy, że rozstając się Byron żegnał Maryą słowami: „kiedy się zobaczymy, będziesz już pani nie miss, lecz mistress?“ „Spodziewam się“—odpowiedziała. Jakoż wyszła w następnym 1805 r. za szczęśliwszego od B. rywala, Mustersa, pięknie zbudowanego człowieka i doskonałego strzelca, który jednak źle się z nią obchodził, tak, że zwaryowała i umarła w 1832 r. w 8 lat po Byronie. Już i to trzecie kochanie zaczynało przechodzić i rana zabliźniała się, gdy matka udzieliła Żorżowi wiadomości otrzymanéj w liście: „a wiesz, że twoja luba niegdyś M. Duff wyszła za bogatego kupca Cockburn'a“? B. uczuł jakby uderzenie piorunu, zbladł i dostał prawie konwulsyi, które przestraszyły matkę, czego sam potém nie mógł sobie wytłómaczyć. „Nie miałem wtedy wyobrażenia o pociągach płciowych, pięćdziesiąt razy może przywiązywałem się do innych osób, a jednak pomnę najmniejszą rzecz, cośmy mówili, nasze karesy, jéj rysy, moję bezsenność“ (M. 9). Więc wspomnienie miss Duff odżyło z taką mocą, że na chwilę przemogło nad obrazem miss Parker i obrazem p. Chaworth. Poemat „Sen“, którjśmy cytowali, stanowi drugi, nie mniéj zadziwiający przykład reprodukowania przez przypomnienie najodleglejszych zdarzeń, nosi on datę 1816 i był pisany wśród okoliczności, które nadają mu szczególniejsze znaczenie i cechę tendencyjności; jest w nim pamięć o M. Chaworth, jest i strzała wymierzoną przeciwko lady Byron. Separacya małżonków nastąpiła w początkach tego roku, poeta rozstał się ostatecznie z Anglią, wyniósł się do Szwajcaryi i w lipcu 1816 r. w Genewie, rozdrażniony do najwyższego stopnia, może po odmowie żony na próbę pogodzenia małżonków, przedsięwziętą przez panią Staël, zamierzał bryznąć w oczy lady Byron, że on jéj nigdy nie kochał, bo w sercu nosił niestety obraz dawnéj kochanki.

Pogląda na swą żonę, ale błędnym wzrokiem,
Powtarza jéj przysięgi, których nie rozumie,
Z kim jest, gdzie jest zapomniał w sprzecznych myśli tłumie,
Widzi tylko swą młodość, stary gmach, kaplicę
I listek poszarpany i swoję dziewicę.
Te przypomnienia kirem śmiertelnéj zasłony
Oddzieliły na wieki młodzieńca od żony...

Ta część poematu jest wyraźnie tendencyjną, ale sama miłość dla M. Chaworth, która mu była duchem, głosem, okiem, w którą „przelał całe życie swoje, w niéj jako w oceanie całe życia zdroje pogrążył,“ ale otoczenie téj miłości „ów wzgórek zielony pochyłéj urody, niby jaki przylądek, a na nim dyadem drzew kołem zasadzonych,“ są to wrażenia tak pełne, tak świeże, jak gdyby opisane w 1804 r., nie we dwadzieścia lat późniéj. Najzupełniéj przychyla-

my się do zdania Jeaffresona (I, 155), że trzy naczelne potęgi pamięć, uczuciowość i fantazya uzdolniały poetę do dobywania z przyjemnych wspomnień o przeszłości większéj masy zadowolenia, aniżeli mu jéj dostarczyły same chwile przeżyte, i do odczuwania jeszcze cięższéj przy reflektowaniu wszelkich doznanych dawniéj smutków, bo refleksya potęgowała jeszcze to, co było dane przez doświadczenie. Były to siły główne poruszające machinę, która aczkolwiek wprawiana w ruch przez niezależne od woli właściciela okoliczności, ale czasami poruszaną była i przez wolę jego własną. Washington Irving miał racyą, gdy rozważając, jak operował Byron nad swą pamięcią, uważał go jako umiejętnego rolnika wyzyskującego zręcznie bardzo żyzną glebę. Ma się rozumiéć, że odnawiając przeszłość, a w niéj swoje radości i smutki, B. układać je musiał, tak, aby były poetyczniejsze, wiązał je za pomocą sporych kawałków czystego zmyślenia.

XVIII.

Porywczy temperament chodzi często w parze z dobrém sercem. Serce u Byrona było nietylko dobre, ale można powiedziéć złote, spółczujące każdemu, niezmiernie litościwe. „Na brzegu Lepanckiéj zatoki około Wosticy (1810) postrzeliłem orlę, które w kilka dni potém zdechło, powiada B.; nigdy odtąd nie zabijałem ani kiedykolwiek będę zabijał jakiegokolwiek ptaszęcia“ (M. 100). Od małego dziecka był on stałym protektorem młodszych i słabszych kolegów wobec gnębiących ich silniejszych; opieka jego nad sługami była zawsze opatrzna i prawdziwie pańska, hojność dla literatów i wogóle potrzebujących nadzwyczajna, nawet w czasach, kiedy wcale nie miał dużo środków i mocno się zadłużał. Kiedy w 1821 r. chciał opuścić Rawennę, ubodzy z tego miasta podali prośbę do kardynała legata, by namówił ich dobrodzieja do pozostania nadal w Rawennie.

Gwałtowność usposobienia przy miękkiém sercu utrudniała ułożenie się charakteru, co sam czuł Byron i winę czego brał na siebie (w 3 pieśni Ch. H. VII): „niewdrożony za młodu do panowania nad sercem, zatrułem sobie zdroje życia...“ Uformowanie się charakteru bywa tém trudniejsze im wulkaniczniejszy temperament. Organizm Byrona potrzebowałby umiejętnéj pieczy od dziecka, ręki mocnéj, którąby go prowadziła, jak w późniejszym czasie Drury, na jedwabnym pasku, nie spuszczając ale i nie drażniąc. Zamiast tego miał matkę, kobietę źle wychowaną i śmieszną, któréj się przed drugiemi wstydził i z któréj szydził, uciekając, kiedy rzucała na niego co tylko

miała w ręku: kij czy talerz. Dopiero podczas pobytu w Cambridge nastąpiło stanowcze wyzwolenie się młodego lorda, po bardzo burzliwéj scenie w Southwell. Doszło do bójki, poczém naprzód syn a potém matka zabiegali do aptekarza uprzedzając, aby nie dawał matce albo synowi trucizny. Bardzo być może, iż jedną z pobudek podróży za granicę było, żeby od matki być jak najdaléj. Ulokował ją w Newstead, ale nawet się z nią nie pożegnał. Za powrotem do Londynu nie spieszył do Newstead, aż otrzymał wiadomość, że matka umarła z apopleksyi, rozgniewawszy się na kogoś ze służących. Wtedy nastąpił zwrot w umyśle i szczere na jedną chwilę przejęcie się tém, że wielką stratę poniósł; noc spędził płacząc u jéj ciała i rzekł do pocieszającéj go pokojowéj: „Pani By, jedną w życiu miałem przyjaciółkę i téj już nie ma“,— ale w dzień pogrzebu nie poszedł za konduktem, spojrzał tylko od wrót opactwa, jak ją prowadzono na cmętarz, zawołał swego chłopca Rushtona i kazał z sobą boksować; po kilku mocnych natarciach, jak gdyby się zmordował, rzucił w kąt rękawicę i zamknął się w pokoju (M. 128).

Przy złych warunkach domowego wychowania, wyrobił się charakter, ale nierówny, niestały, kapryśny i taki, jaki najwłaściwszy jest duszom i umysłom niewieścim. *Nil fuit unquam sic impar sibi* — pisze Medwin—który go obserwował we Włoszech (Elze 326). Nigdy przez dwa dni z rzędu nie był do siebie podobny — powiada lady Blessington. „Każda kochanka nim rządzi, tylko lady Byron poradzić sobie nie umiała“—rozumował kamerdyner jego Fletcher. „Obojętność— pisał o sobie Byron (M. 285)— robi mię wahającym się i na pozór kapryśnym; nic nie wraża się we mnie tak, aby mnie zatrzymało. Nie czuję niesmaku, ale po prostu nieczuły jestem na bodźce tak, że drobna przeszkoda zatrzyma mnie i że przez słomkę nie przestąpię. Nie jest-to nieśmiałość, bo nie mało popełniłem rzeczy prawdziwie bezczelnych.“ Sporo możnaby przytoczyć przykładów niedecydowania się, a najlepszy ten, któren miał miejsce w listopadzie 1819 r. w Wenecyi.

Byron postanowił wrócić do Anglii i swój powrót przyjaciołom zapowiedział, a chciał przerwać swój stosunek do pani Guiccioli, nadeszły wszakże listy z Rawenny, donoszące o jéj ciężkiéj chorobie. Odjazd dochodził do skutku, tłomoki B. były w gondoli, on sam ubrany jak do wsiadania w kapeluszu, rękawiczkach i z laseczką, ociąga się, wynajduje pretekst i zapowiada, że jeżeli godzina wybije zanim wszystko będzie gotowe do drogi (a wszystko było gotowe), nie pojedzie tego dnia. Godzina uderzyła, Byron został i po dniach kilku zamiast do Anglii pojechał do Rawenny. To niedecydowanie się miało miejsce wtedy, gdy trzeba było na zimno, po męzku, roz-

waznie a trzeźwo coś stanowczego obmyśléć, lecz jak u wszystkich ludzi nerwowych, a najczęściéj u kobiet, decyzya bywała nader szybka i nawet raptusowa, skoro Byron był podłechtany, draśnięty, skoro raniona była jego duma, albo szczególniéj miłość własna. Z téj konieczności podłechtania do wszelkiego ideomotornego procesu wywiązywało się tak często wytykane i przez B. samego przyznawane samolubstwo. Był to egoizm szczegółniejszego rodzaju; hojny, wspaniały, gotowy do największych majątkowych i osobistych poświęceń, Byron nie był zdolen dla kogobądź wyrzec się chwilowéj chęci, która nad nim w danym momencie panowała, zrobić ofiarę z najmniejszéj swojéj fantazyi. Ta wygórowana miłość własna, z wielu względów, miała cechy właściwe umysłowości, głównie kobiecéj, pełna była próżności, dandyzmu, kokieteryi, chęci czarowania, pociągania, otaczania się adoratorami. Ten człowiek, któremu głównie chodziło o to, aby być światowym i któren się przechwalał, że więcéj niż o swoję poezyą dba o swój kostium i jego poprawność, zdradzał jednak parweniusza w swych gustach, w upodobaniu do pstrych i krzyczących rzeczy, do noszenia mundurów. Jest jeden utwór, w którym Byron odmalował siebie głównie ze strony miękkich usposobień i braku większego hartu w charakterze; jest-to tragedya „Sardanapal“, pisana w 1821 w Rawennie, zasługująca na to, abyśmy się nieco na niéj zatrzymali, a poświęcona największemu z żyjących poetów, Goethemu, przez jego literackiego wasala. Na tle zupełnie dowolném, pozbawioném kolorytu miejscowego i historyczności, odmalowany jak zwykle u B. jeden tylko typ panujący— wschodniego despoty — młodzieńca, który ginie tragicznie z winy własnéj, a wina ta na tém tylko polega, że Sardanapal gubi się przez nie despotyczne lecz dobre i ludzkie swoje usposobienie, którego gdyby się pozbył, a rządził okrótnie i krwawo, byłby tak potężny jak Nemrod albo Semiramis i byłby za życia czczony na równi z bogami. „On zrodzony pod strzechą wiejskiego zagonu, byłby sobie otworzył gościniec do tronu; ale urodzony na tronie, nikomu go nie przekaże... trzeba by go zmusić, aby przywodził armii nie haremowi.“ Sardanapal nie zdał się na króla bo usposobienie jego takie: „Ja nienawidzę cierpień zadawać ni znosić. Od chłopa do monarchy, każdy ich ma dosyć. I co mamy powiększać ludzkie udręczenia, bratnią pomocą wspólne zmniejszajmy cierpienia, ...to fatalne karanie co życie nam wkłada... Przez wszystkie gwiazdy, których język zrozumiały, warto bym tych głupców, co śmią tego żądać, na ich własne nieszczęście prowadził do chwały.“ Ci niewolnicy, których on wytuczył i przeładował dobrobytem i do tego doprowadził, że każdy z nich jest u siebie w domu jakby monarcha, nastają na jego życie

(akt IV). Sardanapal to rozumie, ale nie kaje się: życie jego polega na kochaniu. „Jeśli mię nienawidzą, to przeto, że ja nie nienawidzę; jeśli buntują się, to przeto, że ja ich nie uciskam.“ Sardanapal odważny ale po swojemu idzie na bitwę z rokoszanami, z gołą głową bez szyszaka: „Istny Kaukaz! to góra na głowie.“

Żadne względy ceremoniału, żadne tradycye; żadne względy polityki nie mogą wymódz na nim, aby się wyrzekł jednéj przyjemnéj chwili wesela i uciechy: „Co? odwołać biesiadę? Tego to nie zrobię na złość wszystkim spiskowym, niech powstają sobie. Nie zblednę, choćbym w okrąg zbrojną ujrzał tluszczę. Chwilą pierwéj nie wstanę, czary nie popuszczę. Jednéj róży od mego nie odejmę czoła, żadnéj z uciech nie stracę.“ Ze wszystkich wynalazków uważa on za największy bachusowy: nieśmiertelnego, z winnych gron wyciśniętego soku. Sardanapal sam się potępia przed żoną: „jestem niewolnikiem okoliczności i popędu“ (IV) ...i oddając się namiętności, sam kwalifikuje szał namiętności jako rzecz „nie męzką“ (III). \Sardanapal ginie marnie dla tego, że jest fantastą, że panując, wyłamuje się z pod wszelkich prawideł rozsądku, wszelkich warunków panowania i będzie wedle swojéj zapowiedzi: „zagadką, którą niewielu zechce naśladować, któréj nikt nie osądzi lekko, ale która posłuży, aby unikano życia prowadzącego do takiego zmarnowania“ (V). Ostatnie słowa rzucającego się na palący stos Sardanapala są kwintesencyą podmiotowéj poezyi, która znalazła swój wyraz w bajronizmie: „Assyrio! bądź zdrowa! kochałem cię serdecznie ziemio narodowa. Więcéj niźli królestwa ojczyzny mi szkoda! Bądź zdrowa, nawet grobu nie wymagam po niéj.“

Pozostaje nam jeszcze dla dopełnienia charakterystyki Byrona dotknąć jednego, dziś błahego na pozór szczegółu, który niezaprzeczenie wpłynął na ton jego poezyi, nadał jéj ciemne barwy i jak twierdzą i sądzą, przyłożył się głównie do wytworzenia zeń stanowczego mizantropa i pesymisty.

XIX.

Chcę mówić o kalectwie Byrona. Byli wielcy ludzie ułomni, którzy nie dbali o to i byli weseli, naprzykład Walter Skott; wprawdzie niekształtna stopa Walter Skotta nie przeszkadzała mu chodzić dużo i prędko i nie była tak bardzo rażącym usterkiem w całości, ze względu na to że W. Skott do liczby pięknych ludzi nie należał. Może jednak i W. Skott byłby mniéj cierpliwy, gdyby jego ułomność przeszkadzała mu uciec naprzykład szybkim ruchem od deszczu,

albo od przedrzeźniających go uliczników łobuzów, albo gdyby posiadał głowę, tors i ręce idealnie piękne, posągowe, apollinowe, ale nogi takie jak u Wulkana. Utrapienie od kalectwa zwiększało się u Byrona tém, że skazywało go na bezruch, a że był jak matka krwisty i aż do 20 roku życia tłusty, więc groziło mu nieuniknione zatycie, ociężałość i wszystkie następstwa tego rodzaju kompleksyi. Wszystkie dane o młodości Byrona malują go jako niezgrabnego tłuściocha, wcale nieodznaczającego się pięknością. Przerobienie się brzydkiéj gąsienicy na pięknego motyla odbywało się w Cambridge, przez bardzo gwałtowną gimnastykę, wprawianie się do konnéj jazdy, boksowania, pływania, a głównie przez systematyczną głodową kuracyą, na którą od 20 roku skazał siebie Byron, oraz przez częste używanie ciepłych kąpieli i drastycznych lekarstw wewnętrznych. Z utratą tłuszczu wydelikatniały rysy, cera nabrała dziwnéj przezroczystości, gęste w pierścienie skręcone kędziory ciemno-kasztanowych włosów nabyły miękkości jedwabiu; ciemno szafirowe oczy mieniły się co chwila i były spokojne jako bezdenne głębie, albo strzelały ogniami, a głos niewysłowionéj fenomenalnéj piękności czarował i pociągał jak najdoskonalsza muzyka. Ta piękność nadzwyczajna, nabyta była kosztem takiego gwałtu, zadanego apetytowi i takiego zrujnowania zdrowia, że życie zostało skrócone może na połowę, a podrażnienie nerwów stało się stanem zwyczajnym.

Téj zabijającéj dyecie przypisuje Jeaffreson wybujanie talentu, w którém, gdy poeta podobał sobie, już się całkiém do téj praktyki zastosował, wyrzekł się prawie mięsa, rzadko używał ryby, a karmił się biszkoktami z sodową wodą, kartoflami z octem (M. 145), wystrzegał się spirytusowych napojów i nawet klaretu (burgundzkie), ale za to używał dużo *laudanum*, a szczególniéj soli. „Doza soli — powiadał—upaja mię na chwilę jak szampan“ (M. 145). Dla uśmierzenia głodu żuł tytoń, do *laudanum* i wódki uciekał się w chwilach mocnych wstrząśnień i cierpień moralnych (M. 214).

Rozwijanie nerwowego systemu odbywało się kosztem mięśni i tłuszczu, popsuła się wątroba, a wygłodzony i ciągle rozdrażniony żołądek odmawiał w końcu przyjęcia pokarmów. Dodajmy zwyczaj pracowania tylko podczas bezsennych nocy. „Nie mogę być długo w towarzystwie nawet téj, którą kocham, bez tęsknienia po lampie mojéj i po méj przeładowanéj i pomieszanéj księgarni“ (M. 235). Nie podlega wątpliwości, że kalectwo musiało mocno dotykać tak wrażliwą i tak wiele miłości własnéj mającą istotę; musiało kazać Byronowi uważać się za osobę od natury pokrzywdzoną, sarkać i złorzeczyć na tę niesprawiedliwość niepoprawioną i niezaskarżalną. Bardzo być może, iż w miarę poczucia swoich zdolności, rosło

w umyśle młodzieńca mocne postanowienie zostać wielkim człowiekiem, zasłynąć.

Od 1798 r. jednak, kiedy został lordem, zmieniły się stosunki, na dziecko już inaczéj patrzano w tych kołach i towarzystwach drobnéj gentry w Southwell i Newstead, z któremi miał styczność zanim wstąpił do uniwersytetu. Kiedy po wydaniu pierwszych pieśni Ch. Harolda, Byron w ciągu jednéj nocy, wedle swego wyrażenia, został sławnym człowiekiem, lwem salonowym, tak wziętym, że go sobie wyrywano, kiedy na balach wszystkie oczy były w niego utkwione, a cisnęły się doń najpiękniejsze kobiety (Byromaniaczki), łowiąc każde jego słowo i spojrzenie, już go musiało mało obchodzić i żenować kalectwo. Od lat pacholęcych mimo swoję ułomność nie miał powodu na los swój i stan uskarżać się Byron, owszem pełen był arystokratycznéj ambicyi i patrzył wysoko. Przyczyny czarnéj mizantropii musiały być, krom kalectwa, jeszcze inne, zwłaszcza że już tę pogardę ludzi widzimy ostatecznie sformułowaną w 20 roku życia, w wyrytym nadgrobku dla psa Batswain'a, z gatunku newfounlandzkich, którego uroczyście w Newstead pochował 1808 r. „Posiadał piękność bez próżności, siłę bez zuchwałości, odwagę bez okrócieństwa i wszystkie cnoty człowieka bez wad jego.“ Ta pochwała byłaby nieprzyzwoitem pochlebstwem stosowana do ludzkich popiołów. W innym nadgrobku stoją jeszcze mocniejsze i bardziéj ubliżające dla rodzaju ludzkiego wyrazy: „Człowieku! wątły dzierżawco jednéj chwili, zbeszczeszczony niewolą lub zepsuty władzą, kto cię zna dobrze odwraca się od ciebie ze wstrętem. Skalany zlepku ożywionego prochu.“

W trzy lata potém 1811 r. Oct. II w Newstead odjeżdżający po raz pierwszy z Anglii młodzian nie mający jeszcze ani dostatecznéj znajomości życia ani sławy, odpisuje przyjacielowi radzącemu odpędzać troski, wierszem w którym objawia się pozowanie na bohatera i przechwalanie się tajemnicami: „może kiedyś posłyszysz o kimś, którego zbrodnie licują do najczarniejszych wieków, o kimś, na którego nie działają ani miłość ani litość, ani nadzieja sławy, ani pochwały dobrych ludzi, o kimś, który w ambicyi i dumie przed krwią się nawet nie cofnie, a będzie zapisany na karcie pomiędzy najgorszymi anarchistami wieku, — poznasz go wtedy, a poznawszy zatrzymasz się i bacząc skutek, nie zapomnisz o przyczynie....“ Przyczyny bardzo niewyraźne, a pomiędzy niemi na pierwszém miejscu uraza do panny Chaworth. Zważywszy, że to porywanie się na całe plemie ludzkie i grożenie mu pięścią pozbawione jest odpowiednich pobudek u gołowąsych, tylko co ze szkoły wychodzących podrostków, ale że w owym okresie było ono powszechne i powtarzało się

u wszystkich, od dzieci aż do starców, aż do najsłynniejszego bajronisty w Rosyi, młodego Lermontowa, który pisał w 1840 r. (I, 192, wyd. 1882): „a życie, gdy na nie spojrzysz z chłodném zastanowieniem, jakiż to pusty i głupi żart“,—wypadnie przyznać, że ta mizantropia szła z ducha wieku, powlekając kilka pokoleń kirem myśl czarnych i tworząc szczególniejszą atmosferę, w bardzo blizkim związku będącą z satyrą i odludkostwem Rousseau.

Jean Jacques nienawidził instytucye cywilizacyi i gardził człowiekiem ucywilizowanym, wynosił pod niebiosa stan natury, ale wprowadzając doń ludzkość, przerobił by ją na swoje kopyto i okroiłby jéj wolności. U Byrona pessymizm stosuje się już całkiem nie do instytucyj, ale do samego rodzaju ludzkiego: przeciętny człowiek—istota nikczemna i godna pogardy, nawet Napoleon ma słuszność jako despota (wyciąg z dzienniczka 1814 r.), „nie dziw, że kto zna dobrze ludzkość, nie może jeno ludzi zohydzić sobie; nie może niemi nie gardzić...“ Stąd pesymistyczne a oryginalne uzasadnienie rzeczypospolitéj: „im więcéj równości, im bezstronniéj rozłożone zło, tém lżejszém się staje przez podział pomiędzy wielu, stąd wynik: respublica“ (M. 227). Z tych pesymistycznych założeń, nawet dla umysłów wybranych, stojących po nad poziomem i nie krępowanych zwykłemi prawidłami, logicznie mogą być wysnute konkluzye tylko nihilistyczne. Przez dziwny i niespodziewany zwrot konkluzya jednak strzela w całkiém przeciwnym kierunku, prowadzi do czynnéj walki ze złém, do wyzwolenia się, do poświęceń na cele wielkie, dalekie, bez nadziei wygranéj. „Naprzód! — pisał we Włoszech Byron w dzienniczku pod 1821 r. (M. 476)—teraz czas działać. Co znaczy moje ja, jeżeli chociażby jedna iskierka tego, co coś warte z przeszłości, może być przekazaną przyszłości niezgaszona jeszcze. Nie chodzi o człowieka, ani o milion ludzi, ale o ducha wolności, którego trzeba rozsiewać. Każda z fal wylewających się na brzeg rozbija się, ale ocean mimo to zdobywa, zniósł armadę, zużywa skały i jeżeli wierzyć neptunistom, nietylko niszczył, ale i tworzył światy.“ Ta dotykalna niekonsekwencya, gorzkiego pesymizmu i heroicznego pochopu do walki ze złem w świecie i życiu, była na wielką skalę i w zastosowaniu do ludzkości tém, co spotykamy nieraz na świecie i w życiu, że pod nienawiścią może się kryć najgorętsza miłość do znienawidzonego przedmiotu. Wcześniejszy od Lermontowa bajronista w Rosyi, Puszkin, miał wyraz na ten stan zawziętości i wyrzekania wskutek zawodu w miłości: *ozłoblennyj um*, umysł zrażony, to jest taki co szydzi i bluźni ze zbytku kochania, a to z tego powodu, że rzeczywistość mogłaby być i lepszą i piękniejszą.

To rozdarcie się wewnętrzne na niedowiarstwo i jednoczesne kochanie, stanowiące treść poezyi Byrona i jéj główną ponętę, odbija się z większą jeszcze wyrazistością w jego religijności. Mickiewicz w pewnym okresie życia mocno Byronem przejęty, a więc znający doskonale ducha téj poezyi, uważał Byrona za głęboko wierzącego i religijnego człowieka (Listy Odyńca. Rozmowy w Lido w 1829 r.). Ogólne jednak w angielskiém towarzystwie powstanie przeciw Byronowi spowodowane było przez jego niedowiarstwo, wolteryanizm, a Puszkin w swoim bajrońskim okresie w czasie pobytu w Odesie uważał i siebie i mistrza za czystych ateuszów. Niezawodnie, że poezya Byrona nie miałaby powodzenia, gdyby nie wtórowała odrodzeniu się religijnego uczucia po rewolucyi francuskiéj. Przez całe życie Byron wypierał się ateuszowstwa (M. 246) i uważał się po swojemu za dobrego chrześcianina, nawet wyrażał, że się skłania do religii dotykalnéj (*tangible*) to jest zmysłowéj (list do Moora z powodu *Kaina* 555); stąd nieraz wyrażał, szczególniéj podczas pobytu we Włoszech, swoje niejako pochylanie się ku katolicyzmowi, nie dochodzące jednak nigdy do tego, ażeby uznał jakiekolwiek stanowione i powagą uświęcone *Credo*. Nie jestem — powiadał — bigotem niewiary, a żem wątpił o nieśmiertelności duszy, nie sądzę, aby mię można było posądzić o zaprzeczanie istnienia Boga. Małość naszego światka kazała mi wyobrazić, że nasze pretensye do nieśmiertelności może są przesadzone (list z r. 1813. M. 187). Wynikał ztąd falujący sceptycyzm, kołyszący się na ostrzu pytania, o gruntowne zbadanie i rozwiązanie którego nigdy Byronowi nie chodziło. „Dziwię się, jak można było taki świat utworzyć. Na jaki cel stworzeni dandysi? i fellows'owie w kollegiach uniwersyteckich? i kobiety w pewnym wieku? i wszelacy ludzie rozmaitego wieku, ja sam naprzykład? Czy jest co poza światem? kto wie?—Ten, kto nie powie. A kto powiada że jest?—Ten, kto nie wie...“ (M. 228). Ten kapryśny sceptycyzm jest tylko igraszką, nie uchodzi za pewnik. W najpóźniejszéj daty wyciągach z papierów Byrona u Moora (652) są próby bardzo zresztą nieudolne wyrezonowania nieśmiertelności duszy, osnute na tém, że dusza jest zawsze czynną, nawet przy bezwładności ciała, a zatém we śnie, więc możebném jest jéj działanie odrębne. Byron nie mógł się zdecydować w téj materyi ani na *tak* ani na *nie*, bo nie rozumował lecz powodował się tylko instynktem serca. W 1814 pisał do Murray'a (M. 218) o Giffordzie: „może on ma racyą w polityce, ale polityka jest u mnie uczuciem i nie mogę przełamać mojéj natury.“ Toż samo można zastosować i do jego religii. Była to religia li tylko uczucia, ale operującego nad wrażeniami, które wyryły się w dzieciństwie na blaszce usposobienia wrodzonego i porysowały jéj powierzchnię.

Naprzód surowy kalwinizm, z jego uprzedzeniem o krnąbrności człowieka, z jego nauką o predestynacyi do zbawienia albo do wiekuistego potępienia i z jego predylekcyą do Starego testamentu (182 r. odezwa Byrona do dr. Kennedy. M. 600). Wcześnie—powiada Byron—byłem zrażony przez szkołę kalwińską szkocką, w któréj mię przybijano do kościoła w ciągu pierwszych dziesięciu lat życia (M. 187). Jednocześnie musiały go owionąć powiewy ducha wieku, który za jednym podmuchem zamierzał znieść księży i kościół i samę religią. Takich złorzeczeń, w których przegląda żywcem wiek antireligijny XVIII, pełno u Byrona. „Łotry księża—pisał w 1822 r. (M. 550)—więcéj wyrządzili szkody religii aniżeli wszyscy niedowiarkowie razem, co pozapominali katechizmu.“ Najjaskrawsze strofy z „Prayer of Nature“ poświęcone są księżom: „Niechaj bigoci wstrząsają żarzącą się pochodnię, niechaj zabobon uwielbia stos, niechaj księża dla utrwalenia swych czarnych rządów czmucą baśniami tajemniczych obrzędów...“ Z tego pomieszania katechizmu i nauk kalwińskich wykwitło szczególniejsze drzewo: religijność głęboka, ale antikościelna, antiobrzędowa, antisekciarska, duch tolerancyi tak podniosły, pełen świadomości, jak u Lessinga; bezwyznaniowa religijność jako jeden z głównych dogmatów tego liberalizmu, którego Byron był w całéj Europie chorążym. W raptularzyku pisanym w Cambridge w 1807 r. znajdujemy słowa (M. 47): „nienawidzę książki religijne, chociaż kocham Boga, ale bez bluźnierczych pojęć sekciarzy i bez 39 artykułów.“ „Nie wiem, co bardziéj nienawidzę (r. 1822 M. 554) zuchwałego potępiającego bigota, czy zuchwałego unicestwiającego niedowiarka. *Furiosa res est in tenebris impetus*“ (M. 652). „Próżnoby kazano mi wierzyć a nic rezonować; zupełnie tak samo jak gdyby mi kazano nie czuwać lecz spać, a cóż dopiero straszenie mękami. Nie mogę zbyć się myśli, że groźba piekłem rodzi tyluż djabłów, ilu wszelkie kodeksa karne robią zbrodniarzy.“ W „Godzinach Próżnowania“ jest z r. 1807 prześliczny „Pacierz Natury“, pełen tych cech religijności, które skreśliłem, ale jeszcze prawie całkiem osnuty na podstawie dogmatów katolicyzmu. Od téj religijności 19-letniego chłopca różni się znacznie religijność w Child Haroldzie, a jeszcze znaczniéj w Kainie albo Don Żuanie; ale różnica tylko w cieniowaniu, grunt pozostaje jeden i ten sam.

Byron nigdy nie był, co się nazywa *ésprit fort*. W myślach jego wciąż walczyły niedające się pogodzić dwie zasady: jedna kalwińska: *wierzę w przewrotność natury ludzkiéj w ogólności a swojéj w szczególności*, i druga prawdziwie Jean Jacquowska (M. 665): *człek jest pasyonowany z ciała, ale z wrodzoną w pierwotném źródle umysłu chociaż tajną skłonnością miłować dobro*. Po nad temi dwoma sprzecznemi za-

sadami było wielkie, szlachetne i odważne serce, w ciągłém kołysaniu się między jedną a drugą. Surowy dogmat wpajany z młodu straszył jak miecz Damoklesa, wiszący nad głową dbającego o swoje zbawienie umysłu. Szlachetne serce oburzało się przeciwko ciasnemu dogmatowi i jego nieludzkim następstwom i buntowało się zaprzeczając męki i piekła. Po każdym takim rokoszu rodziła się obawa: czy się nie mylił? czy był w prawdzie? W takich wątpliwościach i wahaniach się przeszło całe życie.

XX.

Skreślimy pobieżnie początki poetycznego zawodu Byrona. Młody lord był stosunkowo bardzo niebogaty, tak, że już po dostąpieniu przezeń parowstwa, król matce jego asygnował 300 f. rocznie ze swéj listy cywilnéj. Newstead musiano wydzierżawić. Krewnych z arystokracyi, którzyby się przyznawali do parenteli z Byronem nie było żadnych; wiadomo, że po dojściu do pełnoletności, gdy przyszło Byronowi zająć miejsce w izbie lordów, a opiekun jego hrabia Carlisle uchylił się od wprowadzenia go do téj izby, Byron nie znalazł nikogo z pomiędzy lordów, któregoby mógł prosić o wyświadczenie mu téj tak drobnéj usługi, i wbrew zwyczajowi wstępował do izby sam jeden. Z tém większą butą po złożeniu przysięgi odpowiedział na podanie mu wedle zwyczaju ręki przez prezydującego lorda kanclerza (Eldon), dotknąwszy się jéj tylko zlekka palcami, co potém tak tłómaczył: „gdybym uścisnął, uważałby mię za jednego ze swéj partyi (za whiga), a ja nie chciałem, aby mię liczono ani do jednéj ani do drugiéj partyi.“ A jednak Byron był whigiem, tak z tradycyj domowych i z wpływów matki, jak z otoczenia w którém był, zanim wstąpił do Cambridge; znajomi należeli do bardzo skromnéj gentry, obcowanie z nimi i z prostymi ludźmi było w każdym razie korzystne, zbliżało go do ludu. Bohaterem Byrona był Fox; Byron marzył o zawodzie politycznym i parlamentarnym, o wawrzynach wielkiego mówcy. W polityce Byron był skrajnym radykalistą, przekonań na swój czas najbardziéj postępowych, najwyżéj z ludzi stawiał Washington'a (Ch. H. IV, 96) uwielbiał Cromwella (Ch. H. IV, 85—*immortal rebel the sagest of usurpers*) i jeszcze w Harrow 1803 bił się z kolegami, broniąc od umyślnego stłuczenia przez nich gipsowe popiersie swojego ulubionego bohatera Napoleona (M. 213). W Cambridge Byron żył wystawnie: trzymał psy, konie, swojskiego niedźwiedzia, zadłużył się w ciągu paru lat na 10000 funtów sz.; strzelał z pistoletu, prowadził dość grubą hazardowną grę,

pisywał wiersze, które drukował dla przyjaciół (Early Hours, styczeń 1807), wreszcie puścił je w świat w marcu 1807 pod tytułem: „Hours of Idleness.“

W 9 miesięcy późniéj ukazał się w marcu 1808 w redagowanym przez Jeffreya czasopiśmie „Edemburg Review“ bezimienny artykuł, w którym został niesłusznie i niemiłosiernie schłostany, w autorze poezyi, niedouczony młodzieniaszek, a szczególniéj paniczyk. Prawdopodobnie krytyka nie pochodziła ani od Jeffrey'a, ani od lorda Brogham'a (którego o autorstwo podejrzywał Byron), lecz od całej kliki starszyzny akademickiéj, od kilku *tutorów* w kolegiach obrażonych za satyryczne kawałki w poezyach o metodach uczenia, egzaminach i obyczajach uniwersyteckich. Krytyka zraniła do głębi duszy Byrona i obudziła w liryku satyryka o lwich pazurach. Wściekłość była zimna, tajona, Byron nie pokazał o ile go ubodła krytyka, odpłacić postanowił, zmienił tryb życia i prawie zerwał z Cambridg'em, gdzie czuł, że większość starszyzny i kolegów stoi po stronie jego zamaskowanych przeciwników. Do Cambridge przyjechał tylko na krótki czas po stopień i pisał do Harness'a: „*alma mater* była dla mnie *iniusta noverca*, stary bedlam udzielił mi swój stopień akademicki, bo nie mógł inaczéj; ty wiesz jakie farsy musi zgrywać nobilis Cantab“ (M. 79).

Na pozór życie jego było hulaszcze i rozpustne, szczególnie jeśli brać dosłownie strofy 2 i 7 pieśni Child. H., gdzie figurują pafijskie dziewice i urwis: „Sprośnym grzechom i hucznym biesiadom oddany, Nie szukał towarzystwa innego zawodu, Jak tylko białogłowy sławy podejrzanéj I pochlebców wyższego i niższego rodu.“ Byron bawił, wyemancypowawszy się ostatecznie z pod wpływu matki w Londynie albo w Southwell, odwiedzał jak i koledzy jego baliki i teatra, zaprzyjaźnił się z pierwszym londyńskim fechmistrzem Jacksonem i nawet woził z sobą do Brighton ładną dziewczynę przebraną za chłopca, którą rekomendował znajomym jako swego braciszka Gordona. W Newstead, gdzie osiadł w jesieni 1808 przed samém dojściem do pełnoletności, sprawowanie się Byrona było bardzo ekscentryczne, u wrót trzymano na łańcuchach niedźwiedzia i wilka, w sali towarzystwo zajmowało się strzelaniem do celu z pistoletów. Wstawano bardzo późno, przy obiedzie zamiast czary z klaretem, krążącéj w około, służyła czaszka ludzka wypolerowana i w srebro oprawna. Gospodarz i goście przebierali się czasem za mnichów, gospodarz grał rolę opata, zabawne biesiady przeciągały się późno w noc. W tych dziwactwach więcéj było ekscentryczności niż rozpusty, pafijskie dziewice były to po prostu dwie czy trzy pokojówki i kucharka, rzekomi pasorzyci i pochlebcy byli to Matthews, Davies,

Hudgson i Hobhouse, dobrzy i zacni koledzy w Cambridge, kilku znajomych z Southwell i kilku przewielebnych duchownych z sąsiedztwa. Uczty były nie częste, ucztować nie było tak bardzo za co, chleb, wino, węgle—wszystko było na kredyt. Sam zachęcając do jadła i wina, Byron prowadził zawzięcie poczętą w 1807 głodową kuracyą, częściéj niż kiedy odosobniał się, zamykał i kręcił bicz na swoich krytyków, znaną satyrę „*English Bards and Scotch Reviewers*“, na któréj napisanie użyty był przezeń cały rok 1808.

W styczniu 1809 odbyła się w Newstead uroczystość w feudalnym guście z powodu dojścia młodego dziedzica do pełnoletności: upieczono całego wołu, były tańce dla służących i czynszowników, nie mało *whiskey* i *ale* wypito; na większą wystawę nie starczyło środków. Po uczcie Byron wybrał się do Londynu, aby zająć miejsce w izbie lordów i wydrukować rękopis. Gdy go lord Carlisle skrzywdził, odmawiając swojéj asystencyi przy wprowadzeniu do izby, do satyry wstawiony został ostry doń wystosowany dodatek. W kilka dni po téj ceremonii (która odbyła się 16 marca 1809 r.), wyszła na świat satyra, któréj powodzenie wynagrodziło z lichwą doznane upokorzenie, bo wszyscy śmiejący się byli teraz po stronie Byrona. Utwór ten mógł mieć znaczenie tylko chwilowe, a dziś nie posiada już żadnego. Bicz satyry pada na wszystkich tych, którzy w jakikolwiek sposób figurowali wtedy na angielskim Parnasie i mieli łaskę u recenzentów szkockich, większa część tych ludzi dziś całkiém utonęła w zapomnienia fali, a niektórzy z nazwiska raczéj aniżeli z utworów dziś znani, jak naprzykład Wordsworth, Coleridge, jeziorowce czyli lakiści. Satyryk uczył się widocznie u Pope'a i posiada formę wytworną całkiém klasyczną, nie uznaje on nowych, a czci i wielbi starych—Pope'a, Drydena, Otwaya, pudrujących się i perukowanych mistrzów staréj szkoły. Większą część tych, których schłostał, Byron późniéj przeprosił i z nimi się szczerze poprzyjaźnił (W. Scott, Moore, lord Holland (Fox), lord Melbourne i wielu innych). Szermierz był bardzo młody, bardzo niewprawny, ale grała w nim krew gorąca, krwią nabiegały oczy, więc sztuką krzyżową puściwszy młynka, setkę osób pokiereszował, dając dowody, że umie łajać i ma co niemiara złości.

Po téj doraźnéj egzekucyi arcy osobistéj i arcy prywatnéj, nic nie stało na przeszkodzie zamierzonéj oddawna podróży na wschód, która zajęła dwa lata i trzy tygodnie (1809 czerwiec do lipca 1811). Podróż ta odbyła się za pieniądze pożyczone na wysokie procenta od lichwiarzy, w nadziei wygrania procesu o nieprawnie sprzedany przez poprzednika Rochdale. Lisbona, Sevilla, Cadix, Malta, brzegi Albanii, Missolunghi, Ateny, Smyrna i Konstantynopol, takie były

główne stacye podróży, w której Byron zetknął się z naturą prawie dziką, doznał niezmiernéj ilości mocnych wrażeń, nocował to w pałacach, to pod gołem niebem albo w oborach, obcował jednego dnia z jakim paszą a drugiego z prostym pastuchem (M. 24), wzbogacił wyobraźnię całym blaskiem kolorytu gorącego południa i paradował nieraz pomiędzy prawie dzikiemi ludźmi (naprzykład u Ali Paszy w Telepenu w Albanii) w fantastycznym haftowanym czerwonym mundurze i kapeluszu z piuropuszem i żądał wszędzie dla siebie jako dla para Anglii prawie królewskich honorów. Od dalszych wycieczek wstrzymany brakiem środków pieniężnych, wrócił Byron do Londydu w pierwszych dniach lipca, bez żadnéj ochoty, przewidując, że pierwszy, którego spotka, będzie *prawnik*, drugi — *wierzyciel*, a potém cała zgraja węglarzy, czynszowników, komorników (M. 115).

W pierwszych dniach sierpnia stracił Byron matkę i najbliższego przyjaciela z Cambridge, S. Mathews'a, o którym tak się odzywał: „wobec niego wszyscy ludzie, których znałem—pigmeje; na wszystkiém, co uczynił albo mówił, leży piętno nieśmiertelności" (M. 135—137). Doznał wielkiego upadku na duchu, czuł się całkiem osamotnionym (*unguided and unfriended*) i był dręczony myślami, które go prześladowały i późniéj (M. 401), że wszystko co go kocha ginie, że wszystkim przynosi nieszczęście, że nie może utrzymać przy sobie nawet psa, który się do niego przywiązał. Z tego czasu datuje testament (M. 131), w którym zalecał pogrześć siebie obok psa Boatswain'a i bez żadnego kościelnego obrzędu. Ta odrętwiałość trwała niedługo. Na początku 1812 r. (29 lutego i 2 marca) uśmiechnęło się doń szczęście; otrzymał dwa ogromne powodzenia: jedno w świecie parlamentarnym, drugie daleko większe o dwa dni późniéj w świecie literackim. Jedno sprawiła jego pierwsza mowa w izbie lordów, z któréj wróżono (lord Holland, Sheridan), że będzie znakomitym mówcą. Chodziło o represyą masowego niszczenia warsztatów w przemysłowych hrabstwach Anglii przez pozbawionych pracy wyrobników. Jako prawdziwy whig, Byron ujmował się gorąco za tą niby częścią, która „nas żywi i broni i daje możność urągać się z całego świata, ale i z was urągać się będzie, jeżeli ją zaniedbacie," i twierdził jako świadek, że gorzéj jest w Anglii aniżeli w Turcyi i Portugalii. W mowie było dużo deklamacyi: figurowali Drakon i lord Jefferies, sędzia z 12 rzeźnikami przysięgłymi, i szubienice i dragonady, i były urągania nad leczniczemi środkami z ciepłéj wody policyjnéj i wojskowych lancetów. To łatwe powodzenie zabiło w Byronie mówcę, jeszcze wystąpił późniéj dwa razy, ale już mniéj słuchany zobojętniał i zniechęcił się, a oddał się całkiem poezyi. Drugie powodzenie zawdzięczał Byron pierwszym dwóm

pieśniom Child Harolda, po których wydaniu zapisał w swoim memoryale: *J awoke one morning a found myself famous* (1). Zatrzymajmy się chwilę nad tym dużo obiecującym utworem.

XXI.

Mamy na myśli tylko pierwsze dwie pieśni *Childe Harold's Pilgrimage*, bo dwie ostatnie należą już do innéj epoki. Dwie pierwsze były tylko obiecującą zapowiedzią, nic więcéj. Same ich powstanie było przypadkowe. Pod gorącém słońcem południa klasyk Byron układał niby dalszy ciąg satyry na bardów i recenzentów, ciętym wierszem, naśladowanym z Popego, parafrazę Horacyuszowego listu *ad Pisones de arte poëtica* (Hints of Horace). Obok tego wcale lichego balastu klasycznego był, zaczęty w Albanii zbiorek, wrażeń z podróży, rymowanych strofami sposobem Spenserowskim (Fairy Queen, z XVI w.). Ten zbiorek, gdy się dostał w ręce krewnego Byrona, Dallasa, któremu, brzydzący się wówczas wszelkim frymarkiem pracy autorskiéj, Byron odstępował całe swoje honoraryum, Dallas poznał się na wysokiéj wartości tych brylantów. Przy opracowaniu zaszły odmiany, wyrzucono mnóstwo miejsc satyrycznych z przeskokami do komizmu, które znacznie zbliżały zarys pierwotny utworu do Beppa i do Don Żuana, i całości nadano większą jednolitość, przez utrzymanie jéj w tonie podnioślejszego liryzmu. Mimo te zmiany brak utworowi kitu, brak wewnętrznéj spójni: Pielgrzymka nie jest właściwie żadnym poematem. Pióro na szybko przewracane karty rzuca delikatnie i wdzięcznie narysowane kawałki pejzażów, scen z życia, wrażeń i doznanych uczuć. Jednocześnie sunie się z karty na kartę osoba w czerni, w pielgrzymim stroju, ze swoim orszakiem, w roli giermka służącym Fletcherem, w roli pazia chłopcem Rushtonem, osoba milcząca, wcale nie rozprawiająca, a tylko brząkająca czasami melancholicznie na lutni. Między tłem pieśni podobném do panoramy, a osobą w żałobie, nadającą utworowi tytuł, niema nic wspólnego, autor chce nawet twierdzić, że to osoba, zmyślona. Młody marnotrawca wysokiego rodu, ze śmiechem goryczy pełnym, puszczający się w drogę nie do miasta świętego ani do ziemi świętéj, ale tak, gdzie oczy poniosą, to jest z kraju do kraju pędzony jak Ahaswerus przez nudę, trapiącą go wciąż czy kogo widzi, czy słyszy, czy spotka, przez ból trujący radość i wiek jego młody, przez rdzę żywota, którą stanowi szatan myśl (Srofy do Inezy w I pieśni Ch. Ha-

---

(1) Zbudziłem się pewnego poranku i znalazłem się sławnym.

rolda). Pielgrzymi ubiór—zmyślenie, proste domino, nawet i maska do twarzy nie przystaje szczelnie, Child Burun (tak się początkowo miał pielgrzym nazywać) darmo przezwał się Childe Haroldem, każdy poznał samego śpiewaka; wszakże go znano a oto wspomniane i matka i siostra, zmarli przyjaciele i zmarła kochanka (M. Parker, II, 96). Śpiewak ten, chociaż pozuje na Kaina potępieńca (C. H. 183: On Kaina dzieje wypisane przesytem nosił na swéj skroni), rzeczywiście cierpi na to, na co się skarży, tak że każdego swém cierpieniem przenika, ale tak młody, tak niezgorzkniały mimo plamki rozpaczy czarnéj na powierzchni, tak mało jest cynikiem mimo doznane zawody i tak wielkim entuzyastą zapalającym się w jednéj chwili do sławy, do boju, do wolności, do szewaleryi, do nieśmiertelnéj chwały marmurowych bogów dawnéj Grecyi, do Olimpu i Dodony, do Delfów, do Salaminy i Maratonu.

Ten rwący entuzyazm, wyzierający z mgły melancholicznéj, szedł zresztą wtedy (ale tylko wtedy) samym środkiem koryta głównego prądu uczuć pospolitych aspiracyj narodowych angielskich, podzielanych przez całe społeczeństwo. Poeta sławił zapasy Hiszpanów i Portugalczykków z prepotencyą Francuzów, ależ po stronie pierwszych walczyły z chwałą wojska angielskie posiłkowe. Poeta opisywał najbardziéj pochopnemu do przygód i jeograficznych odkryć narodowi, jak z narażeniem życia obcował z albańskimi rozbójnikami i ucztował z nimi przy ogniu tak samo prawie jak za czasów Homera. Naród był mocno i ostentacyjnie religijny; poeta apostrofował: O Chryste! (I,15), wierzył w opatrzność, przed którą człowiek gnie kolana (I, 55) i marzył o połączeniu się za grobem z duszami umarłych przyjaciół (II, 9). Nakoniec w pierwszych pieśniach Ch. H. było to, co stanowi głównie o powodzeniu utworu poetyckiego: piękność i mistrzowstwo formy olśniewające. Odrazu objawił się liryk najpierwszy w Anglii, tak że po ukazaniu się poematu W. Scott całkiem przestał pisać wiersze. Objawił się liryk najpierwszy nawet w Europie, największy może w całym wieku XIX z rodzaju mocnych kolorystów, lubiących gorące jaskrawe farby, przepych złota, drogich tkanin i kamieni. Bardziéj rdzennego przeciwieństwa trudno wymyślić jak to, które było między Byronem, z jednéj strony a z drugiéj Wordsworthem i pierwszemi jeziorowcami (*lakistes*). I w tym względzie B. podobał się bo większość lubi to co, pyszne i jaskrawe.

Powodzenie poematu olbrzymie, niesłychane, w jednéj chwili wysunęło na widownię samego autora, autor stał się osobą modną lwem dandysów, zwłaszcza, że sama powierzchowność jego była pyszna: niewielka kształtna głowa na pięknéj zawsze odsłoniętéj

szyi, białe zęby, koralowe zmysłowe usta, melodyjny głos, przezroczystość cery, dowcip, fantazya pełna niespodzianek wszystko to wywierało czar niewysłowiony. Dziwiono się, że ten tajemniczy i w przeróżnych przygodach doświadczony człowiek elegantuje się jak kobieta, jé tyle co kanarek, a czasem śmieje się i żartuje jak uczniak, co się wyrwał ze szkoły. Wielkie damy zbliżały go do siebie i stawiły go odrazu na stopie koleżeńskiéj poufałości, dla któréj nie ma sekretów. Pieścili go wszyscy, nawet sam regent (późniejszy Jerzy IV). O mało co nie ujrzano Byrona upudrowanego, w białych jedwabnych pończochach i ze szpadą w Carlton House przy ceremonii wstawania regenta, w ciżbie pomiędzy dworakami. Wcześnie się spostrzegł, że byłby nie na miejscu.

Po balach zostawały resztki nocy, spędzane na samotném czuwaniu i gorączkowém pisaniu. Sława jako wino staje się nałogiem; podzielony między jałowe rozrywki światowe i chwile pisarskiéj gorączki, Byron od końca 1812 do separacyi z żoną i odjazdu z Anglii sypał co chwila powieści poetyczne jak z rękawa (podamy daty ogłoszenia drukiem: Giaur“ (maj 1812) „Narzeczona z Abydos“ (grudzień 1813) „Korsarz“ (styczeń 1814) „Lara“ (lipiec 1814) „Parisina i Oblężenie Koryntu“ (styczeń 1816). Jeżeli do tych powieści dodamy „Mazepę“ napisanego w jesieni 1818 w Rawennie i „Wyspę“ w Genui 1823 otrzymamy w sumie cały odrębny gatunek utworów pomniejszych, zaokrąglonych i niby epickich, ale przeładowanych ustępami lirycznemi. Rodzaj ten był już gotowy w Anglii i do wysokiéj doskonałości doprowadzony, dość przytoczyć Walter Scotta.

Wszystkie te powieści są niby dalszym ciągiem Childe Harolda i mieszczą w sobie téż same prawie pierwiastki, ale o stopień wyżéj rozwinięte ze spotęgowanemi i przymiotami i wadami. Byron tworzył od razu, ale w korekcie dorabiał i dopełniał; z 400 wierszy pierwotnego Giaura zrobił 1400 przez dodatki. Korsarza napisał w 10 nocy a Narzeczoną z Abydos we cztery. Są tam brylanty i perły, ale jest sporo wedle uwagi Taine'a i szklanych grubych paciorek. Korsarze tacy nienaturalni, jak dzicy Indyanie w Atali; Byron wplata do poematów naśladowania naprzykład z rozmowy Hamleta w scenie z grabarzami (w str. 6 p. I. Ch. H.). „Tu myśli był przybytek, tu pałac był duszy; zajrzyj do bezocznego ciemnego otworu etc.“; początek Narzeczonéj z Abydos żywcem naśladowany z pieśni Miniony: „Kennst du das Land wo die Citronen blühn...“ „Znacie kraj, gdzie laur chwały i cyprys żałoby godłem są dni obecnych i wieków minionych.“ Byron nadużywa alegoryi i wprawia w ruch albo grupuje arcy klasycznie całe czeredy upostaciowanych uczuć albo stanów duszy: Wiarę, Miłość, Rozpacz, Przyjaźń itp. Są zwroty szkolne, czy-

sto retoryczne: „Kto tam grzmi konno po skalistéj drodze?...“ albo: „Wstań niewolniku podły, wstań na chwilę, powiedz: ten wąwóz czy nie Termopyle?“ (Giaur). Kobiece postacie wiotkie, bezbarwne, anielskie, bez żadnéj prawdy, jak gdyby staloryty z modnego keepsaku. W każdéj powieści jest powieściowy wątek z tragicznėm rozwiązaniem, a w bohaterze wszystkie rysy Childe Harolda, ale zgrubiałe, wyczerniane, z domieszką melancholii i wzgardy, obejmującéj cały rodzaj ludzki, i mętnych osadów na dnie duszy z przelicznych ciężkich zbrodni. „Dusza brzemienna zbrodni swych ciężarem jest jako skorpion opasany żarem... co żądłem zatrutem siebie samego zabija“ (Giaur). „Mędrzec w swych słowach, lecz w czynach szaleniec, Za chęć być dobrym cel szyderstw lub wzgardy, Zamiast nawzajem gardzić zgrają podłą, On przeklął cnotę jak swych cierpień źródło... Serce swe z ludzkim rozbratał rodzajem I obrał sobie za swój cel na ziemi Za winy kilku mścić się nad wszystkimi“... „zimny, dziki, hardy Nie dbał o miłość, gdy nie bał się wzgardy“ (Korsarz). Jesteśmy w feudalnym zamku Lary, dumnego ale łaskawego pana. Ten dumny władca gotów zgrać rolę przywódcy zbuntowanéj przeciwko panom poddańczéj czerni, nawet nie przez ambicyą ani przez litość, ale przez inne przymioty charakteru: „Za wysoki by ulegać pospolitemu samolubstwu, mógł on czasami poświęcać swoje dobro dla innych, wcale nie przez litość ani przez powinność, ale przez pewną dziwną przewrotność w myśleniu, która go pędziła naprzód z tajoną dumą do czynienia tego, czego nie może uczynić nikt albo niewielu. Tenże sam popęd mógł w pewnych okolicznościach pociągnąć jego ducha aż do saméj zbrodni... Było to szaleństwo nie głowy lecz serca.“ (*His madness was not of the head, but hearth*).

Ten hrabia Lara bardziéj nieugięty, niż jaskrawy kontrast jego Książę Niezłomny Calderona. Zwyciężony, śmiertelnie raniony, otoczony wrogami umiera, ale kiedy ktoś z tych litujących się wrogów zbliża do ust konającego krzyż i paciorki różańca, on zaśmiał się szyderczo i tak skonał, gardząc świętemi dary, jak gdyby niewierzył w nieśmiertelność zabezpieczoną tylko dla tych, w których jest pewna wiara w Chrystusa (Lara II, 19). Ten heroizm pojedyńczéj złéj czy dobréj woli urąga się cierpieniom; ciągłym tematem téj poezyi jest branie osobistości na próbę, na męki moralne i fizyczne, torturowanie człowieka takie, które przechodzi miarę cierpień ludzkich i od którego krew stygnie w żyłach. „Nie mów pacierzy,“ powiada Giaur do mnicha, „wskutek ich nie wierzę, Silniejsza rozpacz niż twoje pacierze. Zbawienia nie wart jestem i nie żądam. Nie raju ale spoczynku wyglądam.“

Państwo poezyi tak wielkie jak świat, a w tym świecie dusza i wszelkie uczucia ludzkie, nie wyłączając najprzykrzejszych: zgrozy, przerażenia, bólu aż do konania w mękach. Są ludzie, są narody rasy, którzy głównie gustują tylko w tych okropnościach i dla których wszelka strawa niesmaczna bez téj papryki. Że do liczby takich narodów i ras należą przedewszyskiém anglicy tego dowodem arcymistrze w tym rodzaju Szekspir i Byron. Wzorem epósu ludzkiego, cierpienia w największém jego wytężeniu będzie zawsze taki „Więzień Chillonu“ (1816 lipiec, Genewa). Tylko człowiek obdarzony straszliwie ponurą wyobraźnią mógł się zdobyć na jednocześnie prawie z Więźniem Chillonu napisaną *Ciemność* czyli co będzie, kiedy słońce zgaśnie. Dwaj ostatni mieszkańcy ludnego miasta zeszli się przy ołtarzu, dostali kilka ostatnich iskierek z dogasającego popiołu ujrzeli, się wzdrygnęli, padli i skonali; „zgrozą swego widoku zabili się społem. Nie poznali się z twarzy, lecz głód nad ich czołem wyrył: nieprzyjaciele.“

Zamykamy przegląd poezyj Byrona pierwszéj jego doby, kończącéj się na roku 1816. Poeta doszedł do szczytu sławy w ojczyźnie swojéj, stworzył rodzaj odrębny. W Europie zaszły wielkie zmiany—upadek Napoleona. Moja pagoda Napoleon, pisał B. w kwietniu 1814 r. spadła z podstawy. Cóż ja jestem? robaczek w porównaniu z nim, a postawiłbym życie na kartę. Ale może korona nie warta, aby za nią umierać. O, żeby Juvenalis albo Johnston mogli zmartwychwstać. *Expende quot libras in duce summo invenies.*

Mimo to nieupodobanie w akcie abdykacyi, B. odtąd stał się jeszcze większym napoleonistą, bo zostało uwielbienie dla geniuszu i wielkiéj woli, a odpadło oburzenie przeciwko despocie. Teraz on był całkiem po stronie lwa przeciwko tym, których porównywał do szakalów. I w życiu prywatném B. zaszły wielkie zmiany, ożenił się, a potém rozstał się z żoną ze skandalem i wskutek tego domowego wypadku stracił odrazu całą popularność i musiał z Anglii uciekać. Akta téj sprawy domowéj są ciekawe i warte studyów ze względu na wpływ jéj na talent Byrona, który w téj walce z całą opinią swojego kraju wyrósł, spotężniał i stworzył arcydzieła jeszcze wyższe od dawniejszych, te właśnie, które w całości jego dzieła (*son oeuvre*, jak powiadają francuzi) stanowią samą tego dzieła koronę.

XXII.

Musimy obecnie rozejrzéć się w aktach, że tak rzekę, procesu o separacyą lorda Byrona z żoną i rozpoznać wyrok, na męża potępiający, w téj sprawie zapadły w swoim czasie w sądzie opinii pu-

blicznéj narodu angielskiego. Byron był nie tylko skory do zakochania się, ale i łaknący towarzystwa niewieściego. „Człowiek nie podoba mi się, pisał w 1814 r. parodiując Hamleta (M. 229), a tylko kobieta i to jedna naraz. Jest coś łagodzącego w obecności niewiasty, jakiś dziwny wpływ, nawet gdy nie jestem zakochany, czego wytłómaczyć nie umiem, bo mam niewysokie pojęcie o płci". Gdy myślał o małżeństwie wahał się, znając swój charakter gwałtowny, czuł że byłby zazdrośnym, niecierpliwym i konkludował: „nie ożenię się, będę jeden i samotny, chociaż dobrze by mi było od czasu do czasu z kimś razem módz poziewać" (M. 217). W dzienniczku z tego czasu zapisano: „*a wife woold be a salvation of me* (M. 225). Wielki świat londyński, wśród wiru którego znalazł się poeta, był to świat w wysokim stopniu zepsuty, wyuzdany i nieobyczajny. Wielkie panie cisnęły się do poety, niektóre rzucały mu się prawie na szyję, inne, śmielsze, ubiegały się, jakby go, działając zaczepnie, pokonać i rzucić pod nogi i zrobić swoim niewolnikiem.

Takie założyła sobie zadanie jedna z najekscentryczniejszych kobiet swojego czasu, pani Karolina Lamb, żona Williama Lamba, późniejszego lorda Melbourne, i matka trojga dzieci, o trzy lata starsza od Byrona. Ta interesująca dziwaczka o białych jak len włosach i czarnych oczach, pozwalająca sobie mówić niesłychane w ustach kobiety rzeczy z najnaturalniejszą bezczelnością, i awanturować się, przy pierwszém zaprezentowaniu jéj Byrona w towarzystwie zmierzyła go tylko wzrokiem i odwróciła się; poczém zdefiniowała poetę: *mad, bad and dangerous to know*, a potém zaciągnęła go jednak do szwadronu swoich adoratorów i zmęczyła swoimi kaprysami i zazdrością, swoimi wybuchami, swojém ostentacyjnie pokazywaném nad nim panowaniem, swojém narzucaniem się, dochodzącém do tego, że wciskała się, przebrana po męzku, do jego mieszkania. Matka Lamb, lady Bessborough, dla położenia końca skandalowi, postanowiła wywieść córkę do Irlandyi. Córka zaproponowała Byronowi, aby ją uwiózł. Poeta znalazł się w trudném położeniu, do którego się nie przyczynił, bo nie kochał, ani zmyślał miłości—i był tylko pomimo woli pociągnięty do całéj téj gry miłosnéj. Z wielką delikatnością i oszczędzaniem kobiety, która nieraz groziła, że gotowa się zabić, napisał list bardzo przyjazny, bardzo czuły, ale przypominający jéj obowiązki względem matki i męża i potrzebę zastanowienia się przed stanowczym krokiem. Przed podpisem zastąpienie przekreślonego *devoted* przez *attached* było niejako ciepłomierzem uczucia, ale w post-scriptum pomiędzy prośbami, aby nie posądzano piszącego o egoistyczne pobudki, stały wyrazy, które były rzucone dla osłody odmowy i dla zadośćuczynienia miłości własnéj kobiety:

„Jestem i będę twoim, swobodnie i całkowicie, gotowym słuchać, szanować, kochać i uciekać z tobą kiedy, dokąd i jak sama zechcesz i raczysz to określić“ (Jeaffreson II, 36). Tego rodzaju sercowy stosunek nie mógł się długo ciągnąć przez korespondencyą. Listy stawały się coraz to chłodniejsze, doszło nakoniec do zerwania ze strony Byrona w liście otrzymanym przez panią Lamb w Dublinie. „Już pani nie kocham, zmuszony wyznać, wyznaję, że należę do innéj; pozwól pani być przyjacielem i jako dowód przyjaźni przyjmij pani, radę: popraw się pani ze śmiesznéj prożności, wywieraj kaprysy na innych i zostaw mię w pokoju.“ Odpowiedź na ten list doszła do Byrona późno, już po separacyi z żoną i po wyniesieniu się z Anglii za granicę, a mianowicie w Szwajcaryi; był to złośliwy, ale niedorzeczny romans „Glenarwon“, w którym Byron odmalowany, jako potwór, jako szatan, jako istota bez wiary i serca.

Przejdźmy do drugiéj osoby, do któréj Byron, wedle słów listu do p. Lamb, na dobre się przywiązał. W domu Melbourne były liczne ciotki i krewne, którym chodziło o honor domu, cierpiący na awanturowaniu się pani Lamb. Starsza lady Melbourne, była zainteresowana, aby poecie odpowiednią osobę wyswatać i przeciąć przez ożenienie gorszący jego romans z panią Lamb. W tym samym domu znalazła się partya w osobie Anny Izabeli (przez skrócenie Annabelli), jedynaczki, córki rodzonego brata lady Melbourne, sir Ralfa Milbanke. Nie była to w téj chwili partya bogata. Sir Ralf mógł dać córce posagu co najwięcéj 10 tysięcy funtów, wprawdzie jéj matka mogła kiedyś spodziewać się sukcesyi po bogatym wuju, lordzie Wenthworcie, lecz w 1814 r. nikt nie mógł przewidziéć, że lord Tomasz Wenthworth Noel umrze w 1815 r. i że jego fortuna spadnie na lady Milbanke, a potém po jéj zejściu na córkę. Lord Byron ze swemi interesami urządzał się w ten sposób, że miał sprzedać za 140,000 f. Newstead i wziął zadatku 25 t. f., po opłaceniu długów pozostałby mu kapitał przynoszący około 5 t. f. rocznie i niesprzedany majątek Rochdalski. Sprzedaż nie doszła później do skutku, nabywca wyrzekł się zadatku; suma ta wyszafowaną została prędko, dawała jednak narazie poecie pewne środki do wystawnego życia wedle jego stanu i położenia. Panna Milbanke była bardzo młoda (o lat 4 młodsza od Byrona), szczupła, bardzo prosta i naturalna, pisała wiersze, była trochę purytanką, bardzo oczytaną i do pewnego stopnia sawantką, mającą pojęcie i o matematyce, i o metafizyce, i o starożytnych językach, a przytém „dobrą, miłą i bez żadnéj pretensyi.“ „U innéj, pisał wówczas Byron, zawróciła by się głowa od połowy jéj wiadomości i od dziesiątéj części jéj zalet.“ W późniejszym czasie Byron ośmieszył i wyszydził niewieście pretensye do uczoności (Beppo 78, Don Żuan I, 12):

Matematyka była jéj nauką lubą
A z cnót wspaniałomyślność jéj największą chlubą;
Jéj dowcip, byle chciała, był czysty attycyzm,
Styl jéj rozmowy był tak mglisty jak mistycyzm;

ale w 1814 był całkiem innego zdania i panna M. pociągała go właśnie tém, że w swojéj poważnéj prostocie tak się bardzo wyróżniała od wziętych pań światowych i salonowych.

Nie zastanawiało go wcale, że panna Milbanke miała w duszy nadzieję, że go kiedyś i na drogę zbawienia kościelną (anglikańską) nawróci. Mało kto wie, że lady Byron miała gruntowny analizujący rozum i że nietylko zachwycała się poezyą męża, ale krytykowała treść jéj trafnie, trzeźwo i na wskróś, jak jaki anatom (List jéj z 1818 do lady Barnard): „egotyzm jest żywotnym pierwiastkiem jego wyobraźni, tak że mu trudno traktować przedmiot, z którymby nie utożsamiały się jego charakter i interes, ale przez wprowadzenie zmyślonych dodatków, przez zmiany scen i czasów obrócił on swoje poetyczne zwierzania się w system nikomu prawie niedostępny z wyjątkiem bardzo niewielu, a ciągła chęć jego sprawiania sensacyi, czyni go skłonnym do podawania się za przedmiot zadziwiający i ciekawy, chociażby temu towarzyszyły pewne ciemne i ogólnikowe podejrzenia."

Lord Byron oświadczył się o rękę miss M. i otrzymał odmowę, ale taką miłą i grzeczną, że zawiązał się stosunek przyjaźni „bez iskierki miłości tak z jednéj, jak i z drugiéj strony" (M. 209). W marcu 1814 zapisane w dzienniczku: „zakocham się w niéj znowu, jeżeli się nie ustrzegę." We wrześniu 1814 Byron powtórnie prosił o rękę miss Annabelli i zezwolenie otrzymał. W późniejszym czasie Byron, rozżalony na żonę, zmyślał, że jéj nie kochał; korespondencya świadczy wymownie, że wzajemne zakochanie było głębokie; Byron szczerze twierdził, że „matka (przyszłych) Grachów ma tylkę to wadę, że jest za dobra w porównaniu z nim", i oświadczał, że się mylił, sądząc, że jest to kobieta chłodnego temperamentu. „Przypadamy sobie nawzajem do zadziwienia." Ona rzekła, odchodząc od ołtarza do Hobhouse'a: „jeżeli nie będę szczęśliwą, to już będzie własna moja wina" (Jeaffr. II, 57, 60). Ślub odbył się 2 stycznia 1815 w majątku rodziców w Seaham. Ztąd młode małżeństwo udało się do Six Mile Bottom odwiedzić pułkownika Leigh i jego żonę, starszą siostrę Byrona, Augustę, z którą poeta miał dotąd bardzo rzadkie i przemijające stosunki. Żona Byrona zbliżyła się do siostry uprzejmie i serdecznie. Zawiązała się najmilsza w świecie zażyłość, wymyślono przydomki: *Duck* dla Byrona, *Pippin* dla lady Byron i *Goose* dla pani Leigh.

Miłość małżeńska przetrwała trudną próbę ciężkich kłopotów majątkowych, gdy po wyczerpaniu posagu i wszystkich środków Byrona, turbowano ich w ich mieszkaniu na Piccadilly i komornicy aresztowali raz po raz ich ruchomości. Można było się spodziewać, że rodzice pomogą, zwłaszcza że wuj umarł, matka stała się lady Noël z 7 tysiącami dochodu i małżeństwu ofiarowano nawet Seaham na mieszkanie. Ciężkie nieporozumienia zaczęły się dopiero we wrześniu 1815 bez innego wyraźnego powodu, krom niezgodności temperamentów. Trudno było, nałożonéj do regularnego trybu życia kobiecie, pogodzić się z ekscentryczemi i mocno cygańskiemi przyzwyczajeniami poety, który mieszał dzień z nocą, sam wycieńczając się głodem i żując mastikę, albo tytuń dla oszukania żołądka, używał opium i laudanum, nie siadał ani do śniadania, ani do obiadu, marzył tylko o tém jakby mu uciec z Anglii daleko na wschód i wściekał się, kiedy mu przeszkadzano w jego paroksyzmach pisania. Smutne było położenie kobiety w ostatnich dniach przed połogiem, kiedy jéj męża napastowali woźni i komornicy, a mąż ten strzelał w jéj pokoju z pistoletu, a ze złości roztrzaskał raz swój zegarek o podłogę. Nabyła prawie pewności, że mąż jéj ma początki obłąkania i w téj myśli odbywszy połóg 10 grudnia w 1815 udała się z nowonarodzoną córeczką, Adą, w początkach stycznia 1816 r. do Kirkby Mallory do rodziców.

Opiekować się umysłowo chorym mieli dzielący jéj obawy krewny—George Anson Byron i uproszona przez lady Byron, aby pozostała w Londynie, najbliższa wszystkich jéj trosk powiernica pani Augusta Leigh. Konsultowani doktorowie w Londynie dali przeczącą odpowiedź: zdrów umysłowo, cierpi co najwięcéj na wątrobę. Dopóki lady Byron była przekonaną, że mąż choruje umysłowo, dopóty listy jéj były czułe, serdeczne i pełne wezwań do Kirkby Mallory. Od chwili gdy się wyklarowało, że on przy zdrowych zmysłach, nastąpiło inne bardziéj gorzkie usposobienie. Chorym powinna się była opiekować, zdrowemu nie chciała nic ustąpić i odrazu pomyślała o separacyi. Trafiła kosa na kamień, objawił się w kobiecie umysł ciasny, widzący tylko cudzą winę i bezwarunkowo potępiający to co nie pasowało do miary jéj postępowania, serce oschłe, zło pamiętające, prawujące się z uporem i prawie z przekonaniem, że tak a nie inaczéj Pan Bóg przykazał.

Mimo uwagę kamerdynera Fletchera o tém, że każda kobieta mogła z Byronem robić, co chciała, lord Byron był niesłychanie trudnym w pożyciu. Kobieta, którą ukochał, mogła zachować nad nim panowanie, byle szczędziła tego, co w nim często siedział, rogatego dyabła, byle była bardzo wyrozumiałą, bardzo przebaczającą i byle

patrzyła przez palce na prędko przemijające usterki, wynikające z jego niepohamowanego temperamentu. Dziesięć razy przez czar wspomnień i pamiątek wróciłby do niéj i szedłby z nią o lepsze pod względem serca, pod względem wspaniałomyślności. Zamiast takiéj wyrozumiałości, lord Byron znalazł w żonie prawnika w spódnicy, przenoszącego do sypialni spór o mur graniczny wzajemnych praw i obowiązków i wymagającego przedewszystkiém wyznania z jego strony winy, przejścia na prawą drogę, upokorzenia się i deprekacyi, to jest rzeczy, do których Byron nigdy w życiu nie był zdolny.

Od lekarzy zatarg małżeński przeszedł w ręce prawników. Prawnicy zrazu byli tego zdania, że nie ma wystarczających powodów do separacyi, ale wkrótce potém wskutek zakomunikowanych im przez lady Byron, która zjechała w tym celu do Londynu, nowych, nieznanych rodzicom i w sekrecie, aż do dziś dnia, utrzymanych danych, obaj prawni doradcy i żony i męża zgodnie zdecydowali, że są stanowcze powody do separacyi. Z tą okolicznością wiąże się w połączeniu z treścią późniejszego „Manfreda“ i ogłoszonych w 1869 r. przez mistress Beecher Stowe, po śmierci lady Byron, jéj zwierzeń w 1856 roku przed amerykanką-autorką, jakoby powodem separacyi był odkryty przez lady Byron kazirodczy stosunek, jeszcze przed ślubem, lorda Byrona z jego siostrą, panią Augustą Leigh. Można z zupełną pewnością dowieść, że to oskarżenie jest potwarzą, a ze strony Beecher Stowe plotką. Augusta Leigh, nieładna, starsza od brata o lat 5, była już matką rodziny, kiedy on powrócił ze Wschodu; widywali się rzadko. Po ożenieniu się brata pani Leigh w ciągu całego zatargu była jedyną pośredniczką, którą lady Byron darzyła bezwzględną ufnością, osobą biorącą jéj stronę przeciwko bratu i aż do śmierci Byrona myślącą nad tém, jakby ich pogodzić. Przechowało się (Quarterly Review 1869) 7 listów lady B. do pani Leigh najprzyjaźniejszych i najczulszych po separacyi, niemożebnych ze strony lady Byron i jako żony, i jako purytanki, gdyby była przekonaną o kazirodztwie męża. Najlepsze stosunki trwały do śmierci poety, popsuły się po śmierci jego; ale dopiero po zejściu pani Leigh, lady Byron zaczęła się zwierzać z tak krzywdzącemi pamięć zmarłéj osoby oskarżeniami.

Sekret przez doradców prawnych był tak ściśle chowany, że nawet lord Byron o nim się nigdy nie dowiedział; rozjaśnić go mogą chyba nieogłoszone dotąd, w British Museum pod pieczęcią chowane do pewnego terminu, pamiętniki Hobhouse'a. Jest przypuszczenie dość prawdopodobne, podane przez Jeaffreson'a, że rewelacya, która takie wrażenie zrobiła na doradcach, tyczyła się mniéj wstrętnego, ale dla żony bardzo drażliwego przedmiotu. Byron był wpływo-

wym członkiem komitetu kierującego teatrem Drurylane; do niego udała się, prosząc o wprowadzenie jéj na scenę, śliczna śniada brunetka o nieregularnych, włoski albo cygański typ przypominających, rysach, Jane Clermont, pasierbica jednego chudego literata, Godwina. Było to po odjeździe lady Byron, może po objawionym zamiarze separacyi. Panna Clermont nie wstąpiła na scenę, ale zakochała się w poecie i mało dbała o to, co świat powie; poeta w jéj objęciach szukał zapomnienia swoich z żoną zatargów. Wieść o stosunku mogła dojść do żony przez jéj dawniejszą guwernantkę, którą napiętnował później Byron w satyrze *Sketch* (marzec 1816) i która przysłużyła się do zrewidowania jego korespondencyi. Byron ociągał się, zwlekał i tylko 22 kwietnia 1816 podpisał układ o separacyę na trzy dni przed ostatecznym odjazdem z Anglii na zawsze, odjazdem prawie przymusowym.

Odjazd, zamierzany oddawna, przyśpieszył także rozwścieklenie się opinii publicznéj w Anglii przeciwko Byronowi bez dostatecznych do tego powodów, rozwścieklenie się nadzwyczajne, które można zaliczyć do rzadkich i prawie bezprzykładnych, zwłaszcza że zatarg z żoną należał do spraw domowych, któremi brytańska publiczność się nie interesuje. „Co lat 6 albo 7, powiada Macaulay, nasza cnota naraz oburza się i nie znosi, aby ustawy religii i przyzwoitości były poniewierane, wskutek czego jakikolwiek nieszczęśliwiec tyleż winny, co setki innych, których wykroczenia wybaczono, obrany bywa na ofiarę błagalną.“ Dziś można dojrzéć w jaki sposób przygotowywał się ten wybuch, łatwy do pojęcia, chociaż nie przewidywany. Byron zanadto raptownie się wsławił jako poeta, zanadto wielu ludziom się naraził jako satyryk, zanadto wielkie miał powodzenie jako dandy. Byron śmiertelnie obraził Regenta, pisząc na niego epigramy (*Lines to a lady weeping*, do córki jego Charlotty) i urządzając obiad w więzieniu dla pamflecisty Leigh Hunt'a, skazanego za paszkwil na księcia Regenta. Byron miał przeciwko sobie cały dwór i wszystkich niedowiarków, ale i whigów uzbroił przeciwko sobie przez niepatryotyczną admiracyą dla Washingtona, Napoleona, Cromwella, a głównie pozwalał sobie wątpić czasami w Pana Boga, jakim go podaje teologia, a łajał obrządki i księży i mógł uchodzić z tego względu za angielskiego Voltaire'a (satyra tego czasu wierszem: *Anti Byron*). Libertynizm najwyuzdańszy popłacał w świecie wyższym, byle bez jawnéj ostentacyi; klasy średnie nietylko wymagały decorum, ale jeszcze bardziéj dbały o dyscyplinę w myśleniu i zasadach, nie cierpiały żadnego niedowiarstwa, mieszały wszelką wolnomyślność z rozpustą i musiały mieć w obrzydzeniu człowieka, który szydził z rzeczy świętych, z żoną źle się obcho-

dził, wprowadzał do siebie nierządnice, paradował pomiędzy najmodniejszemi lampartami, miał znajomości zakulisowe w teatrach i udawał, że ma wiele rzeczy na sumieniu, przyznając się do największych zbrodni w swoich poematach.

W Drurylane wygwizdano i wyhukano ze sceny aktorkę (mis Mardyn), podejrzaną niesłusznie o to, że w niej podobał sobie Byron. Na ulicy pospólstwo mogło go obrzucić błotem i znieważyć; w salonach, gdzie się pokazał, naprzykład u lady Jersey, która urządziła pożegnalny wieczorek, dając dowód odwagi, każdy o ile możności oddalał się od poety, a uchodziło za wspaniałomyślność, gdy kto poszedł do niego i kilka słów sympatycznych z nim zamienił. Nieliczni, co pozostali, przyjaciele, radzili aby Byron porzucił Anglią. Odjechał 25 kwietnia 1816 r. z Dover do Ostendy i już do ojczyzny wróciły tylko jego zwłoki, którym nie dano spocząć w Westminsterze, a które pochowano w wiejskim kościołku Hucknall Torquard, w Nottinghamshire. Zanim przejdziemy do skreślenia dziejów téj długiéj, bo (1816—1824) 8 lat trwającéj tułaczki po obczyznie, w ciągu któréj w zapasach z przeciwieństwami i cierpieniem gieniusz B. dojrzał i rozwinął skrzydła, załatwimy się najprzód z jego stosunkami domowemi, sercowemi, wogóle kobiecemi, które miały w jego życiu bardzo wielkie znaczenie.

XXIII.

Pierwsze postanowienie Byrona w sprawie separacyi było piękne, słuszne, szlachetne i godne: całą winę separacyi wziąść bez podziału na się. „Nie miałem, pisał do Moore'a 8 marca 1816 (M. 294), ani mogłem mieć żadnego względem niéj wyrzutu. Jeżeli jest nagana—do mnie należy, jeśli nie będę mógł okupić, zmuszony będę znosić.“ To lepsze usposobienie ustępowało stopniowo przed gorszém. Człowiek namiętny, nie panujący nad sobą i rozżalony twardym i chłodnym oporem, nie dotrzymał obietnicy, przeniósł zrazu żal tylko, a potém i zemstę do wierszy, wyciągając swoje małżeńskie niesnaski na widok i sąd publiczny, walcząc z żoną po adwokacku w poezyi i używając broni, któréj ona, co mu było wiadomém, nie posiadała, a zatém walkę prowadząc nie dobrą, bo wcale nierówną. Pierwszém natarciem były wiersze ogłoszone w początkach kwietnia 1816 (przed odjazdem) „*Szkic*“ paszkwil na urazę osobistą i *Fare thee well* do żony, tak na pierwszy rzut oka czuły i rzewny, że pani Staël miała jakoby powiedzieć (Elze 195) chciałabym być na miejscu pani Byron. Poeta płakał rymami, że jest bardzo nieszczęśliwy, za-

powiadał żonie, że i ona nie będzie mogła go zapomnieć, ale puścił już strzałę zatrutą, a trafną: *unforgiving*—ty nieprzebaczająca! Im bardziéj gorzkie na odjezdném były żale do żony, tém czystsze, serdeczniejsze wylania się dla siostry. Odjeżdżając Byron nie był bez nadziei, że do ojczyzny wróci, że z żoną się pogodzi, czego najlepszym dowodem są kroki w tym celu przedsięwzięte z Genewy przez pośredniczkę, panią de Staël. Okoliczności nie sprzyjały pogodzeniu się, owszem propozycye zostały odrzucone i poczytane prawie za nową obrazę.

Podczas kiedy Byron przez Belgią, po zwiedzeniu pola bitwy Waterloo, jechał powoli do Genewy, gdzie stanął w hotelu Sécheron, pewna partya Anglików, mężczyzna i dwie kobiety, wybrała się z Londynu w wyraźnym celu spotkania go i zalokowała się jeszcze przed jego przybyciem w tymże hotelu Sécheron. Mężczyzna był nie znajomy jeszcze osobiście z Byronem, młody poeta wysokiego polotu, potężnéj wyobraźni, panteista raczéj, niż ateusz, filantrop dobroci niesłychanéj i prawie anielskiéj (*cor cordium*—napis położony na nagrobku jego w Rzymie), *Percy Bysshe Shelley* (1792+1822). Z Shelley'em była jego nieślubna towarzyszka Marya Godwin i pasierbica jéj ojca, Jane Clermont. Shelley zerwał był z całém towarzystwem, podawał się głośno i ostentacyjnie za ateusza, był bardzo śmiałym, ale niepraktycznym politycznym agitatorem i był do tego stopnia zniesławiony i zohydzony w Anglii, jako niebezpieczny nowator, że na skargę ojca jego pierwszéj żony Harrietty Westbrook decyzyą lorda kanclerza Eldona odjęto mu władzę nad dziećmi i oddano je na wychowanie z woli dziada Westbrooka pewnéj osobie duchownéj.

Shelley i M. Godwin chcieli ułatwić J. Clermont widzenie się z ubóstwianym przez nią kochankiem. Kiedy się zawiązała znajomość między przybyszami i Byron w towarzystwie Shelley'a zagustował, urządzały się wycieczki we czworo po jeziorze Genewskiem z N. Heloizą w ręku. Kiedy podejrzany już o niedowiarstwo Byron zszedł się z tak zniesławionym ateuszem, urągającym religijnéj i cywilnéj ustawie małżeństwa, Shelley'em, towarzystwo genewskie i tłumy anglików-turystów, których wszędy pełno, śledzili za każdym krokiem dwóch potworów moralnych, a pobożne angielki (naprz mistress Herwey) mdlały w salonie pani de Staël za ukazaniem się lorda Byrona, uważanego prawie za „jego szatańską mość.“

Byron przez właściwy mu przymiot, który przyjaciele jego nazywali „*odwrotną obłudą*,“ doświadczał złośliwéj przyjemności w podtrzymywaniu najgorszych o sobie posądzeń. Wszystkie binokle i wszystkie teleskopy wymierzone były na kompanią, kiedy wychy-

lała się z domu na wycieczki w góry albo na jezioro, tak że musieli się wynosić coraz to daléj od tych amatorów w szpiegowaniu. Można sobie wyobrazić, jaka szła fama z Szwajcaryi do Anglii o obu poetach. Jeden z turystów, téż poeta ze szkoły jeziorowców, R. Southey za powrotem do Anglii, wedle słów Byrona (Jeaffreson II, 173) rozgłaszał publicznie, że obaj poeci i dwie jakoby rodzone siostry (nie było takiego pokrewieństwa między M. Godwin i M. Clermont) złożyli niby sojusz kazirodztwa (*having formed a league of incest*), to jest, że byli *in copulatione carnali* każden z obiema. Nadzieje Jane Clermont nie sprawdziły się, upodobanie Byrona w dziewczynie, która mu się oddała, było przelotne, wejść z nią w stały stosunek, jaki istniał między Shelley'em i M. Godwin, Byron nie myślał. Przed odjazdem kompanii w końcu sierpnia 1816 z Genewy Clermont zwierzyła się kochankowi, że jest w ciąży, uchyliła jego propozycyą oddać przyszłe dziecko na wychowanie pani Leigh, ale wzięła od poety słowo, że jeżeli mu dziecko odda, Byron wychowa je przy sobie.

Byron łudził się, gdy sądził, że bytność Clermont z Shelley'em i Godwin w Genewie ujdzie uwagi żony i jéj krewnych, czarne plotki kursowały w Anglii, dochodziły do lady Byron, i propozycye męża o zgodę zostały przez nią w najzimniejszy sposób odsunięte. Namiętny człowiek uczuł się ranionym i upokorzonym i, coraz bardziéj rozmijając się z prawdą i słusznością, mścił się, pisząc „Sen“ (1816), pisząc (we wrześniu 1816) rymowane przekleństwa (ogł. po jego śmierci na temat: Słysząc o chorobie lady Byron): „na rzeczach, które były i które nie były, zbudowałaś pomnik, którego kitem wina, o ty moralna Klytemnestro twego pana“ (Jeaffr. II, 186). Z biegiem czasu, po pobycie w Wenecyi, gdzie się tarzał w najpospolitszéj rozpuście i stał się cynikiem, Byron posunął się aż do bezeceństwa (p. 1, strofy 10—33 Don Żuana, 1818), podał żonę w karykaturze w postaci donny Inez, matki Don Żuana, rygorystki i sawantki. Bezpośrednio lady B. pisała do męża już tylko raz jeden, kiedy darowawszy i złożywszy w ręku Moore'a swoje „Pamiętniki“, które Moore wnet sprzedał za 2000 gwinei księgarni Murray'a, Byron zaproponował żonie przejrzenie i sprostowanie rzeczy mylnych w tych Pamiętnikach. Żona nie przyjęła propozycyi (20 marca 1820). Wiadomość o żonie i o córce Adzie otrzymywał przez siostrę, mistress Leigh. Z biegiem lat łagodniała jednak uraza w sercu lady Byron, czego dowodem jest pukiel włosów córki, przesłany mu do Pizy i sylwetka, którą otrzymał w Missolunghi.

Do końca życia poeta żywił w tajni serca wzmagającą się stopniowo nadzieję na ostateczne z żoną połączenie się i pojednanie. W związku z tą nadzieją był dodatkowy na żądanie Byrona układ

Moore'a z Murray'em o prawo wykupienia „Pamiętników“, mających być ogłoszonemi tylko po śmierci poety, za zwrotem sumy 2000 gwinei. Byron chciał wykupić pamiętniki, ale wyprawa do Grecyi zabrała wszystkie środki; kiedy wieść o śmierci Byrona doszła do Londynu w maju 1824, przyjaciel i wykonawca jego testamentu Hobhouse przez wzgląd na treść bardzo osobistą Pamiętników podniósł, w interesie sławy i pamięci poety, myśl ich zniszczenia; po jego stronie stanęła p. Augusta Leigh przez wzgląd i na pamięć brata, i zapewne na lady Byron i córkę ich Adę. Ich usiłowania połączone uwieńczyły się skutkiem mimo silnego oporu zainteresowanego ze strony przeciwnéj Moore'a. Pamiętniki zostały wobec przyjaciół Byrona spalone w salonie księgarza Murray'a, który wielkiego poświęcenia dokazał, gdy wyrzekł się zysku, ale swoje 2000 gwinei otrzymał. Nie dał téj sumy Hobhouse, nie mógł dać niebogaty i zawsze potrzebujący Moore, zapewne na wykupienie Pamiętników złożyły się Augusta Leigh i lady Byron, bardzo bogata już wtedy od śmierci matki (1822) *peeress of her own right*, dziedziczka fortuny Wenthworthów i nazwiska Noëlów.

Na swojéj żonie Byron zemścił się dopiero po śmierci. Nieubłagana kobieta, która ani jednego kroku ku niemu nie zrobiła, ani razu nie skinęła — a byłby wrócił, doczekała się, że opinia całego świata o ich sprawie małżeńskiéj się zmieniła, że jéj mąż, którego niegdyś za nią potępiano wyrósł na bohatera, że cała Europa była pełna odgłosu jego wielkiéj chwały, że wobec towarzystwa ona była osobą osądzoną i potępioną, jako bez serca, bez duszy istota, wielkiemu nieboszczykowi nieodpowiednia para. Im bardziéj rosła sława umarłego, tém większe było upokorzenie wdowy, tém większa zazdrość względem tych których kochał, tém większe psucie się i upadek charakteru, który w innych okolicznościach byłby może dobry i wzorowy, ale w tém położeniu okazał się niższym od przypadającéj nań roli. Z drobnych, nędznych pobudek pokłóciła się lady Byron w 1829 z racyi kwestyi pieniężnéj, z testamentu B. wynikającéj, z tą, która była jéj aniołem stróżem w niedoli, wiernym sprzymierzeńcem, szczerą przyjaciółką i pośredniczką pomiędzy nią a mężem. Ten zatarg miał miejsce prawie jednocześnie z bardzo boleśnym dla lady Byron wypadkiem, a mianowicie z wydaniem przez Moore'a: *Byrons Life letters and journals*, 1830.

Okazało się, że „Pamiętniki“ spalono napróżno; wszystko co w nich mogło być dla żony przykrego, przeniesione zostało do życiorysu. A o ile poniżoną była żona, o tyle podniesioną siostra, ogłoszono przytém drukiem mnogie rzeczy, np. „Epistle to Augusta,“ który siostra nie ogłaszała przez delikatność, aby żonie nie zrobić

przykrości, tak były one czułe i pełne niedopowiedzianego rozżalenia serdecznego. Lady Byron znienawidziła Augustę, a że była w swojém zgorzknieniu i niedającém się ulżyć nieszczęściu zacięta i zła, więc doszla do pewnéj aberracyi umysłowéj, straciła zmysł krytyczny przy wczytywaniu się ustawicznêm w dzieła męża; brała już teraz za czystą monetę ogólnikowe „ciemne podejrzenia," w które wiedziała, że się mąż lubił obwijać (list jéj do lady Barnard), nietylko podawała za fakta to, co on kiedy o sobie spotwarzając się nagadał, ale i to co ludzkie języki kiedykolwiek na lorda Byrona wymyśliły, albo do czego dodumała się sama w żółciowém swojém, zwykłém odtąd, usposobieniu. Z genewskich plotek o „incest", którego niby się dopuszczali dwaj poeci z dwoma siostrami na brzegach Lemanu, urosło potworne i pozbawione wszelkiéj faktycznéj podstawy oskarżenie lorda Byrona o „incestus" z siostrą jego przyrodnią, poprzedzającém niby poznanie się jego z lady Byron, to oskarżenie rzucone zostało pokryjomu po śmierci p. Leigh (zeszłéj w 1851 r.), jako nasienie kąkolu na płodną glebę—do uszu pani Beecher Stowe, a ta znowu po śmierci lady Byron (zeszłéj 16 maja 1860) otrąbiła na cały świat sensacyjną potwarz, niby zagrobową rewelacyą tajemnicy. Koniec życia pani Byron spędziła na nabożeństwie i zajmowaniu się dobroczynnością. Córkę Adę wychowała w zupełnéj niewiadomości o ojcu i jego utworach, poślubiona została ta Ada viscountowi Ockham i zostawiła potomstwo, które się podobno swoim przodkiem po matce brzydzi (Elze, 324).

Miał Byron oprócz Ady jeszcze jedno dziecko, wprawdzie nieślubne z Jane Clermont, zrodzone w Anglii 20 stycznia 1817 roku, któremu matka jego nadała imię Allegra. To dziecko matka przesłała na wychowanie Byronowi do Wenecyi w środku 1818, w płochéj nadziei, że ów upominek wskrzesi w nim dawne w niéj upodobanie i odnowi stosunek. Nadzieje były płonne, Byron w Wenecyi spijał same męty rozpusty i prowadził życie najmniéj przykładne. Dziecko rosło rozkapryszone z wczesnemi objawami złych narowów. Z porady p. Guiccioli, która obawiała się panny Clermont, oddane było dziecko do katolickiéj szkoły w Bagna Cavallo, co wywołało ze strony p. Clermont wybuch gniewu, skargę na złamane słowo i reklamacyą o zwrot dziecka. Byron córki nie zwrócił, zostawił je w szkole, ale dziecko w 1822 r. umarło. Dla uzupełnienia zajmujących nas w téj chwili stosunków Byrona z kobietami pozostawałoby jeszcze pomówić o jego haremie w Wenecyi i o jego poprawieniu się moralném w okresie, w którym główną rolę grała hrabina Guiccioli. Odkładając na chwilę te materye, będące w ścisłym związku ze wszystkiemi warunkami jego życia w Wenecyi i Rawennie, wrą-

camy do autora, do jego autorstwa, do produkcyi umysłowéj, spotęgowanéj przez ostre cierpienia moralne, przez walkę z życiem i objawiającéj niesłychaną, nadludzką prawie téj hardéj duszy wytrzymałość i sprężystość.

XXIV.

Zacznijmy od strony materyalnéj w téj produkcyjności. W stronie téj zaszła wielka zmiana. Po niemałéj walce z sobą samym Byron zrobił to samo co W. Scott, z którego niegdyś szydził w młodocianéj swojéj satyrze, zaczął pisać dla pieniędzy, spieniężać swoje utwory dla samego siebie, nie dla potrzebujących innych znajomych albo literatów. Wydawcy byli już przyzwyczajeni do płacenia wysokich honoraryów, które dotąd Byron rozdawal; każdy wiersz dwóch ostatnich pieśni Ch. Harolda opłacał się od 25 do 28 shillingów. W ciągu lat pięciu od wyjazdu z Anglii 1816—1821 od swojego wydawcy Murray'a Byron otrzymywał przeciętnie po 2500 ff. rok rocznie, co przy ówczesnym kursie złota i taniości życia we Włoszech starczyło na wydatki, zwłaszcza że poeta zrobił się rachunkowy i nawet skąpy. „Pisałem dawniéj—te są jego słowa z 1818 roku—z przepełnienia myśli i miłości sławy (nie jako celu, ale jako środka by wpływać na umysły), dziś piszę z przyzwyczajenia i chciwości. Posiadam tęż samę łatwość i nawet potrzebę tworzenia, aby uniknąć próżnowania, lecz daleko jestem obojętniejszy na to, co ztąd wynika potém, skoro to już posłuży do dopięcia bezpośredniego mego zamiaru“ (M. 387).

W 1818 dobra Newstead sprzedane zostały, przez co wzmogły się będące do dyspozycyi środki. W 1822 umarła matka pani Byron, żona B. otrzymała cały spadek po Wenthworthach z 7000 f. st. dochodu i nazwę Noël, sam B. przybrał tę nazwę (George Gordon Noël Byron), korzystał z połowy dochodów z majątku, który spadł na żonę i ta obfitość środków ułatwiła mu późniejszą grecką wyprawę. Skutkiem właściwéj mu odwrotnéj obłudy, czyli spotwarzania się, B. ujadał się z wydawcami, targując się o warunki i grając rolę skończonego chciwca, wyzyskującego wydawców. (M. 549 z 1882 r. *I pronounce my firm belief that Cash is Virtue*) (1).

W téj rzekoméj chciwości było dużo udania. Poeta pisać musiał, bo gdyby nie pisał, nawał gwałtownych uczuć i myśli rozsadziłby mózg jego. Z tego wrzenia mózgu wylał się w poezyę prze-

(1) Wypowladam moję wiarę stałą, że fundusz to cnotą.

dewszystkiem dramatyczny poemat „Manfred“, poczęty w Szwajcaryi latem 1816, skończony w marcu 1817 r. Utwór to „dziwny, metafizyczny i niewytłomaczalny“ (M. 340); „nie wiem doprawdy—pisał B. do wydawcy—dobry czy zły“ (M. 342), „dramat szalony, tragedya z Bedlam“ (M. 345), „najlepszy z moich źle urodzonych, niech mówią co chcą“ (M. 361). „Jedni powiadają, że ja wziąłem Manfreda z „Fausta“ Marlowe, inni że z „Fausta“ Goethego. Niech djabli porwą wszystkich Faustów niemieckich i angielskich—ja z nich nic nie wziąłem.“ Posłuchajmy Goethego; on nieco inaczéj rzecz wykłada (XII, 559, wyd. Kurza). „Byron wziął mego Fausta i wydobył z niego hypokondrycznie najdziwniejsze pożywienie, zużytkował oryginalnie jego celom odpowiadające motywy, tak, że żaden z nich tym samym nie pozostał, dla tego téż niepodobna dość się nadziwić jego duchowi.“ Zachodzi pytanie, kto ma racyą, tém trudniejsze do rozwiązania, że sam B. przyznaje: „O istnieniu Fausta Marlowe nigdy nie słyszałem, ale latem (w Szwajcaryi) Lewis przekładał przy mnie ustnie kilka scen z Fausta Goethego“, z których dopiero dowiedział się B. o historyi tego czarnoksiężnika. Prawdziwy zarodek Manfreda znajduje się w dzienniczku pisanym dla siostry z wycieczki na Wengeralp, Schejdeck, Jungfrau i Schreckhorn. „Całą sceneryą Manfreda—pisał B.—mam przed oczami, jakby to było wczoraj i mógłbym wskazać krok za krokiem, potok za potokiem“ (M. 368).

Dla rozwiązania kwestyi oddzielmy najprzód naleciałości, wstawione rzeczy i nawet szatę utworu zewnętrzną. Już Goethe dostrzegł, że Manfreda trapią dwa widma niewieście: duch siostry jego, Astarty, i drugi — figurujący tylko jako *Głos*, wyrzekający *zaklęcie* (incantation) w końcu sceny pierwszéj. Ten kawałek pisany w Szwajcaryi przed Manfredem, *diabolically cruel*, jak go nazywa Jeaffreson (II, 184), adresowany jest do żony i wyobraża widmo jéj, napastujące go, jak jaki upiór i nie dające mu pokoju ni w dzień, ni w nocy. „Bywają cienie nie znikające, bywają myśli nie dające się odpędzić... chociaż nie zobaczysz mnie przechodzącą, uczujesz mnie własnemi oczyma, jak to coś, co acz niewidzialne, jest i musi być koło ciebie, a gdy doznasz raptem dreszczu i odwrócisz głowę w tył, zdziwisz się, że ja nie jestem, niby cień twój na podłodze, a moc tę, którą będziesz odczuwać, będziesz przymuszony skrywać....“ Usuńmy w myśli i pyszną apostrofę do słońca (akt III, sc. 1), przypominającą hymny aryjskie z Rig-Wedy i wspomnienia z nocy spędzonéj w Colizeum (akt III, sc. IV), nakoniec szczególniejszy urok utworowi nadającą sceneryę Alpejską, oddaną z prawdą dostępną tylko temu, kto wieszał się nad przepaścią i widział własnemi oczyma lawiny, kaskady,

czerwony pocałunek zachodzącego słońca na koronach gór śniegowych i zmrożoną burzę lodu—największe alpejskie lodowce.

Rozpędźmy nakoniec niepotrzebną zgraję duchów, wróżek alpejskich, Arymana, Nemezydę i wielorakich przeznaczeń (*destinies*), błahych, bezdusznych i czczych allegoryj. Pierwiastek fantastyczny nie nadawał się zgoła tak przedmiotowemu poecie, tak przepełnionemu tylko sobą samym, on bywa na posługach tylko u tych, którzy okiem badawczym, wyobraźnią i kochaniem wsiąkali w wielkie życie natury, roztapiając się chociażby na chwilę, jako atomy we wszechbycie, jak to czynili Szekspir i Goethe. Po uprzątnieniu wszystkich dodatków i przystawek, gdy dojdziemy do jądra, do samego skieletu nie znajdziemy dramatu, lecz tylko przeciągły monolog, bez wątku dramatycznego, bez działania. W akcie pierwszym bohater próżno szukając zapomnienia, chce rzucić się w przepaść, ale go gwałtem ratuje od samobójstwa strzelec alpejski; w drugim dotarłszy aż do ognistego tronu Arymana, dowiaduje się od duchów, że umrze nazajutrz, a w 3 akcie tenże bohater umiera, odpychając niesioną mu przez opata pomoc religijną słowami: „Starcze! nie jest tak trudno umierać,“ kropla w kroplę jak Lara. Bo też Manfred jest tą samą osobą, która w młodości nazywała się Czajld Haroldem, a w wieku męzkim Korsarzem i Larą, teraz bardzo mało odmieniony nosi miano Manfreda. Dawniéj był opisywany jako trzecia osoba, teraz operuje sam z nożem anatoma nad swoją duszą cierpiącą i hardą, męczoną „trwaniem nieustającéj myśli, któréj nie może się oprzéć“ (I, 1). Dusza to skrajna i w dobrém i złém, nieszczęśliwa i nieszczęście przynosząca w swoich cierpieniach (II, 2—*extreme in both, Fatal and fated in thy sufferings*). Dusza wystarczająca sobie i samotna: „cierpliwość! o to słowo jest zrobione dla pociągowych zwierząt, nie zaś dla drapieżnych ptaków“ (II, 1). „Nie chcę być w trzodzie, chociażby przywódcą stada wilków, lew jest sam zawsze i ja takimż jestem“ (III, 1). Manfred panuje nad sobą i czyni swą nędzę hołdownikiem swojéj woli (II, 4). „Jakim ja mogłem być i jakim jestem, niech pozostanie między niebem i mną — ja nie biorę śmiertelnika na medyatora“ (III, 1). Są to typowe rysy i Lary i Korsarza, do nich też należy zaliczyć Kainowe piętno zbrodni, dodane w celach artystycznych, czyniące rozpacz tę zrozumialszą dla tłumu i wynikające z tak właściwego Byronowi wmyślania się w uczucia zbrodniarza. Wracając 1810 ze Wschodu do Anglii, raz Byron rzekł na pokładzie okrętu do przyjaciół, bawiąc się małym jataganem: chciałbym wiedzieć, co człowiek czuje po popełnieniu morderstwa (M. 110). Mord i odstępstwo były już w Larze zużyte, Byron w Manfredzie skojarzył mord z kazirodstwem, bo kazirodcza miłość popła-

cała jako ulubiony motyw w literaturze początków XIX w. (u Merimée, u Chateaubriand'a w Atali i u innych; patrz Brandes: „Główne prądy lit. XIX w.“ t. IV — lit. emigrantów francuzkich 4), nakoniec bo *league of incest* zawarta niby przez Byrona i Shelley'a z dwoma siostrami stanowiła kursującą plotkę w Anglii, obijającą się o uszy Byrona we Włoszech.

Tu się kończą podobieństwa i zaczynają się różnice między Manfredem a jego poprzednikami. Autor zetknął się z panteistą Shelley'em i zaraził się panteizmem od obcowania z tą świetną, do sennego marzenia podobną, wyobraźnią, co się odbiło w 72 i 75 strofach III p. Ch. H.: „Ja sam w sobie nie żyję, ale téj natury, która mię otoczyła, jestem cząstką jedną.... Czyż te góry, obłoki, czyż te wodne tonie nie są częścią méj duszy, jak ja ich ogniwem....“ Ztąd potrzeba pogłębienia swojéj psychologii i oparcia na metafizycznych podstawach. „Literatura—pisał—nie sądzę aby była mojim powołaniem. Chcę stworzyć coś nakształt kosmogonii albo stworzenia świata, co da robotę filozofom wszystkich wieków“ (M. 341). Posłyszał o Fauście i przejął się efektownemi scenami, więc i z Manfreda zrobił uczonego czarnoksiężnika, maga, który panuje nad duchami i rozmawia na stopie równości z samym Arymanem. Na tém zapożyczeniu się i koniec; Byron nie posiadał głowy filozoficznéj, nie umiał i nie nauczył się nigdy dociekać co jest po za pozorem, symbolem, dogmatem, upostaciowaniem; filozofia jego nie wzbiła się nigdy do rozumowań, wybiegających po za ciasne ramki księgi Rodzaju Mojżeszowéj, nawet gdy wyciągał z wiedzy „najbardziéj zakazane konkluzye“ (II, 2), gotował materyał tylko do późniejszych szemrań i bluźnierstw Kainowych — nie więcéj, do złorzeczenia Stwórcy, bo samo życie—nieszczęście. Byron podaje sieczkę zamiast ziarna, gdy znakomity dwówiersz Mefistofelesa (1684 i 1685, część I, wydanie Loepera):

„Grau, theurer Freund, ist jede Theorie,
Und grün des Lebens goldner Baum“

parafrazuje w ten sposób: „Smutek jest wiedzą, kto najwięcéj umie, ten najwięcéj boleje nad fatalną prawdą, że drzewo wiedzy nie jest drzewem życia“ (I, 1). Idei Fausta Byron nie zgłębił; utrapienia człowieka od wiedzy, od braku pewności, od zwątpienia; od tego, że do czego się dotknie badawczy umysł, wszystko się kruszy, okazuje się tylko omamieniem, falującym pozorem, po za którym wymykającéj się prawdy ująć nie może i chwyta tylko próżnię, a kiedy myśl sama w siebie wchodzi i mikrokosm duszy analizuje, i tam grunt traci i czuje, że ten światek się rozdwaja, że się szczepi na twierdzenie

i przeczenie, poczém cyrograf do podpisania podaje mędrcowi upostaciowana, w nim siedząca, negacya—Mefistofel.

W Manfredzie funkcya wiedzy jest dodatkową i przypadkową Manfred był już skończonym mistrzem w wiedzy tajnéj, gdy popełnił zbrodnię, więc nie ta wiedza, ale pamięć zbrodni stanowi jego utrapienie, tém straszniejsze, że ciąży na nim „przekleństwo braku naturalnego lęku przed czemkolwiekbądź (I, 1), że przeszłego nic nie zmaże, a przyszłość go nie obchodzi, jeżeli przeszłość nie przepadnie (I, 2), że ta wiedza ograniczona tylko mikrokosmem duszy, a i w tym mikrokosmie jedność duszy nie rozdwaja się i jest pewność jedna tylko, że on cierpi, że gdyby te męki przyśniły się innemu człowiekowi, toby skonał w tym śnie (II, 1), że dusza świadoma siebie pragnie śmierci wściekle, pragnieniem nieugaszalném (II, 1) i wtedy tylko doznaje ulgi, dziwnego spokoju i jakoby przybycia nowego zmysłu, gdy dowiaduje się, że śmierć nastąpi za godzinę (III, 1). Dusza Manfreda, jak twardy kamień, nie rozdwaja się, nie ma do czynienia z żadnym Mefistofelesem, z żadnym cérografem. „Precz!—woła Manfred w godzinę śmierci do ducha, któremu z oczu świeci nieśmiertelność potępienia — wyzywam ciebie! precz do twojego piekła! Nie będziesz miał władzy nademną—czuję, nie będziesz nigdy mię posiadał, tegom świadom.“ Ta dusza przesądna, bo przypuszczająca piekło, zdobywa się w swojéj zaciekłości buntowniczéj na rzecz niesłychanie nową — dochodzi do pojęcia i ugruntowania moralności nie teologicznéj, od wiary niezależnéj, téj mianowicie, która stanowi kamień węgielny etyki spółczesnéj, „co uczyniłem, stało się. Ja w sobie noszę torturę, do któréj ty nic już nie dodasz. Duch nieśmiertelny sam rozpłaca się za swoje dobre albo złe pomysły. Wrodzone jemu czucie nie zapożycza farb od falujących rzeczy zewnętrznych, ale nurza się w cierpienie czy ukontentowanie zrodzone z wiadomości własnéj jego pustyni“ (III, 4). Ten sam sobie wystarczający bohater ma tylko to z Faustem wspólne, że śmiertelny, ale jest to półbożek, do Eschylesowego Prometeusza bardziéj zbliżony, z tych dawnych zamierzchłych wieków, kiedy bogowie stąpali po ziemi pomiędzy ludźmi, bo człowiek i naturę, i jéj siły, i boga zczłowieczał. „Prometeusza Eschylesa—pisał Byron (M. 368)—lubiłem pasyami będąc dzieckiem (czytaliśmy go trzy razy do roku w Harrow). Prometeusz nie był właśnie w moim planie, ale siedział zawsze mocno w mojéj głowie.“ Więc chociaż Manfred, jako całość, jest chybiony, ma on dużo w sobie pociągającego, głównie jako zwierciadło odbijające stan duszy Byrona w pewnym okresie: „byłem półwaryatem w ciągu całéj téj kompozycyi, błąkałem się pomiędzy metafizyką, górami, jeziorami, niewygasłą miłością, niewymownemi myślami i zmorą moich własnych przewinień.

XXV.

Gorzka czara tych własnych przewinień, już prawie pełna, przelała się w Wenecyi (1817 i 1818). Są to najsmutniejsze lata poety ale i najnieszczęśliwsze. Zraniony, upokorzony w swoich małżeńskich stosunkach, powaśniony z narodem swoim do tego stopnia, że pisał (1817, M. 345): „*I abhor the nation and the nation me*“, przybierający przez próżność i urazę charakter kosmopolity śród towarzystwa włoskiego, całkiem mu obcego i stojącego o wiele niżéj umysłowo w porównaniu z tém, do którego od dzieciństwa przywykł, rzucił się Byron w sam wir hulaszczéj zmysłowości, z którego słynęła zawsze, nawet pod austryackiém panowaniem, zdetronizowana królowa Adryatyku. Poeta nie przebierał, związał się z żoną handlarza Maryanną Segati, z którą zamieszkał w Wenecyi w willi nad Brentą w la Mira, potém z prostą chłopką z okolic Brenty, Małgorzatą Cogni, która wniosła się do niego prawie przebojem, rozśmieszała go swemi błazeństwami, łajała go *Can de la Madonna*, kiedy on ją nazywał *vacca*, ale z zazdrości rzucała się do noża, aż ją gwałtem musiano, opierającą się i usiłującą rzucić do kanału, na rękach wynieść z pałacu Mocenigo (M. 383). Nie były to najgorsze jeszcze egzemplarze z tego haremu, czyli raczéj zwierzyńca, z racyi którego najmowany przez Byrona pałac Mocenigo na Canal Grande miał niedobrą, nawet w tak rozwiązłém mieście, jak Wenecya reputacyą. Byron bawił się tego powszedniego gatunku zwierzętami, ale nieraz znudzony wymykał się, by resztki nocy spędzić na wodzie w gondoli.

Byron pozbył się wstrzemięźliwości w jadle, uciekał się do mocno spirytusowych napojów, zmienił się znacznie w powierzchowności, zgrubiał, zapuścił brodę, ociężał i cerę miał blado-żółtą, zdradzającą wątrobowe cierpienia. Przeciwko takiemu trybowi życia założył opozycyą żołądek, odwykły od przyjmowania pokarmów, w 1819 r. wywiązała się choroba, która go znowu wycieńczyła, ale i przypruszyła piękne włosy przedwczesną siwizną. Już się poprawiał, kiedy pisał 6 kwietnia 1819 r. do Murray'a (M. 392): „lepiéj mi już na zdrowiu i moralnie.“ To zużywanie się fizyczne nie oddziaływało prawie na twórczość poetycką; zaledwo wstrzymywało ją w paroksysmach choroby, bo w téj właśnie epoce wykończały się dwie ostatnie pieśni Childe Harolda, obmyślały się weneckie dramata, które napisane były późniéj w Rawennie i istniał już w głowie pomysł satyrycznego eposu, którego pierwszą próbą był Beppo, a koroną miał być Don Żuan.

Zacznijmy od Ch. Harolda, o którym pisał w tymże liście do Murray'a: „macie dużo boskich poematów, azaliż nic nie waży po-

emat *człowieczy* bez najmniejszéj cząsteczki waszéj zużytéj maszyneryi.“ Pielgrzym tu ostatecznie znika i nie jest ani malowaną figurką, ani cieniem jéj, lecz tylko nazwiskiem. Zastępuje go i wyręcza sam opowiadacz wrażeń uzbieranych w wędrówkach po bitych wielkich drogach, splądrowanych przez setki tysięcy turystów. Od klasycznego Waterloo po Renie przez Szwajcaryą do Włoch, od Wenecyi przez Florencyą do Rzymu. W rzeczy tak pozbawionéj wątku i ciągu, że jest jak łańcuch, składający się z przypadkowo czepiących się jedno za drugie ogniw, z opisów natury, ze wspomnień historyi, z sądów o rzeczach sztuki i z myśli politycznych, olbrzymiego trzeba było talentu, ażeby nie znużyć i aby jakikolwiek interes obudzić w czytelniku do przebieranych z kolei paciorków tego rożańca. Interes ten obudza i podtrzymuje tylko podmiotowość opowiadającego, temperament jego poetycki, chwytający za serca czar uczuć wzniosłych, poruszanych wrażeniami, i nadzwyczaj obfity w całym poemacie pierwiastek liryczny. W nastroju duszy poety przemaga smutek, ale bardziéj niż przed laty spokojny i bardziéj głęboki, doświadczeniem życia poparty i usprawiedliwiony, uciekający od ludzi, szukający samotności, żeby się skupić i zreflektować. „Mądrości kwiat prawdziwy leży w jéj własnych utworach, lub w objęciach Twoich, Macierzysta Naturo! (III, 46). Dla mnie czuciem natchnione są wysokie góry, ale miasta mię męczą wrzawą swą powszednią (III, 72), gdzie tyle ludzi snuje się, nie mogę rozważyć téj piękności, na którą spozieram (III, 68), dusza moja naturze myśli swe powierza nie w sztuk galeryach, ale w polach (IV, 61). Niedaremnie dawniejsi Persowie stawiali na szczytach gór najwyższych dla bogów ołtarze, przyjdź i porównaj gotyckie albo greckie kolumny i bóżnice z ziemią i powietrzem, z natury państwem jasném, i modlitw twych w obrębie nie zamykaj ciasnym“ (III, 91).

Wybitnym znakiem większéj dojrzałości jest pozbycie i wyrzeczenie się wyraźne mizantropii nieuzasadnionéj i dziwacznéj, z którą wystąpił na świat Byron, zanim doszedł do pełnoletności cywilnéj i poetyckiéj. „Nie pogardza ten ludźmi, kto od nich ucieka, ani to jest nienawiść, gdy umysł człowieka w źródło swe się zagłębia..... zanim nie wyleje się ztamtąd wrzątkiem“ (III, 69). Powiada Byron w strofie poprzedzającéj sławny, wspaniały hymn do Oceanu w 4-éj pieśni Ch. Harolda, w któréj tak się uwydatniło pobratymstwo jego ze słonym wolnym żywiołem (Odnowiłem — pisał w 1814 do Moore'a — znajomość moją ze starym druhem, Oceanem M. 25): „Ja mniéj ludzi nie kocham, lecz naturę więcéj, bo kiedy z nią obcuję, pamięć znika we mnie, czém mogę być, czém będę i lecę coprędzéj pomięszać się z wszechświatem i czuć.... czego wyrazić nie zdołam,

ale i ukryć nie mogę“ (IV, 178). Wielkie zamiłowanie w naturze bez człowieka stoi na równi z zachwytami Rousseau, przyczyna cierpień i smutku upatrywaną jest nie w zboczeniach cywilizacyi, ale w samym zdroju umysłowości, gdzie się formuje kipiący wrzątek, co się potem wylewa zatrutą nieraz strugą. „Żywot nasz to fałsz w naturze, dysharmonia w świecie, surowy wyrok z niestartém piętném grzechu, olbrzymi zabijający Upas drzewo śmierci, którego korzeń ziemia, liście w niebie, zkąd kapią wszystkie klęski, jako rosa: choroby, śmierć, niewola“ (IV, 126). Z téj indyjskiéj filozofii życia wytryska nie Nirwana, późniéj odgrzewana przez Schopenhauera albo Hartmanna, ale pochop do leczenia duszy jéj własnemi środkami, wolnością myśli ludzkiéj, wiarą w zwycięztwo prawdy i rozumu (IV, 127). „Nad losem jednak naszym rozważajmy godnie, ten własnego rozumu podle się wyrzeka, kto nie chce praw myślenia używać swobodnie. To jedyna ostatnia ucieczka człowieka. I ona dziś jest moją. Chociaż ten dar święty od kolebki przykuty, dręczony, ściśnięty, przechowany w ciemnościach — żeby naraz władzą jasnéj prawdy nasz umysł nie był ogarnięty, jednak czas i nauka ślepym wzrok oddadzą.“ Że tę wiarę krzewił poeta, ufa, że gdyby imię jego było nawet wykluczone z świątyni, gdzie zmarłych czczą narody (IV, 10), jednak zasłużył na nieśmiertelność: „Jednak żyłem i żyłem nie darmo na świecie.... pozostanie ze mnie coś, nakształt wspomnień tonu oniemiałéj litery, co spadnie, łagodnie uderzy w duszę i w skamieniałych sercach wyrzuty miłości obudzi“ (IV, 137).

Poeta jest świadom wielkiego wpływu sztuki na człowieka, wielkiego, do uszczęśliwienia prowadzącego znaczenia gienialnych utworów myśli. „Wszak utwory gieniusza nie z gliny się mnożą, nieśmiertelne z istoty promienie jaśniejsze do piersi naszéj leją....“ (IV, 5). Przeznaczeniem jest sztuki „....stwarzać i w stworzonych bycie byt własny nasz rozszerzać: kształtem odziewamy myśl naszéj wyobraźni, zyskując, że życie nam zostaje, co w twory nasze przelewamy“ (III, 6). Byron posiadał wrodzony zmysł sztuki, ale znawcą nie był żadnym, równał ze starożytnymi mistrzami Canowę (IV, 55), a nie ocenił ani jedną strofą Michała Anioła, gieniusz sobie pokrewny, bo wysoce podmiotowy, nie lubił gotyku, nie znał się całkiem na malarstwie, tak, że miał odrazę do Rubensa i lekceważył Murilla i Velasqueza. Jak zacofany był Byron w swoich literackich gustach, w swoim klasycyzmie, tego jeszcze dotkniemy nieco później. Tu zauważymy tylko, że nurtując, a raczéj świdrując kwestyą religijną, Byron budził tylko wątpienie, nie probując nawet skleić dogmatu po rozwiązaniu wątpliwości; jak w sztuce budził tylko zamiłowanie do piękności, ani zgłębiając, na czém jéj istota polega, ani podając wzorów i typów téj

piękności—do takiego stopnia utworom jego najbardziéj wpływowym i poruszającym brak było skupienia, jedności, plastyczności. Tak téż i w polityce, o którą wciąż i bezustanku zaczepiał, objawiało się prężenie do oderwanéj, nieokreślonéj wolności, namiętne rozkochanie się w pojęciu wewnątrz pustém, wszelkiéj treści pozbawioném, bez najmniejszego przeczuwania téj prawdy, że wolność ma się urzeczywistniać nie w powietrzu, lecz w stosunkach, że te stosunki zależą od warunków i że na warunki zarabia każde społeczeństwo krwawą i codzienną pracą, posiadając tego dobra zwykle o tyle, o ile jego samo warte, ni mniéj, ni więcéj.

Ten organiczny brak bajrońskiéj poezyi tém więcéj zasługuje na uwagę, że Ch. Harold był wyrazem pewnéj politycznéj dążności, programatem radykalnego liberalizmu w końcu pierwszéj ćwierci XIX wieku. W tym względzie Byron był synem XVIII wieku, nie oddzielającym państwa od społeczności i bezwarunkowo wierzącym, że wszelka wina i wszelkie zło społeczne pochodzi od złego rządzenia. Tym warcholstwem polityczném Byron (Pisał w 1813 r. *I have simplified my politics into un utter detestation of allexisting governements*) (1) zaważył mocno na szali dziejowych wypadków europejskich, dał poparcie greckiemu ruchowi i należy bezwarunkowo do wskrzesicieli narodowości Włoskiéj—téj Nioby zgasłych ludów, co otrzymała na zgubę swoję fatalny dar piękności (IV, 42); był swojego rodzaju Tyrteuszem europejskim, nawołującym do czynu w godzinę strasznego wyczerpania sił i znużenia, ale zarazem przyuczył ludzi do krzywych sądów, do podawania wszelkiego porywania się na władzę za bohaterstwo, do jałowych praktyk rewolucyjnych, do zdyskredytowania samegoż liberalizmu w polityce.

XXVI.

Ponieważ już analizowaliśmy Manfreda, stanowiącego przejście Byrona od liryki do dramatu, znajduję, że najwłaściwiéj będzie załatwić się w téj chwili z głównemi dramatami Byrona, pisanemi w Rawennie (Marino Faliero 1820, Sardanapal, Dwaj Foscari i Cain 1821). Była to nowa faza rozwijania się twórczości Byrona, tém ciekawsza, że mocował się z rodzajem sztuki, do którego z natury swojéj nie miał na pozór żadnego uzdolnienia. W zawodzie dramatycznego pisarstwa stawały najprzód na zawadzie autorowi, stąpającemu już śród pełnego rozkwitu romantyzmu, gust jego klasyczny, jego tak na pozór dziwaczne uwielbienie dla Pope'go, które możnaby uważać za prostą affektacyą, gdybyśmy nie posiadali szczerych zwierzeń się

(1) Uprościłem moją politykę do szczeréj nienawiści wszystkich istniejących rządów

jego o Pope'm całkiem prywatnych, po prostu śmiesznych i niedorzecznych z powodu braku krytyki i nietrafności sądu. Oto co pisał B. w 1817 r. z Wenecyi do Murray'a: „Czytałem poemata moje, Moore'a i innych, zestawiłem je z poematami Pope'go i zaprawdę zdumiałem się i zmartwiłem z powodu niewypowiedzianéj wyższości ostatnich co do sensu, harmonii, effektu, a nawet *wyobraźni, namiętności i wynalazczości*; jaka różnica pomiędzy małym człowieczkiem z czasów królowéj Anny i nami Bizantyjczykami (*of the Lower Empire*. M. 367). „Uważałem zawsze Popego, powiada w innéni miejscu, jako największego angielskiego poetę, reszta są barbarzyńcy. Jest to niby świątynia grecka między gotycką katedrą i meczetem. Nazywaj Szekspira i Miltona piramidami, ale ja wolę świątynię Tezeusza albo Parthenon, aniżeli góry z palonych cegieł.“

W każdym razie porównanie nie trafne; Pope co najwyżéj to drewniana altanka w stylu świątyni greckiéj, w jakie obfitowały strzyżone ogrody XVIII wieku. Koniec końców, i u Popego był gust, była pewna technika, nałożenie się do władania udatną, gładką formą obok wielkiego ubóstwa treści. Na téj technice B. się za młodu wyrobił, ją sobie przyswoił, ale tém się różnił od perukowanych mistrzów dawnéj daty, że oni podawali w swoich szklannych puharach zamiast wina zlekka zafarbowaną różaną wodę, a u niego nalewał się do klasycznego kryształu wrzątek kipiący z ukrytego zdroju duszy, krew serca w temperaturze swojéj naturalnéj. Mistrzowstwo B. w tém głównie objawiło się, że umiał wrzątek treści do chudych środków techniki klasycznéj dopasować, ściskał myśl, rozciągał formę, jak rękawiczkę; lubił symetryą, rezonował, perorował, rzeźbił ostrzem sztyletu, kanalizował uczucie i kazał mu ściekać jak najwęższém korytem. „Klasycznemu swojemu poetyckiemu wychowaniu zawdzięcza B., zauważane słusznie przez Treitschke'go (Lord Byron und der Radicalismus, w Hist. und Polit. Aufsätze 1865) „trzeźwą moc i prawdę szlachetnego wyrazu, działające najpotężniéj najprostszemi środkami.“ Filon w „Hist. de la lit. ang.“ (1883 p. 526) powiada: „*Byron saisit une attitude, une minute de terreur ou d'extase, en grave l'émotion dans son vers nerveux et souple. Cette émotion nous traverse aiguë, rapide: rien ne la suit.*“

Kiedy zużywszy przez powtarzanie jednego mrocznogwałtownego typu formy liryczne i epickie B., zmykając może przed zgrają naśladowców, rzucił się w kraje dramatu, stał mu, jak olbrzym, na drodze Szekspir, już niesiony na tarczy, jako praojciec nowożytnego dramatu, przez całą szkołę romantyczną. Szekspira B. znał dokładnie, cytował tysiąc razy w listach, ale nic z nim nie mógł zrobić, więc obszedł go prawie pod tym pretekstem *que les raisins sont*

verts; „wyznaję (M. 517), powiadał, że Szekspir najnadzwyczajniejszy z pisarzy, ale uważam go za najgorszego z modelów“, i obrał sobie za przewodnika, zmarłego w 1803 r. Wiktora Alfierego, gorącą duszę włoskiego patryoty, a więc rewolucyonisty-retoryka, który dowodzi tezy politycznéj, ustawiając manekiny na koturnach, w strojach greckich posągów, a zatém prawie nago, i przylepia do nich wielkie nazwiska historyczne. Z Alfierym łączyły B. i pasya do oderwanéj bezwarunkowéj wolności i rutyna klasyczna. Pod wpływem Alfierego złożyło się u B. *sui generis* przywiązanie do kuséj teoryi klasycznego dramatu, wypowiedzianéj w przedmowie do Sardanapala: „wszelki utwór odstępujący od trzech jedności może być poezyą, nie będzie dramatem; było to prawo panujące w literaturze na całym świecie i jest panującém dotąd w najucywilizowańszych jéj częściach. Ale *nous avons changé tout cela* i zbieramy dziś owoce zmiany. Co do mnie, przekładam regularniejszy układ, aczkolwiek słabéj budowy, aniżeli porzucenie wszelkich zgoła prawideł. Jeżelim chybił, wina jest budowniczego, a nie saméj sztuki.“

Nietylko uparty konserwatyzm formy przeszkadzał powodzeniu dramatycznych utworów, ale i sam rodzaj twórczości Byrona. Dramat wymaga działania wynikającego ze starcia się psychologicznie prawdziwych i przerabiających się w tych starciach charakterów. Niedość namiętnego uczucia, albo dramatycznéj sytuacyi, trzeba abyśmy się roznamiętnili do losów osoby walczącéj i albo uszlachetniającéj się, albo upadającéj przy tém przechodzeniu przez cały szereg coraz dramatyczniejszych sytuacyj. U B. działająca osoba zwykle jedna—on sam, namiętność się nie rodzi, ale już jest gotowa i nieodmienna, wypadki nie wywiązują się jedne z drugich z logiczną koniecznością. Cały Marino Faliero grzeszy przeciwko prawdziwie psychologicznéj. Znieważony przez swawolnego patrycyusza, doża pragnący samowładztwa i opoliczkowany przez innego patrycyusza plebejusz Bertuccio, więc dwa uosobienia dwóch różnych uraz prywatnych, sprzymierzają się w spisku, który ma stworzyć wolność Wenecyi. Z tych brudnych mętów urodzony spisek brzmi w swoim programacie nakształt poprawionéj edycyi tak zwanych zasad 1789 r.: „odnówmy czasy prawdy i sprawiedliwości, skroplając w jednéj pięknéj rzeczypospolitéj nie niedorzeczną równość, ale jednakie prawa, ustosunkowane niby kolumny świątyni, podpierające się i podpierane wzajem, tak że część żadna nie może być wyjętą bez ujmy dla ogólnéj symetryi“ (III, 2). Spiskowcy perorują, jak bohaterowie Plutarcha, albo członkowie konwencyi. Doża czuje, że wlazł w nie swoje, gdy mu każą zgodzić się na wycięcie całego patrycyatu co do nogi, czuje, że jest jak w piekle, że nie ma własnéj woli (III, 1).

Spisek wykryty. Kładąc głowę na pieńku przed katem, Marino Faliero, nie mający do tego prawa, porównywa się do Spartańskiego Agisa i woła pomsty na Gehennę wód, Sodomę morza i jéj wężowe plemię.

W Faliero jest działanie, ale nie ma ciągu w charakterach, w Dwóch Foscarich dramatyczny talent B. zrobił znaczny postęp; jest tam cieniowanie charakterów delikatne, jest cudnie wyrzeźbiona, podobna do Chrystusowéj, głowa starego Foscari, poruszająca swoją męczeńską rezygnacyą i dowodząca, że zadając gwałt swojemu talentowi, Byron umiał wykraczać po za naturalne tego talentu granice, ale zato akcyi nie ma żadnéj, a jedno cierpienie dwóch, branych na męki i stracenie, bez żadnéj winy ludzi. W obu dramatach tło ich stanowi nie Wenecya prawdziwa, historyczna, ale melodramatyczna z inkwizycyą, sbirami i radą dziesięciu. Przypuśćmy, że na B. mogły wpłynąć uprzedzenia XVIII w. przeciwko wszelkim rządom arystokratycznym, ale rzecz dziwna, że go nie uderzyło to logiczne nieprawdopodobieństwo, że dla takiéj szatańskiéj organizacyi aniby stary Foscari nie posunął poświęcenia aż do uczestniczenia po Brutusowsku w sądzie nad własnym synem, ani syn Foscar nie wróciłby z wygnania na pewne męki, dla tego tylko, by się znaleść na ukochanych kanałach królowéj Adryatyku.

W utworach Byrona Kain (*a mystery*) zajmuje wydatne i odrębne stanowisko. Sam B. takie mu przypisuje znaczenie. „Kain jest cudowny, straszny, nie dający się zapomniéć. Mniemam, że głęboko zapadnie w głąb serca świata, a gdy wielu zadrży niby na bluźnierstwo, wszyscy padną na twarz przed jego wielkością.“ Z nowszych historyków literatury R. Gottschalk (der N. Plutarch, IV, lord Byron 1876) i Brandes (N. prądy t. IV) stawią Kaina niezmiernie wysoko, porównywają wyłom, jaki ten utwór sprawił w teologii anglikańskiéj, do skutków dzieła D. Straussa „Das Leben Jesu“. Walter Scott, któremu dzieło było poświęcone, odzywał się o niém z uwielbieniem, a teologowie ze wściekłością. Wiadomo, że Kanclerz lord Eldon odmówił wydawcy, Murray'owi, akcyi o przedruk na téj zasadzie, że prawo angielskie, będąc chrześcijańskiém, nie może opiekować się dziełem przeciwko Pismu Świętemu wymierzoném. Wszystkie te tytuły do pierwszorzędnego znaczenia Kaina uważam jako niewystarczające,

Wrzenie wywołane w Anglii pojawieniem się Kaina w 1821 r. dawno już przeszło do historyi i obojętne dziś dla dziejów literatury europejskiéj. Dla angielskiéj, a nie dla europejskiéj, ważném jest to, że Kain był jakoby dalszym ciągiem narodowego eposu: Raj Utracony Miltona. To, co zaprząta światek klerykalny, może nie miéć

wielkiego znaczenia w szerszych kołach inteligencyi, na placu i na ulicy. Rozpowszechnieniu i popularności Kaina mocno przeszkadza stosunek do religii autora, którego Shelley pociągnął do metafizyki. Byron porywał się na kwestye filozoficzne, nie wychodząc na otwarte powietrze, ale bijąc się głową o ściany ciasne literalnie pojmowanego dogmatu teologii. Z tego punktu widzenia sama data Kaina, późniejsza od Fausta, razi, bo stosunek poety do opowiadania zawartego w pierwszych rozdziałach Księgi Rodzaju, nie jest stosunkiem dojrzałego myśliciela, który wie, że ma do czynienia z mitem, ale stosunkiem dziecka, które przyjmuje fakt na wiarę, ale zarzuca nauczyciela żenującemi pytaniami: jakiż Bozia niedobry, że wypędził z raju za jabłko! dla czego wypędził, czy że jabłko było złe, czy że było jedzenie zakazane?

Nam niepodobna obniżyć się do poziomu téj pierwotnéj naiwnéj wiary, z tego powodu wątpienia Kainowe są nam jakoby obce, w które wmyśléć się można chyba przez wysiłek myślenia; lecz dla poznania spekulacyi Byrona w najdalszéj mecie, do któréj ona doszła, Kain jest niesłychanie pouczającém źródłem, utworem budzącym podziwienie, bo stanowiącym i filozoficznie i artystycznie ogromny krok naprzód w porównaniu z Manfredem, od którego zaczęła się metafizyka Byrona. Pisałem,—powiada Byron, Kaina *in my gay methaphysical style* (M. 528) „w stylu weselszym,“ to jest spokojniejszym, bez wulkanicznych wybuchów, bez sztucznego rzucania czarnych cieniów na bohatera.“

Kain jest to normalny, zdolny, myślący, czysty człowiek,— dodajmy, jest to upostaciowana ludzkość. Kain nie może kornie bić czołem przed bóstwem z całym plemieniem Adamowém, bo nie ma o co prosić, ni za co dziękować, a na pytanie, czyliż nie żyjesz? odpowiada: czyliż umrzéć nie muszę! Dręczy go to, że i wiadomość—dobro i życie—dobro, a razem wzięte stanowią zło. Dla czego ma on, jako syn, za winę ojca odpowiadać? Czyż z tego, że Wszechmocny, wypada, że Bóg wszechdobry. Przed tak chorym na serce staje cherubin, ale smutniejszéj postaci; mroczny, ale pełen czarującego pociągu książę piekieł—Lucifer, to jest logika myślenia, wciągająca człowieka w swoje bezdenne głębie. Na zapytanie Kaina, kim jesteś? odpowiada: „Jam jest ten, który chciał być twoim stwórcą raczéj, A który byłby stworzył cię inaczéj.“ Lucyper wypiera się jakoby on był kusicielem: „wąż był wężem, był to proch jak ci, których wiódł na pokuszenie, nic więcéj; czyż sądzisz, że ja biorę kształt rzeczy śmiertelnych? którymi gardzę właśnie—czy by mógł wam zazdrościć ciasnych granic raju ten, co przez wszystkie nosi się przestworza?“ Lucyper nie wymaga nawet, aby Kain mu się pokło-

nił. Na odmowę Kaina: „ja nie pokłonię się ni tobie, ni jemu," tłomaczy: „skoro jego nie czcisz, już jesteś moim czcicielem." Nie chce zapłaty, nie wymaga nawet wiary w siebie, ale go porywa z sobą w przestrzenie eteru, pomiędzy słońca i za słońca, a potém w głębiny Hadesu, gdzie przesuwają się rzeczy przedstworzenne i widma paleontologicznych potworów, co niegdyś świat zaludniały. Nic nie wymagając i niczem nie kusząc, Lucyper wzmaga w Kainie uczucie nędzy jego własnéj przez samo uwidocznienie mu tych ogromów i przez przekonanie, że wiadomość to poznanie nicości natury śmiertelników.

Ogromny krok naprzód w zasadniczym pomyśle o duszy, w porównaniu ze wszystkimi poprzednimi bohaterami, nawet z Manfredem jest to, że cierpienie, że to wedle słów Lucypera przeludnione piekło, którego zarodek Kain w sobie nosi, wynika nie z egoizmu, nie z żalu za popełnioną zbrodnię, ale z altruistycznych całkiem pobudek, z miłości. „Duchu—woła Kain nie ch umrę tutaj, ażebym nie mnożył istot, co mają cierpiéć i umierać, bo to śmierć znaczy tylko rozpościerać, bo mi się zdaje, że to jest śmierć szerzyć." Na zapytanie Lucypera: „kochasz ty sam siebie?" Kain odpowiada: „Zaiste, ale więcéj kocham tę, która mi znośném czyni to życie uczuciem miłośném." Rozdrażniony i do głębi poruszony nadpowietrzną wycieczką Kain bez żadnéj złéj myśli względem Abla, i bez żadnéj zazdrości przystępuje do obrzędowéj ofiary. Oto treść modlitwy: „jestem jakim mnie stworzyłeś; nie proszę o nic, coby mogło być wyjednane przez klękanie. Jeżelim zły, ugodź mnie; jeżelim dobry—ugodź mnie albo oszczędź—jak chcesz, wszakże dobro lub zło nie zdają się być niczém przez się, lecz są w twéj woli"... Ogień z nieba, spadający na ołtarz Abla, zapala jego krwawą ofiarę, a wicher rozprasza płody ziemne Kaina. Wtedy przeciwko Stwórcy rozwścieklony Kain chce rozrzucić ołtarz Abla, Abel broni ołtarza i Boga słowami: „Ja kocham Boga więcéj, niż ciebie." Słysząc to zapamiętały Kain w popędzie gniewu, ale nierozmyślnie, uderza go w głowę głownią i zabija. Następstwa katastrofy rozwijają się smutno, naturalnie, z nadzwyczajną, nagą prawie prostotą bez żadnych ozdób, ani środków zewnętrznych do effektu prowadzących: przekleństwo rodziców, piętnowanie ręką anioła, wyjście z rodziną na tułactwo. Z całego utworu wywiązują się dwa mocne uczucia: jedno właściwe tragedyi—niewymowny żal nad losem bratobójcy, drugie filozoficzne, przejmujące uczucie nędzy wszelkiego żywota. Po załatwieniu się z Kainem, mamy już do czynienia z dwoma tylko przedmiotami, pomówimy najprzód o ostatniéj kochance lorda Byrona, z którą stosunek trwał najdłużéj, z Teresą z domu Gamba hrabiną Guiccioli i potrącimy tyl-

ko, dotkniemy się tylko do największego, najgienialniejszego z utworów Byrona, do Don-Żuana, nie wyczerpując go wcale.

XXVII.

Uboga 16 letnia szlachcianka z okolic Rawenny (urodz. w 1803) wydana, a raczéj sprzedana przez familią staremu 60-letniemu wdowcowi, hrabina Teresa Guiccioli poznała się z Byronem w Wenecyi w domu hrabiny Teotochi Albrizzi w kwietniu 1819 r.; zaprzyjaźnili się i weszli w serdeczniejszy jeszcze stosunek, zanim hrabiowstwo Guiccioli odjechali do Rawenny. Zdaniem Moore'a, a za nim wszystkich innych pisarzy do Jeaffresona, hrabina Teresa była przedmiotem jedynéj, prawdziwéj (jeżeli nie liczyć miss Chaworth) miłości poety, jego aniołem stróżem, naprowadzającym go na drogi lepsze po orgiach weneckich. Wedle prawdopodobniejszych podań Jeaffresona, było nieco inaczéj. Poznanie się nastąpiło po przesileniu, kiedy Byron zaczął być i fizycznie i moralnie zdrowszy. Pani Guiccioli nie była muzą, która mogłaby go natchnąć, nie umiała po angielsku, nie mogła ocenić jego poezyi, ale przywiązała się do sławnego i pięknego człowieka z takiém oddaniem się, że już nie zdobył się na zerwanie téj cienkiéj nici, która go trzymała mocno i przeszkodziła może powrotowi do Anglii, gdzie było właściwe jego miejsce, do żony, do wpływowego wystąpienia w swoim kraju, do Anglii, która o otoczonym szeroką sławą europejską zaczynała nabierać stopniowo innego wyobrażenia.

Pani Guiccioli nie była ani bardzo rozumną, ani światową, ani nawet piękną: mała, pełna, nęciła tylko świeżością lat młodych, okrągłością form i pięknym warkoczem koloru najbardziéj zbliżonego do złotego. Byronowi pochlebiało zapatrzenie się jéj w niego, jak w światło słoneczne. W drodze z Wenecyi do Rawenny i z saméj Rawenny szły od niéj czułe listy o ciężkiéj chorobie, mdłościach, konsumpcyi; tylko jedno przybycie Byrona mogło, jak się z listów okazywało, uratować umierającą kochankę. Byron wybrał się w drogę w maju wahając się i zatrzymując, dojechał wreszcie do cichéj i opuszczonéj Cezarów stolicy pod wystarczającym dla poety pretekstem chęci zwiedzenia grobu Danta. Tu sam hrabia go wynalazł w hotelu i zawiózł do swojéj, jakoby umierającéj żony, a że wizyta podziałała skutecznie i uzdrawiająco, więc z woli męża lord Byron widywał się już odtąd z żoną codziennie. Stosunki były szczególniesze i dosyć zabawne. Hrabina grała rolę choréj z niesłychaną zręcznością, mąż nudził przyjaciela, wożąc go na spacery koczem w 6 koni i był pełen grzeczności. W jesieni 1819 i B. i hrabiostwo bawią

w Bolonii. W czasie chwilowych odjazdów małżonków do ich licznych posiadłości, poeta spędzał godziny całe w buduarze żony i tu na ostatniéj stronicy Corinny pani Staël napisał list do Teresy po angielsku dziwny i zdradzający niepewność i wahanie się szczególniejsze i chęć powrotu do Anglii... Nie pojmiesz tych angielskich słów i inni nie pojmą, dla tego téż nie nabazgrałem ich po włosku. Poznasz jednak rękę tego, który *kochał* cię namiętnie i zgadniesz, że nad twoją książką mogłem myśléć tylko o miłości... Mój los złączony z twoim a jesteś 17-letnią kobietą. Pragnąłbym, abym był tu z całém mojem sercem, albo abym cię nigdy w twojém zamęściu nie spotkał. Ale już to zapóźno, kocham cię, kochasz mię, a przynajmniéj *powiadasz*, że kochasz i *działasz*, jakbyś kochała, co jest wielką pociechą w każdym razie. Ale ja więcéj niż kocham i nie mogę przestać kochać. Myślij o mnie czasami, *kiedy Alpy i Ocean* nas przedzielą, lecz nie przedzielą, jeżeli *nie chcesz. Byron*" (Jeaffreson II, 266).

Teresa wróciła do Bolonii, lecz mąż jéj odjechał do Rawenny z powodu interesów. Z téj okazyi skorzystał Byron, by zawieść Teresę do Wenecyi na konsultacyą z doktorami poczém ją wprowadził i ulokował w tych samych pokojach, umeblowaniu i łóżku, które tak jeszcze niedawno zdobiła Marianna Segati. Nawet tak wybaczający świat, jak włoski, znalazł dużo do zarzucenia temu nie żenującemu się postępowaniu. Tymczasem mąż, człowiek bardzo bogaty, daleko bogatszy od Byrona, pisał list do żony, by namówiła lorda Byrona do pożyczenia mu 1000 funtów sterlingów. Przyjaciele B. (Alex. Scott i Moore) nalegali, aby się okupił, ale B. był w paroksyzmie skąpstwa i odmówił. Wtedy mąż przekonał się, że żona za długo bawi po za domem rodzinnym, przyjechał do Wenecyi, zabrał żonę bez żadnego ze strony kochanka oporu, nawet wziął słowo, że nie będą korespondowali i odjechał z żoną do Rawenny, podczas gdy poeta na seryo wybierał się do Anglii. Z Rawenny tymczasem przyszły wieści, że pani Guiccioli uległa recydywie swojéj choroby jeszcze straszniejszéj i na ten raz jeszcze śmiertelniejszéj. Nietylko mąż, ale ojciec choréj i cała jéj familja zaklinali, aby poeta zmiłował się nad umierającą i wszedł do domu jako przyznany *cicisbeo*. Opisywaliśmy już scenę niedecydowania się przed odjazdem z Wenecyi, wreszcie górę wzięła Rawenna i B. świetnie został przyjęty i zainstalowany w pałacu Guiccioli za przyzwoitą za lokal zapłatę (koniec grudnia 1819 r.).

Z razu wszystkie domowe stosunki były jak najlepsze, ale B. zaprzyjaźnił się z Gambami, a przez nich z całém stronnictwem patryotów, rzucił się w spiskowanie, mające na celu wyzwolenie Italii

od Austryaków, został jednym z naczelników w stowarzyszeniu Karbonarów, czem fatalnie narażał hrabiego Guiccioli przed rządem papieża, do którego należała Rawenna z prowincyą Romagna (legacye). Dbając o własną skórę, Guiccioli zaczął dręczyć żonę za kochanka, kochanek radził uległość i cierpliwość. Teresa nie posłuchała i podała skargę do sądu o separacyą, któréj wyrzeczeniu mąż się opierał, aby uniknąć płacenia alimentów. Władza duchowna przychyliła się do żądania żony, która 12 lipca 1820 r. otrzymała i alimenta i separacyą, ale z pozostawieniem jéj tylko do wyboru albo mieszkać przy ojcu, albo pójść do klasztoru. Pani Guiccioli zamieszkała u ojca na wsi, gdzie B. ją odwiedzał parę razy na miesiąc. Jest w dzienniczku Byrona, pod 1820 rokiem, notatka malująca jaskrawo jego egoizm w stosunku do kobiety, która poświęciła mu dużo, bo bogactwo, położenie w świecie i reputacyą: „hrabina T. G. z domu G. *wbrew wszystkiemu co mówiłem i czyniłem dla zapobieżenia* rozłącza się z małżonkiem“ (Jeaffr. III, 34).

Byron miał teraz więcéj czasu do komponowania poematów, do jeżdżenia konno po drogach przecinających cudowną pinettę (las sosnowy raweński), uzbrojony i z pistoletami w olstrach, bo go uprzedzono, aby się strzegł jakiego, nasadzonego przez hr. Guiccioli, *bravo*; oprócz tego brał czynny udział w ruchu, gotującym zbrojny wybuch i mającym nastąpić wiosną 1821, a mieszkał wciąż w pałacu Guiccioli, gdzie miał cały arsenał. Projekt powstania nie udał się; zaczęły się areszty; rząd papiezki postąpił dość łagodnie i oględnie, skazując ojca i jednego z braci tylko na wygnanie z państwa papiezkiego. Współspiskowcy byli wygnani albo ujęci, B., na każdym kroku strzeżony, nie miał po co dłużéj zostawać w Rawennie i połączył się z Gambami i Teresą w Pizie, a potém zamieszkał z nimi na przedmieściu Livorno, wśród dość miłego towarzystwa z ziomków anglików, pomiędzy którymi był i Shelley. Tu w braku zajęcia wdawał się B. w interes, któren mu wiele sprawił przykrości. Chodziło o założenie za pieniądze Byrona (którego dochody po śmierci lady Noel dochodziły do 6000 f.) tygodnika w Londynie, zuchwale satyrycznego, któren by robił dużo hałasu. Potrzeba było znaleść wydawcę. Moore wymówił się. Za pośrednictwem Shelley'a wynaleziono Leigh Hunt'a, którego kiedyś przed laty odwiedzał B., uwięzionego za paszkwil na Regenta. Głodny literat, bardzo pośredniego gatunku, ale pełen pretensyi, pamiętający jak sypał złoto B. pełnemi garściami, wybrał się na wezwanie Byrona do Livorno, ale nie jeden, tylko z całą familią, tj. z żoną i sześciorgiem dzieci i siadł, że tak powiem, Byronowi na karku, rachując, że ma już zabezpieczone utrzymanie.

Dopóki żył Shelley, kleiło się przedsięwzięcie jako tako i pierwszy numer czasopism „Liberal“ ukazał się w druku. Ale w 1822 r. Shelley utonął śród burzy w morzu w pobliżu Spezzia, a wydobyte z wody jego ciało zostało 16 sierpnia uroczyście przez B. spalone na brzegu morskim, tak jak palili ciała starożytni. Odtąd B. nietylko że ostygł do wydawnictwa, ale stał się względnie Hunt'a opryskliwym, nieznośnym, starał się go pozbyć. Do tych nieprzyjemności przybyło zajście z rządem toskańskim. Słudzy Byrona zachowywali się niesfornie, sam B. miał kilka awantur z wojskowymi i policyą. Kazano wydalić B. i Gambów z Toskany. Przenieśli się do Genui, gdzie B. po raz pierwszy otwarcie z Teresą zamieszkał. Tu dojrzało przedsięwzięcie, które doczekało się wykonania 15 lipca 1823 r., kiedy Byron, spieniężywszy całą fortunę i rzucając ją i siebie razem na ołtarz sprawy greckiéj, wsiadł w porcie Genueńskim na statek „Herkules,“ który miał go zawieść do Grecyi, 19 kwietnia następnego 1824 roku już go nie było. Umarł w Missolunghi z gorączki i upustów krwi pod lancetami partaczy doktorów. Śmierć jego była wielkim i głośnym europejskim wypadkiem, a cała wyprawa należy do historyi politycznéj raczéj, niż do dziejów piśmiennictwa.

W obie te dzielnice wchodzi jednak koniecznie, nie dająca się pominąć, ważna psychologiczna kwestya, jakie były pobudki téj wyprawy greckiej, która sprowadziła dla Byrona taki wspaniały, bohaterski, wiekopomny koniec! Prawda każe wyznać, że te pobudki nie były odpowiednie sławie tego zgonu, tak były osobiste i egoistyczne. Jedną z głównych pobudek była chęć pozbycia się pani Guiccioli. Po śmierci Byrona pani Guiccioli wróciła do męża, przeżyła go i wyszła powtórnym ślubem (w 1851 r.) za margrabiego de Boissy, do końca nie przestawała opowiadać o swoim kochanku, strojąc się w promienie jego sławy; wszyscy jednak świadkowie ostatnich dni Byrona we Włoszech twierdzą, że poeta obchodził się z nią ostro i że pani Guiccioli nie miała nań najmniejszego wpływu w złe jego godziny. Listy do niéj z wysp Jońskich pisane tchną lodowatym chłodem (M. 601), uczucie całkowicie wyziębło, a użyty został pretekst gotowy—kobiecie nie wypadało narażać się na losy wojny w takiéj dziczy. Powtóre, po nieudaniu się spisku Karbonarów już i Włochy Byronowi obrzydły. B. zwierzał się na statku Trelawny'owi: „Grecy wrócili do barbarzyństwa. Nie wiem po co ja jadę, ale Włochy mi ciężą.“ I wspomnienia Weneckie i śmierć Allegry, i śmierć Shelley'a, i uciążliwe poranie się z Leigh Huntem, któren go potém w książce, po śmierci Byrona wydanéj, osmarował, wszystko to razem wstręt budziło do ziemi Italskiéj. Dodajmy do tego namiętną chęć sławy, potrzebującéj coraz to nowego pokarmu, i ciągłą, cho-

ciaż niełuszną, obawę, że sława ta (nawet literacka) przygasa, wielką ambicyą, chętkę zgrać rolę polityczną, może hetmanić siłom zbrojnym, może organizować dziki wprawdzie naród, a może nawet zostać królem greckim.

Wreszcie można domacać się przeczucia zbliżającego się końca i godnego artysty starania końcowi temu dać otoczenie najwspanialsze, zrobić go najbardziéj poetycznym. Pierwszego czerwca, żegnając się w Genui z lady Bleissngton, B. rozpłakał się prawie histerycznie, twierdząc, iż wie, że już z Grecyi nie wróci. Nawet w dwóch ostatnich strofach sławnego wiersza na 36-tą rocznicę swoich urodzin (22 stycznia 1824 Missolunghi) zdradza się człek przeżyty, który stracił wszystkie ideały i szuka tylko, gdzieby przystojnie zbyć się steranego życia: „Młodości zbiegłéj może żal ci, pocóż żyć? tu kraj chwalebnéj śmierci, leć więc na pole bitwy i oddaj twego ducha. Patrz-no, częściej szukany, aniżeli znajdowany, grób żołnierza dla ciebie najlepszy, obejrzyj się, wybierz grunt i legnij do spoczynku“. Jest jeszcze jeden pomnik literacki, z którego wyziera odbita w nim, jak w zwierciadle, twarz zużyta i skażona Byrona z ostatnich lat życia, pomnik dziwny, bo w nim widać, że autor, jako człowiek, zepsuł się i że użyję ulubionego wyrazu B., przerdzewiał (*blighted*) w duszy i charakterze, że stał się mniéj godnym szacunku, ale za to o tyleż zyskał jako skończony mistrz-artysta, przeszedł siebie i stworzył arcydzieło najwyższe ze wszystkich, jakie napisał, całkiem oryginalne i prawie niezrównane. Pomnik ten u każdego zapewne na myśli—jest to Don Żuan.

XXVIII.

W Don Żuanie Byron skończył na tém, czém zaczął—na satyrze. Sam w kolejach burzliwego życia swego nie bez winy swéj zwichnięty, zbrukany, Byron rzuca w twarz rękawiczkę całemu społeczeństwu i boksuje się towarzyskim obyczajem, z tém, co przyjęto święcie przestrzegać i szanować, zdziera maski i wykrywa, że po za temi maskami są tylko nędza, podłość, obłuda. Jest to olbrzymi akt oskarżenia wytoczony przeciwko naturze ludzkiéj we wszystkich krajach i klimatach. Goethe nazywał Don Żuana *das Unsittlichste was jemals die Dichtkunst vorgebracht*, ale Goethe bił jednak czołem przed arcydziełem i powiadał: „Don Żuan jest gienialnym bezgranicznie utworem, z nienawiścią do ludzi posuniętą aż do najostateczniejszego okrucieństwa, z miłością do ludzi, nurzającą się w głębie najsłodszéj sympatyi; pożywamy wdzięcznie, co nam autor waży się podawać z nadmierną swobodą, a nawet z zuchwałością. Don Żuan nie da się w kilku słowach odprawić. Na spodziewany zarzut, że nie

dałem poznać całego Byrona, skorom Don Żuana wyłączył, odpowiadam: brakło mi czasu, wypełniłem tylko część zamierzonego w myśli programatu, kiedyś może zaczęte dokończę w związku z losami bajronizmu na Wschodzie; kiedyś może pokażę, jakie z ręki tego siewcy pod wpływem ducha czasu wyrastały kłosy: u nas Malczeski, Mickiewicz, Słowacki, w Rosyi Puszkin i Lermontow. Byron nie okazał się zapewne po streszczeniu jego życia i dzieł ani takim szatanem, za jakiego go konserwatywna część inteligencyi w drugiéj połowie XIX w. okrzyczała, ani znów takim wolnym od wszelkiéj skazy i nagany bohaterem, za jakiego mieli go zakochani w nim romantycy, którzy za jego przykładem próbowali bajronizować nietylko w poezyi, ale i w życiu. Sam Byron przewidział co będzie z naśladowcami i w tém się nie omylił (M. 372 w r. 1818): „przyszłe pokolenie będzie spadało, łamiąc sobie karki, z naszego pegaza, ale my dotrzymujemy w siodle, bośmy ujezdzili łajdaka i jeździć umiemy. Chociaż łatwy do dosiadania, jest on djable trudny do prowadzenia; bliżsi następcy będą musieli zaczynać od ujeżdżalni, by się nałożyć do jechania na wielkim koniu.“ Dziś już tak dalecy jesteśmy od tych ludzi i czasów, że nikomu ani na myśl nie przyjdzie dosiadać wielkiego konia.

W. Spasowicz.

ZYZMA.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

III.

Cicho było i pusto na ulicach Wiednia. Zyzma nie mogąc wysiedzić w domu, wybiegł na miasto zaraz po wschodzie słońca. Cisza denerwowała go.

Wobec grożącéj burzy unicestwienia milionów, upadku tylu fortun, ruiny setek rodzin, ludzie z obojętnością i apatyą po spędzonéj spokojnie nocy wracali do swoich zajęć.

— Oni nic nie wiedzą — tłómaczył sobie Zyzma — tak jakbym i ja nie wiedział, gdyby nie mój spryt i naiwność Węgra, który za sto blatów sprzedał mi tajemnicę wartą milion.

Aby zabić czas i uspokoić rozdraźnione nerwy poszedł do Volksgartenu na kawę. Rzucił się gorączkowo do porannych dzienników—cisza. Cienia przeczucia dzisiejszéj katastrofy nie znalazł.

Co chwila zaglądał na zegarek. Była zaledwo ósma.

— O dziewiątéj odbiorę wczorajszą wygraną, a o wpół do dziesiątéj zaczynam grę. Jeszcze jedna cała długa godzina. — Co z nią zrobić?

Wyszedł z ogrodu wybierając najdalszą drogę w stronę giełdy.

Zaledwo na miejskim zegarze wybiło w pół do dziesiątéj—jeszcze dźwięk od uderzenia młotka nie przycichł, gdy młodzieniec blady ze wzruszenia, otwierał drzwi biura giełdowego agenta.

— Cóż panie Zyzma—przywitał go młody pomocnik.—Pryncypała jeszcze nie było.

— Gram.

— Życzę szczęścia.

Zyzma wyjął pulares układając na stole stówkami dwa tysiące guldenów.

— Na pokrycie — powiedział, oddając pieniądze.

— Wybornie, wszyscy spodziewają się dalszéj zwyżki. Bontoux panem sytuacyi.

— Ja gram na spadek. Podług telegramów stały wczoraj *Union generale* 3465. Zatelegrafuj pan „pośpieszną depeszą“ do Paryża aby na mój rachunek sprzedali 500 akcyi *Union generale*, a gdy spadną na 2800, niech zaczną odkupywać.

— Ależ to niepodobna.

— Dwa tysiące, które składam, usuwają niepodobieństwa.

— Szalejesz pan.

— Być może—odparł Zyzma z uśmiechem.—Proszę zapisać do księgi moję grę i dwa tysiące złotych.

— Panie Zyzma, musisz pan coś pozytywnego wiedziéć.

— Mogę się tylko domyślać.

— Dostarczasz pan kursów dla *Neue Freie Presse*.

— Dziennikarze nie są giełdzistami, jak pewno sam pan o tém wiesz — odparł zimno.

— Zdobyłeś pan tajemnicę, czy też jesteś podstawiony do wypróbowania stanowiska Bontoux i jego wspólników.

— Być może.

— Atak, na Laenderbank.

Zyzma się uroczyście uśmiechnął.

— Jeżeli tajemnica, kupuję.

— Nie jest do sprzedania.

— Dla czegóż? Jest-to interes jak każdy inny.

Młody człowiek się zamyślił.

— Prywatnie, panu jednemu.

— Tylko mnie?

— Bez wtajemniczenia agenta.

— Dla czego?

— Ponieważ pan jesteś biednym jak ja.

— O tak, biednym białym murzynem.

— Za dwa tysiące guldenów.

— Dwa! to cały mój majątek.

— I ja nie mam więcéj, wziął kapelusz aby wyjść.

— Panie kochany, za pięć minut przychodzi mój pryncypał.

— Śpiesz się pan.

— Tysiąc.

— Żegnam.

— Czekaj! Masz—są. Wydobył dwa tysiącguldenowe papierki.

Zyzma je wziął, obejrzał i złożył.

— Rodtschildy dziś pobijają Bontoux; zwycięstwo zapewnione. O drugiéj telegramy objawią to Wiedniowi i światu całemu. Do dwóch tysięcy, które dałem, dodaję jeszcze dwa, zapisz je pan do księgi na pokrycie. Razem cztery.

— Zapiszę ośm na pański rachunek, grajmy na spółkę. Tym sposobem nie będę potrzebował wtajemniczać mego szefa i tłómaczyć się przed nim.

— Wybornie—odparł Zyzma—telegrafuj pan, aby sprzedali tysiąc sztuk. Będziesz pilnował spólnéj sprawy jak własnéj.

— Bądź pan spokojny. Do widzenia, o czwartéj na obiedzie w Grand-hotel.

— Lepiéj w Imperial.

— Zgoda! do widzenia. Uchodź pan, gdyż za dwie minuty wejdzie pryncypał. Jest on punktualny jak genewski ankier.

— Ułóż pan świetne „menu.“

— To moja specyalność—zamrożony szampan. Do widzenia.... uciekaj.

Zyzma szedł przez ulicę nerwowo uśmiechnięty,. pulsa mu biły w uszach szumiało, dostawał zawrotu głowy. Wpadł do kawiarni, zawołał o czarną kawę z koniakiem. Napisał na bilecie do redakcyi, że dziś kursów nie przyniesie, wyprawił z listem posłańca, wsiadł do przejeżdżającéj dorożki, każąc się wieść na dworzec południowéj kolei.

Wziął bilet do Badenu, lecz nie mógł usiedzieć w wagonie. Wyglądał oknem, starając się przesuwającemi widokami uspokoić roztrojone nerwy.

Na zegarze stacyi w Badenie biła dwunasta.

— Walka się rozpoczyna—szepnął.— Strach, zamięszanie, rozpacz, szmer, głośne wybuchy, rozpaczliwa obrona, upadek — zwycięstwo Rodtschildów! Wygrałem pięćdziesiąt tysięcy, może sześćdziesiąt, może ośmdziesiąt — sto!....

— A jeżeli Rodtschildy padli — jestem nędzarzem. Gdybym miał więcéj odwagi pojechałbym na Semering i ze skały rzuciłbym się w przepaść. Lecz ja przeżyję swój upadek, będę faktorował przy kupnie koni, handlował starzyzną, dźwigał ciężary. Wstrząsnął się. Rodtschildy muszą zwyciężyć! W téj chwili już jestem panem!...

Całą skalę rozkoszy ludzkich przebiegł myślą i rozśmiał się głośno.

— Walczą, obdzierają się, mordują dla mnie. Ja jeden zwycięzca, zdala od walki zbieram owoce. Do téj chwili biedny żyd, którego całą wielkością była wolność przynoszenia darmo kursów do redakcyi *Neue Freie Presse* i możność traktowania z góry żydów

z Judengasse. Ja biedny żyd, od którego się odwracały dziewczyny z Grabenu! Cóż ja im dać mogłem?.. Drwiono ze mnie w redakcyi, bankierzy nie widzieli mnie, gdy im się kłaniałem; kelnerzy mrużyli oczy, gdym wchodził do restauracyi. Ja żyd, zaledwo tolerowany w pośród ludzi, dziś będę panem rozumnym, pięknym i dobrym. Ha! ha! Będę używał, maltretował, ciskał szyderstwa w oczy. Będę się mścił!—Na tym wykrzykniku zatrzymał się. — Oby tylko fatalizm nie zemścił się na mnie.... Wierzę w gwiazdę Rodtschildów. Pójdę ich śladem i zdobędę miliony—zatarł ręce.—Walka wre, a my chodźmy zjeść kawioru i wypić butelkę wina na cześć zwycięzców. Biada zwyciężonym!

Jadł z apetytem, pił z chciwością, uśmiechał się rozmawiając sam z sobą, zaczepiał kelnerów, żartował z chłopców, był wesół i na swój sposób dowcipny.

— Musiał żyd ten kogoś dobrze oszukać, jeżeli się tak śmieje, dowcipkuje i, jak na żyda, pieniądze wyrzuca — szeptali do siebie kelnerzy.

Nie słyszał Zyzma szeptów, był rozpromieniony, dumny i zuchwały. Przy rachunku rzucił kelnerom guldena i poszedł.

Wino wesoło szumiało mu w głowie. Przechadzał się pod cieniem kasztanów nucąc piosnkę z „Orfeusza w piekle.“

W bocznéj alei zobaczył młodą kobietę, skromnie lecz z pewnym szykiem ubraną, z dziecięciem na ręku. Szła nieśmiało, przystawała co parę kroków, rzucając wzrokiem boleści i prośby na przechodniów. Dziecię ciche, milczące, położyło główkę na ramieniu matki i rozszerzonemi źrenicami patrzało spokojnie.

Młoda kobieta, zobaczywszy Zyzmę, przyśpieszyła kroku, przystanęła; lecz gdy dostrzegła na jego twarzy rumieńce i drwiący uśmiech, cofnęła się spuszczając oczy. Zyzma odgadł jéj zamiary. Chciała wyciągnąć rękę po jałmużnę, lecz nie zdobyła się na odwagę.

Obejrzał się: stała w miejscu patrząc za nim. Patrzało i dziecko trzymając główkę na ramieniu matki. Litość się w nim zbudziła, uczucie które mało dawniéj znał. Żal mu było kobiety—do smutnego, chorego dziecka uczuł pociąg. Mimowolnie sięgnął ręką do kieszeni.

— Wszystkim biednym dawać jałmużnę nie wystarczą miliony. I cóż mnie obchodzi jedna nędzarka i jéj dziecko? Gdybym ja wyciągnął rękę, odtrąciłaby mnie.

Mimo to obejrzał się raz jeszcze. Młoda kobieta stała w miejscu, zagłębiając wzrok rozpaczy w przestrzeń.

— Musi być jakaś szlachetna natura, bo wstydzi się żebrać. Dziecko jéj pociąga mnie. Nie chcąc walczyć dłużéj, odwrócił się

i szybkim krokiem zbliżył się do milczącéj, zapatrzonéj w przestrzeń kobiety.

Odgłos kroków ocucił ją, twarz jéj oblała się rumieńcem, spuściła oczy, dziecko patrzało smutno.

Nie wiedział co powiedzieć.

— Pani, zdaje się, jesteś nieszczęśliwą.... dziecię słabe.

— Wyrzucono nas z mieszkania — szepnęła — syn mój głodny. Boję się o niego, nie skarży się, nie płacze. Milczeniem swém i smutkiem rozdziera mi serce. Chłopiec, jakby chciał ułagodzić ból matki, objął ją pieszczotliwie za szyję.

Głos kobiety rzewny, drżący i smutny, wzrok dziecka łagodny, chwyciły za serce młodego człowieka.

— Siadajmy — rzekł kierując się ku ławeczce. — Kiedyż panią wyrzucili?

— Dziś.

— I nie wiesz, gdzie noc z dzieckiem przepędza?

— Nie mam pojęcia.

— Nie starasz się. . . .

— Żebrać? Nie mogę.... i gdyby nie dziecko....

Łzy zaświeciły w jéj oczach.

— Odebrałabyś sobie życie?

— Umarłabym z głodu.

— Mąż pani?

— Nie żyje. Jesteśmy tu obcy; niemcy nie są czuli, tém więcéj dla cudzoziemców.

— Jesteś pani polką—dokończył po polsku.—Poznałem po wymowie i fakcie.

Twarz kobiety oblała się ponsem.

— Obawiasz się pani, abym nie rozpowiedział o twém nieszczęściu w kraju.

— Krewni, znajomi....

— Nie chcesz się do nich udać.

— Bogaci są. Nie pozwalali na mój związek. Zrobiłam ofiarę dla syna mego—napisałam. Nie odpowiedzieli mi. Pewno tryumfują teraz.

— Jakież masz pani projekta?

— Radabym zarabiać na kawałek chleba. Dość biegle gram, znam języki, śpiewałam.

— A jednak?

— Nie szukałam dotąd, dziecię było mi chore. Nareszcie zaledwo od trzech miesięcy jestem wdową.... Radabym się dostać do Wiednia.

— Tymczasem jeść się pani chce. Chodźmy na obiad.

— Dziękuję panu: dla dziecka mléka, dla mnie kawałek chleba wystarczy.

Młody człowiek ze wzrastającém zajęciem wpatrywał się w delikatnie rzeźbione rysy młodéj kobiety, zostając pod urokiem jéj szlachetnego układu, szczerych odpowiedzi i serdecznego tonu rozmowy.

— Mąż pani czém się zajmował?

— Grał na giełdzie.

— Przegrał, i.....

Łzy młodéj kobiety poświadczyły domyślność Zyzmy.

— Mój kolega.

— Czyż są koledzy na giełdzie?

— Dowiodę pani, że są. Zaczekaj chwilkę. Wyszukam tymczasem mieszkanka, zanim się pani przeniesiesz do Wiednia.

Pobiegł żywo naprzód. Przypomniały mu się faktorskie jego czasy i usłużność.... Jakże się zmieniły stosunki.

— Niezawodnie polska hrabianka — pomyślał — wykradziona przez jakiegoś urwisa, który pieniądze jéj przegrał i w łeb sobie strzelił.

Pochlebiała mu znajomość i opieka nad polską hrabianką. Dawniéj widywał je zaledwo przejeżdżające w powozach. Patrzały na niego, nie widząc go. Uczuł dla młodéj kobiety litość i sympatyą.

— Ładna jest i dumna. Woli głodną śmierć, jak wyciągać rękę po jałmużnę. Może mi się jeszcze przyda na co w życiu....

Nie trudno mu było znaleść schludny, czysty pokoik i wynająć go na tydzień, tém więcéj, że się umiał targować. Kazał przynieść do najętego pokoju mléka, bulionu, bułek i kawałek pieczonego mięsa. Sam pobiegł do ogrodu.

Młoda kobieta na widok zbliżającego się tak szczęśliwym trafem znalezionego opiekuna, zarumieniła się.

— Mieszkanie czeka. Jesteś pani zmęczoną, pozwól mi skarb twój dźwigać.

Zbliżył się—dziecko wyciągnęło do niego ręce.

— Syn mój przeczuwa w panu szlachetnego człowieka.

— Dziękuję pani — odparł Zyzma z uśmiechem.

— Dzieci mają szczęśliwe instynkta — dodała.

— Przepraszam, że nie mogę podać ręki pani, lecz boję się, aby malec nie wysunął się. Nie umiem nosić dzieci — dodał wesoło.

Na progu domu przyjęła ich okazała, tłusta, czerwona, dobrodusznie uśmiechnięta niemka. Odebrała dziecko z rąk Zyzmy i niosła go po schodach.

Pokoik był czysty, schludny, okna wychodziły na ogród otoczony drzewami.

— Gnädige Frau—zaczął mówić po niemiecku Zyzma, aby dać uczuć gospodyni, jak ma szanować nową lokatorkę.

— Gnädige Frau! — zawołała uradowana gospodyni, że może używać ulubionego przez siebie tytułu.— Gnädige Frau! Ihre Gnade powtórzyła— jeżeli tylko potrzebować będziesz, zadzwoń, a ja albo moja Lischen przebiegniemy. Lischen po obiedzie zaniesie dziecię do ogrodu.

I w ferworze swéj „gemütlichkeit", chciała pogłaskać młodą kobietę po twarzy, lecz się wstrzymała, uśmiechnęła i wyszła.

Na nakrytym białym obrusem stole, zastawiony był obiad i mléko dla dziecka.

Zrobiło się cicho. Młoda kobieta wodziła oczami po pokoju, zastawionym obiedzie, przez otwarte okno spojrzała na ogród i popychana siłą wdzięczności pochwyciła rękę Zyzmy, usiłując do ust przycisnąć.

Wyrwał ją zarumieniony.

— Pani, być może, że mąż wtedy przegrywał, gdy ja wygrywałem. Część jego pieniędzy mnie się dostała i cóż dziwnego, że malutki od nich procent zwracam. Nareszcie, kiedyś oddasz mi pani, gdy szczęśliwsze czasy nastaną. Któż to wie, może ja wtedy będę nędzarzem. Giełda, to hazard jak każdy inny. Masz pani niezawodnie rzeczy w starém mieszkaniu?

Kobieta poświadczyła skinieniem głowy.

— Jutro je przywiozę, gdyż w téj chwili muszę wracać do Wiednia. Do widzenia, proszę być dobréj myśli, miéć trochę wiary w ludzi i w siebie. Jutro przed południem radbym panią zastać.

Ucałował malca, uścisnął rękę wdowie i wybiegł. Na dole poleciwszy gospodyni raz jeszcze czujność i troskliwość nad gnädige Frau, pobiegł na stacyą, wskoczył do wagonu przejeżdżającego pociągu pośpiesznego i pełen trwogi o swe losy, siadł zamyślony.

Rychło jednak złe przeczucia odleciały od niego. Młodziutka hrabina, która go w rękę chciała pocałować i śliczne, smutne dziecko pochłonęło całą jego uwagę.

— Zkąd mi się wzięło zajmować obcą jakąś kobietą i jéj dzieckiem? A zkąd mi się wzięła ta łatwość w rozmowie, uprzejmość i delikatność, jak gdybym się chował całe życie z hrabiami? Powinna być ze mnie kontenta. Uratowałem dziecku i jéj saméj życie. A jeżeli przegrałem?... Niepodobna, abym mógł wszystko przegrać!

W téj chwili uczuł potrzebę zajęcia się kimś, przywiązania się do kogoś; dotąd myślał tylko o upolowaniu kilku guldenów, aby miał

żyć za co. Dziś ta troska o zaspokojenie głodu upadła i w téj chwili zaczęły się wytwarzać w jego umyśle szlachetniejsze potrzeby. Był pewien, że staje się bohaterem jednego z romansów, których tyle przeczytał w życiu. One to stanowiły podstawę jego wykształcenia, a nawet wychowały go. Nauczyły téj elegancyi, uprzejmości i dobrego wyrażania się, których dowody miał sposobność dziś złożyć.

— Kto wie, na co mi się to przyda.

Przywykły był dotąd wszystkie czynności swe obliczać na procenta i korzyści. Nie dziw, że się nie mógł odrazu wydobyć z pod wpływu rachunku.

Przeciągły świst lokomotywy dawał znać, że pociąg dobiega do stolicy. W wagonach zrobił się ruch: damy poprawiały tualety, mężczyźni zabierali swe manatki. Jeden Zyzma, ocucony z marzeń, siedział jak przykuty, nie miał siły powstać, wysiąść i przekonać się o swém zwycięstwie lub upadku.

Pociąg stanął, konduktor zawołał „Wiedeń“, służba otwierala z trzaskiem wagony—on siedział skamieniały.

Nareszcie zdobył się na odwagę, wyszedł, zawołał dorożkę, każąc się wieść do hotelu Imperial.

Wiedeński woźnica odgaduje swoich gości. Popędzał konie i pędził, jak gdyby losy młodzieńca, którego wiózł, dużo zależały od tego, czy go o pięć minut wcześniéj zawiezie. I nie żałował pośpiechu.

Blady, z bijącém sercem, wszedł Zyzma na salę. Służba powitała go z oznakami szacunku i pośpiechem w usłużności, jaką tylko zdradza względem swych dobrych i wysoko cenionych znajomych.

— Pański towarzysz czeka na pana w osobnym gabinecie — odezwał się uśmiechnięty starszy kelner. — Obiad już gotów.

— Szampan zamrożony? — rzucił pytanie, chcąc się utwierdzić w dobrych wiadomościach.

— Cztery butelki.

Odetchnął, i z miną tryumfatora, poprzedzony przez kelnera, poszedł w stronę wskazanego gabinetu.

Otworzyły się drzwi.

Na kozetce, w połowie leżąc, siedziała młoda, przystojna kobieta. Biały murzyn giełdowy zerwał się i rozpromieniony szczęściem, malującém się na jego twarzy, przybiegł do wspólnika.

— Drogi, kochany! — zwycięstwo olbrzymie, zupełne, zdecydowane!

Zyzma wprowadził go w framugę okna.

— Wiele?

— Nie wiem na pewno. Jeszcze nie cały tysiąc akcyj odkupione. Ostatnia depesza nadeszła o godzinie drugiéj. Sprzedaliśmy po 3,400, 3,300 i 3,150. Dotychczas odkupiono pięćset po 2,800 i 2,700. Ciągle spadają. Już teraz każdy z nas ma w przybliżeniu po sześćdziesiąt tysięcy zysku.

— Wybornie. Kto jest pańska towarzyszka?

— Nie znasz jéj pan? To Nina. Niedawno śpiewała w Orfeum: od dziś moja przyjaciółka. Wesoła dziewczyna. Niech i ona obchodzi z nami nasz tryumf.

— Zgoda. Bontoux już się nie dźwignie. Rodtschildy zwyciężyli.

— Jutro więcéj jeszcze zarobimy, gdyż w podobnych wypadkach popłoch jest wielki i spadek bywa szalony.

— Dobrze. Cóż nasza giełda?

— Była to na nią owa z bajki wielka gałąź spadająca na niedźwiedzia. Za to mój pryncypał szalał z gniewu na mnie, żem nie zwrócił jego uwagi na grę pańską. Utrzymuje, że jesteś pan podstawiony, że ktoś z *Neue Fr. Presse* wiedział o tém. Rozpacza.

Przyniesiono wazę.

Nina powstała, kładąc na zadarty nosek *pince-nez*.

— Moi panowie! damę zostawiacie samę. Nie jest-to ani ładnie, ani grzecznie. Rozlewam. Bądź pan łaskaw przedstawić mi swego przyjaciela.

— Dzisiejszy razem z Rodtschildami zwycięzca!

Nina podała mu rękę z gracyą śpiewaczki z Orfeum.

— Siadajmy, umieram z głodu — i dygnąwszy jak na scenie, wsunęła swą rękę pod ramię Zyzmy.

Zwycięzca był zamyślony. Serce mu drżało z radości, myśli przesuwały się z szybkością błyskawic. Z nicości został bogatym, z faktora panem odrazu, w jednéj chwili, bez pracy, trudów, walki. Spoważniał, sam nie wiedząc dla czego. Za to towarzysz jego wysilał się na koncepta i wybuchy wesołości. Starał się być komicznym i patetycznym a przedewszystkiém eleganckim. Nina dzielnie mu pomagała, chcąc dać poznać młodemu człowiekowi, że Orfeum jest szkołą pięknych form i wyszukanego dowcipu.

Być może, że Zyzma byłby oczarowany wdziękiem Niny i elegancyą wspólnika, gdyby nie znajomość zrobiona przed paru godzinami w Badenie.

Pojętny i wrażliwy, miał wrodzony smak, o którym dotąd nie wiedział. Nina go drażniła swemi konceptami i akcentem, z jakim je wymawiała.... W téj chwili uczuł się zanadto wielkim panem, aby go tego rodzaju towarzystwo zachwycało.

Wniesiono szampana. Przy drugiéj już butelce zaczął się uśmiechać, przy trzeciéj nucić arye z „Pięknej Heleny“ i „Wesołych burszów.“ Nina chcąc olśnić swych towarzyszy, stanąwszy na środku pokoju, zaczęła śpiewać ustępy z „Życia paryskiego.“ Odchylając lekko spódniczkę, pokazywała zgrabny trzewiczek i białą pończoszkę. Tę samę rolę odgrywała w Orfeum. Zyzma zapomniał o swém bogactwie, roli wielkiego pana i bił brawo rozweselony. Jego towarzysz wpadł w entuzyazm wiedeńczyka, rozkoszującego się pustotą paryską.

Bawiono się do zmroku. Nina przerwała posiedzenie. Zyzma się zerwał: stanęła mu w myśli Sali, umierająca ze strachu, i jéj biedny ojciec.

— Nie masz pan gotówki,—szepnął do wspólnika.

— Byłem pewny, że pan jéj zażądasz. Przygotowałem dziesięć tysięcy guldenowych papierków. Oto są—podał zaklejoną kopertę.

Pożegnali się. Nina znacząco uścisnęła rękę młodego Krezusa. przeszywając go spojrzeniem swych niebieskich oczu.

Zaturkotało na wązkiéj uliczce. Żydzi zaczęli się zbiegać, patrząc ze zdziwieniem na wyskakującego z powozu Zyzmę i dumnie rozpartego na koźle dorożkarza wiedeńskiego.

Po uginających się schodach, zapalając zapałkę po zapałce, stąpał młody człowiek, usiłując jak najszybcéj przebiedz przestrzeń sześciu pięter. Wpadł do sionki, pocichu otworzył drzwi i na palcach wszedł do izby.

Na kufrze siedziała nieruchoma, ponuro zamyślona Sali; na łóżku jęczał żałośnie żyd.

— Światła—zawołał wesoło.

Żyd podniósł głowę, dziewczyna zerwała się na równe nogi.

— Cóż?—zapytali nerwowo drżącym ze wzruszenia głosem.

— Będziecie błogosławić ten dzień, jak ja go błogosławię. Światła!

Sali drżącemi rękami zapaliła lampkę. Stary siedząc na łóżku, ciężko, krótko oddychał.

— Zyzma, coś ty mi życia zabrał przez ten jeden dzień—skarżył się.

— Należało ufać, mój stary, wierzyć i spać spokojnie. Ja ludzi nie okradam, a przyjaciołom podaję rękę. Rozdarł kopertę—wyjął z niéj trzy sztuki po tysiąc guldenów i podał je staremu.

— Na początek, zdaje się dosyć. Jutro, pojutrze, może być, że jeszcze co dołożę.

Stary miął drżącemi rękami pieniądze; dziewczynka, cała różowa, pochłaniała wzrokiem papiery. Choremu głowa spadła na poduszki...

— Wody!

Dziewczynka pobiegła po dzbanek. Zyzma podał jéj szklankę: nalala. Unieśli głowę starca, dźwigając poduszki.

— Pij,—nalegał Zyzma, przytykając mu do ust szklankę.

— Tato, napij się choć parę kropel—prosiła Sali.

Stary otworzył oczy, przełknął wlewaną wodę i nareszcie odetchnął. Sali się rozśmiała.

— Zyzma, ty mnie już nie uratujesz nawet dziesięcioma tysiącami; ale ci dziękuję, żeś uratował moje dziecko. Dla nas pieniądz jest wszystkiém. Ty wiesz o tém dobrze, że nas tylko pieniądz może w górze utrzymać i my go pożądamy. Sali będzie ładna, bo matka jéj ładną była; a gdy byłaby biedną, coby ją czekało w tém mieście. Znasz Wiedeń! Zyzma weź te pieniądze, ale mi przysięgnij, że i Sali weźmiesz ze sobą i wywieziesz ją ztąd. Weź te pieniądze, niech one będą posagiem mojéj córki. Ona je sobie zarobiła; Zyzma przysięgnij ojcu przy niéj, że jéj nie opuścisz. Niech usłyszę, nim zamknę oczy... Przysięgnij—nalegał ująwszy w kościste, rozpalone ręce dłoń Zyzmy.

— Przysięgam,—rzekł uroczyście młody człowiek, wzruszony tą sceną.

— Ojcze,—zawołała ze łzami w oczach dziewczyna,—pojedziemy razem. Jutro, dziś, jeżeli zechesz.

— Cicho,—przerwał jéj łagodnie. Idź, przynieś wina flaszkę za pięćdziesiąt centów.

— Przynieś za dwa guldeny z Hoher-markt,—zawołał Zyzma. Wyjął z kieszeni dwa papierki i podał dziewczynie.

Sali wybiegła. Chory zwrócił się do Zyzmy.

— Wychowaj ją w naszéj wierze, bo chcę ją mieć przy sobie... tam—spojrzał w górę. Ty jesteś obojętny, ale nie jesteś łajdak i wiary nie zmienisz.

— Nie—odpowiedział poważnie.

— Dziewczyna niech wierzy i zachowuje nasze przepisy. Te ją okiełznają i przywiążą do wiary i swego narodu. Jest to natura harda, ogień, rozpalone żelazo. Ja ją znam. Czuwaj nad nią. Tyś za wielki pan dla niéj: ona dla ciebie za głupia. Wydaj ją za starowierca, jakim ja byłem. Niech handlują piérzem, lub skórami. Ona

ma do tego rozum, majątek zrobi. Wydaj ją za biednego, bo ona musi przewodzić, jeżeli ma być szczęśliwą.

Zmęczony głowę pochylił na poduszki i oczy zamknął. Pargaminowa cera przy siwéj brodzie, nos duży, zapadłe oczy i wielkie czoło nadawało twarzy jego wyraz surowéj powagi. Uśmiechnął się i wyciągnął rękę, szukając dłoni Zyzmy.

— Przebacz mi: posądzałem cię, żeś oszukał biedną dziewczynę i okradł nas. Zyzma, ja cię szanuję. Ty mi pozwalasz umrzéć spokojnym o moje dziecko. Wiem, że nie jest nędzarką, że ma swój grosz. Oczy otworzył i odetchnął głęboko.

Wbiegła Sali, z butelką wina. Chory pił chciwie, nerwowo. Na twarz jego wystąpiły czerwone, wypieczone plamy.

— Wiesz Zyzma, czuję że szczęście serce mi rozsadza, boję się, żeby nie pękło, i dla tego zalewam go winem. Ja biedny żyd całe życie musiałem pracować, żeby zebrać sześćset guldenów, a ty w dwadzieścia cztery godzin dajesz mojéj Sali trzy tysiące posagu! Zyzma, czy ty czujesz radość ojca! Weź te pieniądze; może przez tydzień dojdziesz do dziesięciu. Podał mu drżącemi rękami papiery.

Zyzma oddał je Sali.

— Schowaj, mam dosyć na grę. Gdy dorobię, dołożę.

— Zyzma,—zawołał stary rozgrzany winem,—dziękuję ci. Jabym się znowu zaczął bać. Mieć skarb i oddawać go to boli.—Łzy mu zaświeciły w oczach.—Sali, daj pulares: włożę pieniądze sam.— I stary wkładał papier po papierku w przegródki.

Dziewczyna z wypieczonemi rumieńcami na twarzy patrzała na chowane przez ojca pieniądze. Powoli zaczęła się oswajać z swém bogactwem. Oczy jej świeciły, rozproszonych biciem serca myśli nie mogła skupić.

— Napij się wina,—odezwał się do dziewczyny Zyzma.—Dziwnie jakoś patrzysz.

— Przecie i ona nie głupia i wie, co to z nędzarki zostać panią. Zyzma, tyś nam głowy pozawracał od szczęścia. I rozmarzony żyd winem rozpłakał się.

Sali podaną szklankę odsunęła.

— Dziękuję, ja nie potrzebuję swego szczęścia zalewać. Gdyby zamiast trzech tysięcy było dziesięć, to co innego. Przynieś jutro jeszcze siedm, to będę pić, żeby aż zmysły stracić. Nie wielka to pani za trzy tysiące guldenów,—dodała cicho.

Stary spojrzał znacząco na Zyzmę, pochylił się i szepnął mu z dumą.

— To moja córka. Co za rozum.

Młody człowiek uśmiechnął się. Dziewczyna chciała odebrać z rąk ojca pulares, lecz skwapliwie schował go pod poduszkę.

— Już na mnie czas,—rzekł Zyzma.—Sali, przyjdź jutro: wykupisz mi rzeczy.

— Ale i ty przyjdziesz wieczór, bo może co przyrobisz i przyniesiesz—dodał cicho żyd.

— Przyjdę.

— Czy ci nie miło szczęściem szafować. Czy twoje serce nie raduje się,—wołał za nim stary.

— Raduje,—odparł wychodząc młodzieniec.

Sali wybiegła zanim.

— Zyzma, dziękuję ci. Ja wierzyłam, żeś ty dobry i uczciwy człowiek. Dziękuję ci. Czém jabym była bez ciebie. Pochwyciła go za rękę i pocałowała.

Młody człowiek był wzruszony, doznawał pewnych rozkosznych wrażeń, z których sam nie umiał sobie zdać sprawy. Chęć maltretowania i deptania ludzi, jak kiedyś sam był maltretowanym, zamierała w jego sercu. Nie myślał o téj przyjemności.

Uczucia jego, biegiem wypadków i wrodzonych skłonności, wprost przeciwnym potoczyły się kierunku.

— W każdym razie dziewczyna ta więcéj zrobiła, oddając mi cały swój majątek, aniżeli ja zwracając jéj z zarobionych trzy tysiące. Stary mi ją oddał,—przysiągłem...

W długiéj wązkiéj sieni, zmienionéj na szynk, oświeconéj zakopconemi lampkami, wrzało. Zyzma otworzył drzwi, rozsunął tłum i ręką przyzwał stojącego za szynkwasem gospodarza.

— Czy możesz zmienić tysiąc guldenów.

— Mogę,—odparł z pewną dumą o swéj wartości.

Zyzma wyjął kopertę i z paczki tysiąc-reńskówek wydostał jedną sztukę.

Nie tylko gospodarz, lecz i kilku jego gości widziało kopertę...

— Rozstąpcie się dla pana, dla wielkiego pana, wołał żargonem żyd, wracając z podniesionym papierem w ręku do szynkwasu.

Ci, którzy widzieli paczkę, szeptem roznieśli o tém zjawisku wieść...

Przycichło w wązkiéj okopconéj norze, wszystkich oczy zwróciły się na młodego człowieka z wyrazem uwielbienia i zachwytu.

Szynkarz rachował stówkę po stówce, ostatnią zmienił na drobne.

Przez tłum przecisnął się Herszek. Zyzma go zobaczył i przywołał do siebie.

— Oto twoje stopięćdziesiąt blatów, a dziesięć jako procent za dwadzieścia cztery godziny.

— Za dwadzieścia ośm,—szepnął Herszek i miał wielką ochotę powiedzieć, że mało; lecz szynkarz spojrzał na niego groźnie i ruchem ręki zdradzał chęć wtłoczenia mu napowrót pomyślanych, lecz jeszcze nie wypowiedzianych wyrazów.

Zyzma drugie dziesięć guldenów podał szynkarzowi, mówiąc głośno.

— Za tę dziesiątkę dla twoich gości rozdaj piwa i wódki.

Po krótkich wykrzyknikach podziękowań, powstał gwar zmieniający się we wrzaski tłoczących się żydów do szynkwasu.

Jeden z obecnych zamknął drzwi szynku na klucz i zawołał szwargotem.

— Panowie, ja proponuję obliczyć się i rozdzielić te dziesięć reńskich. A wtedy każdy wypije za wiele będzie chciał.

Szynkarz usiłował stawiać opozycyą, lecz Zyzma znaglony wrzaskami zgodził się.

— Obliczmy się wołano, i zgromadzeni zaczęli się liczyć z szybkością żydom tylko właściwą. Szmery wymawianych liczb brzęczały w powietrzu.

— Czterdziestu do podziału zawołał jeden.

— Po dwadzieścia pięć centów wypada na głowę—dodał drugi.

— Tak, tak, płać—krzyczał tłum;—oddawaj... prędko... prędko. Mnie.... mnie!

Zyzma wyszedł

Uczuł nieprzezwyciężony wstręt, połączony z litością do swych współrodaków. Niedawna przeszłość jego stanęła mu przed oczami: dreszcz go przeszedł. A jednak, dziesięć lat temu i on staczał walki o zdobycie kilkunastu centów. I dla niego gulden był bogiem. Gdy go nie miał, głód szarpał mu wnętrzności, nie było gdzie głowy przytulić..... Przyśpieszył kroku, jakby chciał uciec od tych obrazów.

— I ja dziś byłbym tém, czém są oni, i jak pies gryzłbym się o rzuconą kość, gdyby nie te parę papierów. Drżącą ręką pochwycił się gwałtownie za piersi. Pulares był na swojem miejscu. Rozśmiał się.

— Pieniądz jest wszystkiém dla nas. Ludzie nas obdarli ze wszystkiego, a myśmy im całe wieki do tego pomagali. Został nam tylko pieniądz i zdobywamy go! Zdobywamy go zręcznie i wytrwale. Ci, co mają rozum, idą w górę,—pomyślał z dumą o sobie.

Daléj, daléj: naprzód, coraz wyżéj, do milionów. Miliony! muszę je miéć... Zobaczył w cieniu nocy młodą kobietę patrzącą na niego litośnie i dziecko z opartą główką na jéj ramieniu.

— Co oni tam robią? matka i dziecko. Pewno zasypiają, błogosławiąc imię moje. Trzeba coś dać, chcąc odbierać... Dziś mnie już

stać na to, abym dawał—zawołał z uśmiechem. Myśli jego jak wzburzone fale kołysały się, przechylając się w jedną, lub drugą stronę, wywoływały uśmiech szczęścia, lub ciężkie ponure wspomnienia przeszłości. Sprzeczne instynkta również się w nim ścierały. Do dziś węszył i szukał, podobny do wyżła tropiącego zwierzynę. Łatwy zarobek, pochłaniał wszystkie jego myśli i uczucia. Nareszcie zdobył pieniądz, myśl jego mogła swobodnie się rozwijać, stosownie do odbieranych wrażeń. Szczęśliwy wypadek pozwolił mu na wstępie do nowego życia zrobić dwie przysługi, uratować kobietę z dzieckiem i Sali posag zapewnić. To go dźwigało w górę z powodzi ścierających się pojęć i najróżnorodniejszych poglądów.

Skierował się do Drehera, którego dawniéj wysoko cenił i w chwilach wielkiego powodzenia odwiedzał. Zeszedł po schodach na dół, spojrzał do koła. Wspaniała piwnica zmalała w jego oczach, ludzie wydawali mu się za mało dystyngowani. Skrzywił się, siadł przy osobnym stoliku i z pewném niezadowoleniem rozkazał kelnerowi przynieść sobie kolacyą. Już mu tu było za ciasno i towarzystwo nie odpowiadało jego wymaganiom.

Po kolacyi poszedł do znanéj w Wiedniu kawiarni. Zebrane tam piękności, które niedawno pożerał ognistemi spojrzeniami, dużo straciły na uroku, a nawet zbrzydły w jego oczach. Patrzał na nie z pewném lekceważeniem i odcieniem pogardy.

— Gdybyście wiedziały, ile jest stówek w moim pularesie,—pomyślał—wszystkie byłybyście tu, przy moim stoliku; wszystkie żebrałybyście mego uśmiechu.

Oficerowie od kawaleryi, o których względy starały się damy, już nie robili na nim tego wrażenia co dawniéj, co wczoraj jeszcze. Czuł, że i on potrafiłby, gdyby chciał, mówić tak samo „*famos*“ i grubo się śmiać. Tak samo nogi rozstawiać, wąsy podkręcać i te same koncepta powtarzać. Pewność ta pochodziła ztąd, że czuł się w téj chwili tak bogatym jak oni.

— Zyzma, słyszałem, że grałeś dziś na *baisse* papierów francuskich,—odezwał się do niego jeden z kolegów giełdowych.—Dużo wygrałeś?

— Nie tyle, ile się spodziewałem,—odpowiedział obojętnie.— Lecz gra jeszcze nieskończona.

— Niezawodnie,—lecz już przecież wiesz.

— Nie obliczałem, sądzę jednak, że coś po nad dwakroć stotysięcy guldenów.

— Dwakroć,—zawołał tamten, cofając się.

— Co takiego,—pytały damy, słysząc wykrzyknik.

— Ten młodzieniec,—zawołał, wskazując na Zyzmę,—wygrał dzisiaj dwakroć stotysięcy guldenów na giełdzie.

— Dwakroć,—zawołały.

W kawiarni powstał szmer podziwu.

— W takim razie niech kupuje szampana—zdecydowała jedna.

— Szampana, szampana—wołano.

— Już się nie wykręcisz,—dodał przyjaciel.

— Kosz szampana,—dał rozkaz Zyzma przechodzącemu kelnerowi.

— Brawo, brawo—wołały wesoło damy.

Kelner skoczył, jakby uderzony iskrą elektryczną.

Piękne i najpiękniejsze otoczyły młodego zwycięzcę. Te, które wczoraj nie patrzały na niego, a gdy się do nich odezwał, odpowiadały mu półsłówkami, mrużąc oczy,—teraz wpatrywały się w niego pieszczotliwie, wyciągały do niego ręce, szeptały mu do ucha gorące wyrazy.

Z początku pochlebiały mu te objawy uznania. Oficerowie zchodzili na drugi plan. Oni nie wygrywali na giełdzie.

Korki szampana wylatywały z hukiem, wino się lało, pieniąc. Zyzma wyjął kopertę, podając kelnerowi tysiąc-guldenowy papier.

Oczy wszystkich chciwie patrzały na paczkę tysiąc-reńskówek.

Kelner się głęboko skłonił i pobiegł zmienić. Czar pieniędzy zelektryzował kawiarnianych gości. Damy mówiły głośno o swych uczuciach dla szczęśliwego młodzieńca. Odważniejsze, szepcząc mu do ucha zaklęcia, całowały go.

Mimo to czuł on jak jedno złudzenie za drugiem rozwiewały się w jego umyśle. Chciwość grosza i bezwstyd budziły w nim niesmak i niechęć. Zrozumiał, że to nie on, lecz jego pieniądze były przedmiotem uniesień i żaru. Nicość jego osoby upokarzała go i zawstydzała w oczach własnych.

— Sam jesteś niczém. Tylko te trochę wygranego grosza podnosi twoją wartość,—mówił mu głos wewnętrzny. Nadto znał życie i pamiętał przeszłość, aby się łudzić. Młodość, wiara w siebie i zarozumiałość, a na dnie serca nieświadomie spoczywające szachetniejsze instynkta rozbudziły w nim wstręt do towarzystwa pijącego szampana. Posmutniał, zamyślał się i korzystając z pierwszéj sposobności, wyszedł niepostrzeżony.

— Nie wiedziałem, że pieniądze mają dar rozczarowywania,—zrobił uwagę, wracając do domu.—Te, niedostępne jeszcze wczoraj dla mnie piękności, czemże są dziś? Wzruszył pogardliwie ramionami.

W mieszkaniu zapalił lampę, spojrzał na wykupione tylko co z zastawu mebelki, na łóżko o twardym sienniku, na czerwony wy-

płowiały koc i uśmiechnął się. Dobrze mu było w pokoiku, w którym tyle ciężkich przeplatanych błyskami nadziei chwil przeżył.

— Wczoraj nędzarz ryzykujący do ostatniego centa zapracowany grosz, dziś pan. Dziwne koleje losu. Co się to przez jeden dzień przeżyło.

Położył się. Gdy zasypiał, przesuwały się w jego myśli wypadki dnia w poplątanych obrazach. Najdłużéj na ciemném tle nocy widział młodą kobietę z dzieckiem na ręku. Matka i syn patrzeli długo na niego, póki ich nie pochłonęły inne widziadła, wydobywające się z zarania jego młodości.

IV.

Zmęczony, spał mocno. Rano, zbudziło go silne stukanie do drzwi i głośny płacz. Rzucił na siebie szlafrok i otworzył.

Do pokoju wpadła zdyszana, zapłakana Sali.

— Ojciec nie żyje!—zawołała łamiąc ręce. — Sierota, sierota— powtarzała przy wybuchach głośnego płaczu.

— Co się stało? — mów, opowiadaj.

— Kiedy odszedłeś, długo jeszcze gwarzył; mówił, że nas nie opuścisz, spodziewał się, że dziś więcéj jeszcze pieniędzy przyniesiesz. Pytał się, co będę robić z takiém bogactwém; potém zasnął. W nocy obudził się, kazał zapalić lampę, podać sobie wody, raz jeszcze popatrzał na pieniądze, uśmiechnął się, położył je, zamknął oczy i już ich więcéj nie otworzył.

— Zimny?

— Jak lód — zalała się łzami.

— Cicho, cicho—pocieszał ją Zyzma.—Przysiągłem ojcu, że cię nie opuszczę.

— Wiem — szepnęła.

— Pieniądze masz?

— Mam.—Wyjęła z za gorsetu pugilares, kładąc go na stole.

— Ojciec był śmiertelnie chory—mówił mi doktór.—I może lepiéj, że umarł właśnie w chwili uśmiechu szczęścia, spokojny o los swego dziecka.

Sali nic nie odpowiedziała, ocierając łzy płynące po twarzy.

— Zawołaj moją gospodynię i sprowadź mi szynkarza z waszego domu.

Dziewczynka wybiegła, Zyzma szybko się ubierał.

Gospodyni polecił przygotować pokoik dla małéj, szynkarzowi kazał się zająć pogrzebem.

Przeniesiona do nowego mieszkania Sali, zaczęła odprawiać przepisaną rytuałem starego zakonu pokutę. Pogrzeb odbył się za pieniądze Zyzmy cicho i szybko. Skrzypce, na których grywał stary, chodząc z córką po ulicach, Zyzma zatrzymał dla siebie.

Dziewczyna głęboko i silnie uczuła swoje sieroctwo. Dzieckiem straciła matkę, ojciec był dla niéj wszystkiém, powiernikiem i przyjacielem. Pracowała na niego bez skargi, a nawet z pewną dumą rozkoszy. Ciężko jéj teraz było, smutno, pusto. Wiedeń był dla niéj miastem, dla którego żywiła wstręt i nienawiść. Tu jéj śpiew nie miał powodzenia, ojciec stracił zdrowie, a ona pędziła ponure dnie, w izdebce na szóstém piętrze.

Żal, wielki żal kamieniem zaciężył jéj na sercu. Zaledwo trzy tysiące guldenów, które Zyzma zmienił na stówki i oddał jéj, rozweselały ją. Bawiła się niemi, rozkładając je na stole. Widok ich nasuwał jéj weselsze myśli i pozwalał snuć projekta na przyszłość. Rozumiała potęgę pieniędzy.

Dziewczyna siedziała na pokucie, Zyzma pracował. Nazajutrz po dniu walki przerwał grę: wycofał kapitał. Wygrana przypadająca na niego wynosiła okrągłą sumę sto sześćdziesiąt tysięcy guldenów. Rozpuszczona pogłoska między znajomymi na giełdzie, mówiła o trzystu tysiącach wygranych. Że młody człowiek urósł odrazu nie na bohatera, bo w świecie, w którym żył, nie mierzono ludzi podług téj miary, lecz na szczęśliwego i genialnego gracza, — to stało się faktem. Winszowano mu, ściskano go za ręce, zapraszano...

Pochlebiały mu te owacye, wyrabiając w nim wiarę we własny spryt i rozum.

Dla uspokojenia wzburzonych nerwów i odpoczynku wśród ciszy, popychany tajemniczą siłą, w parę dni późniéj pojechał do Badenu.

Na schodach mieszkania młodéj kobiety spotkał gospodynię domu.

— Cóż? — spytał ciekawie.

— Nic, nic—odpowiedziała cicho, dając mu znaki, aby poszedł do jéj pokoju. Zamknęła drzwi.

— Przyznam się panu, to wielkie biedactwo, zagłodzone, nie ma się czém okryć—nędza!... Jedna koszulina na dziecku. Kazałam z pieniędzy zostawionych przez pana uszyć dwie.

— Dobrze, lecz mają rzeczy, które dziś zaraz przywiozę. A oto pięćdziesiąt guldenów na rachunek. Jest-to polska hrabina, należy ją szanować — dodał wychodząc.

— Ihre Gnade, ihre Gnade—powtarzała z rozrzewnieniem niemka. Chciała zawołać *Excelenz*, lecz nie śmiała.

Na pierwszém piętrze lekko zastukał do drzwi. Nie odpowiedziano mu, zastukał poraz drugi również napróżno. Nieśmiało otworzył drzwi. Młoda kobieta, siedząc na fotelu przy łóżku dziecka, spała. Zyzma chciał się cofnąć, lecz obudził ją szmer. Zerwała się zarumieniona, wyciągając ręce.

— Przepraszam — odezwał się — znalazłem się zbyt natrętnie, należało mi odejść, nie otwierając drzwi.

— Dziękuję panu za to natręctwo—odparła młoda kobieta, ściskając go za rękę.—Od chwili wyjazdu pana oddawałam się rozkoszy bezwzględnego spoczynku. Nie myślę o przeszłości, odwracam oczy od jutra, ciesząc się dzisiejszym dniem. Zmęczona walką, w tym cichym pokoju, obok mego syna—zasypiam. Budzę się uśmiechając do jasnego dnia, do słońca i znowu zasypiam. Oto jest obraz mego moralnego stanu.

— Ciężkoś pani pracowała, masz wszelkie prawo do odpoczynku—pośpieszył dodać Zyzma, olśniony serdeczném przyjęciem i pięknością wyrażeń swéj protegowanéj.

— Pracowałam—powtórzyła.— Raczéj cierpiałam, że pracować nie umiem.

— Walka z jutrem to najcięższa z prac — rzekł ze smutnym uśmiechem — doświadczałem jéj.

— Walczyłeś pan, teraz pojmuję współczucie pańskie.

— Pani gdy żyłaś w dostatkach, nie obchodził cię los nieszczęśliwych?

— Nie tyle co dziś, nie pojmowałam ich doli. Doświadczenie.... odwróciła się szybko, aby ukryć wruszenie.

Domyślał się go Zyzma i dla tego rzekł szybko:

— Nie mówmy o krótkiéj przeszłości, mając jeszcze długą przyszłość przed sobą.

— I tak ciężką — dodała młoda kobieta.

— Najcięższe chwile już przeszły — zapewniam panią.

Młoda kobieta wstrząsnęła głową, że nie wierzy.

— Przestałem już grać i przysięgam pani, że więcéj nie wyjdziesz....

Chciał powiedziéć: żebrać na ulicę; lecz rumieniec wstydu na twarzy młodéj kobiety, zamroził mu wyrazy na ustach.

— Tak—dodał po chwili—nie wyjdziesz z tego domu, nie mając zabezpieczonych środków do pracy.

— W jakim celu pan się mną i mém dzieckiem opiekujesz?— spytała cicho, zapłoniona.

— Jesteś pani moją rodaczką.

— Jednak pan.... urwała.

— Jestem żydem, bez ojczyzny, bez uczuć litości, przyjaźni.

— Nie mówię tego — przerwała żywo.

— Ale pani myślisz i boisz się nie mogąc odgadnąć jaki mam w tém „interes“—rzekł z przyciskiem—aby panią ratować. Żyd giełdowicz, którym od dziecka nauczona jesteś gardzić, podaje pani rękę. Co to będzie, czego on odemnie może chcieć, zadajesz sobie pytanie i drżysz ze strachu.

— Nie drżę—odparła z godnością—czuję się dość silną. Drżeć mogę tylko o moje dziecko. Powiem panu prawdę, nie miałam sił zadawać sobie podobnych pytań. I aby one nie powstawały w mojém umyśle, pozwól mi pan wierzyć, że jesteś szlachetnym człowiekiem i pozwól mi ufać ci. Podała drżącą rękę, którą Zyzma z uczuciem pocałował.

— Nie mówmy w tym przedmiocie więcéj—prosiła.—Nie oskarżaj się pan przedemną, a tém samém nie zmuszaj mnie, abym cię bronić musiała. Wierzę ci, byłby to dla mnie cios, gdybym przestała wierzyć. Bądźmy dobrymi przyjaciołmi.

— Zgoda!

— Uczucie to pozwoli mi zaciągnąć u pana dług, mówić o interesach.

— Dobrze — przerwał Zyzma — przyjaźń złagodzi drażliwość pani, moje zakłopotanie i obawy, aby pani nie obrazić. Będziemy mówić szczerze i otwarcie.

— Proszę pana o to.

— Wygrałem przeszło sto tysięcy guldenów, wolno mi więc pożyczyć pani....

— Dwieście—przerwała młoda kobieta.

— Pozwól pani, że się na to nie zgodzę. Jestem nieco praktyczniejszy. Źle jest pożyczać zbyt mało, można przez to narazić kapitał na stratę. Należy obliczyć, aby nasz dłużnik miał za co zapracować i zarobić na zwrot kapitału. Najmniéj potrzeba pani pięćset guldenów, oprócz wykupienia rzeczy. O zwrot pożyczki ułożymy się wtedy, gdy znajdziemy zarobek. Widzisz pani, że umiem stawiać kwestye jasno.

— Kiedyż ja będę mogła oddać tak znaczną sumę?

— Boisz się pani, abyś nie była zmuszoną do zbyt długiéj wdzięczności.

— Tylko co po zawarciu układu, a już go pan zrywasz.

— Przepraszam—odpowiedział.—A teraz proszę o adres, gdzie się znajdują rzeczy. Bądź pani spokojna, ja jeszcze na pani dobry interes zrobię.

Młoda kobieta pogroziła mu z uśmiechem, podając adres hotelu. Dziecko się przebudziło, wyciągając ręce do Zyzmy. Podniósł je, ucałował, oddał matce, pochwycił kapelusz i wybiegł.

— Dowiem się teraz prawdy—myślał idąc śpiesznie. Wygrana nie zrobiła na niéj żadnego wrażenia. Albo suma wymieniona przezemnie jest zbyt dla niéj mała, albo pieniądze nie mają dla niéj wartości. Wielka pani lub szlachetna kobieta.

W bramie hotelu spotkał się z jego właścicielem.

— Młoda dama wdowa, która do wczoraj mieszkała....

— Uciekła z dzieckiem — przerwał mu niemiec — i nie wróciła. Posyłam raport do policyi.

— Wypędziłeś ją pan.

— Ja? Mój panie, z mego hotelu ludzi się nie wypędza.

— Tych co płacą — odparł z ironią Zyzma.

— I tych co nie płacą.

— Jeśli mają rękojmię.

— Właśnie, mówiłem o rękojmię. Namawiałem, aby pisała do rodziny.

— A czy ją ma?—spytał powątpiewająco młody człowiek.

— Ba! ba! bielizna, ręczniki ze znakami hrabiowskiemi. A i zegarek jéj ma na kopercie hrabiowską koronę wysadzaną brylancikami. Kupiła go moja córka.

— Za ile?

— A panu co do tego.

— Kazano mi go z zastawu odebrać.

— Zapłać pan naprzód rachunek.

— Proszę o książkę — rzekł Zyzma.

Właściciel hotelu popatrzał na niego, jak się zwykle patrzy na agenta policyjnego, z którego oczu widać, że wie wszystko. Poszli do kancelaryi.

Zyzma rzucił okiem na książkę.

— O nędzne czterdzieści guldenów — mówił — wyrzucać taką wielką panią na ulicę.

— Nie wyrzucałem—odparł z dumą—podałem tylko rachunek, jak zwykle co dwa tygodnie.

— My znamy wasze podawania. Proszę o zegarek.

Za chwilę niemiec przyniósł staroświecki zegarek, lecz pięknéj roboty i wysokiéj wartości. Zyzma wyjął pulares, rzucił na stół cztery dziesięcioguldenowe papierki.

— Za ten zegarek mogłeś ją pan żywić bezpiecznie i jéj dziecko pół roku. Proszę o resztę rzeczy, zaraz, natychmiast.

— A któż to pan jesteś?—spytał nadrabiając miną hotelnik.

— Radzę nie wypytywać się—odparł dumnie.—Zadzwonił, dając rozkaz zbiegającéj się służbie przynieść rzeczy.

— Zmaltretowałem niemca — mówił z uśmiechem do siebie, wioząc kufer z rzeczami. Wybornie mi się udało odgadnąć cenę zastawu zegarka. Jeden dwutygodniowy rachunek! I jakże się tu dziwić, że wielom z moich braci w Mojżeszu ciężko idzie w Wiedniu i jego okolicach. Wiedeńczyk ma coś w sobie z żyda, turka i niemca. Trójca ta składa się na jego całość.

Zyzma uczuł się wyższym od niemców, którzy nim jeszcze parę dni temu pogardzali. Pewność ta i dowody sprytu, jakie dał przed chwilą, wprowadzały go w dobry humor. Myśl, że zwrotem zegarka zrobi przyjemność młodéj kobiecie, cieszyła go.

— Oto są rzeczy, a oto wydobyty od niemca zastaw — rzekł z tryumfem, podając pudełko zarumienionéj kobiecie.

— Pamiątka po matce — szepnęła. — Lecz dług mój wzrasta— dodała smutno.

— Nie przerośnie ułożonéj sumy, bądź pani spokojna.

Młoda kobieta wpatrywała się z rozrzewnieniem w cyfry wysadzane brylancikami. Zyzma nosił dziecko na rękach, bawił się z niém, patrzał na matkę, jéj rozrzewnienie i smutek, lecz nie śmiał się wypytywać, nie śmiał jéj badać. Czuł, że mu jest dobrze w towarzystwie polskiéj hrabiny, cieszył się ze swéj ofiarności; coraz mniéj myślał o zyskach, jakie mu może przynieść ta znajomość. Nabierał swobody, wymowy, i.... zdawało mu się, że elegancyi.

Sewer.

WYMIARY, BUDOWA I RUCHY WSZECHŚWIATA,

WEDŁUG POJĘĆ OBECNYCH.

VI.

Wywody, o których mówiliśmy dotąd, polegają w ogólności na przypuszczeniu jednakiego blasku lub też jednakowego rozmieszczenia gwiazd w przestrzeni; widzieliśmy wszakże, że pogląd taki słabo albo raczéj wcale uzasadnionym nie jest, a nawet dostrzegliśmy niejakie skazówki, które w ugrupowaniu gwiazd słabszych pozwalają dostrzegać pewną odrębność od gwiazd większych, jaśniejszych. Różnice te silniéj wypływają z badań astronoma amerykańskiego Proctora, opartych na podstawie, zgoła odmiennéj, na faktach, które astronomom dawniejszym wcale nie były znane. Mówimy tu o ruchu własnym gwiazd stałych, — a rzecz ta, bez względu nawet na teoryą Proctora, dosyć ważna, aby się jéj bliżéj nieco przyjrzéć.

Wiemy dziś dobrze, że gwiazdom stałym nazwa ta zgoła nie przysługuje, a używać jéj można tylko dla zaznaczenia różnicy od planet. Jeżeli zaś pozornie zajmują niezmienne na sklepieniu niebieskiém położenie, to pochodzi jedynie od ich niezmiernéj odległości. Że księżyc przesuwa się na niebie, dostrzeżemy łatwo, porównywając położenie jego na niebie względem gwiazd sąsiednich w ciągu dwu następujących po sobie nocy; przebiega on bowiem około 10,000 mil dziennie, a jest odległy od nas tylko na 50,000 mil. Aby dostrzedz ruch planet, choć one szybciéj się poruszają, czekać trzeba dni kilka lub kilkanaście, odległe są bowiem od nas na miliony i dziesiątki milionów mil, ale jakżeż zdołamy poznać ruch gwiaz-

dy oddalonéj od nas na tryliony mil; choć się przesunie na setki, tysiące i miliony nawet mil, to zmieni swe położenie względem nas zaledwie o długość niedostrzegalną. Żywot jednego człowieka jest zbyt krótkim, aby zmianę taką dostrzedz, a cały ciąg dotychczasowego istnienia człowieka nie wystarcza, aby w skutek tego ruchu widok nieba gwiaździstego zmienił się dla nas. Porównywając jedynie ścisłe obserwacye dawniejszych astronomów z dostrzeżeniami dzisiejszemi, dojść można, czy gwiazdy na swych miejscach pozostają czy téż zmieniają na niebie swe położenie. Taką, statystyczną niejako drogą, już przed stu laty Tobiasz Mayer poznał ruch około 80 gwiazd; obecnie, dzięki pracom Argelandra i Mädlera ocenić można liczbę gwiazd, posiadających na pewno ruch własny, na 4,000. Wskutek ruchu tego zmieniają one na niebie w ciągu roku położenie swe w ogólności zaledwie o drobny ułamek sekundy, nader niewielka ich liczba przesuwa się więcéj niż o jednę sekundę, a największy ruch roczny wynosi 7.″

Badania powyższe wszakże o biegu gwiazdy wtedy tylko świadomość dać nam mogą, gdy przesuwa się ona niejako poprzecznie względem kierunku, w którym ją widzimy, ale że nie mamy wcale możności oceny, czy gwiazda znajduje się bliżéj nas czy daléj, przeto téż nie wiemy zgoła czy ona ku nam się zbliża czy téż oddala, ruchu ku nam zwróconego zgoła znać nie możemy; dzięki jednak metodom analizy spektralnéj i on nie uszedł baczności ostatnich czasów. O ruchu bowiem gwiazdy świadczy promień jéj światła, rozszczepiony w pryzmacie na składowe swe barwy. Skoro gwiazda ku nam się zbliża, lub od nas oddala, linie ciemne, przerzynające barwne jéj widmo, nie pozostają na swych miejscach, ale przesuwają się ku jednemu lub drugiemu jego końcowi, w stronę fioletu lub czerwieni. Przesunięcie to wprawdzie niesłychanie jest drobne, Huggins wszakże, Vogel oraz astronomowie z Greenwich nietylko zdołali je dopatrzéć, ale nawet dokładnie ocenić, a na téj zasadzie obliczyli szybkość gwiazd tak sunących; zgodność osiągniętych rezultatów przemawia za ich wiarogodnością. W ten sposób poznano ruch około czterdziestu gwiazd. Syryusz np. oddala się od nas z szybkością 50 Wega zbliża się z szybkością 75 kilometrów na sekundę.

Wskutek ruchów tych wszakże widok nieba gwiaździstego nie prędko wyraźnéj zmianie ulegnie. Zapewne, zbliżająca się Wega, z czasem stanie się gwiazdą jaśniejszą, oddalający się Syryusz słabszą, ale znana szybkość ruchów pozwala wnosić, że zmiany te zaledwie po upływie stu tysięcy lat z górą wyraźne się staną.

VII.

Otóż, rozejrzenie się w tych ruchach gwiazd doprowadziło Proctora do wniosków bardzo ciekawych,—stanowią one dlań dowód, że odległość gwiazd drobnych znacznie dotąd przeceniano.

Zestawił on mianowicie ruchy tysiąca z górą gwiazd 1—6 wielkości i zebrał je w dwie grupy, zaliczając do pierwszéj gwiazdy 1, 2 i 3 do drugiéj 4, 5 i 6 wielkości. Porównanie to nauczyło, że przecięciowa szybkość gwiazd słabszych nie ustępuje zgoła szybkości jaśniejszych. Gdyby gwiazdy świetniejsze były zarazem bliższemi nas, to pozorne ich ruchy, jakeśmy to rozważyli wyżéj, musiałyby być dla nas szybsze, aniżeli gwiazd dalszych, chybabyśmy się odwołali do nieprawdopodobnego przypuszczenia, że rzeczywiście gwiazdy tém chyżéj po drogach swych suną, im daléj od nas przypadają. Skoro się tedy okazuje, że w ogólności gwiazdy jaśniejsze z biegiem czasu zmieniają położenie swe na niebie w stopniu nie większym, aniżeli gwiazdy słabsze, to téż niepodobna tych ostatnich mieścić w odległościach wielokrotnie większych, czyli, innemi słowy, różnica w blasku gwiazd raczéj od istotnéj ich wielkości, aniżeli od oddalenia ich zawisła.

Na poparcie poglądu swego powołuje się Proctor i na inną jeszcze, niemniéj wymowną okoliczność.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę kierunki, w których różne gwiazdy biegną to nietrudno dojrzéć, że na niebie występują grupy gwiazd, rozrzuconych po znacznéj nawet przestrzeni nieba, a posiadających ruch wspólny, tj. w jednakim kierunku; rzecz ta staje się zwłaszcza wyraźną, gdy na kartach nieba ruchy gwiazd oznaczymy strzałkami. Tak np. w gwiazdozbiorze Byka znaczna ilość gwiazd posuwa się wspólnie ku wschodowi, o 10″ mniéj więcéj w ciągu stulecia; tak samo z pomiędzy siedmiu głównych gwiazd Wielkiéj Niedźwiedzicy pięć posiada ruch wspólny ku zachodowi, inne znów gwiazdy w sąsiedztwie téj konstelacyi dają się ująć w inną grupę. W gwiazdozbiorach Raka i Bliźniąt znajdujemy kilkadziesiąt gwiazd sunących ku południo-wschodowi w znacznéj części po linjach niemal równoległych.

Objawy te wspólnego ruchu nazywa Proctor prądem gwiaździstym (*star-drift*) i uważa gwiazdy należące do jednego prądu za związane między sobą pewnym węzłem fizycznym, stanowiące pewną grupę istotną, nietylko optyczną. Gwiazdy pozornie na niebie zbliżone mogą być w rzeczywistości nader między sobą odległe, ruch ten wspólny każe się wszakże domyślać pewnego między niemi

związku, zmusza nas do wniosku, że gwiazdy do jednéj takiéj grupy należące nie mogą być zbyt między sobą odległe. Prąd zaś taki, grupa taka obejmuje gwiazdy nader różnéj jasności, nie możemy przeto gwiazd słabszych mieścić gdzieś niewypowiedzianie daleko po za świetniejszemi, a blask ciał niebieskich nie może być miarą, skazówką ich odległości. Dla tego też Proctor przypisuje drodze mlecznéj wymiary daleko mniejsze, aniżeli badacze poprzedni.

Dokładne karty nieba wskazują, że gwiazdy jaśniejsze występują po brzegach drogi mlecznéj, stanowią jakby jéj słupy graniczne; rozkładu takiego uważać niepodobna za przypadkowy, między gwiazdami jaśniejszemi przeto a drobnemi, które ów szlak niebieski tworzą, zachodzić musi pewien związek, niemożna tych ostatnich odsyłać w dal niezmierzoną.

Dla wyjaśnienia wreszcie różnych szczegółów drogi mlecznéj, jéj miejsc jaśniejszych i bledszych, jéj rozdwojeń i przerw zupełnie ciemnych, przyjmuje Proctor, że stanowi ona układ gwiazd wężowo zwinięty, którego skręty przypadają już to bliżéj, już daléj od nas, pozostawiając między sobą i przerwy zupełnie puste,—tam więc tworzą się owe otwory, któremi przeglądamy w bezgwiaździstą przestrzeń światową.

Oczywiście obmyślać można różne systemy podobnych skrętów, które jednakowo dobrze nagiąć można do wytłómaczenia szczegółów, w przebiegu drogi mlecznéj dostrzeganych—a to wszystko uczy, jak niepewne są jeszcze wiadomości nasze o jéj budowie i wymiarach.

VIII.

Wywody Proctora stanowią jakby zwrót w poglądach na bezmiar wszechświata. Pojęcie to, jak widzieliśmy, rozwijało się zwolna, granice świata usuwały się coraz daléj, aż nakoniec pojęcie wszechświata przywykł łączyć człowiek z pojęciem nieskończoności; nowe badania wszakże cofają się na téj drodze i bezgraniczności kres znów wskazują. Opierając się na zasadach wyżéj przytoczonych, Secchi przyjmuje, że światło potrzebuje dziesięciu tysięcy lat, aby dobiegło do nas od najdalszych gwiazdek drogi mlecznéj, dających się dostrzedz przez najpotężniejsze teleskopy nasze, które przecież nie przenikają całéj grubości téj warstwy gwiazd; pomimo to, mówi, nie możemy świata nieskończonym nazywać, żadna bowiem rzecz złożona z części określonych i oddzielonych nie może być nieskończoną. Proctor redukuje znacznie wymiary drogi mlecznéj,—skoro

wszakże nasuwa się do rozstrzygnięcia pytanie, czy świat ten cały skończony jest czy nieskończony, świadectwo drogi mlecznéj zgoła dostateczném nie jest, odwołać się trzeba i do owych świetlnych obłoczków, rozmaitéj wielkości i różnego blasku, rozrzuconych po niebie, jakby odłamki olbrzymiéj smugi drogi mlecznéj, które charakteryzuje tak dobrze nazwa mgławic.

Przed wynalezieniem teleskopu nie znano ani jednéj podobnéj formy, jakkolwiek dobre oko dostrzedz ich może kilkanaście, dziś znamy ich około 6,000, odkrytych i spisanych głównie przez Herschlów. W miarę, jak teleskopy coraz potężniejsze mnożyły liczbę tych dalekich utworów, rozstrzygały i zagadkę ich istoty. Wykazały mianowicie, że podobnie, jak droga mleczna, stanowią one zbiorowiska gwiazd, tak dalekich, drobnych i skupionych, że wywierają wrażenie zaledwie jasnego obłoczka.

Przez chwilę zdawać się mogło, że wszystkie mgławice dadzą się w ten sposób na zbiorowiska gwiazd rozwiązać, że jeżeli nie rozwiązane, to przynajmniéj są rozwiązalne. Nadzieja ta okazała się zawodną, znaczna bowiem ilość wielkich i świetnych mgławic rozwiązać się nie dała, tak że od zbiorowisk gwiazd odróżnić należy mgławice właściwe; w ogólnéj liczbie mgławic pierwszych jest daleko więcéj, drugie zalecają się osobliwém bogactwem form, a niemniéj znaczne różnice zachodzą i co do ich wielkości.

Podział mgławic na dwie te, zupełnie odrębne grupy ostatecznie potwierdził spektroskop,—poznano bowiem, że mgławice właściwe, nierozwiązalne, dają widmo złożone z jasnych linij, których bywa: niekiedy jedna tylko, najczęściéj trzy. Analiza spektralna uczy, że właściwe takie widmo linijne, widmo złożone z prążków jasnych, jest widmem gazu płonącego; w ten sposób potwierdzonym został dawny domysł, że mgławice te stanowią masy gazu płonącego, materyą pierwotną, ze skupienia któréj tworzą się światy. Mgławice rozwiązane, zbiorowiska gwiazd, dają widma ciągłe, odpowiadające widmom słońca i gwiazd. Napotykają się takie formy, przedstawiające jakby gwiazdy osłonięte powłoką obłoczkowatą,—widzimy tu tedy jakby początki skupiania téj pierwotnéj substancyi gazowéj, a odpowiednio temu widmo ich składa się ze słabego widma ciągłego i kilku linij jasnych. W linjach tych Huggins i inni badacze rozróżnili głównie widma wodoru i azotu, z tych przeto gazów przeważnie mgławice się składają.

Jakkolwiek ta różnica widm—ciągłego i linijnego—jest bardzo wymowna i przekonywająca co do dwojakiéj natury mgławic, to wszakże przed kilku laty astronom angielski Stone zwrócił uwagę

na to, że i widmo linijne może być widmem zbiorowiska gwiazd, otoczonego wielką, wspólną atmosferą, podobnie jak słońce nasze otoczone jest powłoką gazową. W niesłychanéj odległości, w jakiéj się zbiorowiska te znajdują, światło oddzielnych gwiazd słabnie, a my dostrzegamy światło saméj ich powierzchni, to jest owéj powłoki. Pogląd ten wszakże nie znałazł stronników i nie wzbudził wątpliwości co do istnienia rzeczywistych mgławic, utworzonych z substancyi gazowéj.

IX.

Nie zdołano dotąd wyznaczyć paralaksy ani jednéj mgławicy, nie umiemy tedy nic pewnego o odległości ich powiedziéć, a tém samém pozorna ich wielkość, jaką na niebie zajmują, zgoła o istotnéj ich rozległości nas nie uczy; domysły przeto, hipotezy, bujniejsze tu jeszcze aniżeli w przedmiocie gwiazd właściwych znajdują pole. Zagadka główna streszcza się w pytaniu, czy mgławice przypadają jeszcze w obszarze zajętym przez nasz układ gwiazdowy, czy téż wybiegają daleko poza jego kresy, czy z systematem drogi mlecznéj wiążą się w jednę całość, czy téż tworzą odrębne zgoła światy, tonące w niepojętych głębiach przestrzeni.

Rzecz jasna, że idei nieskończoności wszechświata przyniosły one pożądane poparcie; w mgławicach bowiem, które za pomocą potężnych teleskopów rozwiązać się dały w zbiorowiska gwiazd, widziano układy, odpowiadające drodze mlecznéj, któraby także skupiła się w mgławicę tylko, gdybyśmy się jéj z nieskończonéj odległości przyjrzéć mogli. W mgławicach nierozwiązanych można było tak dostrzegać zbiorowiska dalsze jeszcze, które i w najdzielniejszych przyrządach astronomicznych słabemi się tylko obłoczkami, wydają,—a w dalszym ciągu pogląd ten wiódł łatwo do systematów coraz wyższych, mielibyśmy właśnie owe drogi mleczne mgławic, czyli drogi dróg mlecznych, o których mówiła dawna hypoteza Lamberta.

Odkąd jednak spektroskop udowodnił, co dawniéj domysłem tylko być mogło, że istnieją prawdziwe mgławice utworzone z gazu płonącego, z substancyi pierwotnéj, ginie téż potrzeba usuwania podobnego obłoczka na odległość niedoścignioną, dla tego tylko, że teleskop nie zdoła go na zbiorowiska gwiazd rozwiązać,—mogą to być owszem utwory stosunkowo dosyć nas bliskie.

Na poparcie ostatniego tego poglądu przytacza Klein także dowód zaczerpnięty z ruchów mgławic podwójnych, które stanowią

utwory odpowiadające gwiazdom podwójnym, o których mówiliśmy wyżéj. Otóż w niektórych takich mgławicach podwójnych dostrzeżono ruch, zdradzający podobny obieg wspólny, jak i w gwiazdach podwójnych. W jednéj takiéj parze, odkąd ją dostrzeżono, odległość wzajemna obu jéj części zmniejszyła się o kilkanaście stopni, zkąd wnosić można z dostateczném prawdopodobieństwem, że czas ich obiegu wynosi około tysiąca lat. Okres ten może się nam niepojęcie długim wydawać tylko, gdy go skalą stosunków ludzkich mierzyć zechcemy, nie może uderzać w astronomii. Czas obiegu niektórych gwiazd podwójnych wynosi całe setki lat, a nie mamy nawet potrzeby aż do nich po przykłady sięgać, skoro i ostatnia planeta naszego układu na odbycie drogi swéj dokoła słońca 165 lat łoży. Widzimy więc, że ruchy mgławic podwójnych uważać można za równorzędne, z innemi odpowiedniemi ruchami astronomicznemi, a i to zapewne nakazuje raczéj zaliczać je do naszego układu gwiazdowego, aniżeli wyznaczać im miejsce gdzieś w dalszéj, tajemniczéj przestrzeni.

Niejakie zresztą wskazówki podaje i sam ich rozkład na niebie. Jakkolwiek mgławice rozrzucone są po całém sklepieniu, a na półkuli południowéj stosunki nie zupełnie odpowiadają północnéj, dostrzedz jednak nietrudno, że mgławice istotne unikają sąsiedztwa drogi mlecznéj, a skupiają się przeważnie u jéj biegunów, w miejscach najbardziéj od niéj odległych; mgławice natomiast rozwiązane, zbiorowiska gwiazd zatém, napotykają się właśnie jéj w pobliżu. Rozkład taki przypadkowym być nie może; gdyby zbiorowiska te stanowić miały oddzielne drogi mleczne, byłyby raczéj jednostajnie po całém niebie rozrzucone.

Wszystkie te uwagi prowadzą tedy do wniosku, że zarówno gwiazdy jak i mgławice wypada zaliczyć do ogólnéj, jednéj grupy ciał niebieskich, która w drodze mlecznéj najwybitniejszy swój wyraz znajduje. Kosmogonia dzisiejsza przywykła uważać cały nasz system słoneczny za wytwór jednéj pierwotnéj mgławicy; stan dzisiejszy nieba pogląd ten potwierdza, stawiając nam przed oczy materyą światową w różnych stadyach rozwoju — od mgławic do słońc i planet. Znamy mgławice, w których występuje jakby częściowe dopiero skupienie; na tle jasnego obłoczka ukazują się gwiazdki, dokoła których występują często przerwy owéj pierwotnéj substancyi, jakby zużytéj na materyał do wytworzenia tych gwiazd. Wspomnieliśmy wyżéj, że na skrajach drogi mlecznéj grupują się licznie większe gwiazdy; podobnie i w wielu mgławicach gwiazdki ukazują się dokoła ich brzegów, lub otaczają wytworzone w nich przerwy,— tworzące się gwiazdki szerzą spustoszenie w substancyi mgławic.

I droga mleczna przedstawia niewątpliwe ślady takiego stopniowego skupienia; stanowiące ją gwiazdy nie wypełniają jéj jednostajnie, ale wszędzie okazują dążność do łączenia się w grupy gęstsze, oddzielone przestrzeniami mniéj lub więcéj próżnemi. Nie wszędzie nawet skupianie tak daleko już zaszło, bo Secchi napotkał w niéj miejsca dające widma linijne, przestrzenie zatém zajęte jeszcze substancyą gazową, pierwotną. Pas drogi mlecznéj wskazuje kierunek, w którym zagęszczanie materyi pierwotnéj przedewszystkiem się rozwijało, pozostawiła ona tylko strzępy na niebie, które w sąsiedztwie jéj przetworzyły się już w zbiorowiska gwiazd, gdy w okolicach dalszych zachowały jeszcze początkową naturę mgławic.

O kosmogoniczne te teorye potrąciliśmy zresztą mimochodem tylko, łatwo bowiem uniesćby nas mogły po za zakres, któryśmy sobie na teraz wyznaczyli — i tak aż nazbyt rozległy; widzimy jednak, że i one nagiąć się dają do poglądu, naznaczającego światu wymiary skończone. Po za naszą drogą nie mamy już innych dróg mlecznych, nie jest ona już odłamkiem nieskończoności, stanowi wszechświat cały, mgławice są tylko jéj odrywkami, szczątkami.

Ograniczenie to świata niewątpliwie nie łatwo da się pogodzić z powszechném wyobrażeniem o nieskończoności przestrzeni; spekulacye jednak geometryi nowéj, tak zwanéj nieeuklidesowéj, stawiają umysłowi naszemu szkopuł jeszcze cięższy, gdy zgoła o skończoności przestrzeni mówią. Przestrzeń, uważa Riemann, jeden z najgenialniejszych matematyków ostatnich czasów, pojmować musimy wprawdzie jako nieograniczoną, nie możemy bowiem wyobrazić sobie miejsca, któreby ze wszech stron nie miało przestrzeni; nie idzie jednak za tém, aby miała być nieskończoną. Jakkolwiek trudno to pojąć, możemy dla przykładu przytoczyć powierzchnię kuli, która nie przedstawiając granic żadnych, jest przecież skończoną, obejmuje tylko ograniczoną liczbę jednostek, cali kwadratowych np., i na któréj posuwając się w niezmiennym kierunku, wracamy ostatecznie do punktu wyjścia.

O abstrakcyjném takiém pojęciu przestrzeni, sprzeczném z jéj wyobrażeniem, do którego prowadzi nas zwykła obserwacya zmysłowa, mówiono wiele w ostatnich czasach; w mozolne te dziedziny wszakże nie mamy potrzeby się zapuszczać, idzie nam tu o świat materyalny, a nie o kwestyą przestrzeni.

Przeciwko nieskończoności świata postawiono argument dostępniejszy. Gdyby on był nieskończonym i nieskończoną ilością gwiazd zapełniony, kula niebieska w całéj swéj rozciągłości musiałaby jaśnieć blaskiem słonecznym; to wszakże miejsca nie ma, a teleskopy wykazują na niebie obszary zgoła niemal wolne od gwiazd

i zupełnie ciemne, nie można tedy ilości gwiazd za nieskończoną uważać. Wielu wprawdzie astronomów dla ocalenia idei nieskończoności, dla pogodzenia faktów obserwowanych z wynikami swych teoryj o odległości gwiazd, przyjmowało, że światło z tych dalekich stref przybywające słabnie silniéj, niżeli według znanego prawa kwadratów z odległości; znaczy to, że ulega w drodze pewnemu przytłumianiu, pochłanianiu. Trzebaby tedy w dalszym ciągu przypuścić, że promienie napotykają na drodze swéj ciała ciemne, przez które niepodobna im się przedrzéć. Trudno wszakże byłoby nam zgodzić się na olbrzymie jakieś, a ciemne bryły, obficie w przestrzeni rozrzucone; łatwiéj zapewne możnaby pojąć przypuszczalną tę substancyą pochłaniającą w postaci pyłu kosmicznego, który wszakże, podobnie jak pył atmosferyczny, światło przytłumia, ale nie gasi go całkowicie. Hypoteza ta absorbcyi światła staje się wszakże zbyteczną, skoro nie mówimy już o jednostajnym rozkładzie gwiazd w każdém miejscu przestrzeni, skoro świat fizyczny jako ograniczony uważamy.

Bardziéj jeszcze bezużyteczném będzie pytanie, czy poza naszym światem nie istnieją światy inne, zapełniające obcą nam przestrzeń, ożywiające nieznane nam niebo? Światy wszakże takie pozostać muszą całkiem dla nas tajemnicze. Jeżeli bowiem odległości księżyców od planet są drobne względem odległości planet od słońca, tak samo znów jak te ostatnie są nieznaczne względem odległości słońc między sobą, tak téż należy przyjąć, że świat taki, odrębny od naszego układu gwiazdowego, mieściłby się zapewne w odległości, wobec któréj zniknęłyby wymiary drogi mlecznéj, i te jednak już wymiary przechodzą obszar działalności najsilniejszych naszych teleskopów, w jakiż sposób moglibyśmy dojrzéć bryły tylekroć daléj umieszczone. Domysły przeto o niedojrzanych tych światach są czcze zupełnie, tém bardziéj bezużyteczne, że świat widzialny przedstawia materyał aż nazbyt bogaty dla badań naszych. Jakkolwiek bowiem, przypomina słusznie Secchi, świat nasz uważać będziemy za ograniczony, jest on jeszcze o wiele zawielkim, abyśmy go pojąć zdołali.

Próżno téż usiłowalibyśmy rozstrzygnąć dziś pytanie, czy cały świat ten, dostępny wzrokowi naszemu, stanowi całość ograniczoną, czy jest on ogniwem tylko nieskończonego łańcucha światów. Nie można nawet powiedzieć, iżby pod tym względem toczyły się istotne spory; wszystkie bowiem wnioski nasze o budowie wszechświata tak są jeszcze niepewne, na tak niedostatecznéj jeszcze podstawie faktów oparte, że inaczéj niż domysłami nazywać ich niepodobna. Nie należy jednak z tego względu stawiać zarzutów astronomom,

którzy się w hypotetyczną tę dziedzinę wdzierają, boć odcyfrowanie istotnéj budowy świata jest ostatnim i najwyższym celem wszelkich dociekań astronomicznych.

X.

Nie sama wszakże tylko budowa świata, nie sam tylko rozkład gwiazd w przestrzeni stanowi ów ład, o którym tu mówimy, zależy on i od ruchów, którym ciała niebieskie ulegają, podobnie jak nazwą systemu słonecznego obejmujemy nietylko uporządkowanie planet i ich księżyców, ale i linie, po których one drogi swe toczą.

Wiemy już, że gwiazdy, pozornie zajmujące stałe na niebie położenie, w rzeczywistości ulegają ruchom. I choćby nawet do wniosku tego nie doprowadziło nas porównanie dzisiejszych z dawniejszemi spisami gwiazd, ani téż metody oparte na zasadach analizy spektralnéj, niepodobnaby nam było istnieniu ruchów tych zaprzeczyć, inaczéj bowiem pod przemożném działaniem ciążenia powszechnego wszystkie te niezliczone słońca zbiegłyby się ku wspólnemu środkowi. Ruch tylko, który bryły te ożywia, chroni je od téj zagłady.

Jest-to taż sama zasada, którą znamy w biegu księżyca dokoła ziemi, w biegu planet dokoła słońca. Taż sama siła, która jabłko z drzewa oderwane na ziemię ściąga, utrzymuje i księżyc w ostatecznym jego dokoła nas obiegu, a jeżeli na głowy nasze nie spada, to dla tego, że ruch jego własny z przyciąganiem ziemi walczy, obie te siły w takim zostają stosunku, że księżyc, spadając wciąż ku ziemi, stoczyć się na nią nie może, ani téż, uchodząc od niéj, odbiedz zupełnie nie zdoła. Gdyby gwiazdy rzeczywiście stałe, nieporuszone, były, trzebaby chyba odwołać się do znanéj bajki o trumnie Mahometa zawieszonéj w powietrzu między dwu magnesami; skoro jednak układ światów utrzymuje się w równowadze dynamicznéj, ruchoméj, to stateczność jego przedewszystkiém od rodzaju tych ruchów zależy.

W systemach pierwotnych Kanta i Lamberta, zbudowanych na analogii do naszego układu słonecznego, gwiazdy odbywały drogi swe dokoła słońc centralnych na wzór księżyców krążących około planet i planet obiegających słońce; były to więc systemy wyższe, trzeciorzędne lub dalsze jeszcze, w których gwiazda każda, podobnie jak ziemia nasza, posuwała się po drodze niezmiennéj, a trwałość całego układu zachowywałaby się przez czas nieograniczony.

Śmiałych tych hypotez nie potwierdziły wszakże badania późniejsze, a o ile dziś znamy ruchy ciał niebieskich, nie wskazują one

bynajmniéj, iżby świat cały urządzony był na wzór naszego zakątka słonecznego.

Widzieliśmy już poprzednio, że gdyby istniało owo słońce centralne, kierujące ruchami słońc całego układu, to musiałoby ono masą swoją niewypowiedzianie nad niemi górować. Istnienie jednak bryły takiéj do utrzymania układu nie jest niezbędném, gwiazdy bowiem krążyć mogą dokoła pewnego punktu środkowego, dokoła wspólnego swego środka ciężkości, chociaż punkt ten nie jest zajęty bryłą tak górującéj masy. Nad wyszukaniem takiego punktu pracował długo Mädler i z kombinacyi ruchów gwiazd wywnioskował, że przypada on w konstelacyi Plejad, złożonéj z licznych ale drobnych gwiazdek,—największa z nich, Alcyona, miała być owém słońcem centralném, i dotąd jeszcze często skromnéj téj gwiazdce tak wybitne przyznaje się stanowisko, lubo Peters i inni astronomowie bezzasadność przypuszczenia tego dowodnie wykazali.

Że gwiazdy nie krążą około pewnych stałych środków ciążenia, przekonywa najwyraźniéj rozmaitość i nieprawidłowość własnych ich ruchów. Lubo widzieliśmy, że w różnych okolicach nieba dają się wyszukać grupy gwiazd, których ruchy rzeczywiście pewną zgodność kierunków okazują; to jednak pomiędzy ruchami różnych grup niepodobna żadnéj dopatrzéć łączności, a i oddzielne gwiazdy jednéj podobnéj grupy nie przedstawiają prawidłowości takiéj, któraby ujawniać się musiała przy ruchach kołowych, jak u planet układu słonecznego.

Wybija się wprawdzie w ruchach gwiazd pewna prawidłowość ogólna, ale nie wynika ona zgoła z własnego ich biegu, a jest tylko odzwierciedleniem ruchu naszego układu słonecznego. Ponieważ słońce nasze jest tylko jedną z milionów gwiazd, przeto, jak wszystkie one posiada téż ruch swój własny, w którym oczywiście cały orszak jéj planet udział przyjmuje. Ruchu tego, jak zresztą każdego innego ruchu ziemi, zgoła nie czujemy, wybija się on jednak w ruchach gwiazd, tak jak o obrocie dziennym ziemi daje nam świadectwo wschód i zachód gwiazd, obrót pozorny sklepienia niebieskiego. Ruchy przeto gwiazd nie przedstawiają się nam w zupełnéj czystości, są częściowo zamaskowane ruchem naszego słońca, z obserwacyi jednak znacznéj liczby gwiazd udało się go należycie wyróżnić.

Dzieje się tu toż samo, co z przechodniém na ożywionéj ulicy; widzi on w ogólności daleko więcéj osób dążących naprzeciwko niego, aniżeli idących z nim razem w jednym kierunku, a gdy po za nim tłum napozór coraz się bardziéj skupia, rozstępuje się przed nim ustawicznie. Tak samo i słońce nasze jest wędrowcem śród niezliczonego zastępu gwiazd; gwiazdy, ku którym się zbliżamy, rozstę-

pują się przed nami, te zaś, od których się usuwamy, zbiegają się ku jednemu punktowi. Tą drogą już W. Herschell zdołał wyznaczyć punkt na niebie, ku któremu zwraca się bieg słońca,—punkt ten przypada w gwiazdozbiorze Herkulesa, a badania Argelandra, oparte na daleko obfitszéj podstawie faktów, rzecz tę potwierdziły. Bieg tedy słońca naszego tłómaczy nam dostatecznie tę pozorną prawidłowość w ruchach słońc innych.

Hypotezę owych mniemanych słońc centralnych, owych mniemanych środków ciążenia całego układu gwiazd, zachwiały zwłaszcza najnowsze badania téj sprawy. Poznano mianowicie, że niektóre gwiazdy posuwają się z szybkością nadzwyczajną, tak wielką, że ruchu ich przemódz nie zdoła zapewne przyciąganie wszystkich gwiazd znanych,—biegną one tedy niezależnie od całego układu.

Aby usprawiedliwić wniosek tak osobliwy, wypada nam odwołać się do mniéj zawiłych objawów siły ciążenia. Uważmy kamień spadający z wieży,—wiadomo, że prędkość, jaką mu ziemia nadaje, zależy od wysokości, z któréj zbiega. Kamień spadający z wysokości 5, 20, 45, 80 metrów przybywa na ziemię z szybkością 10, 20, 30, 40 metrów; nawzajem znów kamień wyrzucony w górę siłą, którąby mu nadała szybkość pierwotną 10, 20, 30, 40 metrów na sekundę, zdoła się wznieść na 5, 20, 45, 80 metrów. Im znaczniejsza jest ta nadana mu chyżość, tém na większéj przestrzeni zdoła on pokonać przyciąganie ziemi, tém wyżéj wzbije się w górę. Rachunek na zasadach tych oparty uczy, że bryła wyrzucona z szybkością 11 kilometrów na sekundę (t. j. 20 razy większą, aniżeli chyżość kul armatnich), pokona zupełnie wpływ ziemi, wydostanie się poza sferę jéj przyciągania, a pochwycona przez słońce, jeżeli w szczególnym przypadku nań nie spadnie, toczyć się będzie wciąż koło niego. Gdyby pierwotna ta szybkość przechodziła 44 kilometry na sekundę, to nawet przyciąganie słońca nie zdołałoby powstrzymać téj bryły, którąby w takim razie wydostała się w przestrzeń światową i wskutek bezwładności posuwała po linii prostéj przez czas nieograniczony. Im daléj od słońca przebiegałaby taka bryła, tém mniejsza chyżość wystarczyłaby do pokonania jego wpływu, — na kresach układu słonecznego, w odległości Neptuna, bryła biegnąca z szybkością ośmiu tylkc kilometrów na sekundę, jużby mu się oprzeć zdołała, a w odległości, w któréj przypada najbliższa gwiazda, do pokonania wpływu słońca wystarcza szybkość nie dorównywająca 100 metrom na sekundę, kamień wyrzucony z procy pobiegłby tam już w przestrzeń nieskończoną, a daléj jeszcze piłka ręką dziecka rzucona, jużby doń nie wróciła.

Uwagi te odnieść łatwo do gwiazd. Pozorny ruch gwiazdy o istotnéj jéj szybkości nauczyć nas wprawdzie nie może, dopóki nie wiemy, jak daleko ona od nas wypada; znamy wszakże oddalenie niektórych przynajmniéj gwiazd, bieg więc ich istotny łatwo obliczyć możemy, i w ten sposób właśnie poznano, że niektóre suną w przestrzeni z szybkością, która w zdumienie nas wprawia.

Najbardziéj uderzający przykład tak znacznego ruchu przedstawia gwiazdka zaledwie 6 wielkości, zwana 1830 Groombridge (nazwa ta odnosi się do spisu gwiazd kołobiegunowych, sporządzonego przez Groombridge'a w początkach bieżącego stulecia). Paralaksa roczna téj gwiazdy, wyznaczona przez różnych astronomów, wynosi 0,1″, co znaczy, że oddaloną jest na 1,748,000 promieni drogi ziemskiéj (po 150 milionów kilometrów), ruch zaś jéj własny wynosi 7-m sekund w mierze kątowéj. Łatwy rachunek nauczyć nas tedy może, że w ciągu roku przesuwa się ona w przestrzeni o długość równą około 60 promieniom drogi ziemskiéj, zkąd wypada, że na sekundę przebiega około 300 kilometrów.

Liczby wyżéj przytoczone uczą jasno, że wobec szybkości tak niesłychanéj wpływ przyciągający słońca, a tak samo i każdéj innéj gwiazdy, jest po prostu żaden, ale nawet działanie wszystkich gwiazd, całego układu drogi mlecznéj, gwiazdy tak szybko biegnącéj powstrzymać nie zdoła.

Gdybyśmy znali masy wszystkich brył niebieskich i rozkład ich w przestrzeni, możnaby dokładnie obliczyć przyciąganie ich na jakikolwiek punkt dany. Okoliczności tych nie znamy, poprzestać tedy musimy na ocenie przybliżonéj. Ilość gwiazd dostrzeganych przy pomocy najpotężniejszych teleskopów, oceniać można na 80 milionów, dla przeprowadzenia jednak rachunku, o którym tu mówimy, podnosi Newcomb liczbę tę do 100 milionów; przyjmuje on daléj że masa każdéj z nich jest przecięciowo pięciokrotnie większą od masy naszego słońca, i że rozrzucone są po przestrzeni, któréj średnicę światło przebiega w ciągu 30,000 lat. Otóż rachunek taki wykazuje, że bryła spadająca z odległości nieskończenie wielkiéj ku środkowi takiego układu nabiera prędkości 40 kilometrów na sekundę; nawzajem więc bryła, wyrzucona z punktu tego w jakimkolwiek bądź kierunku z szybkością 40 kilometrów, przeszłaby niepowstrzymana cały ten układ gwiazdowy i bezpowrotnie wybiegła w dal nieskończoną.

Ale szybkość tak obliczona stanowi zaledwie ósmą część szybkości gwiazdy 1830 Groombridge; widzimy więc, że rachunek ten prowadzi bezpośrednio do wniosku, że gwiazda ta nie toczy się po

drodze zamkniętéj, na wzór planet układu słonecznego, ale sunie w jednym wciąż kierunku, nie ulegając zgoła przyciąganiu światów, śród których przebiega, obca im, nie wiążąc się z niemi w jeden wspólny, fizyczny układ.

Przywykli do pojęć o bezwzględnéj stateczności wszechświata, oswojeni z myślą, że w budowie jego zachowane są warunki trwałości, że każda gwiazda ma sobie wytkniętą drogę niezmienną, nie łatwo pogodzić się zdołamy z rezultatami takiego rachunku. Przeciwstawić możemy jednak mu ten tylko zarzut, że ogół gwiazd i sumę ich mas oceniono tu zbyt słabo, — może wymiary świata są rozleglejsze, a słońc w nim wielokrotnie więcéj, aniżeli nas uczą obserwacye bezpośrednie i badania astronomów. Choćby wszakże i tak było, to ta szybko sunąca gwiazda, ani powstrzymać się, ani z kierunku swego wyraźnie zbić się nie może, dopóki nie przejdzie najdalszych kresów, do których teleskopy nasze sięgają, a na przebieżenie téj drogi niezmiernéj, pomimo olbrzymiéj swéj szybkości, potrzebuje całych milionów lat. Czy zaś wtedy, pod wpływem nieznanych nam zgoła sił, wróci do pierwotnych swych miejsc, czy téż i daléj biedz będzie po niezależnéj swéj drodze, odpowiedziéć niepodobna.

A nie jest to jedyna gwiazda, ożywiona ruchem tak potężnym. Prof. Schönfeld przytoczył przed laty kilku ich spis i uważa również za rzecz nader wątpliwą czy gwiazdy te krążą w ogóle po jakichkolwiek zamkniętych drogach, czy kiedykolwiek wracają w pobliże miejsc, które przebiegały poprzednio, podobnie jak owe meteory ukazujące się w układzie słonecznym, o których wyraźne świadectwa nam mówią, że biegną po drodze hyperbolicznéj, zatém otwartéj, jakby prostolinijnéj. Znamy układy gwiazd podwójnych, potrójnych, które krążą po drogach statecznych dokoła wspólnego swego środka ciążenia, gdzie astronom wyczytać może w tych odległych stronach niebieskich działanie téj saméj siły ciążenia, która w prawidłowym biegu utrzymuje i nasz układ planetarny; w większych wszakże grupach nie zdołano stateczności takiéj wykazać a gwiazdy tak szybko biegnące wikłają pojęcia nasze o ogólnéj harmonii biegów niebieskich. Jaką rolę odegrywają one w budowie całego systemu, skąd przybywają i dokąd dążą, o ile wnioski z nich wysnute dadzą się odnieść i do innych, napróżno silonoby się dziś odpowiedziéć.

Śród mnóstwa niejasności i niepewności pojęcia nasze o ładzie wszechświata wcale ustalone być nie mogą. Powtarza się tu toż samo, co w każdym ustępie dziejów wiedzy. Zanim nauka zdoła owładnąć całym szeregiem zjawisk i szczegóły podporządkować pod pra-

wa ogólne, każdy fakt nowo poznany, każdy krok naprzód mnoży trudności, wikła zasady, które niegdyś wydawały się proste i jasne. Nie możemy już dziś, jak w dawnych hypotezach Kanta i Lamberta, w ogólnym układzie słońc widzieć obraz powiększony systemu słonecznego. W ruchach gwiazd nie możemy dziś dopatrzéć téj prawidłowości, która nas zachwyca w biegu planet i skłonnibyśmy raczéj byli porównać je do biegu tych zagadkowych gości, którzy raz nam się ukazawszy, nigdy już nie wracają, biegnąc samopas w przestrzeni, po drogach niemal prostolinijnych, dopóki wpływ któregokolwiek słońca nie nada im kierunku nowego. A jak zasób ruchu unoszącego kometę chroni ją od spadku na słońce, tak też bieg własny gwiazd strzeże je w ogólności od katastrofy wzajemnego uderzenia.

Wymiary świata tak są olbrzymie, gwiazdy w tak wielkich przestrzeniach rozrzucone, że pomimo tak szybkiego ich ruchu, gdybyśmy po upływie całego dziesiątka tysięcy lat na niebo spojrzéć mogli, w ugrupowaniu gwiazd i gwiazdozbiorów ledwobyśmy zmianę wyraźną dostrzegli, pomimo więc wszelkiéj nieprawidłowości, która nam się w ruchach wszechświata przedstawia, istniéć on może bezpiecznie przez czas tak długi, że żywot człowieka, pokoleń, całéj ludzkości wreszcie, chwilkę tylko znikomą stanowi. Z myślą wszakże o wiecznéj trwałości świata układ taki pogodzić się nie da, wobec wieczności bowiem lat miljony są chwilką również drobną, jak i dzień jeden, a brak ten stateczności i harmonii w mechanizmie świata nosi w sobie zarody ostatecznéj zagłady.

Choćby wszakże wnioski te, oparte na słabo dotąd zbadanych ruchach brył niebieskich, były błędne, zaprzeczać im z tego tylko względu, że nie zapewniają one wiecznego bytu świata, nie mamy powodu. Dawno już bowiem zrozumiano, że widok dzisiejszy nieba jest fazą tylko jedną jego istnienia. Bryły niebieskie ulegają przeobrażeniom stopniowym, mają historyą swego rozwoju, podobnie jak drobna ziemia nasza, któréj dzieje odczytuje geolog ze śladów w skorupie jéj przechowanych. Pytanie o początku i końcu świata, należy do innéj kategoryi hypotez, opartych na badaniach innego zgoła rodzaju, o które tu potrącać nie będziemy; uczą one jednak wyraźnie, że warunki fizyczne bytu jego zapewniają mu trwałość tylko ograniczoną. A skoro tak jest, możemy pogodzić się i z tym poglądem, że olbrzymi mechanizm świata nie jest urządzony na całą, nieskończoną wieczność: zanim się wyczerpie i zużyje, wcześniéj już może wygasną i zamrą bryły niebieskie, które dziś stanowią źródła światła i życia.

Kończymy na tém rys wiedzy dzisiejszéj o budowie wszechświata. Jeżeli wydaje nam się ona słabą jeszcze i zarodkową zaledwie, to nie zapominajmy, że początek téj gałęzi nauki sięga w rzeczy saméj zaledwie o lat sto wstecz, a nigdzie czas nie jest tak niezbędnym sprzymierzeńcem człowieka, jak przy badaniu olbrzymich zjawisk niebieskich. Sięgając w nieskończoność, stajemy u granic wiedzy, podobnie jak dotykamy przeciwległego jéj krańca, gdy wdzieramy się w nieskończenie drobny świat atomów. W granicach tych ruchy nauki są mozolne, zdobycze jednak wiedzy przekonywają, że nie są one dla umysłu ludzkiego niedostępne.

Stanisław Kramsztyk.

SYNTEZA BADAŃ FILOZOFICZNYCH

NAD DZIEJAMI LUDZKOŚCI.

N. Kariejew. Asnawnyje waprosy filosofii istorii. Kritika istoriosoficzeskich idiej i opyt naucznoj tieoryi istoriczeskawo pragressa. Moskwa 1883. Dwa tomy (str. 450 i 400).

Ilekroć w piśmiennictwie naszém przekładowém—gdyż takiém przeważnie, z konieczności, żywimy się—ukaże się dzieło, ujmujące dzieje ludzkości w jedną ogólną, filozoficzną całość, wzbudza w czytającym ogóle niemałe zajęcie. Jest-to lektura, nie wymagająca zazwyczaj specyalnego wykształcenia, a natomiast rozwija umysł niepospolicie, daje obfity pokarm polotowi ducha, pobudza do myślenia, wzbogaca mnóstwem pierwszorzędnéj wagi wiadomości, wnosi ład w niesystematyczną wiedzę dziejową, spaja je pojęciem ciągłości i wzajemnéj zależności wypadków. Ale ponieważ spolszczone dzieło Buckla i Drapera są jak gdyby oderwane od gruntu, na którym wyrosły, i nie poprzedza ich nic takiego, z czego możnaby wywnioskować, jakie pojęcia panują w filozofii dziejów, przeto ci, co w tego rodzaju pracach szukają klucza do tajemnicy przyszłych losów człowieka i jego duchowego dorobku, i ci, co pragnęliby w nich znaleść wyjaśnienie wielu zagadek wszechświata, z tych nielicznych promieni zachodniego światła skorzystają mało i co najważniejsza, nie dowiedzą się jak obszerną jest zagraniczna literatura poświęcona temu przedmiotowi. A jednak oddawna już pracują nad nim pilnie myśliciele, badacze społeczni, dziejopisowie, i choć żaden z nich nie doszedł do jakiegoś bardziéj ustalonego wyniku, lecz zwiększył tylko liczbę znakomitych często a wzajem wykluczających siebie pomysłów, to jednakże i w téj pstrociźnie poglądów można znaleść odpowiedź na kilka zasadniczych pytań. Co rozumieją uczeni przez historyozofią, jakie uczyniła ona postępy, jakie nadzieje pokładają w niéj, co jest w dotychczasowych jéj zarysach błędnego,

a co może posłużyć za trwałą podwalinę dla dalszéj budowy? Jak znacznym jest zasób nagromadzonego materyału, widać stąd, iż zjawiają się od czasu do czasu utwory przeglądowe i zarazem usiłujące na zasadzie tego, co już w téj dziedzinie uczyniono, wywróżyć przyszłość historyozofii i wyprowadzić ją na szeroki gościniec. Otóż jedną i z takich syntetycznych prób, najświeższą, a przeto mogącą spożytkować jak najwięcéj materyału, jest ogłoszone przez profesora uniwersytetu warszawskiego N. Kariejewa, dzieło, którego tytuł podaliśmy w nagłówku. Ze względu na to, iż wtajemnicza ono odrazu i dokładnie w obecny stan w mowie będącéj nauki, chcemy z niém czytelników zapoznać,—ze względu na to, iż prof. K. działa na naszym gruncie, pragniemy przyjrzéć mu się zbliska.

Rzecz prosta, iż zamiar zwrócenia nieukształtowanéj jeszcze masy dociekań na nowe tory, wywołuje potrzebę uporządkowania jéj treści, to téż w rozdziałach wstępnych, stanowiących poważną część książki, K. rozgląda się szczegółowo w całym obszarze prac swoich poprzedników, i układa je w porządku chronologicznym z podziałem na narodowości. Niezbędne to przygotowanie do krytyki może być poniekąd nazwane prawdziwemi dziejami badań historycznych, albowiem wiadomości zalecają się niezrównaną pełnią, czerpane są u samych źródeł, brane wszędzie z pierwszéj ręki, bezpośrednim zaś celem ich jest prócz służenia za punkt wyjścia osobistym uwagom, ustalenie terminologii i jaskrawe przedstawienie braków i jednostronności różnych pisarzów. Autor całą sumę dążeń i myśli, oznaczanych zazwyczaj najróżnorodniejszemi mianami, dzieli na trzy szeregi przedmiotów, odpowiadające według niego trzem pokrewnym wprawdzie, lecz odrębnym naukom: socyologii, historyozofii (1) i filozofii historyi. Pierwsza obejmuje ogół praw rozwoju i współistnienia objawów społecznych, trzecia zawiera same dzieje ludzkości, widziane z lotu ptaka, z ogólnie filozoficznego punktu widzenia, innemi słowy wiąże jakąś oderwaną ideą minione koleje człowieka, druga wreszcie zajmuje się temi zasadniczemi poglądami intencyami, wskazówkami innych dziedzin, które są koniecznemi dla utworzenia saméj filozofii dziejów,—czyli inaczéj jest jéj teoretyczną stroną, jéj rusztowaniem. Tyle głów mozoliło się i mozoli jeszcze nad każdym z tych trzech kierunków niezależnie od dwu innych, i niezależnie od saméj historyi i filozofii, że każdemu z osobna przyznać można i należy byt samoistny, jako samodzielnéj nauki.

---

(1) Nazwę tę, rzadko kiedy przez uczonych używaną, podsunął głównie autorowi Cieszkowski w dziele swém „Prolegomena zur Historiosophie."

Za daleko byśmy zaszli, gdybyśmy chcieli w zwięzłem choćby streszczeniu podać ten faktyczny dział pracy. Za to doniosłemi są wyciągnięte zeń wnioski krytyczne i tych pominąć nie możemy.

Czynnikiem, który największą może gra rolę we wszystkich próbach filozofii historyi i najczęściéj napotkać się daje w pracach téj treści, jest pojęcie prawa w zjawiskach życia dziejowego. Jest-to niewątpliwie ważnym krokiem naprzód, że przyzwyczajono się nie tylko zjawiska natury otaczającéj i duchowéj ale i społecznéj podporządkowywać niezmiennym prawom, lecz w zastosowanie do historyi jest to błędem. Kar. silnie nań uderza i wykazuje, że niejeden pisarz widział całą niewłaściwość i bezzasadność praw dziejowych. Źródło ich tkwi w niedokładném odróżnianiu faktów typowych, z jakich się składa życie społeczeństw w ogóle, od zdarzeń indywidualnych, szczególnych, które stanowią ogniwa dziejowego łańcucha. Możemy odkrywać stale prawidła stosunku rzeczy jednorodnych, ale nie różnorodnych, a takiemi właśnie są wypadki historyczne: każdy z nich jest jedynym, nie powtarza się z ścisłą tożsamością nigdy, ma swoję osobnikową właściwość, swoje odrębne warunki. P. K. kładzie główny nacisk na ten ostatni zwłaszcza wzgląd, na fakt niepowtarzania się historyi i w nim widzi główną przyczynę zwodniczości wszystkich „praw dziejowych.“ W istocie wiele przemawia za tém, ale czyż np. w obrębie stosunków społecznych lub duchowych łatwiéj jest znaleść zupełnie podobne do siebie wydarzenia i objawy? Czy, mając np. przed sobą kilka rzeczywistych dowodów zależności wyobraźni od przyrodniczego otoczenia, jeden wzięty ze świata indyjskiego, inny z Egiptu, inny wreszcie z Grecyi możemy powiedzieć, że wszystkie są identyczne? Bynajmniéj. Dopiero my je czynimy takiemi, my je dopiero w myślowym warsztacie ogałacamy z jednostkowych cech i sprowadzamy do wspólnego mianownika,—a czy z historyą tak samo postępować nie można? Nie—bo jeśli jéj zjawiska obedrzemy ze specyficznych rysów, jeśli je oderwiemy od osób, które w nich działały, od miejsca i czasu, staną się znowu typami, a nie indywiduami, i prawa zachodzącego między niemi związku będą znowu należały do zakresu socyologii. Nie dla tego więc historya nie ma swych praw, że się nigdy nie powtarza—nie trudno-by dowieść, że reguła ta ma wyjątki—ale że istota jéj jest czysto zjawiskowa, i z chwilą, gdy tę własność jéj odbierzemy, zejdzie na naukę o społeczeństwie, a przestanie być życiorysem ludzkości. Tę zasadniczą różnicę wybornie uchwycił i określił austryacki uczony Menger w swém świeżo ogłoszoném dziele o „Metodzie nauk społecznych.“ Naszém zdaniem, twierdzenie autora wystarczająco popiera osobnikowość faktów dziejowych; choćbyśmy dwa między niemi łudząco do siebie podob-

ne znaleźli, to zawsze jeszcze dzielić je będzie czas lub miejsce. Że się wydarzył w tym a tym momencie, w téj a téj miejscowości, to stanowi indywidualność wypadku dziejowego; historya, jak to gdzie indziéj sam autor wyśmienicie udawadnia, jest zewnętrzną, zjawiskową stroną socyologii i z tego już wypływa, że pozbawić ją tych okoliczności osobliwych, wśród których się objawia, jest to sprowadzić ją do téj ostatniéj. Drugi argument, że wypadki się nie powtarzają w całym poczcie towarzyszących im innych pomniejszych wypadków, przyczyn i skutków, mało jest przekonywającym, albowiem komu udałoby się zadać kłam temu szperaniem w przeszłości, ten byłby upoważnionym do wierzenia w „prawa dziejowe.“

Bądź-co-bądź, autor, chociaż wezwał do pomocy aż dwa dowody i tém dowiódł, że każdy z nich jest dosyć słabym, zachwiał wiarę w istnienie „praw historycznych“, na które niechętnie spoglądali już Bucher, Gobineau, Funk-Brentano, Spencer i wielu innych. Łatwo odgadnąć wszakże, że Kar. nie jest stronnikiem nauki o bezwzględnéj wolności woli. Wszystko co się dzieje, co zapełnia karty historyi, dzieje się na mocy praw społecznych, życiowych, duchowych, *jest ich wyrazem*, ale dodać należy jednocześnie, nie dzieje się fatalistycznie. Wielu pisarzów mniema, iż dopuszczając prawa, rządzące sprawami ludzkiemi, musimy zarazem wierzyć w fatalizm, podobnie jak wielu psychologów twierdzi, że przyszłość człowieka jest ustaloną już w chwili jego narodzin i nic téj z góry wytkniętéj drogi zmienić nie zdoła. Autor przez zastosowanie tego rozumnego poglądu na wolność woli, jaki wyrobili sobie myśliciele najnowsi, a zwłaszcza angielscy, że mianowicie, koniecznėm jest tylko umotywowanie czynne, myśli lub woli, sam zaś wybór tego lub owego popędu zależy od mnóstwa przyczyn wewnętrznych i zewnętrznych— rozstrzyga umiejętnie spór o fatalności, jasno wykazując, że w miarę wzrostu oświaty, moralności, nieprzeparte z początku wpływy podań, otoczenia, wychowania słabną i coraz niebezpieczniejszego znajdują przeciwnika w rozwijającéj się niezależności i samowiedzy. Można zawsze być pewnym, iż dany postępek lub uczucie miał swojego poprzednika, sprawcę jednego lub wielu, lecz choćbyśmy najgruntowniéj znali umysłowość danéj osoby, nie będziemy wstanie przewidzieć jej przyszłych kolei. Tak samo ma się z historyą, a z postępem niemożność ta potęguje się. Ścieżki, któremi kroczy ludzkość, są tak kręte, tak pełne niespodzianych zboczeń, zwrotów w bok i wstecz, że poddać je stałym prawidłom jest mrzonką, a cóż dopiero przepowiedzieć je.

Jedna uwaga nie będzie tu zbyteczną. Przekonanie o nieugiętości raz stworzonego stanu rzeczy, które równa się wierze w prze-

znaczenie, może występować pod rozmaitemi postaciami, stosownie do tego, czy się przez czarne czy różowe szkła na świat spogląda. Pesymista i optymista jednakowo mogą być pewni niezmienności pierwotnego położenia, lecz jednego ona usposabia do ponuréj zadumy, drugiego napełnia otuchą. Otóż pierwszy będzie miał zupełną słuszność, jeśli powie, że nawet nie będąc fatalistą, trudno dopatrzéć się wielkiego polepszenia, że gdyby nawet w gruncie rzeczy przeznaczenia nie było, to istnieje ono *faktycznie*. Wobec mnóstwa, czyhających na dobro nasze pierwiastków rozkładowych, oględniej jest utrzymywać, że stoimy na jedném miejscu, niż że się poruszamy.

Ale idźmy daléj. To, co najbardziéj podkopuje fatalizm, odbiera też podstawę wszystkim pomysłom historyozoficznym, na nim zbudowanym. Większość najznakomitszych przedstawicieli tego kierunku badań skrycie lub jawnie, świadomie lub częściéj jeszcze nieświadomie wprowadzała w dzieje zasadę przeznaczenia, tylko że każdy w inną przyoblekał ją szatę. Jedni, jak Hegel, w pochodzie historycznym widzieli wyraz wewnętrznego procesu wszechświata, rozwijanie się ducha bezwzględnego, absolutnéj idei, pewnego jak gdyby logicznego postulatu, ma on przechodzić przez trzy okresy; jest z początku twierdzeniem, późniéj zjawia się zaprzeczenie a w końcu zaprzeczenie zaprzeczenia czyli pogodzenie pierwszego z drugiem. Duch świata, dążący do samowiedzy toruje sobie drogę przy pomocy pojedyńczych epok i ludów i każe każdemu z nich wyrażać pewien moment, pewien żywioł tego dążenia. Postępuje on sobie rozkazodawczo, na nic się nie ogląda,—losy państw to w jego ręku martwe a posłuszne narzędzia, albo raczéj naczynia jego składowych części. Starożytne narody np. wyrażały okres drzémki ducha bezwzględnego, świat klasyczny porę jego budzenia się i zagłębiania w siebie, germanizm jego ostateczne wyzwolenie. Ponieważ nie wszystkim ludom historycznie udało się narzucić posłannictwo i służbę, którąby rzeczywistość stwierdzała, przeto wynikły stąd niezliczone naciągania, fałszerstwa naukowe jak np. przypisywanie niemcom roli najwydatniejszéj w dramacie wszechświatowym, roli oswobodzicieli ducha i, co za tém idzie, ideału. Stąd téż słynna formułka: „to co jest, jest rozumném, bo wypływa z toku historyi,“ stąd także... przychylność rządu dla nauki Hegla i jego uczniów. Inni widzą w dziejach ludzkości wyraz i rozwój idei bożéj, jak np. Bossuet i po części Laurant, działalność człowieka jakkolwiek chodzi w parze z pracą Boga i często na pozór ściera się z nią, w gruncie rzeczy jest podwładną jego celom; rozumie się, że i tutaj trzeba było różnym ludom powierzyć rozmaite misye według powziętego z góry planu.

Nawet w teoryach pisarzów, których szczególnie cechować powinna trzeźwość i przedmiotowość i którzy głoszeniem jéj zajmowali się specyalnie, nie brak planowości i celowości. Twórca pozytywizmu, August Comte każe przechodzić myśli naszéj przez trzy kolejne stadya: teologiczne, metafizyczne i pozytywne, naginając w odpowiedni sposób rzeczywistość do swéj konstrukcyi sztucznéj, naturalnie, z ogromnym uszczerbkiem dla prawdy.

Każda z wymienionych szkół wraz z wieloma ich odcieniami hołduje fatalizmowi, kto podciąga fakta pod pewne, poniekąd z palca wyssane, szemata, staje się prorokiem lub jasnowidzącym,—zakrada się w tajemne plany przyrody, tak przynajmniéj ludzi się—a niczém nie udawadnia, że plany takie są czemś więcéj nad prosty wymysł. Jeśli tylko wytykamy dziejom drogę i zmuszamy trzymać się jéj niewolniczo, jesteśmy szermierzami wiary w przeznaczenie. Nic łatwiejszego, jak przekonać się, że prócz samowoli nic celowości w dziejach nie usprawiedliwia. Przypatrzmy się chaosowi wiecznemu wypadków. Każdy zakątek ziemi podlega innym przyczynom, innym warunkom, w każdym boryka się z sobą bezustannie nieskończoność naturalnych, społecznych, duchowych czynników,—jakże więc możemy orzec, co się z tego ogłuszającego wiru jutro wyłoni. Ale przypuśćmy na chwilę, że ten bezmiar działających w danéj miejscowości żywiołów poznaliśmy, przypuśćmy, że nawet zbadaliśmy względną siłę każdego z nich—czyż już zagadka rozwiązana i horoskop przyszłości gotowy. Bynajmniéj. Toż skąd inąd mogą przybyć i w grę wejść tysiące nowych, nieznanych zjawisk. Wszędzie panuje ruch, dążenie, walka. Wędrówka narodów i wtargniocie Hunnów wydadzą się nam koniecznemi teraz, gdyśmy wyśledzili co się działo wówczas w Europie i Azyi—ale czyż przed wydarzeniem, przy najlepszém choćby rozumieniu europejskich stosunków, można było fakt podobny uważać za niezbędny? Odpowiedź prosta. W takim tylko razie, gdyby znano również dobrze stan rzeczy w Azyi i milion innych przyczyn dziejowych, naturalnych, społecznych, narodowo-psychologicznych, jakie zwykle składają się na doniosły przewrót. Konieczność wypadków czujemy w duszy, bo wiemy, że nic bez przyczyny się nie dzieje—przyczyny te możemy w najlepszym razie przybliżenie wskazać *post factum*, ale naszkicować plan wypadków jestto nakreślić linją geometryczną, któraby wyobrażała drogę pływającéj w rzece ryby lub szybującego po niebie orła. Bieg historyi to nie jeden określony, ale mnóstwo wzajem krzyżujących się, z najrozliczniejszych źródeł, pochodzących prądów. Wypadek dziejowy nie jest niczém innem, jak względnym przypadkiem dla postrzegającego człowieka, który jego niezliczo-

nych sprężyn dostrzedz a więc zapowiedziéć nie jest wstanie. Łącząc dzieje najbardziéj obcych sobie narodów w jednę całość, którą nazywamy historyą ludzkości, rozumujemy podmiotowo, wplatamy w kalejdoskopową mieszaninę nić czerwoną, w postaci idei subjektywnéj; mamy do tego najzupełniejsze prawo, ale nie należy ani na chwilę zapominać, że czynimy to empirycznie, świadomi tego, że w rzeczy saméj losy odległych od siebie w czasie i przestrzeni ludów my sami powiązaliśmy w jeden łańcuch.

Filozofia dziejów czysto przedmiotową być nie może. Jak z jednéj strony wymyślanie planu i przypisywanie opatrzności takiego lub owakiego celu wkracza w dziedzinę mistycyzmu, myśli całkowicie podmiotowéj, tak z drugiéj bez uzupełnienia osobistego historya ludzkości obejść się nie może.

Podmiotowym jest zwyczajny historyk, gdyby takim nie był, nie wiedziałby jakie fakta ma wybrać, którym przypisać większe znaczenie, które ma uważać za dodatnie, a które za ujemne; samo grupowanie ich w pewnym szeregu i rozbiór ich znaczenia jest czynnością podmiotową. W nieskończenie wyższym stopniu stosuje się to do filozofa dziejów, który ma do czynienia z całą ludzkością, całą jéj przeszłością. Bez łącznika podmiotowego wszelka, miejscowa czy ogólna historya będzie martwą kroniką, a nawet mniéj jeszcze, bo i ta kieruje się, jakąś przewodnią ideą. Ale prócz łącznika, filozofia dziejów powinna nastręczać coś innego jeszcze, co by usprawiedliwiało jéj naturę filozoficzną, mianowicie pojęcie *oceny*. Wypadki mają swoję stronę podmiotową, więc opis ich ma ją podwójnie. Uczony własnym sądem oświetla zajścia, które już były sądzone przez zainteresowanych w nich ludzi, każda chwila dziejów obchodzi żyjących w niéj; jest pożądaną, lub przeklinaną, postępem lub cofnięciem się, szczęściem lub niedolą. Jeśli więc prosty spis wydarzeń nie może być wolnym od podmiotowości, jakże konieczną jest ona w nauce, która zastanawia się nie tylko nad ich doniosłością dla współczesnych, ale i dla przyszłych pokoleń, dla całéj wreszcie ludzkości. Bo filozofia dziejów ocenia wszystko ze stanowiska upragnionéj przyszłości. W tém tkwi jej pierwiastek idealny, nawskróś podmiotowy. Uznawali go wszyscy, nie wyłączając tych, co w pomyślność i postęp nie wierzą; czém bowiem jest zgorzkniałość pessymistów, jeśli nie rozczarowaniem wynikłem z porównania rzeczywistości z ideałem. Każda bez wyjątku filozofia dziejów ukrywa na dnie swojém kryteryum idealne: jest ono uprawnionèm i koniecznèm. Wyrzućmy je a zobaczymy wnet, że szereg sprzężonych z sobą pojedyńczych stanów rozsypie się w kupę faktów bezmyślnych. To téż nieco poetycko brzmią teorye, w których podmiotem i przedmiotem

dziejów nie jest zbiorowy człowiek, lecz jakiś niezależny od niego proces świata; w których sprawy ludzkie grają tylko rolę wyobraziciela jakiejś samoistnéj oderwanéj idei. Ogniskiem biegu dziejów jest człowiek, on tu jest jedynie zainteresowanym—reszta go nie obchodzi. Autor słuszną tę zasadę popiera zaznaczeniem zmiany, jaka się teraz dokonywa w rozmaitych gałęziach wiedzy, np. w lingwistyce, gdzie zaczęto badać języki wspólnie z człowiekiem, ich twórcą, lub w nauce prawa, które dotąd badano w oderwaniu, a obecnie tylko w związku z podmiotem.

Filozofia dziejów tedy brata się z idealizmem; lecz mylném byłoby mniemanie, że sojuszowi temu towarzyszy drugi z metafizyką. Losy ludzkości nie są streszczeniem losów wszechświatowego ducha,—a jeśliby nawet tak było, niktby dowieść tego nie potrafił i tak czy owak, filozofia historyi mało się o to troszczy,—zadania jéj w niczém to nie ułatwia, lecz natomiast prowadzi na manowce. Ale i na szerokim gościńcu myśli pozytywnéj nie umiano trzeźwej podmiotowości zamknąć w należytym zakresie i niezbędnemu pierwiastkowi idealnemu dodano całkiem zbyteczny orszak osobistych zapałów, względów, przesądów i jednostronności; są one skutkiem bądź społecznego, bądź naukowego stanowiska autorów, bądź szowinizmu lub wreszcie wyłączności wyznaniowéj. Najpospolitszemi są dwie kategorye błędów: wyróżnianie swego ojczystego narodu z pomiędzy innych, tj. wyznaczanie mu osobliwie ważnéj roli w dziejach świata, i utożsamianie przebiegu historycznego z rozwojem jakiéjś szczegółowéj strony życia społecznego. Wiadomo, że Hegel a z nim i wielu jego rodaków stawiali ojczyznę swą ponad zwykły poziom, Buckle w przeszłości Anglii widział jedyny przykład normalnego rozwoju państwowego, Gioberti napisał ogromne dzieło, w którém drobiazgowo usiłował dowieść, że Opatrzność naród włoski powołała do obrony i przechowania kapłaństwa katolickiego, oraz wielu innych dóbr cywilizacyi, Guizot porównywa oświatę swego kraju z kulturą innych ludów i wyprowadza wniosek, że Francya najprawidłowiéj odtwarza ogólny typ, zasadniczą ideę cywilizacyi itd. Każdy naród, i naszego nie wyłączając, jest skłonny, na podobieństwo przysłowiowych w tym względzie żydów, do przypisywania sobie roli uprzywilejowanéj w dziejach ludzkości. Drugiego rodzaju jednostronność jest objawem nie mniéj częstym. Historyozof najchętniéj zześrodkowuje byt ludzkości w téj jego gałęzi, którą się specyalnie zajmuje. H. Taine niedalekim jest od wyraźnego oświadczenia, że rozwój sztuki jest rozwojem społeczeństwa, Comte do rozwoju pojęć religijnych sprowadza całą historyą, Du Bois Raymond do postępu nauk przyrodniczych; u innych wyłączność owa staje się jeszcze bardziéj zna-

mienną. Liebig doniosły fakt wyrodzenia się starożytności klasycznéj tłomaczy nieumiejętną uprawą ziemi i wycieńczeniem gruntu; Gregorovius'a w losach średniowiecznego Rzymu zajmuje przedewszystkiém archeologia, Schleicher uważa rozwój języka za główną stronę dziejów ludzkości. Nie brak takich co do téj saméj godności wynoszą stopniowe ulepszenie przyrządów wojennych. Słowem umieszczano środek ciężkości dziejów wszędzie, tylko nie w prawdziwém centrum: ludzkości saméj. O ile wszakże tego zakroju podmiotowość obniża wartość dzieła, o tyle płodny stanowi przyczynek dla systematów, bardziéj wielostronnych. Zestawienie przez Kariejewa piśmiennictwa niemieckiego z francuskiém jasno wykazuje, iż chociaż oddzielnie wzięte grzeszą powyższą jednostronnością, atoli razem znakomicie się dopełniają, pierwsze zgodnie z duchem narodu stwarza wspaniałe przeglądy i rozbiory życia umysłowego i estetycznego, śledzi ruch filozoficzny, drugie—rozwój urządzeń społecznych, bieg spraw bezpośrednio człowieka dotyczących. Na takich podwalinach łatwiéj wznieść nader złożony gmach filozofii dziejów.

Wobec takiego rdzennego burzenia praktykowanych dotąd sposobów uogólniania dziejów, natarczywie nasuwa się pytanie, jak należy postąpić by jednostronności, do któréj tak niepohamowanie prze nas charakter naukowy lub narodowy, uniknąć? Czy opisać oddzielnie przeszłość nauki, filozofii, moralności, religii, prawa, sztuk pięknych, polityki, zszyć je następnie i podać za jedną historyozoficzną całość? Syzyfowa byłaby to praca, bo koniec końców, nie doprowadziła by do pożądanego celu. Byłaby ona zawsze tylko historyą różnych abstrakcyj, tworzących duchową sferę człowieka, ale nie historyą saméj ludzkości. Nadto, trąciła by niewybaczonym optymizmem, albowiem przedstawiałaby pogodny, gładki postęp istot oderwanych od rzeczywistego padołu łez, gdzie-niegdzie przeplatanych śmiechem. Nie o koleje myślowych odkryć chodzi prawdziwéj filozofii dziejów, nie o losy człowieka, jako głosiciela i wyznawcy pewnych umysłowych kierunków, ale o losy jego, jako osobistości czującéj, radującéj się szczęściem, smucącéj niedolą i dążącéj do jaknajwiększéj sumy dobra. Jeśli utkwimy wzrok w oddalone wieki przyszłości i z ich punktu widzenia, tj. ze stanowiska ostatnich pokoleń rozbierać będziemy to, co się w danem stuleciu działo, wypadnie, że przedmiot naszéj oceny, człowiek danego okresu, będzie tylko ślepem i niemém narzędziem dobrobytu swych najpóźniejszych potomków, że pracujemy w pocie czoła dla tych, co mają przyjść ostatni, że poświęcamy dziś dla jutra. Taka krzycząca niesprawiedliwość nie może należéć do zasad bezstronnéj nauki. Służyć dobru nie własnemu i nie powszechnemu, ale najodległejszéj genera-

cyi, to rola niezaszczytna a przedewszystkiém niewdzięczna, któż nam opłaca nasze troski i mozoły, byśmy mieli zrzec się prawa należenia na równi z praprawnukami do historyi, dla czegóż nasza dola ma być pomijaną milczeniem, a życie naszych następców głośno opiewaném? Niewątpliwie ideał kieruje naszym sądem, lecz przecież nietylko całość do niego dąży ale i pojedyńcze cząstki i przeto nietylko powinniśmy wykazać, jak daleką jest wypadkowa całéj przeszłości od ideału, lecz jak dalekiemi były od niego i oddzielne okresy.

Taki protest założyć może teraźniejszość i przeszłość przeciw nauce, którąby je uwzględniała o tyle jedynie, o ile stanowią przygotowanie do ostatecznych szczebli przypuszczalnego postępu. Historya składa się ze zmian, mających dwie właściwości: dotyczą chwili bieżącéj i wpływają na dalsze momenta. Stąd jak gdyby dwa dziejowe prądy: jeden bardziéj realny wyobraża linią łamaną, zygzakowatą, z któréj widać, że chodzimy po omacku i raz wraz zawracamy w tył,—drugi idealny przedstawia linią prostą, czyli ogólny pochód rozwoju, innemi słowy—tę resztę, która pozostaje po odcięciu liczby kroków wstecznych i kosztownych od całéj sumy dziejowéj wędrówki. Stąd znowu wypływa doniosła prawda metodologiczna, że w łańcuchu dziejów, ogniwa, zarówno pierwsze, jak końcowe potrzeba uwzględniać, zaznaczać nie tylko blask ich ogólny, ale i ukrytą rdzę i pleśń każdego z osobna. Wynosząc wielką reformę lub ważny nabytek, nie można zapominać o nakładzie ofiar, jakie dla nich ponosił ogół.

Znamienne piętno wieku stanowi w dziele K-a ujmowanie się żarliwe za osobistością ludzką. Jest to drogocenna spuścizna tego przełomu, jaki wywołały dążenia zeszłego i naszego wieku w poglądach na istotę i godność człowieczą. Poszanowanie dla pomyślności jednostek uwydatniła już przedtém historya w pilném śledzeniu spraw materyalnych, z kolei więc humanitarność ta musiała się odbić echem donośném w filozofii dziejów. Jakoż odgłos ten słyszymy w niniejszym dziele wyraźniéj niż gdzie indziéj. Inny jeszcze rys czasu dał autorowi pożyteczną wskazówkę; oto bezwględne potępianie nie tylko istniejącego, ale w ogóle każdego porządku rzeczy, pesymizmu w literaturze, ekonomii społecznéj i filozofii. Żyjemy w dobie ogólnego niezadowolenia i skarg, i przeto umysły, nie rządzące się nastrojem melancholijnym w poważném badaniu, po odrzuceniu przesady w gorzkich żalach, znajdują w nich zdrowe jądro śmiałéj krytyki, pochop do uważniejszego przyjrzenia się sprawie ludzkiego szczęścia. Jeśli się nie mylimy, z tego to probierza skorzystał głównie autor, wysuwając naprzód potrzebę rachowania się z własném zda-

niem rozmaitych pokoleń o ich doli i niepoprzestawania na zgłębieniu ich wpływu na dalsze losy świata.

Teraz nie trudno już sformułować dokładnie zadanie filozofii dziejów. Ma ona przedstawiać przeszłość, w rysach ogólnych, z pominięciem wypadków drugorzędnych, oceniać ją miarą dobrobytu i postępu, prząść życie ludów i epok w jedną nić, *o tyle tylko, o ile na to pozwala, idealny związek rozwojowy*, nie narzucać jedności tam, gdzie jéj niema, szukać przyczyn każdego pojedyńczego stanu tak, by żaden nie był zawieszonym w powietrzu lecz opierał się na sprężynach, które go w istocie zrodziły.

Wszystkie te prawidła wysnute są z gruntownéj krytyki dotychczasowych szkół historyozofii, pod tak zawsze pożądaném godłem przedmiotowości. Nie zgodzi się na nie ten tylko kto nie rozumie filozoficznéj historyi bez domieszki mistycyzmu lub metafizyki; obalenie dotychczasowych jéj podstaw jest zarazem zagładą wszelkich osobistych, a niczém nieusprawiedliwionych przepowiedni, w rodzaju rozkładu dziejów na stereotypowy wiek dzieciństwa, wątpliwości, dojrzałości itd., który znajdujemy u Drapera, lub podziału na okresy siedmioletnie z wyliczeniem wypadków, które w każdym z nich stać się powinny. W téj części krytycznéj swego dzieła, prof. Kar. nie stąpa po gruncie dziewiczym, owszem tu i owdzie rozmaitemi czasy przebąkiwano o bezpodstawności różnych historyoficznych nałogów, że wspomnimy tylko Krausego, Ferrarego, Villarego, Lotzego. W całém piśmiennictwie przedmiotu znaleść by można całą krytykę, ale w pojedyńczych utworach — tylko rozproszone wzmianki analityczne, ginące w ogromie syntetycznych wywodów. Autor więc niewiele zawdzięcza swym poprzednikom, albowiem niepodobieństwem było te okruchy dotrzedz, wygrzebać i zlepić w jednę harmonijną całość; mogą one co najwyżéj chlubnie potwierdzać jego dowodzenia, ale w niczém samodzielności nie nadwerężają.

II.

Gdyby dzieje ludzkości były po prostu wyliczeniem w porządku chronologicznym ważniejszych wypadków, odkryć, wynalazków i rozmaitych zdobyczy cywilizacyjnych, zadanie prof. Kariejewa byłoby już spełnioném, ale jak się powiedziało, wybitne miejsce zajmuje podmiotowa strona naszéj nauki: idea postępu. Trzeba więc było ten najtrudniejszy dział należycie rozwinąć, umocnić. On téż zapełnia drugi i ewentualnie zajmie trzeci tom dzieła. Żywioł przedmiotowy nie tyle wymagał ugruntowania, ile oczyszczenia z wszelakich postronnych naleciałości, a pierwiastek idealny, jeśli chce rościć

pretensyą do czegoś więcéj niż one, winien być starannie zbadanym i rozebranym aż do włókien i wspartym na podstawie niezachwianéj. Nie dosyć jest zapowiedziéć, że mierzenie dziejów zasadą postępu nie zadaje kłamu rzeczywistości, bo może jéj wystawić zarówno pochlebne, jak najnieprzychylniejsze świadectwo, — potrzeba jeszcze określić istotę postępu, dowieść możliwości jego, zbadać prawa. Te i mnóstwo pokrewnych im pytań stanowią właściwie przedwstępne czynności filozofii dziejów, co według terminologii przyjętéj przez prof. Kar., równałoby się prawdziwéj historyozofii. Atoli i ta ostatnia wymaga badań przygotowawczych, któreby wyświetliły sam historyczny proces, działające w nim czynniki społeczne, życiowe i duchowe. Z saméj natury dziejów wypływa, jak wiemy, ich zjawiskowość w przeciwieństwie do wywołujących ją przyczyn, które należą do nawskróś odrębnéj dziedziny praw (nomologii w przeciwstawieniu do fenomenologii). Otóż wszystkie te prawa socyologiczne, biologiczne i psychologiczne, których wytworem, objawem zewnętrznym, są indywidualne wypadki, muszą być najpierw wykryte. Autor wkracza zatem w obręb odnośnych gałęzi wiedzy.

Ażeby namacalniéj wyobrazić sobie znaczenie nauk o życiu, społeczeństwie i duszy dla zrozumienia dziejów, przypomnijmy sobie niektóre ustępy z dzieł Buckle'a, Drapera, Hellwalda i Taine'a. Pierwszy zdobył sobie niespożytą sławę znakomitym zarysem wpływu otaczającéj przyrody na charakter narodu, który teraz Spencer i inni tylko szczegółowiéj rozwijają. Drugi poszedł za jego przykładem i całą kulturę Egiptu umiejętnie wyprowadził z miejscowych warunków klimatu i gleby. Hellwald żywcem przeniósł do historyozofii teoryą walki o byt w świecie ożywionym; ostatni wreszcie cały mechanizm dziejów sprowadza do działania praw psychologicznych. W naszych czasach stało się anachronizmem, przesądem niemal, nie wciągać w grę czynników pozadziejowych i nawet historycy pojedynczych ludów obierają wymaganie to za punkt wyjścia. Tak np. Ernest Curtius w swej „*Geschichte des Griechenland*“ długo zatrzymuje się nad zaletami wybrzeży Hellady, polityczną rolą pasm gór, przerzynających ją w rozmaitych kierunkach i rozkawałkowujących na drobne jak gdyby samodzielne kraiki itd.. Słowem, w miarę jak tegoczesne pojęcie przyczynowości wypiera dawne wierzenia o luźnym związku wydarzeń, hasło dochodzenia praw i przyczyn toruje sobie coraz potężniéj drogę.

Odbiegliśmy na chwilę od przedmiotu, by wykazać, jak niechybném jest wplecenie w badania historyozoficzne wszystkich umiejętności, rzucających światło na naturę społeczeństwa, towarzyskiego bytu i rozwoju. Prof. Kar. w tym względzie stanął na wysokości

swojego zadania. Nie tylko bowiem szeroko uwzględnił pomocnicze (nomologiczne) nauki, nie tylko wycisnął z nich tyle w nie przyczynowego pierwiastku, ile się dało, ale i podjął pracę dla ich własnego dobra, wniósł mnóstwo poprawek, rozpatrzył krytycznie, łącząc tym sposobem dążenie specyalne z ogólnie naukowém.

Najwięcéj zyskała nauka o społeczeństwie, albowiem ona bezpośrednio jest spojoną z dziejami ludzkości. Ponieważ jednakże socyologia, jako nauka samodzielna, jest jeszcze w okresie niemowlęctwa, nie posiada jasno sformułowanego zakresu, błąka się jeszcze po omacku i żywi często kosztem biologii i psychologii, przeto nasamprzód należało ją od sąsiadek oddzielić. Takie rozpoczynanie *ab ovo* nie wychodzi rozumie się na korzyść dziełu, gdyż nić rozumowania rwie się tym sposobem na kilka sztuk i utrudnia śledzenie myśli przewodniéj. Autor bowiem wychodzi z klasyfikacyi nauk Comte'a i drogą krytycznego rostrząsania usiłuje wskazać w niéj należyte stanowisko socyologii. Zanadto oderwały jego uwagę ogromne luki pozytywnego rozkładu nauk i z całą gorliwością zwolennika szkoły zajął się ich zapełnieniem, zapomniawszy o jednej drobnostce, że... we względzie tym dawno już ubiegli go inni. Że Comte wyparł się psychologii, a na jéj miejscu posadził tyle już razy wyśmiewaną frenologią Galla, w której umiejscowienie władz umysłowych bardzo żywo przypomina uszykowany oddział ołowianych żołnierzy; że od zjawisk życia przeszedł wprost do zjawisk społecznych, tego mu nie wybaczano nigdy, sprostowanie nie dawało na się długo czekać, a najbardziéj uwydatniło się w „Syntezie" Herberta Spencera, u Milla i wszystkich niepodległych pozytywistów. Prof. Kariejewowi jednak świadomość tego stanu krytyki nie przeszkodziła zaprzątnąć się nią osobliwie. Wprawdzie głównym celem jego była inna jeszcze zmiana: wciśnięcie mianowicie między naukę o duszy i naukę o społeczeństwie — *psychologii zbiorowej*, lecz przecie również łatwo uczynić się to dawało po przyjęciu pierwszego błędu za dawno naprawiony. Pasowanie nauki o duchu w życiu zbiorowém na niezależną umiejętność jest rzeczą istotnej wagi. Przeskok od psychologii osobnikowéj do socyologii jest zbyt raptownym i niemasz w nim tego stopniowania, jakie cechuje pierwszą połowę szeregu rozklasyfikowanych nauk. Według zasady Comte'owskiego porządku, prawa danej gałęzi wiedzy są prawami bezpośrednio ją w szeregu poprzedzającéj *plus* czemś jeszcze specyficzném. Owoż prawa zjawisk społecznych równałyby się w takim razie prawom duchowym, a nadto swoim własnym, lecz owa własna zwyżka, owo *plus* jest tak wielkie, że powinno podług autora być rozpołowioném i w pierwszéj swéj części nazwaném psychologią zbiorową. Silnie przemawia za tém okoliczność, że

w rzeczywistości gromada istot obdarzonych duszami nie tworzy jeszcze społeczeństwa i nawet dlań gruntu nie przedstawia, lecz ażeby ono powstać mogło, potrzebném jest wzajemne oddziaływanie na siebie osobników, wytwarzające nową zupełnie dziedzinę zjawisk duchowych. Na tle téj bezustannéj wymiany myśli i uczuć może dopiero kiełkować towarzyska wspólność interesów, leżąca w zasadzie każdéj organizacyi. Kar. dowiódł subtelnego rozumienia rzeczy tém wykończeniem klassyfikacyi nauk, ale nastręcza się nam pytanie, czy dla sprostowania pojęć, zresztą bardzo słusznego, opłacało się potrącać o samą klassyfikacyją, czyż nie wystarczyłoby całkowicie położenie nacisku na doniosłość zbiorowo-duchowych zjawisk. Mówimy to dlatego, że, po pierwsze, rozstrzeliwa to uwagę autora i czytelnika na mnóstwo przedmiotów, a powtóre, wszelką klasyfikacyą, a więc i tak genialną nawet, jak pozytywistyczna, należy uważać za rzecz nietrwałą, podlegającą z biegiem czasu, rozmaitym przeobrażeniom. Chcąc wydoskonalić w mowie będący szyk i ogniwa sprowadzić do jednej miary, wypadałoby może więcéj jeszcze zastrzeżeń zrobić. Czyż np. przyrodnik nie miałby prawa rozdzielić biologią na dwa szczeble: naukę o życiu w ogóle i naukę o życiu psycho-fizyczném; czyż między pierwszém a drugiém mniejsza odległość, niż między psychologią jednostkową, a zbiorową? Nie sądzimy; różnica między rośliną a zwierzęciem dorównywa różnicy między wytworem ducha osobnikowego, a wytworem ducha zbiorowego, jeżeli jéj nie przewyższa.

Chodzi więc ostatecznie o to, że społeczeństwo wyrasta na niwie wzajemnego oddziaływania osobników; dzięki ważnemu czynnikowi pomocniczemu: *tradycyi towarzyskiéj*, przekazywaniu od jednego do drugiego pokolenia pewnych nabytków socyalnych i duchowych. Dopokąd jéj nie ma—może być tylko mowa o zgromadzeniach zwierząt. Dla dowiedzenia tego, nasz autor musiał wdać się w szczegółowy rozbiór pisarzów, jak Espinas, Spencer i inni, którzy badali ducha i towarzyskie instynkta zwierząt, i przyznać trzeba, że postulat swój udowodnił należycie. Wyjaśnił zadawalniająco, że dopiero wytworzenie pewnego nieruchomego, że się tak wyrazimy, mienia, jakiem jest niezależna od niedługowieczności jednostek kultura i urządzenie—warunkuje społeczeństwo. U zwierząt gromadnych, choćby tak zmyślnych jak małpy, nic stałego po za zwyczajami instynktownemi nie ma, wszelki dorobek *nadorganiczny*, istniejący samodzielnie, niekończący się ze śmiercią danéj liczby osobników i nie związany z ich narodzinami,—jest zupełnie niedostępnym. Mrowiska i ule, na pozór podobne ze wszech miar do prawidłowo urządzonych społeczeństw ludzkich, wspierają się jednakże na nieświadomym siebie popędzie i uzdolnieniu pszczół i mrówek do kojarzenia się, łącze-

nia w grupy współpracownicze, o wyraźnie zarysowanym zakresie roboty. Kara śmierci, grożąca próżniakom i zbrodniarzom ulowym, dowodzi nadto pewnego poczucia prawa, stanowi prawdziwy zarodek socyologiczny, punkt zwrotny na drodze rozwoju od społeczeństw zwierzęcych do ludzkich, albowiem prawo jest już normą postępowania, nadorganiczną, gdy tymczasem u innych tworów pobudki działania lub niedziałania są natury czysto organicznéj.

Z tego, cośmy przytoczyli, łatwo wywnioskować podaną przez K. definicyą socyologii. Nadmieniając nawiasowo, że wypływa ona również z krytycznego rozbioru całego niemal piśmiennictwa tego przedmiotu, streśćmy ją w następujących wyrazach:

Socyologia bada zjawiska społecznego życia o tyle, o ile ono jest urządzoném, albo dokładniéj jeszcze: bada same urządzenia typowe, ogólne w odróżnieniu od form imiennych istniejących w *danéni* miejscu, *danym* czasie, bo te należą do dziedziny praktycznéj, stosowanéj; ukształtowanie, choćby najpierwotniejsze, w skupieniu ludzi stanowi owo *plus*, ów pierwiastek gatunkowy, dzielący pole badań psychologicznych, od dziedziny socyologii. Z tego samego już wypływa umieszczony przez autora gdzieindziéj podział jéj na dynamikę i statykę (Comte), t. j. dochodzenie praw społeczeństwa w stanie równowagi i spokoju, bądź istniejącego, bądź idealnego, i śledzenie praw jego rozwoju, czyli ruchu.

Ważniejszym jest atoli inny podział, określający bliżéj jeszcze zawartość socyologii. Stosownie do zachodzących w sferze społecznéj stosunków, trojakiego rodzaju: współpracownictwa przemysłowego dla celów gospodarstwa, regulacyi prawnéj interesów prywatnych i stanowiska członków względem władzy, istnieją trzy szeregi badań: ekonomicznych, prawnych i politycznych. Dwa skrajne żywioły uwzględniano zazwyczaj o ile należy, tylko środkowemu odbierano po większéj części cechę socyologiczną, zajmowano się nim w odmienny zupełnie sposób, dlatego prawdopodobnie, że w pojęciach prawnych punkt widzenia teoretyczny, najłatwiej zlewa się z ich postacią konkretną, faktyczną. Kariejew przeto stara się wywalczyć im równouprawnienie.

Nie dotykamy tutaj wielu innych jeszcze uwag i spostrzeżeń, poczynionych nad psychologią ludów i pracami Herbarta, Lindera, Lazarusa i Steinthala, nad mnóstwem drobnych uzupełnień i poprawek, które bardzo przydatnemi być mogą nauce—lecz zaznaczymy tylko, iż autor nie odbiegałby tak daleko od jądra kwestyi, gdyby te wycieczki nie były nieuniknionemi. Służą one bezpośrednio celom historyozofii, są jéj przedsionkiem, jak to zaraz zobaczymy.

(*D. n.*) *Napoleon Hirszband.*

NOWE SĄDY

W KRÓLESTWIE POLSKIÉM.

Reforma sądowa z r. 1876 przyniosła nowe modły dla życia prawnego w naszym kraju. Pod ich osłoną od téj pory toczą się sprawy sądowe, ale czy toczą się one dobrze? czy wymiar sprawiedliwości rozwija się pomyślnie? Rzecz wiadoma, że świeża suknia nie zawsze dobrze przystaje i przystawać może. Błędy zdarzać się mogą przy największéj uwadze, a zdarzają się tém łatwiéj, jeżeli robota szła pośpiesznie, bez dostatecznego względu na prawdziwe potrzeby. W przedmiocie tym w łamach prasy polskiéj i rosyjskiéj spotkać można było głosy poważne, jak naprzykład prace pp. Mikłaszewskiego, Bema, Zakrewskiego, Karcewa i innych, mniemamy przecież, że przedmiot dalekim jest od wyczerpania, a w wielu punktach wyjaśnienia dotąd wcale nie otrzymał.

Kwestya, o któréj mowa, przedstawia dwie strony: kwestyą zasad przewodniczących nowym ustawom i kwestyą sposobu ich zastosowania. Zasad reformy sądowéj rozbierać nie zamierzamy, przedmiotu tego dotykaliśmy już nieco w inném miejscu (patrz o reformie sądowéj w królestwie polskiem Warszawa 1876 r.), poprzestaniemy na ocenieniu środków, przy pomocy których nowe zasady w życiu funkcyonują.

§ I. Etaty.

Elementarnym warunkiem dobréj organizacyi sądowéj jest to, aby ilość sędziów odpowiadała potrzebie kraju. Sądy mają rozpatrzyć stosunki i sprawy, które do ich atrybucyi należą, mają obsłużyć społeczeństwo, powinny zatém posiadać siły dostateczne do załatwienia, o ile można szybkiego, téj pracy, jaka na nich ciąży.

Statystyka sądowa daje podstawę do ocenienia, jakiego zapasu sił praca sądownicza danego kraju wymaga, i dla tego etaty sądów od téj statystyki zależéć muszą. Zajrzyjmy do niéj.

Wydziały karne.

Stosownie do sprawozdań statystycznych, przez sąd okręgowy w Warszawie corocznie drukowanych, ruch spraw karnych w tym sądzie, od chwili wprowadzenia reformy sądowéj, przedstawia się w następujących cyfrach.

Rok	Spraw do osądzenia wpłynęło	załatwiono	pozostało na rok następny:
1876 (2-ige półr.)	604	157	447
1877	2075	1180	1342
1878	2706	2173	1875
1879	3464	3011	2328
1880	3701	2779	3250
1881	3121	3278	3093
1882	2416	3598	1911

Z powyższéj tablicy widać, że sąd przez ciąg przytoczonych siedmiu lat nie był wstanie załatwić spraw, jakie pod jego osądzenie przychodziły (1). Obok tego, przyrost spraw stale się podnosił, a równocześnie rosły zaległości. Kiedy z końcem roku 1876 pozostało niewysądzonych spraw niespełna 500, już w roku 1877 cyfra ta podniosła się do 1342 i podnosiła się daléj, dochodząc w roku 1880 i 1881 do 3,000 z górą. Dopiero rok 1882 przekazał następnemu mniéj zaległości, a to skutkiem rozszerzenia w tym czasie kompetencyi instytucyj pokojowych i przelania do nich około 2000 spraw, jakie w rejestrach sądu figurowały.

Skutkiem tych zaległości o normalnym biegu spraw karnych nie mogło być mowy. W istocie, tak zwane sprawy więzienne, w których podsądni odpowiadają z aresztu, otrzymywały termina, o ile było można, krótkie, ale wszelkie inne wlokły się niesłychanie leniwo, oczekując miesiącami, a nawet latami na osądzenie. Lecz powyższa tablica nie wykazuje jeszcze prawdziwego stanu rzeczy który odsłoni się nam wyraźnie, gdy zwrócimy bliższą uwagę na rubrykę spraw załatwionych. Już na pierwszy rzut oka uderzyć musi każdego wygórowana w téj mierze cyfra, która poczynając od 1879 r. dochodziła na dwa wydziały do 3,000 spraw i więcéj. Cyfra ta w rzeczywistości jest pozorną. W liczbie spraw załatwionych miesz-

---

(1) W wykazach ministerium sprawiedliwości z lat 1877, 1878, 1879, cyfry spraw wpływających do sądu okręgowego w Warszawie i przez niego załatwionych są wyższe, gdyż obejmują nietylko sprawy przychodzące *pod osądzenie* w ścisłém znaczeniu słowa, ale wszelkie sprawy, jakie tylko do rejestru sądowego wchodzą, zarówno dla osądzenia, jak i dla zatwierdzenia wniosków sędziów śledczych o umorzenie śledztw z art. 277 ustawy post. kar.

czą się zarówno sprawy osądzone jako téż i sprawy umorzone, grające w rachunku poważną rolę. Na podstawie powołanych wyżéj sprawozdań stosunek spraw osądzonych do umorzonych przedstawia się w następujący sposób:

Rok	1877	z liczby	1180	spraw zał. osądzono	867,	a umorzono	313
„	1878	„	2172	„	1202	„	973
„	1879	„	3011	„	1485	„	1526
„	1880	„	2779	„	1620	„	1159
„	1881	„	3278	„	1639	„	1703
„	1882	„	3598	„	1255	„	404 (1)

Tym sposobem wydziały karne sądu okr. w Warszawie wysądzały właściwie tysiąc kilkaset spraw rocznie, nie zaś po 3,000, jakby się to ze sprawozdań zdawać mogło. Nie przynosi to żadnéj ujmy sądowi okr. przeciwnie taka cyfra na dwa wydziały służyć może za dowód pracy i wytrwałości, któréj zresztą niejednokrotnie jesteśmy świadkami. W okręgach sądowych Cesarstwa, o ile cyfry są znane, przypada na wydział spraw karnych co najwyżéj 500 rocznie.

Ale, zapytać się kto może, zkąd się bierze ta nieprzebrana ilość umorzeń? Po większéj części przypadają one na sprawy dochodzone ze skargi osób prywatnych, a źródłem ich jest przedawnienie na zasadzie art. 159 kodeksu karnego z powodu braku poparcia skargi ze strony skarżącego przez ciąg 6-iu miesięcy lub więcej. Skarga została wniesioną, osoba interesowana domagała się restytucyi swych praw i ukarania przestępcy, sąd sprawę do rozpoznania przyjął, lecz terminu przez 6-ść miesięcy lub dłużéj do sądzenia jéj nie wyznaczył, a późniéj tenże sąd pod pozorem jakoby skarżący sprawy nie popierał takową umarza.

O niepopieraniu w tym razie przez skarżącego sprawy trudno mówić, wszak wyznaczenie terminu do osądzena jéj nie od niego zależy, lecz od prezydującego w sądzie, w którego atrybucye nikt wdzierać się nie może. Oczywiście, przy nadmiarze spraw sąd uciekał się do jurysprudencyi, która stoi w sprzeczności z naturalnym biegiem rzeczy. Na decyzye sądu okr. wyrzekające podobne umorzenia, zanoszono skargi do izby sądowéj, lecz przez długi czas bez skutku; izba zniewoloną była siłą okoliczności pogląd pierwszej instancyi w swej mocy utrzymać. Jednakże niepodobna zaprzeczyć, że takie umorzenia stanowią uprawnioną odmowę wymiaru sprawiedliwości. Ilość spraw umorzonych w téj drodze w sądzie okr. Warszaw-

(1) Zaznaczyć jednak wypada, że w tym roku przekazano instytucyom pokojowym 1927 spraw, które mieszczą się także w ogólnéj cyfrze załatwionych.

skim wynosiła: w r. 1877—246, w r. 1878—810, w r. 1879—1021, w r. 1880—939, w r. 1881—1319 a w r. 1882—230 (1), czyli razem w ciągu 6-ciu lat w jednym sądzie okr. Warszawskim odmówiono wymiaru sprawiedliwości w 3.565 wypadkach. Porównywając cyfry spraw osądzonych i umorzonych pod tytułem pozornego przedawnienia z ogólną cyfrą spraw załatwionych w temże sześcioleciu, okazuje się, że na 100 spraw załatwionych osądzono 57% a umorzono niesłusznie 25%, (2) że nieprawne umorzenia wynoszą blizko połowę ilości spraw istotnie wyrokami sądowemi osądzonych, że wreszcie w ogólnym rachunku pracy dokonanéj wedle sprawozdań czwarta część jest fikcyjną.

Sąd okr. warszawski ma dwa wydziały karne, które początkowo składały się z dwóch prezydujących i sześciu członków, a od r. 1879 z dwóch prezydujących i dziewięciu członków. Jeżeli porównamy cyfry spraw wykazanych jako osądzonych w drugiéj z powyżéj przytoczonych tablic z ilością sędziów kryminalnych w dwóch wydziałach, to wypadnie, że w r. 1877 i 1878, gdy personel składał się z 8 osób, wysądzono spraw 2069, co stanowi 129 spraw rocznie na jednego sędziego, zaś w latach następujących od 1879 do 1882 przy komplecie 12 osób wysądzono spraw 5,999 czyli 125 spraw w ciągu roku na jednego sędziego. Zatém cyfrę 125 do 130 spraw na jednego sędziego przyjąć można za normę, przy któréj dla wysądzenia tak niesłusznie umorzonych 3,565 spraw jako téż zalegających z końcem 1882 roku 1911 spraw należało posiadać przez ciąg lat sześciu od 1877 do 1882 roku oprócz kompletów istniejących jeszcze 7 członków, bo dopiero tak podniesiona ilość sędziów mogłaby niedopuścić do zaległości, unikając zarazem owych bezzasadnych umorzeń. Gdyby zaś nawet odliczyć coś na karb téj okoliczności, że w liczbie umorzonych niesłusznie spraw przeważać mogły sprawy drobniejsze, to jeszcze z niewątpliwą pewnością można twierdzić, że co najmniéj 5 sędziów po nad istniejącą w sądzie warszawskim liczbę było koniecznych.

Nie wiele lepsze położenie rzeczy miało miejsce z sądami okr. prowincyonalnemi. Nie mamy co do nich tak dokładnych sprawozdań, ale wydane za lata 1877, 1878 i 1879 wykazy ministerium sprawiedliwości posłużyć nam mogą za wskazówkę. Winniśmy jednak przypomnieć, że wykazy ministeryalne obejmują ogólne cyfry spraw karnych, bez wydzielenia spraw przychodzących z Art. 277. Ust. post. kar.

---

(1) W roku 1882 liczba umorzeń zmniejszyła się dzięki téj okoliczności, że sprawy, które dostarczały główny kontyngens do umorzeń, oddano instytucyom pokojowym.

(2) Reszta 18% przypada na umorzenia prawidłowe lub inne załatwienia w drodze ekonomicznéj.

	Rok	Spraw było w biegu	Załatwiono.	Pozostało.	Z liczby załatwionych	
					Umorzono z art. 16. Ust. pos. kar.	Osądzono wyrokami
1. Sąd Okr. Piotrkowski .	1877	2,574	1,674	900	301	418
	1878	3,579	2,042	1,537	159	566
	1879	4,829	2,782	2,047	1,303	443
2. „ „ Płocki. . . .	1877	2,201	1,778	423	434	564
	1878	2,944	2,115	829	405	911
	1879	3,282	1,665	1,617	325	669
3. „ „ Suwalski. . .	1877	2,112	1,459	653	82	278
	1878	2,506	1,335	1,171	168	398
	1879	3,333	1,549	1,784	357	498
4. „ „ Radomsk . .	1877	1,619	1,224	395	143	278
	1878	2,724	1877	847	670	437
	1879	3,124	2,099	1,025	1,095	687
5. „ „ Kielecki . . .	1877	1,583	1,307	276	179	294
	1878	2,071	1,563	508	310	553
	1879	2,923	1,843	1,080	440	714
6. „ „ Lubelski . .	1877	1,653	1,332	321	142	296
	1878	2,071	1,311	760	10	372
	1879	2,856	2,056	800	751	534
7. „ „ Siedlecki . .	1877	1,323	973	350	191	197
	1878	1,860	1,284	576	272	320
	1879	2,299	1,398	901	239	361
8. „ „ Kaliski . . .	1877	1,501	1,235	266	99	413
	1878	1,546	940	606	34	406
	1879	2,189	1,522	667	117	446
9. „ „ Łomżyński . .	1877	1,205	1,010	195	57	184
	1878	1,689	1,268	421	317	362
	1879	1,950	1,391	559	350	392

Cyfr za dalsze lata opublikowanych nie posiadamy. Z powyższego jednak, a mianowicie z rubryki trzeciéj spotrzegamy wzrost zaległości ciągły i gwałtowny, który we wszystkich bez wyjątku sądach się objawił, co w obec stałości zjawiska prowadzi do niewątpliwego wniosku, że siły sędziowskie, a tém samém etaty sądów były za małe. Najbardziéj zarzucone sprawami są sądy Płocki, Suwalski i Piotrkowski, szczególniéj zaś ten ostatni, gdzie téż powstały największe zaległości. Najmniejszy przypływ spraw okazuje się w sądach Siedleckim, Kaliskim i Łomżyńskim, lecz niema ani jednego sądu, w którym by zaległości w r. 1879 nie wynosiły poważnéj cyfry kilkuset spraw, co nie może być uważaném za normalne.

Zasługuje także na uwagę rubryka umorzeń, w któréj między innemi, i do tego przeważnie, kryją się praktykowane, podobnie jak w Warszawie, umorzenia z powodu pozornego przedawnienia. W rubryce téj również widzimy ciągły przyrost, co służy za dowód że w miarę rosnącéj ilości spraw sądy szukały ratunku w umorzeniach, choćby bez ściśle prawnéj podstawy. Apetyt w tym kierunku wzrastał wszędzie, z wyjątkiem sądu Płockiego i Siedleckiego, gdzie wprawdzie przyrostu nie widać, lecz jedynie dla tego, że w tych sądach od chwili wprowadzenia reformy odrazu rozwinięto go w pożądanéj mierze, jak o tém wysokie cyfry umorzeń poczynając od r. 1877 wymownie przekonywają. Pozorny przeto ten wyjątek dowodzi tylko dłużéj i lepiéj praktykowanéj metody. Ogólna cyfra spraw umorzonych z Art. 16. Ust. post. kar. w przytoczonych w tablicy dziewięciu sądach okr. za trzy lata, od 1877 do 1879, wynosi 8,850 spraw. W tych sprawach mieszczą się wprawdzie i umorzenia z powodu śmierci podsądnych lub z powodu pogodzenia się strony skarżącéj z oskarżonym. Że jednak dwie ostatnie przyczyny stosunkowo zdarzają się rzadko, to okazuje się ze sprawozdań sądu okr. Warszawskiego, wedle których w r. 1881 w tym sądzie umorzono z powodu śmierci podsądnych 12 spraw, z powodu pogodzenia się 31, a z tytułu pozornego przedawnienia 1,319, w roku zaś 1882 z dwóch pierwszych przyczyn, umorzono 59 spraw, z ostatniego zaś powodu 230 spraw. Tym sposobem można śmiało powiedzieć, że większa część owéj cyfry 8,850 umorzeń przypada na nieszczęsne przedawnienie, które niestety zbyt często dawało pretekst do odmowy wymiaru sprawiedliwości. Jest to dopiero cyfra za trzy lata, która bez wątpienia z każdym rokiem wzrastała. Ile przekroczeń pozostało bez represyi, ile skarg bez wysłuchania? domyślni niech ocenią. Jeżeli wreszcie dodamy, że podobne umorzenia praktykowały się i u sędziów pokoju w punktach więcéj ludnych, naprzykład w Warszawie lub Łodzi, to dopiero będziemy mieli obraz prawdziwego sta-

nu rzeczy. Słusznie też powiada p. Timanowski, (1) „że znaczna część ludności w pewnych wypadkach naruszenia osobistéj nietykalności i czci pozostaje bez obrony władzy państwowéj, oddana na łup samowładności, samowoli i swawoli. I jest sąd i niema sądu....... a oczywiście ludzie, którym odmówiono wymiaru sprawiedliwości.... kryć będą uczucie nieprzychylności dla tego nowego sądu, który w Królestwie Polskiem od roku 1876 funkcyonuje.“

W konkluzyi możemy powiedzieć, że ani jeden sąd okr. w Królestwie nie posiadał dostatecznego personelu sędziowskiego, a z drugiéj strony, że sprawozdania co do ilości załatwionych spraw przez tę sądy nie mogą być uważane za prawdziwe. Wszędzie wciska się znakomita cyfra owych fatalnych umorzeń, które odejmują obrazowi rzeczywistą barwę. Przypomina to bankrutującego kupca, który dla wyrównania deficytu wciąga do masy czynnéj jakieś bez wartości aktywa, byleby cyfry dały lepszy pozorny rezultat. W sądach prowincyonalnych naszego kraju mamy prezesa, wice prezesa i sześciu członków, czyli razem ośmiu sędziów, z wyjątkiem sądu Siedleckiego, gdzie jest o jednego członka mniéj. Z takiego kompletu przy rozkładzie sił na wydział cywilny i hypoteczny, do spraw karnych można było przeznaczyć co najwyżéj prezydującego i trzech członków, czyli cztery osoby, i tak się téż stosunki faktycznie ułożyły. Lecz, jak widzimy, czterech sędziów kryminalnych na gubernią nie wystarczało, a pomimo braku pod ręką dokładniejszych cyfr moglibyśmy z pewném prawdopodobieństwem powiedzieć, że każdy sąd okręgowy powinien był posiadać o dwóch członków do spraw karnych więcéj, aniżeli ich miał. Co do sądu Piotrkowskiego podwojenie cyfry czterech było konieczne. Tymczasem tylko jeden sąd Piotrkowski, i dopiero w roku bieżącym doczekał się powiększenia swego składu sędziowskiego o dwóch sędziów.

Jednocześnie wypada jednak zaznaczyć niepomyślny fakt, dotyczący sądu okr. Warsz. Po wprowadzeniu reformy sądowéj, kiedy pierwotny komplet sądu tego, złożony z prezesa, pięciu wice prezesów i 14 członków, okazał się zgoła niedostatecznym z końcem 1878 roku ówczesny prezes sądu wyjednał powiększenie etatu o 7 członków. Powiększenie to zarządzono tylko czasowo na lat 5, jak to się zwykle w takich wypadkach praktykuje. Spodziewano się jednak, że czasowe etaty zamienią się późniéj na stałe. Tymczasem z d. 1 stycznia r. b. po upływie owego pięciolecia z liczby czasowych siedmiu członków, czterech zaliczono na stałych przez zamie-

---

(1) Jurydiczeskij Wiestnik rok 1882—styczeń str. 138.

szczenie ich na stały etat, trzy zaś posady zniesiono, czyli zmniejszono dotychczasowy komplet sądu o trzech członków.

Celem wyjścia z nadzwyczajnych zaległości przewodnicy sądownictwa w kraju wyjednali ukaz z dnia 18 maja 1882 r. rozszerzający kompetencyą sędziów pokoju i sądów gminnych. Ukaz ten, uwalniając sądy ogólne od znacznéj ilości drobnych spraw, nie pozostał bez wpływu na zmniejszenie w nich ilości pracy, nie zdołał jednak, jak praktyka przekonywa, doprowadzić rzeczy do normalnego stanu. Najlepszym tego dowodem jest sprawozdanie sądu okr. Warszawskiego za r. 1882. Sąd okr. w Warszawie w owym roku osądził spraw 1255, a umorzył 404, razem załatwił 1,659; lecz potrącając umorzone z powodu pozornego przedawnienia 230 spraw, wypada, że właściwa cyfra załatwionych spraw wynosi 1,429. Tymczasem przypływ w tymże roku wynosił 2,416 spraw, to jest prawie o 1,000 spraw więcéj, aniżeli sąd mógł odrobić.

Mógłby kto zarzucić, że ukaz wyszedł d. 18 maja, że więc w ciągu pierwszych czterech i pół miesięcy wpływały do sądu sprawy wyłączone później z pod jego atrybucyi; prawda, ale choćbyśmy z tego powodu strącili pewną cyfrę na rachunek podobnych spraw, w każdym razie w ciągu jednego roku 1882 komplet sądu okręgowego o kilkaset spraw po nad siły był obciążony.

Toż samo, o ile wiemy, powtórzyło się w sądach prowincyonalnych. Jeżeli teraz dodamy, że w miarę czasu i rozrostu ludności w kraju spraw w sądach nie ubywa, lecz przybywa i, że powiększanie się pracy sądowniczéj idzie równocześnie z rozwojem każdego społeczeństwa, to niepodobna nie dostrzedz, że kwestya rozszerzenia etatów w wydziałach karnych sądów okręgowych domaga się gwałtownie należytego i stanowczego załatwienia.

Jeszcze gorszy stan rzeczy ma miejsce z drugą instancyą. Do załatwienia spraw karnych oprócz izby oskarżeń, mającéj specyalne przeznaczenie, otworzono jeden departament kryminalny, który do dnia 1 stycznia 1881 r. składał się z prezesa i czterech członków, a od téj daty liczy prezesa i 6 członków czyli 7 osób. W tym roku dodano mu jeszcze jednego członka, przeniesionego z izby oskarżeń. Do departamentu tego weszły przedewszystkiém sprawy z dawnych sądów w ilości 3,811, w których zapadły już wyroki pierwszéj instancyi. O sprawach tych nie będziemy się rozwodzić, poprzestaniemy na tém, że pewna część z nich została przez izbę wysądzoną, znaczna większość dotąd na wyrok drugiéj instancyi oczekuje!

Natomiast zwrócimy się do spraw nowego porządku. Wedle wykazów ministeryum sprawiedliwości, ruch spraw w izbie przedstawia się w taki sposób:

Rok	Spraw z dawnego porządku wpłynęło	Spraw nowego porządku wpłynęło	Załatwiono w ogóle	Z téj liczby rozpatrzono spraw in merito i osądzono
1877	3,811	298	2,119	481
1878	2,226	1,070	908	611
1879	2,360	853	692	687

Wysoka cyfra spraw załatwionych za rok 1877 objaśni się tém, że w liczbie załatwionych mieści się 1,638 spraw z dawnych sądów, w których izba ograniczyła się do ogłoszenia podsądnym wyroków pierwszéj instancyi zapadłych przed dniem 13 lipca 1878 r., a nieopublikowanych, przy czém dla braku apelacyi ze strony podsądnych wyroki się uprawomocniły i zostały odesłane, komu należało, do wykonania. Z drugiéj strony, rubryka spraw załatwionych w latach 1878 i 1879 obejmuje oprócz osądzonych, jeszcze sprawy, które dla rozmaitych powodów, umorzeniu uległy. Tym sposobem prawdziwa działalność departameutu karnego ujawnia się tylko w ostatniéj rubryce. Odsunąwszy na bok z téj rubryki cyfrę z r. 1877, która przy nadmiernéj pracy około porządkowania spraw starych musiała być mniejszą, na zasadzie cyfr z r. 1878 i 1879 wypada, że izba przez te dwa lata przy komplecie pięciu sędziów karnych wysądziła 1298 spraw, co stanowi około 130 spraw rocznie na jednego sędziego. Zwróciwszy zaś uwagę na to, że sędziowie oprócz sądzenia spraw, redagują wyroki, odbywają ich publikacye, załatwiają rozliczne czynności ekonomiczne, wygotowują referaty dla ogólnych zebrań, dla kompletów szczególnych (osoboje prysutstwije) itp., trudno zaprzeczyć, że cyfra 130 spraw osądzanych, na jednego sędziego stosunkowo jest bardzo znaczną. Podług téj cyfry, na osądzenie samych spraw nowych, jakie w r. 1878 i 1879 do izby wpłynęły, potrzeba było o 7 sędziów więcéj, aniżeli ich było, że już pominiemy całkiem pozostałości po dawnych sądach! Departament karny od pierwszéj chwili miał siły liczebne zbyt słabe, które nie stały w zgodzie z ilością ciążącéj na nim pracy. Dokładnych cyfr za lata następne po 1879 r. nie mamy pod ręką, gdyż one ogłoszone nie były, możemy tylko nadmienić, że przypływ spraw wzrastał znakomicie. Wedle rejestrów departamentu karnego w r. 1880 wpłynęło spraw więziennych 649, innych 1,703, razem 2,352, w r. 1881 więziennych 830, innych 2,057, razem 2,887, a w roku 1882 więziennych 809, innych 2,034,

razem 2,843. W cyfrach tych mieszczą się wszelkie sprawy, zarówno przychodzące pod wyrok, jakoteż do załatwienia ekonomicznego. Od 1 stycznia 1881 r. powiększono wprawdzie komplet departamentu o 2ch członków, przecież zbyt dalekiém to było od zaspokojenia istotnéj potrzeby. Sprawy więzienne, jako wymagające większego pośpiechu, zajmują departament przeważnie, pozostawiając zaledwie cząstkę czasu na inne, które żółwim wloką się krokiem, albo raczéj zalegają na półkach szaf sądowych. Do téj pory, pomimo rozpoczętego r. 1884 sprawy niewięzienne z r. 1879 nie są jeszcze załatwione, oczekując ciągle na osądzenie; kiedy więc przyjdzie koléj na sprawy, które w roku bieżącym weszły do izby? Gdyby obecne *status quo* miało pozostać bez zmiany, czego nie możemy przypuścić, to nie byłoby nadziei, aby dziś, przychodzące sprawy z kategoryi niewięziennych za lat 10 przyszły pod osądzenie. Śmierć niejednego z podsądnych ułatwi może załatwienie, ale nie uczyni zadosyć wymiarowi sprawiedliwości, którego społeczeństwo potrzebuje. Obecne zaległości w samych sprawach nowych dochodzić mają do 2,500 spraw, nie licząc spraw starych, których cyfra wynosi podobno 2,000, to znaczy dla odsądzenia samych zaległości potrzeba byłoby otworzyć departament z 7 osób na lat pięć. Dzisiejsze siły departamentu nie wystarczą choćby nawet dla załatwienia przypływu samych spraw bieżących. Wprawdzie rozszerzona kompetencya sądów gminnych i sędziów pokoju zmniejszyła nieco przybytek spraw do izby, lecz nie trzeba się łudzić nadmiernie tą okolicznością, która nie zdoła w żadnym razie zapewnić izbie możności swobodnego załatwienia nawet bieżącéj czynności. Na domiar biedy, jedno złe pociąga za sobą drugie. W miarę wzrostu zaległości w izbie sądowéj, rośnie także liczba odwołań od wyroków pierwszéj instancyi, bo sama nadzieja zwłoki zachęca podsądnych do zakładania rekursu.

Wedle sprawozdań sądu okr. Warszawskiego, kiedy w r. 1878 stosunek skarg apelacyjnych do ilości zapadłych w tymże sądzie wyroków karnych przedstawiał 22%, to w latach 1879 i 1880 podniósł się on do 26%, a w 1881 i 1882 do 27%. Prawdopodobnie toż samo zachodzi i w innych sądach okręgowych naszego kraju. Zaległości, o których mowa, zapewniają podsądnym bezkarność pod pewnym względem. Z chwilą rozpoczętéj sprawy i przez cały czas jéj trwania podsądny, oskarżony o jakiś czyn przestępny, jeżeli odpowiada z wolności, może bezkarnie dopuszczać się innych przestępstw, byle co do karalności lżejszych, bo wszystko to w myśl art. 152 Kod. kar.: zlewa się na zasadzie zbiegu przestępstw, prowadząc za sobą co najwyżéj podniesienie zakresu kary za najcięższe przestępstwo. Zdarzali się już tacy, którym nie obce było podobne wyrachowanie. W ogóle re-

presya karna po za obrębem spraw więziennych prawie ustaje, a w sprawach ulegających dochodzeniu ze skargi osób prywatnych o restytucyą obrażonego prawa nie ma się po co schylać. W dziedzinie sprawiedliwości karzącéj rzucają się w oczy dwie fatalne cechy: 1) wymiar sprawiedliwości leniwy i zbyt powolny, 2) częściowa odmowa wymiaru sprawiedliwości, o ile dotyczy spraw umorzonych dla pozornego przedawnienia.

Wydziały cywilne.

Niewiele lepszy stan rzeczy przedstawia się w dziedzinie spraw cywilnych. W sądach okr. sprawy te załatwiają się dosyć prędko, nawet sąd okr. Warszawski, do którego przypływ spraw jest wielki, przy energicznéj pracy wychodzi zwycięzko z trudności. Jedynie sąd okr. Piotrkowski nie był w stanie dać sobie rady. Nawet najdrobniejsze i najłatwiejsze sprawy, jak np. wekslowe po pół roku czekają tam na osądzenie, a wyznaczanie terminu do sądzenia za 10 miesięcy od dnia żądania po odbytéj już instrukcyi, nie należy do zjawisk wyjątkowych. Ale prawdziwy kłopot zaczyna się wtedy, gdy sprawa przejdzie do izby sądowéj.

W izbie początkowo dla spraw cywilnych nowych był jeden departament, od r. 1881 otworzono jeszcze drugi. Ruch spraw w tych departamentach pod względem przypływu ich był następujący:

Wpłynęło spraw w roku	Departament I cywilny			Departament III cywilny (1)			W ogóle w 2-ch departamentach
	Apelacyjnych	Incydentalnych(2)	Razem	Apelacyjnych	Incydentalnych	Razem	
1876	52	31	83	—	—	—	—
1877	636	340	976	—	—	—	—
1878	1,148	383	1,531	—	—	—	—
1879	1,349	518	1,867	—	—	—	—
1880	1,678	616	2,294	—	—	—	—
1881	703	387	1,090	898	229	1,127	2,217
1882	790	423	1,213	935	248	1,183	2,396

(1) Nowy departament z roku 1881 z powodu istnienia dawniéj departamentu 2-go do spraw z dawnéj procedury otrzymał nazwę departamentu 3-go.

(2) Incydentalne sprawy decydują się przez decyzye (Opredielenija), a nie przez wyroki (Reszenija).

Każdy departament składa się z prezesa i czterech członków, zatém na 10 sędziów spada brzemie, przeszło 2000 spraw rocznie, nie licząc zaległości, jakie się już nazbierały. Wedle cyfr z ostatnich dwóch lat, dla załatwienia jedynie bieżącego przypływu wypadało na jednego sędziego rocznie 220 do 240 spraw do osądzenia, co przy względzie na inne zajęcia, ciążące na sędziach, przechodzi siły ludzkie. Zaległości téż rosły w sposób zatrważający; do dzisiejszego dnia sprawy, które weszły do izby w roku 1880, nie zostały wysądzone, znaczna większość z lat 1881 i 1882 również zalega, a najnowsze, z wyjątkiem incydentalnych, prawie wszystkie oczekiwać muszą na kolej, któréj niepodobna w téj *chwili co do czasu* dokładnie obliczyć. W tym stanie rzeczy narzekania ze strony ogółu mnożą się. W społeczeństwie krążą dziwaczne wersye; ogół nie zna prawdziwych przyczyn złego, a usiłując wyjaśnić anormalne zjawiska, ucieka się nieraz do błędnego tłómaczenia. O procedurze karnéj powiadają, że bez dwóch świadków nie ma wyroku ani kary, chociaż procedura nie zna teoryi dowodów; procedurze cywilnéj zarzucają, że stwarza niepraktykowane formalności i czyni niemożliwém dochodzenie praw, co również nie zgadza się z prawdą. Cudzoziemcy, którzy w sądach tutejszych mają wiele spraw, zwłaszcza handlowych przyczyniają się niemało do ogólnego hałasu. Nie mogą oni pojąć zwłoki, jaka w sprawach się przytrafia, objaśnienia adwokatów nie wystarczają im, zwracają się z reklamacyami do konsulów zagranicznych w Warszawie, którzy muszą zaniepokojonych skłaniać do rezygnacyi. Dla braku stosownych sprawozdań pod ręką nie jesteśmy w stanie określić ani cyfry obecnych zaległości, ani téż przeciętnéj, jaką przy dotychczasowéj pracy do rachunku przyjąć by należało,— dla tego téż nie możemy oznaczyć dokładnie sił potrzebnych dla normalnego biegu spraw cywilnych. Pozwalamy sobie jednak z pewném prawdopodobieństwem zauważyć, że otworzenie jeszcze jednego stałego departamentu, oraz jednego czasowego, przy zamianie dzisiejszego czasowego na stały, mogłoby zaledwie zadość uczynić potrzebie prędszego wymiaru sprawiedliwości. Rozszerzenie kompetencyi instytucyj pokojowych w r. 1882 widocznego wpływu na zmniejszenie spraw cywilnych w izbie sądowéj nie sprowadziło i sprowadzić nie mogło, zwłaszcza, że to rozszerzenie w zakresie cywilnym było zbyt mało znaczącém. Skutkiem powyższych zaległości liczba skarg apelacyjnych wzrasta, podobnie jak to ma miejsce w departamencie kryminalnym. Wedle sprawozdań sądu okr. w Warszawie w roku 1877 na sto wyroków cywilnych przypadało 14 apelacyj; w r. 1878 liczba ta doszła do 23, w r. 1879 wynosiła 24, w r. 1880—27, w r. 1881—28, a w r. 1882—25. Że zaś ten przyrost wypływa z ra-

chunku na zwłokę, o tém przekonywa stosunek odwołań ze strony powodów do odwołań ze strony pozwanych.

W r. 1877 było skarg apel.:	ze strony powodów	80	ze strony poz.	68
„ 1878	„	„	123	„	124
„ 1879	„	„	134	„	149
„ 1880	„	„	155	„	233
„ 1881	„	„	127	„	289
„ 1882	„	„	127	„	285

Wzrastają przeto głównie odwołania ze strony pozwanych, co najwyraźniéj znamionuje dążenie do przewleczenia procesu, a przypuścić należy, że ten sam fakt objawia się w innych także sądach okr. naszego kraju.

Sprawom cywilnym rozpoczętym w dawnych sądach niewiele lepiéj się udało. Jak wiadomo otworzono dla nich oddzielny czasowy departament drugi cywilny, złożony z prezesa i czterech członków. Do departamentu tego przeszły wszystkie sprawy cywilne, jakie wisiały na wokandach b. sądu apelacyjnego i b. IX departamentu senatu. Liczba tych spraw w chwili otwarcia nowych sądów wynosiła 2,817. Obok tego, wszystkie sprawy rozpoczęte w dawniejszych trybunałach, o ile zachowały prawo do prowadzenia ich wedle dawnéj (francuzkiéj) procedury cywilnéj, po przejściu przez sądy okr. należały wyłącznie do tegoż departamentu. Niemożna przytém zapominać, że przy dopuszczalności w téj procedurze oddzielnéj apelacyi od wyroków przedstanowczych, przechodzenie dwukrotne i częstsze przez drugą instancyą w zasadzie jest możliwém. Z tego powodu obok przekazanych pierwotnie 2,817 spraw wpływały coraz to nowe sprawy z sądów okr. i dopiero w ostatnich latach przypływ ten się zmniejszył. Departament ten od pierwszéj chwili znalazł się w najbardziéj przykrém położeniu. Na pięciu sędziów blizko trzy tysiące spraw, nie licząc dalszego napływu ciągłego, to trochę za wiele. Najbardziéj gorące wysiłki nie wiele pomogły. Jeszcze dziś na wokandzie wisi tysiąc kilkaset spraw, a śród nich niektóre wpisane były jeszcze przed 1 (13) lipca 1876. Z liczby tych ostatnich wiele zapewne ulegnie wykreśleniu, dla braku poparcia ze strony osób interesowanych. Strony powymierały, interesa uległy zmianie, obrońcy wyszli z urzędowania, wreszcie różne inne przyczyny składają się na to, aby sprawa została zaniechaną. Podobne wykreślenia byłyby bardzo pożądanemi dla obciążonego sprawami sądu, gdyby tylko można było zapomnieć o tém, że każdemu takiemu wypadkowi towarzyszy zniechęcenie stron, które wymiaru sprawiedliwości docze-

kać się nie mogły. Dodać należy, że w ostatnich trzech latach, departament ten przychodzi z pomocą innym cywilnym departamentom, wysądzając każdorocznie pewną ilość spraw z nowego porządku.

§ 2. Rękojmie osobiste.

Również zasadniczym warunkiem organizacyi sądowéj są dobre siły wykonawcze, bez których żadna organizacya pomyślnych owoców przynieść nie może. „Pożyteczny wymiar sprawiedliwości, powiadają motywa do ustaw sądowych (1), zależy więcéj od wartości sędziów, aniżeli od doskonałości praw. Wielu mniema, że dla wykonania obowiązków sędziego wystarcza sam zdrowy rozsądek, skutkiem czego możnaby pominąć uciążliwy warunek o mianowaniu na urzędy sądowe samych prawników. Bezwątpienia, że w sprawach karnych dla wewnętrznego przekonania o winie lub niewinności podsądnego nie zachodzi szczególna potrzeba ani specyalnego wykształcenia prawnego, ani praktyki sądowéj, lecz określenie w tych sprawach kary, która może być naznaczona na mocy prawa, wymaga już jego znajomości, i to nie saméj jego litery nieraz niejasnéj lub niedostatecznéj, lecz wewnętrznego jego znaczenia. Co się zaś tyczy spraw cywilnych, to sędzia kroku jednego zrobić nie może przy wykonywaniu swych obowiązków w tych sprawach bez gruntownéj znajomości prawa i bez należytego poznania nauki prawnéj“. Dobry sędzia obok wykształcenia wyższego, posiadać musi obszerne doświadczenie, nietylko sądowe, ale i życiowe, oparte na znajomości społeczeństwa i warunków jego bytu. „Samo studyowanie prawa, mówią też motywa, nie tworzy jeszcze dobrego sędziego, dla wykonania trudnego obowiązku, nie dosyć ukończyć wydział nauk prawnych, potrzeba nabyć pewien stopień biegłości w stosowaniu praw, a nabyć ją nie w ścianach uniwersytetu lub szkoły prawnéj, lecz w życiu samém przez stosowanie praw do żywéj praktyki (2)“. Zgodnie z temi motywami i wedle ustalonych zasad prawnych, za rękojmie dobréj kwalifikacyi sędziowskiéj, uważamy: specyalne wykształcenie prawnicze, doświadczenie sądowe, wreszcie znajomość miejscowych praw, języka i stosunków.

Sprawdźmy te rękojmie. Mamy pod ręką wykaz personelu ministerium sprawiedliwości, wydany staraniem tegoż ministerium

---

(1) Osnownyja położenia sudoustrojstwa str. XXIV.

(2) Sudjebnyje ustawy wydanie kancelaryi cesarskiéj. Część trzecia str. 135.

w r. 1882, który obejmuje dane co do kwalifikacyi osobistych wydziału sądowego. Zacznijmy od instytucyj pokojowych. Wedle tego wykazu, na 21 prezesów zjazdów siedmiu nie posiada wyższego prawnego wykształcenia. W téj liczbie jeden ukończył szkołę pisarzy ministerium sprawiedliwości, dwóch żadnego zakładu nie kończyło, a pozostali trzéj pokończyli zakłady średnie. Na 115 sędziów pokoju znajdujemy 45 bez prawnego wyższego wykształcenia. W téj liczbie jeden lekarz, dwóch inżenierów, 13 ukończyło szkoły wojskowe, 5 duchowne seminarya, 5 w żadnym zakładzie się nie kształciło, inni przeszli zakłady średnie. Ogółem na 186 osób przypada 52 bez prawnego wykształcenia, co stanowi 38%, to jest prawie ²/₅ ogólnéj liczby, czyli na 3 członków z kwalifikacyą naukową przypada 2-ch bez takowéj.

Niewiele lepiéj ma się rzecz z praktyką sądową. Biorąc za podstawę jako minimum 5-letnią praktykę do chwili objęcia urzędu, to jest do roku 1876, przychodzimy do takich rezultatów. Na 21 prezesów zjazdów 9 rozpoczynało służbę sądową w r. 1872 lub późniéj, a więc mogli mieć uprzedniéj praktyki cztery, trzy dwa lub mniéj lat. Na 115 sędziów pokoju 62 służy na polu sądowniczém dopiéro od roku 1872 lub nawet najczęściéj późniéj, zaś 53 posiada praktykę wcześniejszą. Z liczby pierwszych 25 rozpoczęło służbę w r. 1876 od urzędu sędziego, a nadto dwóch rozpoczynało ją w podobny sposób w r. 1881, czyli razem 27 osób zaczęło karyerę od wspomnianego stanowiska. W téj ostatniéj grupie 18 nieposiada prawnego wyższego przygotowania, a 4 nie ukończyło żadnego zakładu. Zatém prawie 20% czyli $^1/_5$ część przy wstępie na urząd sędziego nie przechodziła uprzedniéj praktyki sądowéj. W ogóle, na 139 osób, 71 czyli przeszło połowa albo przechodziła praktykę sądową bardzo krótką, nie przenoszącą lat 4, albo całkiem jéj nie odbywała.

Co się wreszcie tyczy żywiołu miejscowego, ten od udziału w tych stanowiskach został wykluczony. W liczbie sędziów pokoju znajduje się dwóch z dawniejszego tutejszego sądownictwa, natabene nienależących do wyznania katolickiego, ogół zaś rekrutuje się z liczby ludzi, przybyłych nieraz z odległych stron, którym warunki miejscowego życia nie mogły być znane. Obowiązujący w Cesarstwie art. 19 organizacyi z roku 1864 dopuszcza do godności sędziego pokoju tylko miejscowych mieszkańców okręgu, który sędziego wybiera. Mieszkańcom pewnéj okolicy nie wolno wybrać na sędziego nikogo obcego, chociażby z sąsiedniego okręgu, bo w duchu przepisu leży to, że tylko miejscowy człowiek może być odpowiednim do sądzenia i jednania ludzi, do pośredniczenia w ich

waśniach i nieporozumieniach, do ustalenia pomiędzy nimi porządku, i ładu dla dobra ogólnego.

„W osobie jego (sędziego pokoju), powiadają motywa urzędowe, zapewnia się miejscowym obywatelom najbliższy środek rozpoznania sporów o prawo w sprawach wymagających przedewszystkiém prędkiego załatwienia na miejscu *i dokładnéj znajomości miejscowych okoliczności i stosunków*, a zarazem i pośrednika dla pogodzenia żądań, które bardzo często tylko na razie zdają się sprzecznemi, lecz wynikając z wzajemnych nieporozumień dadzą się pogodzić przez wyjaśnienie tych nieporozumień przy pośrednictwie osoby osiadającéj zaufanie obu stron“ (1).

Pominięcie tych racyonalnych motywów mogło przynieść tylko ujemne owoce, jak o tém świadczy praktyka życiowa. Narzekania na instytucye pokojowe powtarzały się tak często, że stały się prawie przysłowiowemi. I nie dziw, zaostrzone nieporozumienia i kolizye, jakie od czasu wprowadzenia reformy się zdarzały, wyrastały prawie zawsze na gruncie tych instytucyj. Od scysyi z wyrokami senatu w sprawie Nostiz-Jackowskiego w przedmiocie podań przed sądy gminne do sprawy Dragopułowa, która zakończyła się przejazdem jednego z adwokatów przysięgłych w głąb Cesarstwa, od ustawicznych zatargów z osobami prywatnemi do smutnéj sprawy sukcesorów Lothego, wszystkie zajścia z téj saméj sfery brały swoje źródło. Odgłosy utyskiwań odbiły się w prasie polskiéj i rosyjskiéj; wystarczy przytoczyć zdanie znawcy stosunków. „Niebudząc, pisze p. Karcew, sympatyi w ludności, a z drugiéj strony nieposiadając zaufania ku sobie ze strony władz administracyjnych, koronni sędziowie pokoju w królestwie przedstawiają roślinę niezdolną do życia, przesadzoną na obcy i nieodpowiedni sobie grunt. Cicho i bezowocnie dla kraju wloką oni swój żywot w oczekiwaniu na wprowadzenie zasady wyborczéj, która powinna przeciąć ich anormalne sądowe istnienie“ (2).

Że utyskiwania nie są bezzasadne, przytoczymy na dowód dwa niedawne wypadki, jeden z końca 1882 roku, drugi z roku 1883. W mieście gubernialném z powodu sporu z dyrektorem teatru o zapłatę należności za gaz, inkasent zakładu gazowego, odmówił udzielenia gazu na widowisko, które się miało w teatrze rozpocząć. Okoliczność ta wywołała małe zamięszanie, chociaż ostatecznie widowisko przy gazie bez przeszkody się odbyło.

---

(1) Sudiebnyje ustawy. Część trzecia str. 13.

(2) Żurnał graždanskawo i ugołownawo prawa, 1882 kwiecień str. 62.

Nazajutrz dyrektor teatru wniósł skargę o samowładność przeciwko dyrektorowi zakładu gazowego, który wcale przy zajściu nie był, i przeciwko inkasentowi, żądając nadto zasądzenia kwoty rs. 150 tytułem szkód i strat, przy czém miejscowa policya uformowała tymże osobom sprawę o zakłócenie spokoju publicznego. Ta ostatnia sprawa mogła mieć prawo dobytu, o ile dotyczyła inkasenta, który nieporozumienie spowodował, sędzia jednak przyjął oba zarzuty, uznał za winnych nietylko inkasenta, lecz i dyrektora zakładu, skazując obu z art. 142 ustawy o karach na trzy miesiące aresztu i na zapłatę mniemanych szkód i strat w kwocie rs. 150. Wyrok ten do oczywistości był błędnym, ale to mniejsza, druga instancya mogła pomyłkę sprostować. Lecz z tym wyrokiem łączyła się okoliczność bardzo osobliwa. Sędzia pokoju, działając w porozumieniu z policyą, rozporządził w tymże wyroku przyaresztowanie podsądnych, jeżeli nie złożą kaucyi po rs. 5.000 każdy, wbrew art. 77 i 125 Ust. Post. kar., wedle których tylko w wypadkach skazania na wieżę wolno sędziemu żądać kaucyi. W pół godziny po zapadnięciu wyroku, takowy już został wykonany; skazanych, ludzi należących do wydatniejszéj sfery w mieście na ulicy przyaresztowano; bez pozostawienia im chociażby kwadransa czasu na złożenie kaucyi. Nie dość tego, kiedy w godzinę późniéj, krewni przyaresztowanych zebrali żądaną kwotę rs. 10,000, sędzia pokoju schował się gdzieś w swojém mieszkaniu i przez pół dnia z ukrycia ukazać się nie chciał, tak że dopiero zjazd na nadzwyczajném posiedzeniu, zwołaném o godzinie 10-éj wieczór przyjął kaucyą w zastępstwie sędziego pokoju, którego wynaleść nie było można, jak opiewały motywa decyzyi zjazdu. Rozumie się, że dopiero wtedy skazani z pod aresztu mogli być uwolnieni.

Drugi wypadek miał miejsce w mieście powiatowém. Wiadomo, że przy sędziach pokoju istnieją hypoteki powiatowe, których konserwatorami są sekretarze specyalni z prawem przyjmowania wniosków hypotecznych i wydawania wypisów oraz z głosem stanowczym w składzie wydziału hypotecznego. Z natury rzeczy i w duchu art. 37 i 42 instrukcyi hypotecznéj z r. 1825 sekretarz przechowuje pieczęć hypoteczną, bez któréj żadnego wypisu nie mógłby wydawać. Jeden z sędziów pokoju gubernii łomżyńskiéj bez żadnéj prawnéj podstawy dla dokuczenia sekretarzowi hypotecznemu postanowił pozbawić go pieczęci i wydał polecenie wydania takowéj, chociaż konserwator hypoteki pod żadną osobistą władzą sędziego pokoju nie pozostaje. Samowolne to rozporządzenie doszło do prezesa zjazdu, który nietylko téj prostéj kwestyi w duchu przepisów nie rozwiązał, lecz przeciwnie na zapytanie interesowanego radził mu

zastosować się do życzenia sędziego pokoju. Na szczęście interesowany zażądał piśmiennego na to od prezesa rozporządzenia, którego zaniechano; i to dopiero uratowało zagrożoną zasadę prawa. Są to tylko pojedyńcze kartki z obszernego albumu obrazków, najrozmaitszéj treści i jakości. *Sapienti sat.* Zachodzi teraz pytanie, czy przy tych rękojmiach, jakie przedstawiają funkcyonujące u nas instytucye pokojowe, mogło być inaczéj? Postawionym na obcym gruncie, przy nieznanych sobie prawach, częstokroć bez znajomości miejscowego języka, czy podobna było dać sobie radę? Odłóżmy na bok wypadki złéj woli, a powiedzmy wprost, że dobre nawet chęci i usiłowania, których istnienia w oddzielnych wypadkach nie zaprzeczamy, musiały się rozbić nieraz o skałę trudności zbyt ciężkich do pokonania.

W ministerium sprawiedliwości agituje się jak słyszeliśmy, projekt wprowadzenia żywiołu miejscowego do sądownictwa pokojowego m. Warszawy pod postacią sędziów honorowych. Jeżeli projekt przyjdzie do skutku, będzie to pierwszy krok do racyonalnéj poprawy. Dla należytego jednak rozwiązania trudności potrzeba bardziéj stanowczych środków, a potrzeba ta równie jest nagłą, równie niecierpiącą zwłoki, jak kwestya rozszerzenia etatów sądów ogólnych.

W tém miejscu nie możemy zamilczéć pewnéj uwagi co do zjazdów sędziów pokoju.

Zjazdy, chociaż stanowią drugą instancyą, wbrew przyjętéj powszechnie zasadzie składają się z tych samych sędziów, którzy reprezentują pierwszą instancyą.

Motywa urzędowe do ustaw sądowych w usprawiedliwieniu téj anomalii przytaczają następujące argumenta. „Wybór na sędziów pokoju osób cieszących się zaufaniem i szacunkiem gmin, które je wybrały, udział w zjazdach sędziów honorowych, w liczbie których mogą znaleść się wyżsi dygnitarze oraz ludzie z wyjątkowém prawném wykształceniem i doświadczeniem sądowém, jako też jawność posiedzeń dostarcza dostateczną rękojmię, że sędziowie pokoju przy wzajemnéj kontroli nie będą się kierowali uczuciem przyjaźni i wzajemnéj adoracyi, i rozpatrywać zaczną powierzone im sprawy nie powierzchownie, nie pośpiesznie, lecz z należytą uwagą i skrupulatnością“ (1).

Tak więc za główne uzasadnienie organizacyi sądu zjazdowego prawodawca uważa wybieralność i udział sędziów honorowych. Jeżeli zaś ani wybieralności ani sędziów honorowych nie ma, to

---

(1) Sudiebnye ustawy—wydanie kancelaryi Cesarskiéj, część I str. 83.

oczywiście główna zasada upada, i instytucya traci racyą bytu. Tym sposobem, chociaż dla podniesienia działalności sędziów pokoju wystarczyć by mogły ulepszenia w zakresie kwalifikacyi i osobistych rękojmi, wszelako dla sądu zjazdowego, dla usprawiedliwienia jego organizacyi i dla nadania mu bytu w duchu ustaw 1864 r. potrzeba przejść do zasady wybieralności, bez któréj wyjątkowa organizacya téj apelacyjnéj instancyi usprawiedliwić się nie da. Wprawdzie u nas w zjazdach biorą udział sędziowie gminni z wyboru, gdy jednak stanowią oni z przepisu konieczną mniejszość, wpływ ich nie może posiadać wielkiego znaczenia już z tego jednego względu, pomijając wszelkie inne.

Przechodząc do sądownictwa ogólnego, możemy na szczęście zauważyć z góry, że położenie téj gałęzi sądowniczéj w poważaniu ogólném daleko jest lepszém, bo téż na lepszych opiera się ona rękojmiach osobistych.

Wedle powołanego już wykazu ministeryum sprawiedliwości w składzie izby sądowéj warszawskiéj, złożonéj ze starszego prezesa, czterech prezesów i 23 członków, razem z 28 osób wszyscy posiadają wyższe prawne wykształcenie. Z liczby prezesów sądów okr. i ich towarzyszy w łącznéj ilości 32 osób, zaledwie trzy, a na 74 członków tychże sądów tylko dwie osoby nie posiadają wyższego naukowego uzdolnienia (1). Obok tego, wszyscy członkowie sądów ogólnych w chwili nominacyi posiadali kilka a zazwyczaj kilkanaście i więcéj lat praktyki sądowéj, zwłaszcza sędziowie krajowcy należą do starszych latami służby.

Miały miejsce dwa tylko wypadki nominacyi członków izby, bez uprzedniéj praktyki sądowéj, ale z rzędu osób posiadających wykształcenie wyższe i długoletnią służbę w innym wydziale—ogólnie można powiedzieć, że w skład sędziów w sądach ogólnych wchodzą ludzie z nauką i praktyką sądową. Nareszcie, pod względem udziału miejscowego elementu stosunek jest następujący. W izbie sądowéj w liczbie prezesów departamentów mamy dwie, a na 23 członków dziesięć osób polskiego pochodzenia. Prezesi sądów okr. są rosyanie, z liczby ich towarzyszy oraz członków mniéj więcéj po-

(1) W powołanym wykazie prawdopodobnie przez pomyłkę pominięto kursa prawne warszawskie, których ukończenie stanowi prawną kwalifikacyą urzędników sądowych starszych krajowego pochodzenia. Jak wiadomo, kursa te obejmowały program uniwersytecki nauk prawnych, z pominięciem jedynie nauk filozoficznych i politycznych, a wstęp do nich służył kandydatom, którzy ukończyli gimnazium i złożyli nadto stosowny egzamin wstępny. Z tego powodu osoby mające patenta z tych kursów zaliczamy do liczby posiadających prawne wykształcenie.

łowa rosyan, połowa polaków. Komplet wszystkich członków w sądach ogólnych wynosi 134 osób, a jeżeli teraz—dodamy do niego komplety instytucyj pokojowych w gólnéj ilości 136 osób, to w obu gałęziach sądownictwa zaliczając nawet dwóch sędziów pokoju, którzy służyli w dawnych sądach królestwa do elementu tutejszego, wypada, że stosunek liczebny sędziów z żywiołu rosyjskiego do sędziów z żywiołu miejscowego przedstawi się jak 203 do 67. Dla zupełnéj ścisłości trzeba przyjąć do rachunku jeszcze skład sądu handlowego warszawskiego, który liczy sześciu sędziów koronnych, mianowicie: prezesa, wice prezesa i czterech członków, że zaś wedle powoływanego wykazu połowa z nich jest rosyan a połowa polaków, zatém ostateczny stosunek, o jakim mowa, wyobrażają cyfry 206 do 70. To znaczy, że urzędy sędziowskie koronne pozostają przeważnie (74%) w ręku ludzi niemiejscowych, element krajowy zaś stanowi tylko 26% ogólnéj cyfry, to jest nie wiele więcéj nad $\frac{1}{4}$ część. Dodać należy, że stosunek ten w ostatnich czasach miał się zmienić jeszcze bardziéj na niekorzyść żywiołu swojskiego, lecz dla braku dokładniejszych danych stosunku z ostatniéj chwili określić ściśle nie możemy.

Ze względu na naturę działalności sądowéj możnaby tu zrobić niejedną uwagę. Organa sądowe regulują pracę społeczną wewnętrzną; działalność sędziów cywilnych ani na chwilę z tego gruntu nie schodzi, a i działalność sędziów karnych, która więcéj publiczną się wydaje, w istocie rzeczy nie przestaje nosić téj saméj cechy. Ztąd pojęcie sędziego wiąże się w prawodawstwach z imieniem krajowców. W Indyach nawet przy całéj różnicy, pomiędzy kulturą angielską a indyjską wymiar sprawiedliwości zwłaszcza, gdzie niema przewagi angielskiego żywiołu, pozostaje w rękach indyan; sami anglicy, jak to widać z rozpraw zeszłorocznych w parlamencie angielskim, poddani zostali tam pod sąd z miejscowych krajowców, bez prawa odwoływania się do oddzielnego forum.

Daleko gorszym przedstawia się stosunek o który chodzi, w prokuraturze. Na 71 prokuratorów i ich towarzyszy żywioł miejscowy wedle powołanego wykazu zajmuje dziesięć stanowisk, jedno towarzysza prokuratora izby i dziewięć towarzyszy prokuratorów sądów okręgowych, co stanowi 14% czyli $\frac{1}{7}$ całkowitego składu. Jednakże i tutaj w ostatnich czasach zaszła zmiana. Z początku po wprowadzeniu reformy sądowéj pilnowano, aby przy każdym sądzie był jeden podprokurator krajowy prawnik do spraw cywilnych, jako *par excellence* miejscowych i opartych na specyalnych obowiązujących w kraju prawach. Obecnie zasadę tę odłożono na bok; już trzy sądy okręgowe nie mają ani jednego podprokuratora z miejscowego

elementu, co nie pozostaje bez widocznych skutków w praktyce cywilnéj. Prokuratorowie w swych wnioskach nieraz stają na stanowisku jednéj lub drugiéj strony w procesie, bronią ją wedle upodobania, zapominając całkiem o stanowisku, jakie procedura cywilna dla tego zaszczytnego urzędu wskazała. W jednym sądzie okręgowym, prokurator w zapędzie wymowy pomięszał role stron, stawiając pozwanego w położeniu powoda i na odwrót, a kiedy w drodze sprostowania faktu wykazano mu ten błąd, natychmiast wnioski swoje cofnął i zaproponował sądowi wyrokowanie wręcz przeciwne, różne od tego, jakie przed chwilą wnosił. Niemamy za złe tego cofnięcia, przyznanie, jak mówią, znosi połowę winy, ale nie uratuje ono obrażonéj powagi urzędu.

Jak wiadomo, wedle art. 910 kodeksu cywilnego wszelkie zapisy na cele publiczne dla ważności swojéj wymagają potwierdzania przez rząd. Z tego powodu prokuratoryi występującéj o wydanie legatów na pewne instytucye przed ich zatwierdzeniem zrobiono zarzut, że działała bez legitymacyi, przedwcześnie, a prokurator w odpowiedzi na to nie wahał się twierdzić, że skoro prokuratorya jako instytucya państwowa wystąpiła o zapisy, to już potwierdzenia przez rząd niepotrzeba, chociaż sama prokuratorya czegoś podobnego bronić nieośmieliła się.

Kiedy w tym samym sądzie w poważnéj sprawie cywilnéj strona interesowana powołała się na dawnego uczonego komentatora Demolombe'a, to prokurator usłyszawszy po raz pierwszy nazwisko, i przerobiwszy go na Demolonga powiedział, że chociaż ten Demolong ma być młodym obiecującym wiele człowiekiem, lecz on go nie zna, i zdaniem jego się nie krępuje. W istocie, zdania autorów nie są obowiązujące, lecz znać one jest pożytecznie i nauką prawa pomiatać nie należy. Ale wróćmy do przedmiotu.

Na stanowiskach niższych sądowych stosunek liczebny dla elementu miejscowego przedstawia się znacznie lepiéj. W liczbie 121 sędziów śledczych czyli inkwirentów mamy 64 rosyan a 57 polaków, sekretaryat zaś prawie wyłącznie składa się z ludzi miejscowych, chociaż i w tych szeregach zaszły ostatniemi czasy pewne zmiany.

Upośledzenie żywiolu miejscowego wyraża się jeszcze i pod innym względem. Na stanowiskach prezesów samoistnych sądów i prokuratorów nie widzimy nikogo z tego żywiołu, a znane przywileje służbowe urzędników rosyan stwarzają w jednych i tych samych instytucyach dwie oddzielne kategorye: uprzywilejowanych i nieuprzywilejowanych, co narusza zasadę równości pomiędzy sędziami

i kolegami, nie mówiąc o zbytecznym ciężarze, jaki skarb z tytułu tych przywilejów ponosi.

Upośledzenie, o którém mowa, nie daje się usprawiedliwić brakiem przygotowanych do pracy sądowéj ludzi. Pomimo znacznego kontyngensu prawników, jacy przeszli na służbę do cesarstwa, kraj tutejszy posiada dostateczny zapas sił prawniczych, o czém cyfry przekonywają. Sekretaryat sądów ogólnych i sądu handlowego w skład którego wchodzi 116 osób, rekrutuje się prawie wyłącznie, z ludzi posiadających stopnie uniwersyteckie, prokuratorya składa się z 25 wyrobionych prawników, którzy stanowią poważny materyał na urzędy sędziów, daléj posady sekretarzy hypotek powiatowych w liczbie 85 zajęte są także prawie wyłącznie przez ukończonych prawników, nie licząc kandydatów do posad sądowych których jest około 100, w téj liczbie przy sądzie okręgowym warszawskim jak obecnie 33. Zatém kraj tutejszy posiada, obok przygotowujących się kandydatów do posad sądowych, prawdziwych gotowych kandydatów na urzędy sędziowskie w liczbie z górą 200, pomiędzy którymi znaleść można ludzi wyższéj wartości. Jeżeli dodamy do tego, że w kraju znajduje się przeszło 300 adwokatów przysięgłych, około 100 pomocników adwokata przysięgłego, że połowa notaryuszów posiada prawne kwalifikacye, że nawet w liczbie komisarzy sądowych są ludzie z patentami uniwersyteckiemi, to przyjdziemy łatwo do wniosku, że podobnego bogactwa materyału prawniczego żaden okrąg sądowy Cesarstwa nie ma, a tém samém tutejszy kraj mniéj niż jakakolwiek inna miejscowość sił prawnych zapożyczać zkądinąd potrzebuje.

Obok tego biorąc rzeczy ze stanowiska wyłącznie służbowego, to jest ze stanowiska dobra służby, upośledzenie podobne nie przyniesie dobrych skutków. Po wszystkie czasy podniesienie na stanowisku i polepszenie bytu materyalnego stanowiło cel zabiegów, cel, który pobudza do energii i do pracy. Przy najlepszém poczuciu obowiązków, przy najgorętszych chęciach obywatelskich, bez takiego zewnętrznego bodźca obejść się trudno. Jeżeli widoki awansu są zbyt ciasne, jeżeli na nie rachować nie można, zapał ostygnie, zajęcia znużą, a świadomość upośledzonego położenia dopełni reszty. Anormalne sytuacye dają się już spostrzegać. W prokuratoryi oraz na urzędach sędziów śledczych siedzą ludzie bardzo nieraz doświadczeni, a z miejsca nikt prawie ruszyć się nie może. Sekretarze wydziałów hypotecznych powiatowych postawieni są w najgorszém położeniu, bez względu na kwalifikacyą i kilkunasto letnią czasami służbę, otrzymawszy swe nominacye od prezesów zjazdów (co nie jest racyonalném), stoją oni jak gdyby po za obrębem ministeryum

sprawiedliwości, nikt o nich nie wie, nawet wykaz personelu ministeryum wcale ich nie obejmuje. W ostatnich czasach w szeregach tych sekretarzy zaczyna się objawiać szkodliwe dążenie do opuszczenia swych stanowisk, niektórzy przeszli na notaryuszów, niektórzy uciekają do innych zajęć nieprawniczych, jednakże jeżeli tych ludzi zabraknie, hypotece powiatowéj, grozi do reszty upadek.

Mówiąc o sądach naszego kraju, nie można pominąć milczeniem niektórych pożytecznych objawów. Mamy tu na myśli przedewszystkiem udoskonalone porządki, jakie sąd okręgowy warszawski u siebie zaprowadził. Do ich liczby należą doroczne drukowane sprawozdania z czynności sądu, które obejmują zarazem z wielkiem staraniem zebraną statystykę sądową. W rzędzie sprawozdań mieści się także oddzielne sprawozdanie z działalności sądu jako rady obrończéj za czas od 1876 do 1882 roku włącznie, jakiego prawdopodobnie w żadnym sądzie okręgowym cesarstwa nie zrobiono. Na pierwszém jednak miejscu postawić należy starannie opracowane urządzenie wewnętrzne, (osobyj nakaz) z roku 1880, stojące wyżéj nad urządzenia innych sądów, nie wyłączając petersburskiego. Obok nader wyczerpującéj istrukcyi dla wszystkich wydziałów i urzędów regulamin ten po raz pierwszy określił dokładniéj stosunek sądu okręgowego do podległych mu organów, którego sama organizacya bliżéj nie oznaczyła, jako to: do adwokatury przysięgłéj, do adwokatury prywatnéj, do pomocników adwokatów przysięgłych i do kandydatów do posad sądowych. Co do tych ostatnich, przy braku dokładnych wskazówek w organizacyi sądowéj co do sposobu odbywania aplikacyi i czasu jéj trwania, sąd okręgowy ujął w karby tę aplikacyą, przepisując dla niéj porządek i pracę kolejną w różnych wydziałach. Toż samo znajdujemy w regulaminie względem zajęć pomocników adwokatów przysięgłych, o których organizacya sądowa zaledwie w jedném miejscu ubocznie wspomina. Regulamin ten mógłby służyć za pożyteczną wskazówkę dla ogólnego regulaminu, jaki dla wszystkich sądów cesarstwa, o ile z pism wiadomo, ma być wygotowanym.

Słowo pochwały należy się także warszawskiemu sądowi handlowemu, za wytworzenie najwyższéj możliwéj przy procedurze relacyjnéj pilności i pośpiechu w sprawach handlowych. Rzeczy są tak ułożone, że na trzeci dzień po wniesieniu podania skargowego ma miejsce termin stawiennictwa (jawki), a w kilka dni późniéj termin do sądzenia, który odrazu przy wejściu sprawy do sądu zostaje wyznaczony. Tym sposobem w ciągu tygodnia lub dwóch zapada wyrok, przy czém zabezpieczenie powództwa załatwia się na najbliższéj sesyi, zwykle na drugi dzień po podaniu skargi.

W razie opozycyi, takową można odrzucić w ciągu kilku dni, bo sąd, na jednem i tem samem posiedzeniu przyjmuje opozycyą ze strony formalnéj i zaraz po przyjęciu przystępuje do jéj rozpoznania, jeżeli tylko którakolwiek ze stron tego zażąda, o czém zawiadamia się już z góry w awizacyach do sądu. W sprawach upadłościowych wyrok zapada w trzy godziny od chwili wniesienia podania, a w godzinę lub dwie późniéj już jest wykonanym.

Ta pośpieszna procedura przyjemnie odbija od powolności, jaka gdzieindziéj ma miejsce.

(*D. n.*) *Adolf Suligowski.*

LUDNOŚĆ W STAROSTWIE ROMANOWSKIÉM.

Przypatrując się procesom sądowym gromad wieśniaczych, częstokroć podziwiamy jednocześnie słabość ich zasad prawnych i upór w prowadzeniu sprawy. Uznanie, że „skłonność do pieniactwa ludu naszego” jest jednėm z ogniw w szeregu licznych wad ludowych, bywa zwykle jedynym rezultatem tych rozpatrywań ze strony „starszych braci” jego.

Czy jednak takie sformułowanie rzeczy wyczerpuje kwestyę? Zdaje mi się, że nie. My jesteśmy oswojeni z myślą, że prawo stanowione, jakkolwiek jest wynikiem dążenia do prawdy i sprawiedliwości, nie daje się z nią utożsamić, że przedstawia ono zwykle kompromis między czystą zasadą sprawiedliwości wedle pojęć danéj doby dziejowéj, a faktycznym stanem rzeczy, że ludzkość zatém jest skazana na pewną, większą lub mniéjszą, dyzharmonią między pojęciem sprawiedliwości a prawem stanowionėm.

Rozumowanie kmiece nie zna takich subtelności. Pomimo, że pojęcia ludowe w bardzo szczupłéj dozie zwykle wchodzą w formuły prawa — lud skłonnym jest przedewszystkiém do wierzenia, iż głównie złe wykonywanie prawa, wpływy przemożne a interesowane są przyczyną niezgodności wyroków sądowych z ludowém pojęciem sprawiedliwości. Władza najwyższa w kraju przedstawia się z tego stanowiska jako ubezwładniona temi wpływami; podanie o polskim „królu chłopków” i jego radzie, udzielonéj skarżącemu się kmieciowi — zdradza to pojęcie; na Ukrainie, wśród gorącéj walki, Chmielnicki mówi komisarzom Rzeczypospolitéj: król niech będzie królem, by ścinał szlachtę i panów, bo królewięta to wiele broją; cesarzowa Katarzyna II odpowiada w pieśni ludowéj zaporożcom na ich skargi: „oj rada-b ja, zaporozci, wam dobro wczynyty, Ta ne możu za sanodczykamy w sanad prystupyty”.

Innèm świadectwem tego zapatrywania się ludowego jest powszechnie znana przesadna interpretacya aktów prawodawczych, dobro ludu mających na względzie; lud zwykle w takich razach mniema, że ukrywana przed nim prawda zaczyna się dopiero częściowo wyłaniać, nie dają mu jéj jednak poznać w całości za wpływem owych królewiąt, co wiele broją; to też nic zwyklejszego jak rozruchy ludowe, towarzyszące takim właśnie aktom prawodawczym, które zaspokojenie w téj lub owéj mierze pragnień ludu mają na widoku. Czasem znowu powstaje legenda, pozbawiona rzeczywistych podstaw prawnych, ale na tle tego ogólnego zapatrywania na rzeczy wsparta, i wywołuje cały szereg ruchów ludowych. Tego rodzaju wypadki widział rok 1855 na Ukrainie, a poszukiwania rzekomego ukazu o zapisywaniu włościan do rejestrów kozackich wywołało cały szereg zaburzeń, gorzko opłaconych przez ludność miejscową. Pomimo to, pozostaje — przez pewien przynajmniéj czas— wiara, że nie owo podanie było zmyśleniem, lecz że nadużycie stłumiło głos prawdy. W kilka lat po owych zaburzeniach słyszałem w kołach ludowych w Korsuńszczyznie, że popi okoliczni powymierali wskutek kary bożéj za tajenie owego ukazu o kozaczyźnie.

Ten ogólny sposób zapatrywania się, ta wiara, że to, co jest wedle ludowych pojęć sprawiedliwém, musi i prawnie obowiązywać, wywołuje w procesach ów upór, wydający się z pozoru namiętnością tylko, a będący w rzeczywistości wynikiem innych ogólniejszych czynników. „Dobić się prawdy" nie łatwo, bo niedaremnie przecież pod pomnikiem Richelieugo w Odessie napisano (wedle ludowego podania): „jak majesz z dużym byt' sia, z bohatym sudyt' sia, łuczsze perechrestysia, ta jdy w more utopysia", ale właśnie dlatego, że to tylko wpływy uboczne mają być przyczyną niepomyślnych wyroków sądowych, nie ustępuje nadzieja zwalczenia ich, jeśli nie teraz, to późniéj.

Miejscowość, którą zamieszkuję, byłe starostwo romanowskie (gub. Kijowska, powiat Skwyrski), była widownią takich, wiekowych prawie zabiegów ludności wiejskiéj, około uzyskania drogą prawną polepszenia swéj doli—krótki ich szkic jest przedmiotem niniejszego pisma, nie pozbawionym może interesu, jako kartka materyałów do dziejów ludowych w ciągu bieżącego stulecia.

W r. 1591 Zygmunt III nadaje kniaziowi Mikołajowi Rużyńskiemu „grunta puste od starostwa Białocerkiewskiego" nad rzeczkami Skwirą, Rostawicą, Olszanką, Unawą i Kamienicą (inaczéj Kamionką) (1). Z nadania tego powstaje z czasem starostwo romanowskie.

---

(1) Summaryusz dokumentów w sprawie granicznéj starostwa romanowskiego r. 1804. Starożytna Polska. Balińskiego i Lipińskiego.

Cała przestrzeń, objęta rzeczonėm nadaniem, znaczna część teraźniejszego powiatu skwyrskiego, mieściła w sobie tylko uroczyska; nazwy prawie wszystkich uroczysk spotykamy w późniejszych nazwach wsi i miasteczek, wchodzących w skład starostwa romanowskiego. Już w roku 1603 spotykamy na téj przestrzeni Romanówkę, Żydowce, sioła: Czerniawkę, Koszlaki i Jerczyki, oraz Stawiszcze (1). W r. 1615 osiedla się Skwyra (teraźniejsze miasto powiatowe). Lustracya r. 1616 zalicza do starostwa romanowskiego: miasteczko Romanówkę, Żydowce alias Matwijowce, Stawiszcze, Jerczyki, Koszlaki, Skwyrę, Buki i Stroków.

Osiedlenie postępowało więc szybko; na terytoryum zajmowaném przez pierwszych pięć wsi powstała dotychczas jedna tylko niewielka wioseczka (mała Czerniawka): obfitość ziem urodzajnych, zwolnienie nowo-osiedlających się od powinności na rzecz dworską (słobody) mniéj więcéj długie (Skwyra np. osiadła w r. 1615, ma używać słobody 30-letniéj) (2), ściąga ludność na nowe siedziby, pomimo niebezpieczeństw (miejscowość na Czarnym leży szlaku) (3) i trudności, z jakiemi się to osiedlenie łączy. Żywiéj może niż wszelkie artystyczne opowiadanie—maluje te trudności kilka następnych słów urzędowych w lustracyi z r. 1616: „Buki. Ta wieś rok temu przez Tatary zniesiona. Jest w niéj na ten czas ludzi, którzy w jamach jeszcze mieszkają, 10". Toż samo w innych osadach. Stawiszcze spustoszone przez Tatarów w r. 1606, Buki, Romanówka, Koszlaki w r. 1615, w Koszlakach, które Tatarzy znieśli „jeden tylko chłop został" (4). Najścia tatarskie były w téj miejscowości tak zwykłą rzeczą, iż dokument r. 1592, określając granice terytoryum starostwa, mówi: „aż do werchu riczki Skwyry szlachom tatarskim czerez Rastawyciu" (5).

Nie tylko jednak Tatarzy znoszą nowe osady; niszczy je i ręka chrześciańskich pogromców Islamu. Lustr. r. 1622 mówi: „Romanów alias Romanówka, miasteczko na samym Czarnym szlaku osiadło, w niém poddanych 20; czynszu żadnego nie dają względem słobody, albowiem przez obóz za nieboszczyka p. Żółkiewskiego zniesieni są" (6).

---

(1) Cesya praw dożywotnich ze strony ur. Piaskowskiego na rzecz xięcia Romana Rużyńskiego w Summaryuszu.

(2) Lustracya r. 1616.

(3) Starożytna Polska. Baliński i Lipiński.

(4) Lustr. r. 1616.

(5) Summaryusz dokumentów z r. 1802.

(6) Starożytna Polska. Baliński i Lipiński.

W takich warunkach zaludnia się nasza miejscowość; jéj gospodarstwo, otoczenie domowe, i w ogóle stosunki społeczne, noszą ich cechę na sobie. Gospodarstwo domowe słobodzianina zaczyna się w jamie, zabudowania starościńskie tak się przedstawiają jeszcze w r. 1765: „dwór nad samą rzeką zabudowany, izba z alkierzem i spiżarnią, piekarnia z komórką, szpichlerz i stajnia“ (1). Ludność to się rozbiega, to przybywa, podjazdowym, że tak powiem, sposobem zdobywając ziemię i swobodę, gdy okoliczności po temu służą, tracąc z kolei jedno i drugie przy ich zmianie. Tak „w czasie lustracyi (r. 1765) starostwa Romanowskiego ur. Antoni Kobyliński komisarz i gromady tegoż starostwa Romanowskiego, tak z miasteczka, Romanówki, jako też i z miasteczka Skwiry opowiadali, że to starostwo wielkie ma krzywdy w gruntach swoich od stron kollateralnych. Mianowicie: miasteczko Romanówka od WW. Proskurów dóbr ziemskich Kornińskich ukrzywdzona, że grunta do téjże Romanówki z dawnych czasów należące do dóbr swoich Kornińskich poodbierali i coraz więcéj odbierają, siana na łąkach romanowskich koszą, zboża zbierają i ludzi romanowskich z własnych ich gruntów spędzają, biją i używać onych nie dopuszczają, o co część bitwy, a czasami i zabójstwa ludzi bywają. Także miasteczko Skwyra do tegoż starostwa należące ze trzech stron w gruntach swoich ma mieć krzywdę, to jest od miasteczka Wołodarki JW. Mniszkowéj, podkomorzyny litewskiéj, które dobra Wołodarka przed samo miasteczko Skwirę grunta siłą, mocą, upornym sposobem odebrała i pod samą Skwirą granicę sobie oznacza, z których gruntów też miasteczko Wołodarka ludzi skwirskich spędza, bije i używać onym nie dozwala; z drugiéj strony od dóbr pawołockich JO. księcia Lubomirskiego, wojewody Bracławskiego, a z drugiéj strony od starostwa Białocerkiewskiego znaczne awulsye gruntów ponosić ma, a z tych przyczyn tak z Romanówki jako i z Skwyry ludzie porozchodzić się mieli“ (2).

O sprawach tych sąsiedzkich dotychczas pozostała tradycya miejscowa. Zmarły przed parą laty starzec, Fed'ko Hrywa, opowiadał mi, jak to o granice gruntu romanowskiego, które sięgać miały do „ostréj mogiły“, potykał się walecznie z Proskurą dziad jego. „Moho dida, kozaka Hrywy—dodawał opowiadacz—ne brała kula, aż dopiro sribnym gudziom wstreływ joho Proskura. Pochiływ sia mij did na konewi i skazaw: zbawyw ty, pane Proskuro, kozakowi Hrywi wik joho mołodećkij“.

---

(1) Lustracya r. 1765.

(2) Lustr. r. 1765.

Ale nie tylko ziemie w sporach z sąsiednimi ziemianami tracili osadnicy nasi. Swoboda, która w swéj koczującéj, okolicznościowéj postaci znana była u nas pod nazwą *słobody*, znikała dla większéj części mieszkańców w miarę jéj wysiedzenia, a w miarę tego jak „step szyrokij, kraj wesełyj“ zaludniał się wsiami, jak nowe osadnictwo coraz się więcéj oddalało, jak wzmagało się gospodarstwo dworskie — przybywają ciężary mieszczan i włościan. Romanówka, która na początku XVII wieku nie znała pańszczyzny i czynsz tylko płaciła — w drugiéj połowie XVIII stulecia, oprócz znacznie zwiększonego czynszu (z 3 do 6 groszy na 3²/₃ złote przeciętnie od gospodarza), odbywa pańszczyznę i przędzie motki. Skwyra dawno już odsiedziała swoję słobodę, jéj mieszkańcy w drugiéj połowie XVIII wieku płacą czynsz, podorożczyznę, odbywają pańszczyznę motki; w Czerniawce pańszczyzna została zmniejszona, przybył natomiast czynsz w przeciętnéj wysokości z chałupy koło 13 złotych (w Romanówce w tym czaste 3²/₃ złotego). Zresztą i w początkach XVII wieku, pomimo trudności kolonizacyjnych i obok słobód czasowych, pańszczyzna rozgospodarowała się już na dobre we wsiach okolicznych, oszczędzając tylko nowe osady i centralne miasteczko starostwa. Zwykłą normą pańszczyznianą było tu w owym czasie latem 2, zimą 1 dzień robocizny na tydzień na rzecz dworu (1).

Wszelako w Rzeczypospolitéj, a szczególnie na Ukrainie, istniała aż do jéj upadku taka rozmaitość stosunków społecznych, że dla umysłu, przyzwyczajonego do współczesnego nam równania wszystkiego pod jeden sznur, do uogólnień szerokich i norm jednostajnych, z trudnością dają się one wyrozumiéć, a témbardziéj ująć w jasny i zupepełny obraz. Dobra ziemiańskie i królewszczyzny, samorząd miejski wedle prawa magdeburskiego, pełniejszy w miastach większych, w zależności od starosty w mniejszych, chłopi pańszczyźniani w miasteczkach niegdyś wolnych i obok nich chłopi czynszowi w osadach wiejskich (w lustr. 1765 r. wsie Zołotucha, Kamienna grobla i Kazimirówka nie znają pańszczyzny i czynsz tylko płacą, obok spańszczyźnionéj Romanówki), osady pełniące tylko służbę bojarską (Stroków w lustr. 1616), słobodzianie pomięszani z dawnymi służebnymi już mieszkańcami, libertowani, szlachta zagrodowa, a obok tego kozacy wedle rejestru, a w chwilach powtarzających się częstokroć zaburzeń, wedle pojęcia ludowego: „de krak, tam i kozak“, a wszystko to nadaremnie ujmowane w stałe normy prawne. Tu kolonizacya nowemi słobodami nęci mieszkańców osad już służebnych na step szeroki — pokusa wymowna, świadkiem czego tylokrotne

(1) Lustracye r. 1616 i 1765.

powtarzanie ustaw sejmowych przeciw zbiegostwu poddanych, ówdzie Zaporoże z ponętą niebezpiecznego, lecz swobodnego życia, to znowu ruchawka miejscowa lub szerokie powstanie przeciw szlachcie; w kozactwie samém arystokratyczne wewnątrz i autonomiczne na zewnątrz prądy wśród starszyzny, obok demokratycznych wyłącznie dążeń „pospolitych“ i całéj masy ludowéj, tam znowu najazdy sąsiedzkie (lustr. r. 1765 opiewa, iż dawniéjsze inwentarze starostwa romanowskiego zniszczone przez najazd), lub spory graniczne, rozstrzygane od czasu do czasu bojem na ostre. „Bo kołyś tak buwało—mawiał mi „did“ Hrywa—skilki chto zemli odwojuje, stilki j deržyt'.“

Przy takich warunkach ogólnych wyrosło znaczenie Semena Palija, którego działalność bezpośrednio i do naszego starostwa się rozciągnęła. Ochotnik kozacki z wyprawy Jana III pod Wiedeń, od króla, który się starał rozmaitemi sposobami ożywić kozactwo, przydatne mu w jego wojnach tureckich, a nie obce, zapewne ze względu na swój animusz wojenny rycerskiemu jego sercu—otrzymuje Palij upoważnienie do werbowania pułku kozackiego. Pułkownik nasz jednak nie ogranicza się werbunkiem wałęsających się kup, kolonizuje Fastowszczyznę i stopniowo wyparowuje szlachtę z dóbr ziemskich i starostw, już to wchodząc, po części, w ich prawa, już to rozciągając do swych nabytków dość luźne porządki kozackie. Ten sposób gospodarki kozackiéj przypadał do smaku miejscowemu ludowi „hołud'ba bezportocznaja“, którą się gorszy wędrujący przez Ukrainę z Rosyi do ziemi świętéj Łukjanow (1), nie była wstrętną ludowi; bohaterem myśli jego nie bywał nigdy „kozak-duka“, co to rad naśmiewa się z „hołoty“; hołota chętnie rozprawia się z nim dorażnie: „Jeden bere za czuprynu, druhij dułom bje; ne jdy tudy wražyj synu, do hołota pje“ (2); serce ludu leżało raczéj po stronie „kozaka netiahy“, co to na nim „try siromiahi: odna zhodyt' sia prypiczok zastiłaty“, druha zhodyt' sia werch zatykaty, tretia zhodyt' sia porih zastiłaty“, a „czoboty-sapianci“, z których widać „piaty i palci“ (3). Palij snać umiał żyć z tą hołotą i w razie potrzeby „skinuw z sebe zełen żupan, napjaw namet jim“ (4), skoro pułk jego coraz wzrastał w siły, skoro nowi osadnicy coraz to przybywali pod jego osłonę, a dawne osady chętnie poddawały się pod jego władzę. To też dziś jeszcze śpiewają u nas pieśń, pełną współczucia dla Palija, zdradnie schwytanego przez Mazepę.

(1) Poslednija wremiena kozaczestwa. W. Antonowicz.
(2) Z pieśni śpiewanéj w Romanówce.
(3) Z pieśni ludowéj.
(4) Z ludowéj pieśni romanowskiéj.

Nasze starostwo, sąsiadujące z Fastowszczyzną, podpadało także czas jakiś władzy Palija. August II, nadając w r. 1710 starostwo romanowskie Bombekowi, mówi o niém, iż zostało bez właściciela po śmierci walecznego Palija (1). Zbudowanie dawnéj, dziś już nie istniejącéj, cerkwi w Romanówce podanie ludowe przypisuje Palijowi, a tego rodzaju wzmianki znajdują się i w miejscowém archiwum cerkiewném.

Wśród takich stosunków ogólnych, wśród tego pomięszania rozmaitych grup społecznych, wśród tego wzajemnego ich wypierania się—żyło nasze starostwo, to też nie dziw, że kiedy lustratorowie r. 1789 mówią, iż pomimo, że Romanówkę zwano zawsze miasteczkiem „jeśli by jednak mieszczanie mieli jakie prawa i przywileje szczególne, nie podawali żadnéj o tém wiadomości“, miała jednak Romanówka na schyłku XVIII wieku swój magistrat. Jedynym śladem tego magistratu, jaki odnaleźć potrafiłem, jest posiadana przez jednego z włościan miejscowych w przekładzie rosyjskim kopia przywileju Stanisława-Augusta z r. 1791, aktykowanego w księgach magistratu romanowskiego.

Przywilej, o którym mowa, ważną odgrywał rolę w późniejszych sporach prawnych ludności miejscowéj—słówko jednak przed tém nim go przytoczę.

Cofnijmy się wstecz; chwila, do któréj tu doszliśmy, a raczéj wiek, który ją poprzedził, jest wiekiem, w którym zjawiska nierządu doszły do swego szczytu, ale téż jednocześnie wiekiem, w którym objawy życiowe rozmaitych pierwiastków, wchodzących w skład Rzplitéj, mianowicie zaś na tym jéj krańcu, który tu mamy na widoku, znacznie osłabły, pod względem swego natężenia. Kozactwo Palijowe i towarzyszy jego, przechowuje jeszcze niejakie rysy staréj kozaczyzny — jądrem jednak jego są włóczęgowie, przebywający w tych i owych dobrach; zamiast wspierania się na wolnym żywiole ziemskim, zamiast futorów, zamiast kozackich „łuhiw i łukiw“—spotykamy tu leże zimowe; dawne mieszczaństwo odbywa już częstokroć pańszczyznę, słobodzian coraz mniéj spotykamy wśród osadników wiejskich; pańszczyzny, motków, osepów i t. p. nie hamuje już „bunt zaraz i zaraz czterdzieści tysięcy rejestrowych nad szyją (2). Skarłowacenie spotykamy i w tym czynniku dziejowym, który na rzecz swoję złamał te rozmaite pierwiastki dawniejszego życia Rzplitéj. Miejsce wrażliwości na ruchy umysłowe XVI stulecia zastąpiło oddanie się jezuickiéj opiece, zupełna swoboda kościoła

(1) Poslednija wremiena kozaczestwa. W. Antonowicz.

(2) Wojna Domowa. Samuel Twardowski.

wschodniego poświęconą została na rzecz protegowanéj unii, miejsce gorączki rycerskiéj zastąpiło „popuszczanie pasa“, miejsce tych którzy upominali swego króla „non move gladium, rex, ne te Cajum Caesarem et nos Brutos posteritas loquatur“ zastąpili przyszli targowiczanie. Wyczerpały się więc i zużyły rozliczne siły, z których się składało żwawe niegdyś życie Rzplitéj; zwyciężeni i zwycięzcy, cały organizm Rzplitéj chylił się do upadku. Co go sprowadziło? Czy spór ich o miejsce w Rzplitéj, czy téż zwycięztwo w téj wiekowéj walce?

Dziejopisarze, płynący wyłącznie za nawą państwową, widzą odpowiedź na to pytanie w pierwszém przypuszczeniu — niech nam, studyującym mały odłam dziejów, nam, wpatrzonym w horyzont, z którego nie widać wspaniałego blasku korony, ale na którym tém widoczniéj zaznaczają się zjawiska doli i niedoli skromnych obywateli Rzplitéj — niech, mówię, nam wolno będzie nie podzielać tego zdania. Przeciwnie, wpatrując się w dawną przeszłość Rzplitéj, widzimy rozmaite siły w stanie poszukiwania warunków równowagi; federalny ustrój interesów, właściwy owéj dobie dziejowéj, był formą bytu politycznego, która się sama przez się narzucała. Nieszczęście chciało, żeby jeden z pierwiastków tego ruchliwego życia zwyciężył inne i w ten sposób czynniki, które się wdzierały w legalne prawa bytu, zeszły do rzędu czynników, które byt swój tylko po za legalną drogą, w sposób przemycany, że tak powiem, utrzymać próbowały. Znikła, zapewne, groźba „wróżby stefanowéj“, że „z tych tam łotrzyków rzecz być pospolita miała wolna“ (1), ale też późniejsze dzieje Rzplitéj dopisały do staréj maksymy: „vae victis“ — nową: „biada zwycięzcom“.

Z tego stanowiska zapatrując się na rzeczy, nie można dość wysoko cenić zmysłu politycznego tego stronnictwa, które jeżeli nie ocaliło organizmu Rzplitéj, usiłowało przynajmniéj ocalić jéj cześć i dobrą sławę rozumu jéj politycznego — mówię tu o stronnictwie, które wzieło do serca podniesienie upośledzonych warstw ludności, a na pierwszym planie nader licznych miast i miasteczek, t. j. tego pierwiastku, który w danéj chwili nie do szczętu jeszcze był zniszczony; mówię o stronnictwie, wśród którego Hugo Kołłątaj niepoślednie zajmował stanowisko, a którego działalność dotknęła bezpośrednio i centralnego punktu naszego starostwa — Romanówki.

Krzątania się emancypacyjne rzeczonego stronnictwa przenikały snać w dalekie kąty Rzplitéj, skoro zwróciły się i do naszego miasteczka, liczącego według lustr. r. 1789 „dymów 60, szlache-

---

(1) Wojna domowa. Twardowski.

ckich 10" (1). Obudzało się życie, radzono i radzono się, znajdowały się też „dobre rady" „przyjaznych osób", jak mówi Kołłątaj w liście do naszych mieszczan; sprawę przyjmował do serca i miejscowy paroch ks. Łapiński „gorliwy o dobro miejskie"; z księciem starostą Lubomirskim zawarto czasową umowę, chwaloną naszym mieszczanom przez Kołłątaja, tymczasem zaś zbierano dokumenta i wskazówki, mogące poprzéć mieszczańskie prawo naszéj skromnéj osady. Zachody nie były bezskuteczne; w liście swym 23 Sierpnia r. 1791 Kołłątaj, zalecając mieszczanom cierpliwość i *roztropność*, zapewnia ich, iż „w krótkim czasie ujrzycie się być zupełnie szczęśliwymi.... Przywiléj renovationis już wyjść może; pan Białobrzyski da wam znać, kiedy poń przyjść macie" (2).

Jakoż na „przełożenie panów rady, przy boku królewskim będącéj, i na rzecz wójta, radnych, burmistrza, sędziów i wszystkiego ludu miasta Romanowa"— król, powołując się na dawny tytuł miasta, wyrażony w różnych nadaniach i lustracyach, na opłacanie przez Romanówkę „podatków na miasta wolne postanowionych", jako to: „podymnego, czopowego i szelężnego", uznając, iż późniejszemi lustracyami w latach 1765 i 1789 nastąpionemi „jest uciążone"—w imię praw udzielonych mu przez sejm czteroletni — nadaje naszemu miastu przywiléj renowacyjny.

Przywiléj ten opiewa, iż Romanów ma być miastem wolném i uznaje „wszystkich obywatelów w tym mieście, tak teraz osiadłych i w lustracyą ostatnią miasta Romanówki i taryfę dymów tegoż miasta zapisanych, jako i na potym osiadać mających i do prawa się miejskiego wciskających, za ludzi wolnych; ziemię w obrębie tegoż miasta położoną i przez nich osiadłą, ich domy, place, ogrody, łany, niwy, zarośla, futory i całe tegoż miasta terytoryum, jakie do niego prawnie należy, własnością dziedziczną tegoż miasta i mieszczan w niém osiadłych być uznajemy i od gruntów sstwa Romanowskiego i innéj natury odgraniczone mieć chcemy".

Daléj przywiléj wyjmuje obywateli miasta „bądź szlacheckiego, bądź miejskiego urodzenia" z pod juryzdykcyi ziemiańskiéj i starościńskiéj, orzeka, iż odpowiadać oni mają tylko przed urzędem miejskim, z prawem apelacyi do sądów żytomierskich lub udawać się do sądów koronnych asesorskich, stosownie do treści sprawy; zapewnia obywatelom wszystkich wyznań chrześciańskich używanie praw wolnym miastom służących, wedle konstytucyi sejmu czteroletniego i prawa magdeburskiego, ciężary zaś mieszczan ogranicza tylko do

(1) Starożytna Polska. Baliński i Lipiński.
(2) List H. Kołłątaja do p. p. radnych m. Romanówki.

podatków gruntowych, wedle uchwał sejmów na rzecz skarbu Rzplitéj. Tymże przywilejem została nadana pieczęć magistratowi miejscowemu (1)

Piesi więc delegaci nasi przynieśli pod strzechy spanszczyźnionych swych braci szerokie ekonomiczne i społeczne prawa. „Nasze moch i bołoto“ powtarzano sobie, jak w niedawnych jeszcze czasach formowano ekonomiczne prawa, zawarte w nadaniu; symbol zaś swobód prawno-społecznych, pieczęć magistratu, zgodna z opisem przywileju renowacyjnego, dotychczas przechowuje się u włościan wsi sąsiedniéj.

Taki jednak porządek nie wchodził wcale w programat społeczny starosty miejscowego, ogólny zaś bieg rzeczy zbyt długo po pańszczyźnianéj toczył się pochyłości, żeby usiłowania garstki ludzi lepszych mogły stanowić ogólnemu potokowi tamę skuteczną; rozbite skąd inąd w wiekowych walkach siły ludowe nie mogły się zorganizować, ani poprzéć skutecznie tych usiłowań w przyszłość wpatrzonych; nie miano zresztą śmiałości, a może i możności, odwołania się do tego poparcia: zagrożone istnienie samego państwa, na schyłku już będącego, skierowało usiłowania stronnictwa, o którém mowa, w inną stronę, a to z tém większą wyłącznością, że niebezpieczeństwa zewnętrzne lekkiém sercem sprowadzone, a nawet popierane były przez pewien odłam téj rządzącéj części narodu, która pod ochroną Rzplitéj używała owéj osławionéj „złotéj wolności“. Polityczna strona „złotéj wolności“ mało już ich zajmowała, tém cenniéjszego jednak znaczenia nabierała smutna społeczna jéj interpretacya w sensie wolnego używania i nadużywania wszystkich sił społecznych, po za obrębem koła uprzywilejowanego stojących.

Nie obrażał też téj strony aspiracyj szlacheckich nowy porządek polityczny, a znana energia organów wykonawczych administracyi rosyjskiéj zapewniała istnienie danego porządku społecznego daleko skuteczniéj, niż rozluźnione rządy Rzplitéj, która przytém już skłonność do reform okazała:

„Ej wy lachi, ej wy dukl
Zabrały wsi naszi łuhi j łuki“.

śpiewano dawniéj; zmienił się polityczny porządek rzeczy, ale społeczny przez czas długi jeszcze trwał daléj na silniéjszéj tylko wspierając się podstawie.

„Buła Polsza, buła Polsza, nastała Rossija—
Ne zastupyt’ syn za bat’ka, ni bat’ko za syna“.

opiewała późniejsza pieśń pańszczyźniana.

---

(1) Przywiléj renowacyjny króla Stanisława-Augusta, 10 Listopada 1791 r.

Przy takim ogólnym biegu rzeczy przywiléj renowacyjny Romanówki, ani dawniejsze akta ściągające się do niéj, liberalnie interpretowane w rzeczonym przywileju, na które „posielanie“ całego starostwa chętnie powoływali się, nie stanowiły i nie mogły stanowić dostatecznéj tamy przeciw ogólnemu potokowi.

Ówczesny starosta ks. Józef Lubomirski zniewala mieszczan romanowskich do powinności włościańskich, wynika stąd za czasów jeszcze Rzplitéj proces z powództwa mieszczan. W odpowiedź na to starosta w obszernéj „informacyi“, dowodzi mylności liberalnéj interpretacyi dawnych aktów, używanéj przez stronę powodową, powołuje się na lustr. 1765 i 1789 tj. te właśnie, w których wedle wyrażenia przywileju 1791 r. mieszczanie nasi byli „uciążeni,“ twierdzi że jeżeli dawniéj nie bywało tu pańszczyzny, to tylko przez wzgląd czasowy na zniszczenie sprawione bądź przez Tatarów, bądź przez obóz Żółkiewskiego „więc do tego nieszczęścia—mówi informacya, nie można było dodawać drugiego, aby ludzi przez najazdy niszczonych jeszcze daninami lub powinnościami okładać,“ powątpiewa o autentyczności przywileju z r. 1791, a na wypadek takowéj dowodzi nielegalności przywileju renowacyjnego przy braku przywileju locationis itd. wskutek czego rzecz całą odsyła do sądu referendarskiego, jako kompetentnego w sprawach między poddanymi i posesorami dóbr koronnych.

Na informacyi téj znajdujemy nadpis: „U. U. oficyalistowie skarbu, nie mając więcéj do niniejszéj informacyi, z strony księcia starosty Romanowskiego dokładnie napisanéj, przydać, adhaerent jéj, i konkluzii w niéj położonéj.“ Następuje podpis plenipotenta skarbu.

Posielanie jednak nasi nie tak łatwo przystali na interpretacye księcia starosty, jak „urodzeni oficyalistowie skarbu.“ Jeżeli z jednéj strony starosta tłómaczy akta, odnoszące się do sprawy romanowskiéj, w sposób jak najciaśniejszy, to z drugiéj, sprawa wszczęta przez mieszczan romanowskich coraz się więcéj rozciąga na całe starostwo. Już w sprawie, toczonéj jeszcze za istnienia Rzplitéj, mieszczanie nasi dowodzą, że Czerniawka osiadła na gruncie romanowskim, skąd wypada, że przywiléj 1791 r. i do niéj się ściąga; w dalszych sprawach, wytaczanych już po upadku Rzplitéj w sądach ziemskich skwyrskich, sądzie głównym kijowskim widzimy posielan całego starostwa, występujących solidarnie przeciw staroście.

Urzędy pomijały wyzwalające znaczenie przywileju 1791 r. dla miasta Romanowa; posielanie miejscowi pomijali ze swéj strony klauzulę, odgraniczającą i wydzielającą Romanówkę z reszty starostwa. Wspominany już tu starzec Fed'ko Hrywa opowiadał mi, że jako

by jego stryjowi, jednemu z umocowanych miejscowego ludu (w 1844 r.) oświadczono ze strony kompetentnéj, iż starania Romanczanów mogą otrzymać pożądany rezultat, ale pod tym tylko warunkiem, żeby się wyrzekli jednoczesnego prowadzenia sprawy przysiołków. „Ne potriben meni župan bez rukawiw", odpowiedział siermiężny nasz trybun.

Ślady tylko najdawniejszych sporów w téj materyi znajduję. Toczyły się one w 1792 r. w sądzie asesorskim, w 1797 w magistracie bracławskim, w 1797 r. posielanie uskarżają się na chłostę przed kijowskim sądem głównym, ale skargi przez rzeczony sąd „inkwizycyami" za fałszywe uznane zostały; w 1799 r. starosta domaga się przed powiatowym sądem skwyrskim ukarania posielan starostwa „za powstanie przeciw panu swemu;" w 1801 sprawa się wytacza przed tymże sądem; w latach 1801 i 1802 z powództwa posielan naszego starostwa „w komisyi ustanowionéj mocą dekretów dwóch sądów nadwornych wołyńskich" (1). Kiedy się w ten sposób obie strony uparcie o wzajemne prawa i krzywdy spierają, komisya urządzona dla sprzedaży dóbr rządowych w gub. kijowskiéj, postanawia w 1811 r. osady wchodzące w skład sstwa romanowskiego rozprzedać na własność prywatną (2).

Takiego rozwiązania rzeczy, pomimo wszystkich swych niepowodzeń procesowych, nie mogli się spodziewać nasi posielanie. Zmarły przed dwoma laty 90 letni starzec, właściciel dóbr, graniczących z Romanówką, opowiadał mi, iż w owym czasie radzono ojcu jego, właścicielowi sąsiedniéj wsi Poczujek, nabyć Romanówkę; nie zgodził się on jednak na tę propozycyą, mówiąc, że nie wypada mu nabywać w poddaństwo ludzi, którzy udawali się do niego, jako do sąsiada, po radę w sprawach swego magistratu.

Gdy tego rodzaju skrupuły spotykamy u sąsiedniego szlachcica, właściciela, łatwo się domyśléć jak się zapatrywali na wspomniony obrót rzeczy sami posielanie; wiara w moc swobodnych praw starostwa romanowskiego była tak silną, iż urosła była legenda, słyszana przezemnie od starych ludzi, następującéj treści: Nasi także nierozumnie sobie poczynali. Za cesarzowéj Katarzyny widniejsi gospodarze romanowscy ucztując, a popijając strzelali z pistoleta, wykrzykując: „vivat król!" Jakiś urzędnik podszedł do nich i zapytał co znaczy ten okrzyk. „Takie majemo prawo" „Jakież to prawo?" Po-

---

(1) Sumaryusz dokumentów w komisyi mocą dekretów dwóch sądów nadwornych wołyńskich etc. 1802 r.

(2) Kopija opriedielenja w komisii, uczrieżdlennoj w Kijewskoj gub. dla rasprodaži kazionnych imienij w 8 dień marta 1811 goda uczinionnawo.

kazali mu swoje dokumenta, a urzędnik, schwyciwszy je—w nogi. Pijani nadaremnie go dopędzali. „Piśla toho carycia Kateryna jichała i wezła z soboju nasze prawo; noczuwała wona na Jachniańskich korczmach. Oto wona prysyłaje do jidnoho, naszoho taki czołowika, szczob iszow wziaty nasze prawo. Jak to? To ja maju chodyty za swojim prawom? Nasze prawo do nas powynno pryjty. Oto carycia za te rozhniwałaś i oddała nasze prawo Skwyri, to Skwyra wyjszła na horod, a nasze miszczanstwo tak i ostałoś.“

Z tém wszystkiém kwestya rozprzedania byłego starostwa w ręce prywatne była zdecydowaną i decyzya wprowadzoną w wykonanie; byłe starostwo rozprzedano oddzielnemi wsiami w rozmaite ręce. Przybywają w ten sposób do naszego miasteczka i do naszych wsi, przepełnionych jeszcze nadzieją uzyskania swobody, właściciele ziem i dusz, zbrojni przysługującém im prawem, podejrzliwie patrzący na włościan dochodzących jakichś praw w ciągłych procesach i skargach, drażliwi na wszelką niesforność, zuchwalstwem zwaną, przyzwyczajeni do rozpraw doraźnych plagami, chciwi wyzyskania swego prawa na poddanych.

W 1816 r. włościanie nasi przez Zachara Pyłypenka zwracają się jeszcze do ziemskiego sądu skwyrskiego, dowodząc, iż jako byli posielanie starościńscy powinni pozostawać na prawach włościan skarbowych i nie powinni być sprzedani w ręce prywatne, otrzymują jednak odmowną odpowiedź na zasadzie rezolucyi komisyi ustanowionéj dla sprzedaży dóbr rządowych w gub. kijowskiéj. „Zasiedatiel“ sądu ziemskiego zbiera włościan rozmaitych osad byłego starostwa romanowskiego i ogłasza im odpowiedź sprawnika, mówiąc, iż jako sprzedani legalnie powinni pozostać na zawsze na prawach włościan prywatnych w posłuszeństwie względem swych nabywców.

— Wedle przywilejów nam służących nie możemy być sprzedawani i wolności swojéj poszukiwać będziemy—odpowiadają włościanie (1).

Zasadniczy ten spór popierają posielanie, zaskarżając przed skwyrskim sądem powiatowym ucisk ze strony nowych nabywców: nadmierne robocizny, chłostę, powodującą tu i owdzie śmierć karanych, nieposzanowanie czci niewieściéj ze strony jednego z właścicieli itp.

Była to chwila silnego podniesienia umysłów; groźba bezpowrotnego poddaństwa znalazła żywych przedstawicieli w nowych nabywcach, nacisk z jednéj strony potęgował krępowane w różne

(1) Rezolucya 1-go departamentu Kijowskiego sądu głównego 16 lipca 1817 r.

sposoby wysiłki drugiéj. Ruch w danym kierunku znajdował odgłos i daléj wśród ludności w podobnych zostającéj warunkach. O sprawach i dokumentach naszego starostwa informują się w analogiczném zostający położeniu mieszkańcy miasteczka Stawiszcz białocerkiewskich (1), a nie wielkiéj trzeba domyślności, żeby w ich zeznaniu na śledztwie o wycieczce do Skwyry dla poinformowania się o dokumentach starostwa romanowskiego odgadnąć i żywe zetknięcie się z ludźmi w jednakiéj zainteresowanymi sprawie.

Miasteczko Stawiszcze, należące do starostwa białocerkiewskiego było w r. 1773 nadane na własność królowi Stanisławowi Augustowi, który zobowiązał się zresztą istniejące prawo mieszczan i włościan w dobrach tych, prywatną już jego własność stanowiących uszanować. Darowane mu sstwo białocerkiewskie król darowuje z kolei hetmanowi koronnemu Ksaweremu Branickiemu w 1774 r. 13 grudnia. Ożywieni nadziejami, jakie obudziły wśród mieszczan starościńskich postanowienia sejmu czteroletniego o wolnych miastach, zwracają się stawiszczanie, podobnie jak i nasi mieszczanie romanowscy, w 1791 r. do władzy centralnéj przez trzech umocowanych, którym wręczają plenipotencyą 30 października 1791 r. Jakoż drukowany cyrkularz komisyi policyjnéj obu narodów, dotyczący organizacyi miast wolnych, otrzymują stawiszczanie pod swym adresem, a w 1792 r. trzy królewskie uniwersały, dotyczące wyborów w wolnych miastach, w których i stawiszczanie mieszczanami się mianują, to téż spór swój w 1791 i 1792 z właścicielem prowadzą przed sądem asesorskim (2).

Nie wiemy czy i dokąd zwracano się poźniéj we wszczętym sporze, w chwili jednak, do któréj tu doszliśmy, zastajemy w Stawiszczach niezwykłe ożywienie. Szereg świąt, kończących 1814 i zaczynających rok 1815 sprzyja swobodnemu naradzaniu się gromady, uroczyste obrzędy i biesiady świąteczne ożywia silnie podniecona myśl społeczna. 14 stycznia 1815 r. mieszczanie stawiscy w liczbie 93 zawierają umowę z wybranymi z pośród siebie umocowanymi, 25 kwietnia tegoż roku zawiera się znowu takaż umowa a na niéj widzimy już 146 podpisów. Podpisani zobowiązują się: 1) na żądanie umocowanych gromada powinna natychmiast się zebrać w naznaczoném miejscu, 2) gdy umocowani zapotrzebują pieniędzy, to zbierać je i dawać do ostatniéj koszuli; ociągający się poddają się dobrowolnie karze pieniężnéj, 3) umocowani winni są starać się i praco-

(1) Rezolucya senatu w sprawie włościan m. Stawiszcz 3 stycznia 1822 r.
(2) Rezolucya senatu w sprawie cywilnéj włościan m. Stawiszcz.

wać do ostatniéj kropli krwi, nie szczędząc mienia, ni życia, 5) nie składając winy jeden na drugiego, podpisani powinni stać przy swojém do końca i zobowiązanie to stwierdzić przysięgą.

Umowa ta została urzędownie poświadczoną w taraszczańskim sądzie powiatowym. Wieść o tém doszła szybko do włościan, zamieszkujących przedmieścia Taraszczy; zbierają się i oni w gromady, wybierają ze swéj strony dwóch umocowanych i podpisują się na drugiéj umowie.

Wydelegowany przez zarząd gubernialny sowietnik Sachs nadaremnie przekłada stawiszczanom, iż umowa ich jest nielegalna i proponuje cofnąć ją. Na przełożenia jego odpowiadają, że nie chcą cofnąć swych podpisów, gdyż boją się osłabić w ten sposób dochodzenia swéj wolności. Sachs proponuje im wybór trzech zaufanych ludzi, przy których zobowiązuje się wysłać z Taraszczy dokumenta odnośne do tego dochodzenia; następuje wybór, ale na miejscu już w sądzie powiatowym wybrani wymawiają się od wypełnienia téj propozycyi, w czem podtrzymuje ich i adwokat ich, szlachcic Ścisławski (1).

Wywiązuje się stąd sprawa, któréj dalszy przebieg przekracza poza granice jakieśmy tu sobie zakreślili. Po zaznaczeniu stosunków istniejących między prawującymi się w tego rodzaju sprawach, chodziło mi o wskazanie wewnętrznego natężenia tego ruchu, o zaznaczenie w jakim stopniu rozumiano tu onego czasu prawo swoje (wedle ludowéj jego intepretacyi), solidarność gromadzką i wzajemny stosunek mocodawców i umocowanych.

Powróćmy do naszego zakątka.

„Bodaj ne dywyt'sia, bodaj ne kazaty,
Bo za ludej sorom, bo serce bołyt'“ (2).

Wspomniałem już, że na zwiastowanie sobie poddaństwa nasi posielanie odpowiedzieli, że będą dochodzić swego prawa i że podane zostały z ich strony skargi na ucisk i nadużycia właścicieli. Wywiązała się stąd sprawa przeciwko skarżącym najprzód w powiatowym sądzie skwyrskim, następnie w kijowskim sądzie głównym.

Włościan, zebranych przy obwieszczeniu im wieczystego poddaństwa, było 25, skarżących się na nadużycia właścicielskie 21 (między nimi czterech obwinianych i w pierwszéj grupie). Sąd skwyrski znajduje, że skargi włościan są bezzasadne, „że z przyczyny nabywców dóbr rządowych niczyja śmierć nie nastąpiła i że chociaż nie-

(1) Rezolucya senatu 3 stycznia 1822 r.
(2) Szewczenko.

którzy włościanie po krótkiéj chorobie życie skończyli, właściciele jednak nie przyczynili się do tego skrócenia życia ani przez bicie, ani w inny sposób; że kary ze strony ekonomii nie były wymierzane bez winy, lecz wedle doniosłości wykroczenia, i włościanie nie bywali uciskani, ponieważ używani są do robót zwykłych, czego najlepszym dowodem jest, że obrabiają ziemie tylko do ich wsi należące" itd., że co do oskarżeń przeciw jednemu z właścicieli, to „okazało się, że podczas kwaterunku wojsk też same dziewczęta i kobiety razem z wojskowymi bawiły się pijaństwem i zupełnie śmiało przepędzały czas w skrytych miejscach i nawet wałęsały się po krzakach z wojskowymi". Ponieważ wszystko to razem dowodzi „potwarzy, niechętności i zuchwalstwa" skarżących, przeto sąd postanawia: 19 z wyżéj oznaczonych włościan „dla uśmierzenia i dla przykładu ukarać batami („*pletmi*") w miejscu zamieszkania", podobnéj karze podledz ma i 25 włościan, winnych „zuchwałego odezwania się" na objawienie im poddaństwa. Daléj nałożono karę pieniężną na pisarza, który układał rzeczone skargi i na drugiego, który pisał plenipotencye, mające na celu popieranie takowych.

Sprawa w tym stanie przeszła na rewizyą do 1-go departamentu Kijowskiego sądu głównego. Sąd ten zatwierdza wyrok sądu powiatowego, przypominając, iż właściwie należałoby wedle ukazu 22 sierpnia r. 1767 winowajców karać „*knutem*" i wysłać na Sybir, ze względu jednak na ich nieświadomość nakazuje 12 ukarać po 50 batów, a nadto sąd dodaje nazwiska 247 włościan, pozostawiając do wyboru ekonomii: co dziesiątego ukarać po 30 batów „za to, że byli jednomyślni z wyżéj oznaczonymi włościanami na wystąpienie z nieudowodnionemi pretensyami, co do mniemanéj wolności, w nieposłuszeństwie i zuchwalstwie przeciw właścicielom i naśladowali ich wyuzdanie". Kara ma się odbyć, przy asystencyi oddziału wojska, publicznie w każdéj wsi, wedle mieszkania karanych, w przytomności strapczego powiatowego, który ma przy téj egzekucyi objaśnić znaczenie ukazu 22 sierpnia r. 1767 i uprzedzić, że kto znowu stanie się winnym podobnego przestępstwa, podpadnie wyrokowi wedle brzmienia rzeczonego ukazu. Jeden z pisarzów ma być pociągnięty osobno do sądu, drugi oddany do wojska, a na wypadek niezdatności zesłany na Sybir. To rezultat rewizyi sprawy, w któréj sąd powiatowy naliczył wedle swego niewybrednego kryteryum 44 winowajców; wyrok sądu głównego, oprócz 12 ściśle wskazanych włościan i jednego pisarza, oddaje 247 włościan na dyskrecyę ekonomii (1).

(1) Rezolucya Kijowskiego sądu głównego 1-go departamentu 16 lipca 1817 r.

Pomijając już motywa, na których wsparto uznanie winy, w wysokim stopniu charakterystyczne—widzimy, iż z czynności sądowéj, skierowanéj do pewnéj ilości osób, zrobiono sprawę ogólną całéj kmiecéj społeczności danego miejsca, a sąd figuruje tu jako narzędzie téj akcyi.

Przerażająca wieść o wyroku rozeszła się po naszych wsiach, które wytoczyły sprawę, w nadziei uzyskania owéj wolności, do któréj mniemały się być uprawnionemi i skarcenia nadużyć właścicielskich.....

Pamiętam przed laty, za czasów jeszcze pańszczyźnianych w inném miejscu karczmę, napełnioną w dzień świąteczny mnóstwem ludu. Zmierzchać już zaczynało; na stole karczemnym siedział lirnik miejscowy, śpiewając dość znaną pieśń pańszczyźnianą:

„Oj sodoma pane brate".

Pieśń kończy się słowami:

„Oj chodimo, pane-brate, po-za kruti hory,
„Nechaj tuta wywodiat' sia kruki ta worony" (1).

Cała publiczność skupiła się koło lirnika.

... „A szczoż majem, pane-brate, tepera robyty,
Ide czerha na panszczynu wweś tyżdeń chodyty"...

W tém dał się słyszeć dzwonek; lirnik odłożył na bok lirę, publiczność stała nieruchomie, aż ktoś z obecnych wyjrzał za drzwi,— „Ni, to w storonu pojichało".

Lirnik zaniechał przerwanéj pieśni i rozpoczął nową:

„Nema w swlti prawdy, prawdy ne zyśkaty,
Szczo teper neprawda stała panuwaty".

Cicho było w karczmie, słychać było tylko głos lirnika, przerywany monotonną przygrywką liry...

„Na sud iz nym staty, prawdy ne zyśkaty,
Tilki sribłom - złatom paniw nasyszczaty".....

Wyrok kijowskiego sądu głównego został zatwierdzony przez ówczesnego gubernatora kijowskiego, następnie w r. 1819 przez senat; wyrok jednak, mianowicie zaś, przerażająca swą dowolnością część jego, nie została wyegzekwowaną, gdyż wola cesarza Aleksandra I ograniczyła jego siłę do głównych tylko winowajców (2).

---

(1) Inny waryant dodaje:

Oj chodimo, pane-brate, w step, ta w hajdamaki,
Może kołyś wrażim panam damo sia u znaki.

(2) Odezwa do powiatowego sądu skwyrskiego 21 lutego 1832 r. ówczesnego właściciela wsi Stawiszcz.

Była to oczywiście olbrzymia ulga, ulga dotycząca 247 rodzin, było to nadto potępienie gorszącego postępowania sądu, który stał się tu narzędziem niechęci pewnéj warstwy społeczeństwa przeciw drugiéj.

Gdy taką była siła oddziaływania pojęć pewnéj warstwy na przebieg spraw sądowych, łatwo odgadnąć można, z jaką ścisłością wyegzekwowano tę część wyroku, która nie była zawieszoną.

Przybył więc oddział wojska, przemaszerowywał od wsi do wsi, głównym skazanym wyliczono baty, przy akompaniamencie nauk moralności społecznéj, udzielanych przez urzędnika.

Taką była odpowiedź ówczesnego porządku rzeczy na aspiracye i zachody emancypacyjne posielan naszego starostwa. I naturalnie. Był to czas, w którym zasadę poddaństwa wyzyskiwano, nie uznając nawet hamulca, leżącego w interesie właściciela. Mam, między innemi, pod ręką notatkę, zrobioną „dla pamięci“ przez ówczesnego rządcę dóbr białocerkiewskich. Czytamy w niej: „6-to—poddanym nieco dopomódz, bo upadną i utrata razem z nimi“. A nie był to wcale filantrop-marzyciel, jak widać z 4-o punktu tej notatki: „mieszczanie, aby synów do szkoły nie dawali przeszkadzać, a tych co się uczą rozdysponować“.

Przy takim ogólnym porządku rzeczy, przy tak fatalném rozwiązaniu sporu naszych włościan z r. 1816 — akcya zbiorowa z ich strony przycicha na czas dłuższy. W ciągu tego czasu, obok skoncentrowanéj niechęci z jednéj strony, drażliwéj podejrzliwości z drugiéj—spór prowadzi się w partyzancki, że tak powiem, sposób. Lada niesforność ze strony włościan: nabieranie np. lodu do lodowni dworskiéj w inném miejscu, niż wskazane przez dozorcę, lub mniej pospieszne wożenie drzewa dworskiego z lasu—notuje się ze strony właścicielskiéj, jako symptomat grożącego buntu, podnosi się w odezwach przesyłanych do policyi, marszałków powiatowych lub gubernatora, wystawia się w nich chroniczny upór, „szkodliwy duch wolności“, nurtujący wśród włościan starościńskich, przypomina się sprawa z r. 1816 i surowe w tej sprawie wyroki. Dla więcéj niespokojnych włościan stoi otworem dom poprawy, do którego wysyłają tego i owego ze swych poddanych na kilka miesięcy, do pół roku, „ze względu na złą jego moralność i arcyzuchwałe postępki“, („w widu chudoj jewo nrawstwiennosti i predierskich postupkow“). Zresztą nie tylko dom poprawy stał na usługi woli właścicielskiéj; ukaz senatu 10 Marca 1822 r. opiewa, iż zarząd gubernialny, nie wchodząc w rozpatrywanie pobudek niezadowolenia ze strony właściciela względem jego poddanego, winien włościan, przedstawionych do rozporządzenia rzeczonego zarządu, oddawać w rekruty

bez zaliczenia (bez zaczota), a w razie ich niezdatności wysyłać na Sybir na osiedlenie.

Sprawy się zaogniały szczególnie, gdy, zniecierpliwiony przez dozorców kmieć, w ostrzejszy sposób odzywał się do nich lub napomknął o dawnych prawach z tytułu należenia włości do byłego starostwa, jak to np. miało miejsce w r. 1823, w jednéj ze wsi starościńskich, gdzie w podobnym wypadku udano się do interwencyi sądu powiatowego, a następnie kijowskiéj izby głównéj. Sąd, przed którym włościanin składał się skargą na ekonoma, znalazł, iż ekonom wyliczył 10 czy 12 batów, a nie więcéj, „jakową karę dla wprowadzenia porządku i powstrzymania ludzi prostéj klasy, a szczególnie gdy zboże dworskie, stojąc na pniu, zaczyna się psuć i siano zgniło jedynie przez nieposłuszeństwo włościan.... należy uważać za potrzebną i przyzwoitą, (zanużnoje i pristojnoje priznat')". Sąd użył znanego już skarżącym się posielanom poprzednich wyroków środka, t. j. batów; karę tę otrzymało czterech włościan, każdy po dziesiątce, 1 lutego 1824 r. (1) Takież zaostrzenie wynikało, gdy w ten lub ów sposób uwydatniała się solidarność gromadzka, jak np. w r. 1848 w innej wsi, gdzie zebrana gromada ustami ośmiu obecnych włościan wyraziła nieufność dla interpretacyi przepisów inwentarzowych, dawanych przez marszałka i policyą, co pociągnęło za sobą natychmiastowy areszt ośmiu rzeczonych winowajców; zajście tém więcéj zaostrzone, że jeden z pozostałych zwrócił się do aresztowanych mówiąc: „niczoho nie bijte sia, my damo na te radu, my wsi za was postoimo". Liczba aresztowanych wzrosła o jednego, a następnie poczęło się długie raportowanie, pisanie próśb i odpowiedzi między właścicielem, policyą, sądem powiatowym i marszałkiem, (z téj strony płynęły i rady) wszystko celem wysłania z woli właściciela części ich na Sybir, oddania innych na 3 lata do rot aresztanckich, innych na rok jeden. Życzeniom co do rot aresztanckich stanęło na przeszkodzie prawo co do oddawania do nich przez właścicieli, nie dłużéj, jak na pół roku; kwestyą przeciągały skąd inąd różne formalności, co do etapu i t. p., aż nareszcie instancye żon włościan uwięzionych i miejscowego sprawnika, spowodowały wyzwolenie aresztowanych po pięciomiesięcznem więzieniu.

Włościanie ze swej strony tajoną niechęć, a niekiedy i nadzieje lepszego bytu, wyjawiali raczéj w potajemnych naradach i rozmowach, opuszczaniem się w pańszczyźnie, w doraźnych, ostrzejszych czasem słowach, skierowanych do dozorcy („nechaj pes tobi robyt'

(1) Rezolucya Kijowskiego sądu głównego I departamentu 28 wrześnla 1820 r.

pansczczynu, a ne ja“ lub „stereży sia, bo dam tobi takoji siczki, jakoji ty szcze ne znaw dosi“), w odmawianiu sąsiadów swoich od asaulstwa i t. p. Asaułami zwano w owym czasie na Ukrainie włościan, którym poruczono „wypędzanie“ na pańszczyznę innych i dozorowanie robót. Słyszałem podanie, iż kiedy kret ryje norę, chcąc go powstrzymać, należy powiedzieć: „ne kruty, bo bude tobi, jak asauli na tim switi“.

Jednym ze środków tej partyzantki było także zbiegowstwo. Prywatne archiwa przepełnione są podobnemi sprawami. Uciekano od poddaństwa w rozmaite miejsca: to do włościan lub szlachty czynszowej wsi blizkich, to na cegielnie kijowskie, czasem do odleglejszych właścicieli, czasem jeszcze dalej na stepy Chersońskie, na Bessarabią: kto się już w te stepy wymknął, mógł być spokojnym; zdarzało się, że taki zbieg przebywał w usłudze gospodarskiej u stanowego prystawa, który tymczasem na rozmaite strony poszukiwał zbiegów. Pamiętam, jak niegdyś na pograniczu gub. Kijowskiéj i Chersońskiéj włościanie przyjęli mię i trzech moich kolegów, ze względu na nasz niepokaźny wygląd za zbiegów poddanych. „Tut jid'te śmiło, tut was nichto za bumahu ne spytaje—chyba de na jakoho pjanoho pysara naskoczyte“. Gdzie indziej pisarz, chociaż by i nie pijany, mógł stanowić niebezpieczeństwo, włościanie, w ogóle—nigdy; zbyt czuli się solidarnymi we wspólnéj biedzie, żeby nie dopomódz uciekającemu „po za kruti hory“, jak mówi pieśń pańszczyźniana. Kiedyś na święta Bożego Narodzenia poszedłem z Kijowa pieszo do domu; mój nieokazały kożuszek zbliżał mię do przeciętnego typu rozmaitych pieszych wędrowców na szosie kijowsko-żytomierskiej, słońce miało się ku zachodowi, a dobry jeszcze kawał drogi miałem przed sobą. Ku wielkiéj mojéj pociesze dopędza mię nieznany mi włościanin, popędzając parę dobrych koni, zaprzężonych do sanek gospodarskich. „Sidaj, zemlacze, zo mnoju . . . . tobi w ciu storonu?“—Tak. Zawiązała się rozmowa, powiedziałem mu dokąd i po co idę. — „Ni, ty mene ne bij sia, ja tebe ne wydam. Choczesz, ja zawezu tebe do swojeji hospody, perenoczujesz u mene, a tam jak schoczesz, chocz u mene ostanesz sia, chocz pijdesz sobi kudy nadumaw sia. To tilki hora z horoju ne schodyt' sia“. Dowiedziałem się późniéj, iż był to jeden z najporządniejszych gospodarzy wsi sąsiedniej. W innem miejscu nieznani nam włościanie zwrócili się do nas, wtedy studentów, których przyjęli za zbiegów bez paszportu: „tikajte, bo gubernator jide“. Nieraz słyszałem w owych czasach opowiadanie o rozmaitych ucieczkach i szło to zwykle dość łatwo, ale była przeszkoda inna, czujniejsza niż pilność policyi—była to tęsknota za domową strzechą. Oto dla czego familijni gospodarze nie-

chętnie zachodzili daleko, oto dla czego narażali się na niebezpieczeństwo tajemnych schadzek nocnych, z rodziną na glebie, do któréj przykuwało ich prawo. Policya ze swej strony zatrzymywała tu i ówdzie przechodnia bez paszportu i odstawiała pod strażą do domów. Sporą plikę odezw („powiestek“) téj treści mam pod ręką.

Tłumione w ten sposób i przemycane aspiracye włościan byłego sstwa romanowskiego nie rozpłynęły się jednak w biernym wyłącznie oporze; przewodnia idea wyzwolenia się z poddaństwa na zasadzie dawnéj należności do starostwa i przywilejów jemu służących nie przestawała stanowić pozytywnego programatu tych dążeń programatu, który starano się wprowadzić w życie przy lada sposobności, bądź to wyzyskując zewnętrzne okoliczności, sprzyjające wedle mniemania włościan akcyi w danym kierunku, bądź wszczynając ją na własną rękę po tajemnych naradach, ożywianych z jednéj strony dowolnie nieco oświetlanemi wspomnieniami przeszłości, z drugiéj— dowolniéj jeszcze budowanemi nadziejami na przyszłość.

Gdy przybyły na urząd generał-gubernatora Kijowskiego Żołtuchin, wezwał mieszkańców przez pośrednictwo sądów powiatowych, aby zwracali się do niego z zażaleniami na niższą administracyą—włościanie byłego sstwa romanowskiego zasypali go zażaleniami na właścicieli i prośbami—bezskutecznemi, gdyż pochodziły od ludzi, którym prawo takich zażaleń i próśb zabraniało.

W r. 1831, gdy w cerkwiach odczytano ukaz, grożący konfiskatą majątków właścicielom przyjmującym udział w powstaniu, włościanie nasi tu i ówdzie zrozumieli, iż zabranie majątków prywatnych właścicieli, na rzecz skarbu ma być powszechne, a przynajmniéj odnośnie do byłych dóbr starościńskich. Rozpoczęły się wtedy— w Stawiszczach np.—narady włościan, dawały się częściéj słyszéć pogróżki przeciw istniejącemu porządkowi społecznemu, zaczęto zbierać składki, a dwaj włościanie, wałęsając się tu i owdzie, wchodzili w stosunki z rozmaitymi ludźmi, mogącymi wedle ich mniemania wpłynąć na bieg rzeczy—z jakimś np. pisarzem przy policyi skwyrskiéj, który zapewniał, że „wse bude dobre“ i że żadnych panów w starostwie dawném nie będzie, z żołnierzami, którzy przy kieliszku wódki świetne im robili nadzieje, komisyą skwyrską, zajmującą się poszukiwaniem powstańców. W r. 1833, jednego z rzeczonych włościan, skwyrski sąd ziemski odstawił pod strażą na miejsce zamieszkania, zawiadamiając, iż zatrzymano go we wsi Taborowie (powiatu skwyrskiego), „za wałęsanie się bez paszportu, za ogłoszenie tamecznym włościanom, iż prowadzi interes wydobycia się na wolność, z pod władzy właściciela i bezsensowne (*nielepyje*)

słowa o wolności"—przy czem zlecono ekonomii, osadziwszy go na miejscu, strzedz pilnie, żeby się nigdzie znowu nie wydalał.

Poważniejszy bez porównania charakter miała sprawa, wszczęta przez włościan romanowskich w r. 1844. Dwaj wieśniacy tutejsi: Choma Diduś i Maksym Hrywa, udali się do prokuratora gubernialnego w imieniu swéj gromady, prosząc go, jako mającego odpowiednie atrybucye prawne, o udzielenie protekcyi w sprawie dochodzenia ich wolności z pod władzy właściciela. Prośba wspierała się na tém, iż cesarz zatwierdzając wyrok zapadły w Kijowskim sądzie głównym, w wytoczonéj przez włościan sprawie o przywrócenie ich do stanu wolnego—pozostawił im jednocześnie prawo wszczęcia na nowo sprawy w senacie, jeżeli będą mogli poprzéć ją dowodami nowymi, których nie miano na widoku przy poprzedniém jéj rozpatrywaniu. Jako na takie dokumenta powołują się rzeczeni włościanie na przywiléj królewski z r. 1557, na decyzyą sądu asesorskiego z r. 1792 i magistratu bracławskiego 26 lutego r. 1797. — Prośba polegała na tém, aby prokurator wdał się sprawę w taki sposób, żeby ze strony właściciela nie stawiono im przeszkód do wybrania umocowanych, którzy by daléj sprawę popierać mogli. Przekładali jednocześnie, iż do czasu rozstrzygnięcia sprawy będą spełniać obowiązki, z obecnego ich stanu wypływające. Prośbę podpisał za niepiśmiennych szlachcic Jakubowski.

Prośbę tę, najzupełniéj legalnie obstawioną, poparł prokurator, dając za pośrednictwem rządu gubernialnego ziemskiemu sądowi skwyrskiemu i strapczemu zlecenie, aby przekonawszy się o stanie rzeczy, udzielili włościanom opiekę prawną w téj sprawie. Powyższe zlecenie przechodzi z kolei do sprawnika i stanowego. Wywiązuje się ztąd obszerna korespondencya między właścicielem, a rzeczonemi urzędnikami. Właściciel odpowiada na treść prośby w sposób wymijający, powołuje się na sprzedaż danych dóbr przez rząd, na dawne rezolucye w sprawie starościńskiéj i t. p. Ze strony urzędowéj żądano od niego zgodzenia się na wybór umocowanych lub uzasadnienia odmowy. Urzędowe poparcie tych przedwstępnych kroków włościan obudza w nich z kolei przypuszczenie, iż i sama treść rzeczy na równe poparcie liczyć może; zbierają składki, i gromada, naradzając się tymczasem potajemnie, wybiera już trzech umocowanych: Hawryła Ołeksijenka, Hrehora Ołeksijenka i Fedora Suczka. Policya zapytuje znowu właściciela czy zgadza się na dokonany wybór umocowanych, lub jeżeli nie, to dla czego; właściciel odpisuje obszernie do gubernatora i policyi, wskazuje na niebezpieczeństwo protekcyi okazanéj dotychczasowym zabiegom włościan przez prokuratora i w końcu wypowiada, że zgody swéj na wybranie umoco-

wanych odmawia, ze względu na spokój i porządek, nad którymi czuwać w charakterze właściciela jest obowiązany.

„Ponykły hołowy kozaczi".

Nie wiem dokładnie, ile od owéj daty upłynęło czasu, ale doczytujemy się, że później jednego z wybranych umocowanych (Hawryła Ołeksijenka) odstawiono do domu poprawy na trzy miesiące, w celu poprawienia „złéj moralności i zuchwałych jego postępków"; o drugim (Fedorze Suczku) znajdujemy w r. 1852 sprawę z powodu jego zbiegowstwa. Trudno obecnie odgadnąć, o ile te ostatnie sprawy wiązały się w myśli osób działających ze staraniami włościan podjętemi w r. 1844; nasuwa się jednak przypuszczenie, że był to świadomy lub bezwiedny, a nieunikniony, w obec danego porządku rzeczy, ich epilog. Dla ludzi żywiéj odczuwających aspiracye zbiorowe nie było miejsca w ramach owczesnego ustroju prawnego, to też nie dziw, że—jak mawiał synowiec jednego z inicyatorów sprawy r. 1844, Fed'ko Hrywa — „kotori mały trochi kłepki w hołowi— pohnyły w tiurmach".

Tak się zakończyła sprawa, obstawiona, pod względem legalnym, całkiem poprawnie. Inaczéj też być nie mogło. Siła zasadniczego systematu społecznego zbyt jest potężną, żeby zachody jednostek, wspierające się nawet na poszczególnych paragrafach prawa, w luźnym związku lub w sprzeczności pozostających z całością, mogły wpłynąć znacznie na bezpośredni bieg wypadku. Szczegółowy paragraf prawa dawał tu podporę zabiegom naszych włościan—cóż, kiedy całość jego stanowiła dla ludu „tepłyj kożuch, tilki, szkoda, ne na nioho szytyj".

W tym wypadku, zresztą, zbyt często bywa prawo stanowione i to nie tylko wtedy, gdy świadomie podporządkowuje interesa ludowe innym względom, ale i wtedy, gdy zupełnie odmienne myśli niém kierują: obecność dobrych chęci nie zabezpiecza od szkód, wynikających z nieznajomości rzeczy. Warstwy zwierzchnie społeczeństw naszych, szczególniéj może na Ukrainie, zbyt mało znają gospodarskie, intelektualne i moralne interesa warstw spodnich, żeby dobre ich chęci, pod tym względem, w razie obecności takowych, mogły być uwieńczone pożądanym skutkiem.

Formuły ich ekonomiczne, naukowe i etyczne taką niezmierną oddzielone są przestrzenią od potrzeb życiowych i zapatrywania się na świat ludowego, ogólny bieg rzeczy tak dotychczas sprzyjał rozszerzeniu tego przedziału w naszych cywilizowanych społeczeństwach, że dopóki cała energia zapasów naszéj cywilizacyi nie zwróci się ku wyrównaniu téj ujemności — zamiast ogólnego postępu ludzkości, będziemy mieć rozwój tylko odrębnych, nie rozumieją-

cych się i przeto niechętnych warstw społecznych, a w tych warunkach formuły jednéj będą stanowić tylko przedmiot zgorszenia dla drugiéj, formuły zaś téj ostatniéj — ów ciepły kożuch szyty nie dla ludu, który w istniejących formułach bytu będzie widział jakieś nieporozumienie raczéj, niż przydatne czasowo ramki życiowe. Z tego względu peryod poszukiwania takich ramek nie jest zakończonym dla niego nie tylko w tém znaczeniu, w jakiém nie jest on zakończony dla nikogo myślącego, t. j. w sensie stopniowego rozszerzania i modyfikowania tych ramek, ale i w znaczeniu najogólniejszego ich zarysu.

Ztąd pochodzi ta dziwna na pozór sprzeczność, iż lud wiejski mocno zachowawczy w tém, co jest produktem jego własnéj lub przyswojonéj przez niego kultury, w swych zapatrywaniach filozoficznych i etycznych, w swym zwyczaju i obrzędzie — tak skłonnym jest do uwierzenia najdziwaczniejszym częstokroć pogłoskom lub wieściom o nagłych, najradykalniejszych zmianach w istniejącym prawnym porządku rzeczy. Dość tu przypomniéć powtarzające się peryodycznie wieści o blizkim podziale wszystkich ziem między włościan. Toż samo daje się spostrzegać i w pytaniach cząstkowych, ważnych niezmiernie w praktyce życiowéj, do których jednak nie przystępuje się prawie nigdy z praktycznego stanowiska, biorąc pewien dany, choć niedogodny stan rzeczy, za punkt wyjścia i poszukując sposobu złagodzenia ujemnych jego skutków. Owszem stawianie rzeczy na gruncie radykalnéj zmiany danego stosunku, nie jako dalekiego programatu, lecz jako punktu oparcia doraźnéj akcyi praktycznéj — jest najwięcéj popłatném, a częstokroć i najwięcéj szkodliwém w praktyce, skoro dany stosunek dostatecznie jest obstawiony pod względem prawnym.

Znam wieś, w któréj utrzymanie grobli, podmywanéj z obu stron stawami, w jednym prawie poziomie zostającymi, a służącéj za środek komunikacyi wsi z polem, stanowi niewątpliwie bardzo dotkliwy ciężar dla gromady, ciężar wzrastający w miarę zaniedbywania grobli. Sprawa, oczywiście, przeważnie technicznego znaczenia, zważywszy, iż woda należy do sąsiedniego właściciela, którego prawo jest zupełnie legalnie uzasadnione i który z tego prawa życzy sobie korzystać w całéj rozciągłości. Toczą się czasem rozprawy całemi godzinami nad budżetem mostków, nasypów i t. d., ożywiają się niekiedy kombinacyami, uchodzącemi za dowcipne pod względem technicznym, ale w końcu wszystkie rozmyślania skierowuje w inną stronę pytanie: „a jak by nam najty takoho czołowiczka, szczo b toj rybołownyj plac zabrat' na hromadu na pidderżku hrebli, abo szczo b toj staw spustyty". Najapatyczniejsi uczęstnicy narad ożywiają się wtedy i nadaremném byłoby przekładanie prawnych warunków spra-

wy lub wskazywanie na doświadczone już na téj drodze zawody.... „Ot jak by najszowsia takij czołowiczok, szczo b w sanod złożyw proszenija, to my b taki ne znały teji proklatuszczoji hrebli“.

Znać ją jednak muszą i to w sposób bardzo nie przyjemny. Ale nie o nią w téj chwili chodzi; chodzi o wskazanie z jaką łatwością i dla czego w konserwatywnych warstwach wieśniaczych naszego społeczeństwa robi się *tabula rasa* z danych, na prawie opartych stosunków, skoro te warstwy mniemają, iż władza, zawiadująca wymiarem sprawiedliwości, nie jest po ich stronie.

Nie dziw przeto, iż tylekrotne niepowodzenia naszych włościan w podejmowanéj przez nich sprawie starościńskiéj, iż dawniejszy ogólny stan rzeczy wielce przeciwny w zasadzie ich dążeniom lub nowy, któryby, z pozoru sądząc, powinien je pozbawić wszelkiéj podstawy—nie przeszkadzały aż do najbliższych czasów ciągłemu wznawianiu się rzeczonéj sprawy.

Początek roku 1848 wprowadził tu w miejscowe stosunki włościan i właścicieli znaczne zmiany, ogłoszone wówczas prawidła inwentarzowe przyznały nietykalną używalność ziemi włościańskiéj w owéj chwili w ręku włościan zostającéj, uregulowały stosunki pańszczyźniane i ograniczyly dowolność władzy właścicieli. Oczywiście jednak bardzo dalekiemi były one od spełnienia pragnień naszych włościan; tu jednak, jak zwykle w podobnych razach, rodzą się wykłady przepisów prawa, w sposób więcéj pożądany, samo prawo traktowane bywa raczéj jako objaw pewnego kierunku prawodawczego, aniżeli jako jego stanowcza formuła, interpretacye urzędowe posądzane są o stronność i przekupstwo, a nadzieje, ożywione tajemnymi rozhoworami, wedle swéj myśli, snują się daléj. Tego rodzaju symptomata notował w swym czasie jeden z właścicieli dóbr niegdyś starościńskich, a usunąwszy na bok to, co wypływająca z drażliwości przesada mogła tu dodać, pozostanie zawsze w téj lub owéj mierze zaznaczone przez niego rozbudzenie umysłów.

Ruch w danym, przekazanym przez tradycyą miejscową, kierunku podsyciło i usamowolnienie włościan; w końcu r. 1862 celem podniesienia sprawy starościńskiéj zbierają się składki, dochodzące i do urzędów, które nadsyłają ekonomiom zapytania o starych prawach i przywilejach mieszkańców miejscowych. Poszukiwanie i zbieranie tych dokumentów przez włościan odbywa się czynnie, a w przeszłym jeszcze roku widziałem u jednego z włościan przygotowaną w owym czasie staraniem ojca jego kopią rosyjskiego przekładu przywileju r. 1791 dla Romanówki, aktykowanego w magistracie romanowskim.

Trzeba bowiem wiedziéć, że nie dawniéj jak w roku 1882 wiekuista sprawa naszego zakątka ożywiła się. Co, po za obrębem staréj tradycyi i ogólnego zapatrywania się ludu na rzeczy, było przyczyną ożywienia jéj w tym mianowicie czasie, nie umiałem zbadać; mówiono mi, iż było jakieś wezwanie do przedstawienia dokumentów prawnych, dotyczących własności sadków włościańskich, rozrzuconych w lasach dworskich, rozporządzenie właściwie, nie mające żadnego znaczenia praktycznego dla naszéj miejscowości, ale przyjęte przez włościan za ogólne wezwanie ludności do przedstawienia wszelkiego rodzaju dokumentów, ściągających się do ich bytu. Cóżkolwiekbądź, ożywiła się ludność okoliczna; myśl, że „bat'ki naszi stojały za swoje prawo", pomimo groźbę ówczesnego porządku rzeczy nad nimi wiszącą, podniecała ożywienie; zbierano składki na prowadzenie sprawy, rezonując, że kiedy ojcowie mogli większe rzeczy narażać w niéj, to synom nie powinno wydawać się ciężkiém wyłożenie jakich kilku rubli, choćby dla przeświadczenia się, czy stare ich prawo ma jaką wartość; gorliwie zbierano dokumenta, na których odnośna akcya wspierać się miała, jedne wsie dawnego starostwa komunikowały się z drugiemi, a wśród tych zachodów i gawęd, pod grubemi świtami potomków dawnych posielan starostwa, serca raźniéj biły. Pomimo jednak tego ożywienia, pomimo przesadnego wyobrażenia o szerokich konsekwencyach wszczynanéj akcyi, legalny porządek nigdzie nie był naruszony, a w całéj czynności starano się zachować wszelkie formuły prawne. Cały ten ruch zresztą żadnych praktycznych rezultatów nie sprowadził.

Tak więc, mamy tu przed sobą wiek prawie cały procesu, prowadzonego z rozmaitemi przerwami i w rozmaitych formach; pożądanego przez powodów, skutku praktycznego nigdy on nie przyniósł, jakiż ślad pozostawiły te wiekowe usiłowania?

„Od kozaćtwa, od het'maństwa wysoki mohyły—bilsz niczoho ne ostałoś"—mówi poeta—cóż pozostało z usiłowań niezbrojnego, nie buńczucznego, siermiężnego ludu? Tu, jak i w wielu podobnych wypadkach, przegrywali oni wszczynane w rozmaitych instancyach procesy, ale wyroki ogólnego procesu dziejowego zaczynają się przychylać na ich korzyść, a jedną z najpoważniejszych „pièces justificatives" w tym wielkim procesie jest, niewątpliwie, zaświadczone w rozmaitych formach i miejscach, nie zacierające się wśród wielce trudnych warunków życiowych, poczucie godności ludzkiéj i prawa do zgodnych z tą godnością instytucyj.

Tadeusz Rylski.

W kwestyi językoznawstwa polskiego.

(Z powodu recenzyi „Historyi języka polskiego T. I, Lwów 1883," napisanéj przez d-ra Jana Hanusza, zob. Ateneum 1884, kwiecień str. 191 i 201. Przegląd Pols. 1884, marzec str. 505—507).

Może żadna gałąź naukowa, nie wyjmując i nauk przyrodniczych, nie zrobiła w kilku dziesiątkach lat ostatnich takich postępów tak co do metody jako téż i rezultatów, jak nauka, mająca za przedmiot badania mowy ludzkiéj, lingwistyką albo językoznawstwem zwana. Od roku 1816, tj. od czasu pojawienia się dzieła Fr. Boppa, *das Conjugationssystem der Sanskritsprache* itd., od którego powszechnie przyjmuje się początek porównaczéj metody w studyach gramatycznych, aż do naszych czasów panuje niezwykły ruch na polu językoznawstwa, który z rokiem każdym przybiera tak na rozmiarach jako i na dokładności w sposobie saméj pracy. Naturalną jest rzeczą, że podobnie jak każda fizyczna praca człowieka tak szczególnie i umysłowa postępuje stopniowo: na podstawie doświadczeń jednych budują się nowe hypotezy, które z biegiem czasu stają się własnością wiedzy ludzkiéj jako pewnik naukowy, lub fakt rzeczywisty. Ponieważ pomiędzy temi odstępami wzrastającéj wiedzy ludzkiéj, w pewnym kierunku odbywającéj się, panuje ścisły łącznik wzajemności, dla tego żaden z tych odstępów z osobna nie może uważać się za coś odrębnego, w sobie skończonego, ani téż można sądzić o wartości i naturze jednego, nie uwzględniwszy istoty drugiego.

W takim kierunku postępu stopniowego rozwijała się i rozwija wiedza nasza o mowie ludzkiéj, do któréj dochodzimy przez pracę naukową nad jéj budową. Zasługą pozostanie nazawsze Fr. Boppa, że na podstawie porównania pojedyńczych języków indoeuropejskich, w systematyczny i naukowy sposób badał pochodzenia i sto-

sunek form gramatycznych i położył w ten sposób fundament do wspaniałéj budowy, gramatyki porównawczéj. Przy téj analizie składowych części „ciał organicznych języka,“ prawidła głosowe uwzględniał Bopp o tyle tylko, o ile przyczyniały się do objaśnienia pokrewieństwa lub różnicy ich w pojedyńczych językach; znaczenia zaś bezwzględnie obowiązującego prawa nie przypisywał im w języku. Takowe przyznał im w zakresie języków germańskich Jakób Grimm, twórca gramatyki historycznéj, a w zastosowaniu do języków wogóle A. F. Pott,—które na tém się zasadzało że w języku nie „dowolność panuje ale prawa, które ściśle łączą się z naturą dźwięków“ (*Etymol. Forschung*. Lemgo 1833—36, I, str. XII). W ten sposób głosownia w gramatyce porównawczéj otrzymała naukową podstawę i stała się ważnym środkiem dla badań w dziedzinie etymologii, któréj głównym reprezentantem został i jest Pott a po nim Fick. Ale oprócz tego głosownia naukowa umożebniła dokładniejsze zbadanie ustroju języków i poznanie genezy form gramatycznych. Po mistrzowsku podjął się tego zadania Aug. Schleicher i spełnił w sposób, który dotychczas przez nikogo nie został osiągnięty. Za pomocą analizy ściśléj i aż nazbyt systematycznéj składowych części języków indoeurop. jak się w historycznéj dobie przedstawiają, odbudowywał Schleicher ich kształty przedhistoryczne. Przez taką rekonstrukcyą przedhistorycznego stanu języków indoeurop. chciał on dotrzéć do ich wspólnego źródła, w którém jakby w nasieniu ciał organicznych miał być zawarty zawiązek późniejszych ich przemian, jakie pod postacią różnic językowych w dobie historycznéj się przedstawiają. Na téj drodze doszedł do takich form językowych, które już daléj nie dały się rozłożyć, a więc jako pierwotniki późniejszéj metamorfozy języków uważane być mogły. Natura tych pierwotników, ujęta w jednę całość ustroju językowego, miała przedstawiać typ najdawniejszy prajęzyka indoeuropejskiego, który za macierz wszystkich języków indoeurop. uważany bywa.

Gdyby ten prajęzyk indoeurop. w ten sposób odtworzony przez Schleichera, pozostał w granicach naukowych dedukcyi, możnaby zgodzić się na jego istnienie, ponieważ w „odkrytych jego kształtach słownych zawarty byłby niejako cały zasób naszéj wiedzy gramatycznéj“ (Ascoli, *Krit. Studien uebers. von R. Merzdorf*, str. XIII). Ale Schleicher prajęzykowi temu przyznawał... realne znaczenie w takiéj formie, do jakiéj nauka przez szczegółowy rozbiór pojedyńczych elementów danego wyrazu z historycznéj epoki doprowadzić jest wstanie. Wskutek tego język uważany był za przedmiot, podobny innym ciałom organicznym, a sposób badania jego zrównał się z tym, który w naukach przyrodniczych jest praktykowany. Ży-

cie historyczne języka pod skalpelem operującego gramatyka poruszało się tylko na papierze a żywe dźwięki jego przedstawiały się jako martwe litery.

Żeby przywrócić językowi jego właściwe znaczenie i wlać weń życie, koniecznem było zwrócić bliższą uwagę na udział ducha człowieka, jaki w pracy około tworzenia mowy przyjmował i poznać wpływ jego, który na język wywierał i wywiera. Z drugiéj strony nie mniéj ważnem było zbadać lepiéj naturę zewnętrznéj strony języka, czyli głosu ludzkiego i przekonać się, czy i o ile da się ująć w pewne prawidła. W tym celu wciągnięte zostały psychologia i fizyologia, jako nieodzowne dla poznania mowy ludzkiéj, do zakresu badań lingwistycznych. Za pierwszy nabytek na rzecz językoznawstwa należy się wdzięczność głównie Steinthalowi a do drugiego połączyło się więcéj sił znakomitych fizyologów, pomiędzy którymi w pierwszym rzędzie Brücke, Czermak, Merkel, Helmholtz i Sievers wymienieni być muszą. Rezultaty ich zużytkował już z wielką korzyścią dla głosowni Scherer w dziele swém: *Zur Gesch. d. deutsch. Sprache* a wpływ psychologii, jaki się mianowicie w składni pokazuje, ocenił należycie Delbrück w *Syntakt. Forschungen.* Posiadłszy taki aparat naukowy, językoznawstwo nabrało realnéj podstawy i praca około niego podejmowana płynie szerokiem korytem, ujętem w stałe brzegi. Grunt jéj stanowi historyczny pokład języków we wszelkich możliwych składnikach, na którym stanąwszy, nauka zapuszcza się w głąb jego, by zbadać przedhistoryczne jego warstwy. Przekopując pojedyńcze formacye z różnych czasów, zrobiono to postrzeżenie, że pomiędzy niemi nie ma nagłych skoków, ale ścisła łączność i że nowsze formacye układały się podobnie, jak poprzednie. W ten sposób możebnem stało się, za pomocą znajomości objawów, odbywających się jakby przed naszemi oczami w językach, zstąpić do głębin ich przeszłości i zrozumiéć niejeden proces ich życia, który skądinąd nie mógł byłby być poznanym.

Takie fazy przechodziło dotychczas językoznawstwo, wśród których napotykamy całe zastępy pilnych pracowników, pracujących każdy wprawdzie na swoję rękę, ale stojących na tym samym terenie. Odpowiednio do natury ludzkiéj i okoliczności różnych, sposób ich pracy mógł być nierówny, co pociągało za sobą nierówne rezultaty. Tak w ostatnich kilku latach postawiono zasadę dla głosowni, że wszelkie przemiany głosowe odbywają się podług pewnych prawideł, które nie podlegają żadnym wyjątkom (zob. X. Osthoff: *das physiol. u. psychol. Moment in der sprachl. Formenbildung* w *Samml. gemeinverstaendl. wissenschaftl. Vortraege, hrgg. von Virchow u. Holtzendorf.* Berl. 1879, str. 507 nast.). Zasada powyższa, w głów-

nych zarysach wypowiedziana przez Leskiena (*die Declin. im Slavisch. Litau. und Germanischen*, str. XXVIII), który w *Archiv f. slav. Philol.* III str. 700 oświadczył się za jéj ważnością w formie, jaką jéj Scherer (*Zur Gesch. d. deutsch. Spr.*, 2 wyd. str. 17) nadał, znalazła w Brugmanie i Osthoffie gorliwych zwolenników. Kierunek ten najnowszy, reprezentowany przez powyższych uczonych, do których zaliczyć jeszcze trzeba przedewszystkiém H. Paula i Braunego obok innych, otrzymał nazwę nowszéj szkoły gramatycznéj, przeciwko któréj cały zastęp najznakomitszych uczonych polemizując otwarcie, lub téż milcząco, w pismach swych zajął odmienne stanowisko. Nie ulega wątpliwości, że walka, tocząca się obecnie, nauce tylko na korzyść wypadnie i w niejednym punkcie kwestye, sporne dotychczas, odpowiednio rozstrzygnięte zostaną.

Powyższy szkic różnych teoryj gramatycznych, które od czasu założenia gramatyki porówn. przez Boppa zajmowały lingwistów wystarczy dla tych czytelników, którzy mniéj są obeznani z rezultatami ogólnego językoznawstwa a okazują żywe zajęcie dla języka ojczystego, ażeby należycie osądzili, w jakim stosunku stoi moja praca do tego naukowego kierunku. Podjąwszy się tego trudnego zadania napisania „Historyi języka polskiego,“ musiałem przystępować do tego z całą świadomością celu i środków. Zatém jako elementarny warunek musiałem najprzód wziąść pod rozwagę stan, w którym się znajomość języka ojczystego u innych narodów znajduje i w jaki sposób osiągniętą została a w jakim u nas i co w tym kierunku uczynić należy. Rozumie się samo przez się i nikt, ktokolwiek w jakiéj gałęzi nauki sumiennie pracował, nie posunąłby się do tak naiwnego przypuszczenia, ażeby autor, zabrawszy się do takiéj pracy, miał przystępować do niéj bez wszelkiego przygotowania i fachowéj wiedzy, polegającéj na znajomości rezultatów odnośnéj nauki. Ogólny kierunek, w którym obecnie porusza się nauka o mowie ludzkiéj a do którego doszła po rozmaitych doświadczeniach, zmierza do tego, ażeby oba prądy, porównawczy i historyczny, które od Boppa i J. Grimma oddzielnie płynęły, połączyć w jedno koryto, w którém cały zasób lingwistycznéj wiedzy mógłby pomyślnie postępować naprzód (Osthoff, *das Verbum in der nominalcomposition*, w dedykacyi str. 1). Grunt więc, na którym oparłem budowę „Historyi języka polskiego,“ obejmuje jego faktyczny stan, w jakim się w historycznéj dobie jako indywidualny typ językowy przedstawia. W ten sposób tylko znajomość nasza jego staje się rzeczywistą a nie hypotetyczną, jak to dotychczas być musiało, a badania naukowe nad nim, oparte na historycznéj podstawie, nabierają wartości realnéj. Tę przewodnią myśl, wypowiedzianą przezemnie na str. 19, uznał komi-

tet, oceniający mą pracę, widocznie za urzeczywistnioną w mém dziele, które „miarą rezultatów i wymagań dzisiejszéj nauki oceniał“ (Bibl. Warsz. 1882, IV, str. 151).

Przy notowaniu faktów językowych i zestawianiu ich w całość historyczną, mogłem tylko to podać, co w skarbnicy jego przeszłości znalazłem: utworzeniem zaś analogicznych postaci językowych na podstawie danych faktów może zająć się tylko specyalna gramatyka, a téj nie pisałem. Kreśląc zaś obraz historyczny życia językowego, trzeba było mieć na uwadze jego całość, której pojedyncze części byłyby w należytym stosunku. Zatém mogłem tylko zaznaczyć pojedyncze zjawiska, podając czas ich powstania i zagłady oraz uwydatnić stosunek ich wzajemności. To uczyniłem w ten sposób, że przytoczyłem odnośne przykłady na potwierdzenie poszczególnych zjawisk języka ze źródeł w chronologicznym porządku, które reprezentują odnośne epoki życia językowego. W ten sposób podany został dokument, poświadczający istnienie każdéj formy, z którego każdy, kto nie tylko przeczytał mą pracę, gdyż do czytania nie jest ona, ale i zastanawiał się nad jéj treścią, korzystać może i wysnuć wnioski, jakie będzie uważał za najstosowniejsze. Co się tyczy objaśnień, takowe dodałem do każdéj formy dla ułatwienia zrozumienia ich dla tych z moich ziomków, gdyż przedewszystkiem dla nich praca ma jest napisaną, którzy bez nich nie mogliby sobie wytłómaczyć ich powstania; dla tych bowiem, którzy obeznani są z pracami lingwistycznemi, „mogłoby się obejść bez nich,“ jak to najchętniéj przyznaję memu recenzentowi. W objaśnieniach mogłem tylko podać sam fakt odbytego procesu głosowego przy każdéj formie; przeprowadzenie zaś dowodu należy do głosowni, któréj w tym tomie nie pisałem.

Wyłuszczenie tego faktycznego stanu mego dzieła jest całkiem zbyteczném dla tych, którzy nieuprzedzenie i sumiennie starali się z niém zapoznać. Gdyby recenzent mój, stanął na wysokości krytyki naukowéj i wykazawszy niedostatki méj pracy, takowe zastąpił uzupełnieniami; gdyby pokazał był, o ile „materyał zawarty w mém dziele nie jest należycie rozłożony i „nie wystarcza dla specyalistów, zwłaszcza przy niektórych kwestyach ciekawszych, lub przy rzadszych formach“ (*Aten.* 201): byłby wyświadczył wielką przysługę nie tylko memu dziełu ale i naszemu społeczeństwu, recenzya jego miałaby większą wartość, aniżeli gdyby napisał tak grubą książkę, jak moja, w któréj jak najzupełniéj wykazałby w „naukowy sposób,“ że „objaśnienia moje są wielce zastarzałe i błędne.“ Jeżeli bowiem „objaśnienia, Schleichera, Miklosicha itp. które powtarzam przy tłómaczeniach form słowiańskich za nimi, są jużto niedokładne, jużto za-

starzałe i błędne“ (*Przegląd* str. 505), to ten sam los może także spotkać objaśnienie recenzenta, któremi „podług dzisiejszych teoryj gramatycznych Brugmana, Leskiena, Joh. Schmidta“ (*Aten.* str. 196) tamte, według swego mniemania, całkowicie obalił. Compendium Schleichera, które recenzent zapewne ma na myśli, gdyż ja nie przytaczam w „całém opracowaniu deklinacyjnych i konjugacyjnych form“ Schleichera ani razu, wydali po jego śmierci r. 1876 dwaj uczniowie jego Joh. Schmidt i A. Leskien, których „teorye gramatyczne“ dla mego recenzenta mają niewzruszoną powagę a którzy na zapytanie nakładcy, czy nowe wydanie jego odpowiadałoby dzisiejszym wymaganiom nauki, napisali w przedmowie te słowa: ... *die unterzeichneten glaubten es befürworten zu dürfen, dass Schleichers werk so gut wie unverändert neu gedrukt werde, weil es warscheinlich auf jare hinaus die einzige compendiöse darstellung der vergleichenden grammatik sämtlicher indogermanischen sprachen bleiben wird...* (1) Miklosicha *Vergl. Grammatik der slav. Sprachen* tom I [2] wyszedł r. 1879 a więc na półtora roku przed posłaniem przezemnie rękopisu do Redakcyi Bibl. Warsz. Czy nie uzasadniona więc moja obawa o losy objaśnień recenzenta, które podobnie jak moje względnie Schleichera i Miklosicha, przez krótki przeciąg czasu mogą okazać się wobec jakiéj następnéj gwiazdy lingwistycznéj jako „błędne i niedokładne?“ Wszak mogło to być łatwem dla recenzenta „uzupełnić“ te luki, gdyż potrzebował tylko „bardziéj wyzyskać naszą literaturę gramatyczną z kilku lat ostatnich,“ jak to mnie doradza. Więc materyału językowego miałem szukać w „literaturze gramatycznéj!“ Czyż recenzent nie wie, co to jest materyał językowy i gdzie go szukać należy, oraz co przez „historyą języka“ się rozumie? Tak by wnioskować można z kilku dezyderatów jego, które stawia „historyi języka“ jak np. powstanie form *kłuję*, *kłujesz* obok *kolę*, *kolesz* itp., które tłómaczy ale fałszywie. Więc fałszywe tłómaczenie form takich „należy niewątpliwie do historyi języka polskiego“ (*Aten.* str.

---

(1) Żeby czytelnicy czasem nie posądzili obydwóch wydawców o pewien rodzaj *pietas* dla swego zmarłego nauczyciela, przytoczę sąd o Schleicherze, który cudzoziemiec, Ascoli, jeden z największych obecnie lingwistów, o nim wydał: (Compendium) Schleichers war ein höchst geniales Werk, ein echter Ruhmestitel für den, dessen Namen es trägt. Wenn wir auch von dem absehen, was darin an wirklich Neuem und Originalem in der Auffassung und in den Erklärungen ist, so war Schleicher so tüchtig in der methodischen kunst, in dem was man die Praxis der Wissenschaft nennen könnte, dass dies Verdienst genügen würde, um ihm für immer einen Platz unter den wahren Meistern zu erwerben. itd. (*Krit. Stud.* str. XII). Jakiego uznania doznał nie dawno Miklosich od całego świata uczonego, czytelnicy mają to jeszcze w świeżéj pamięci.

200)! Czy nie jest to tak samo, jak gdyby ktoś napisawszy historyą jakiego narodu, utrzymywał, że w jego książce zawarte jest istotne życie narodowe?

Ale okazałbym się niesprawiedliwym względem recenzenta, gdybym jego działalność jako negatywną tylko uznał. „Uzupełnia on i poprawia zwłaszcza rzadsze formy,“ jak np. na str. 228 dodaje do przykładów przezemnie przytoczonych jeszcze jeden: *domu* twego Flor. 92. Jednakowoż nie wiem co przykład ten ma oznaczać ponieważ na tém miejscu mówię tylko o przejściu *u*-tematów do *a*-deklinacyi a o odpowiednich formach dopełniacza, utworzonych na zakładzie *u*-tematów pisałem na str. 40 nast., gdzie recenzent ma przytoczonych 13 przykładów z Psałterza floryańskiego. Również i następny przykład jego: *synu* twemu Puł. 173,b niczego nie dowodzi wobec przytoczonego przezemnie *synu* 12 razy z Bl. Szar., 1 raz z Dod. i 1 raz Rt. H. a więc starszych zabytków, aniżeli Psałterz puławski. Może recenzent żądałby odemnie, abym za jego przykładem liczył, ile razy jaki wyraz zachodzi w jakim zabytku, gdyż nie będąc zadowolnionym z przytoczonego przezemnie jednego przykładu *plecoma* z Ps. Fl. 53,b na str. 141, przytacza jeszcze raz ten sam przykład z słowniczka Nehringa w wydaniu jego psałterza flor., do czego nie trudno było dodać jeszcze jego kopją z Psałterza puł. Recenzent mój fatalnie się załapał na tym przykładzie, gdyż nie wie, że wyraz ten w stpolskim języku brzmiał *plec* i *plece* i odmieniał się podług *ja*-deklinacyi r. m. i n. i podług *i*-deklinacyi r. ż., jak się o tém przekonać można pod odnośnemi kategoryami w méj pracy. Co się tyczy przykładu *studnicy* Ps. Fl. 24, a, wziąłem go rzeczywiście za dopełniacz, gdyż dopiero z wydania Nehringa (1883 r.) dowiedzieliśmy się, że miejsce to jest popsute. Żeby zaś dopełniacz l. poj. na *i* u *ja*-tematów r. ż. nie miał zachodzić w Ps. Fl., jak mniema recenzent za Nehringiem, nie zdaje mi się rzeczą załatwioną nawet po obliczeniach jego wszystkich form tego zabytku. Za dopełniacz bowiem liczby poj. a nie mn., jak mniema recenzent (*Materyały* str. 191 i prof. Nehring, *Psalt. Florian.* str. 192, a) trzeba uważać w przykładzie wiwodl me iest i iezora nǫdze, y ze blota droszdszy ps. 39,2, wyraz *droszdszy* od *drożdża* faex, jak w ps. 74,8 (w słowniczku Nehringa stoi przez błąd drukarski 74,4) i w Ps. Puł. zachodzi. Na to naprowadza tak tekst łaciński: *de luto facies*, jako téż Psałterz puł., który tłómaczy miejsce to także przez liczbę poj. z blota kwapnego; również imionowa forma *twoji*, zachodząca w tym zabytku w tym przypadku na r. ż. 4 razy (zob. *Hist.* str. 263) potwierdza to mniemanie. Podobnie przykład *smesy* Ps. Fl. 42,b, zmeszy Ps. Puł. 150,a, trzeba czytać jako *zmieszy* od *zmiesza*, na co pisownia Psałterza Puł. napro-

wadza, a nie *smiesi* od *smieś*, jak utrzymuje prof. Nehring, a zanim mój recenzent. Żałować więc trzeba, że recenzent nie „powiedział nieco więcej o objaśnieniach, lecz ograniczył się do tych niewielu“, gdyż może byłby powiedział cóś prawdziwego.

Jednakowoż znajdujemy w jego recenzyi ważny przyczynek do historyi języka pols., dotyczący imion osobowych r. m., zakończonych na *o*. Według mego tłómaczenia zakończenie *o* powstało z krótkiego *a*, po odpadnięciu skłonnikowego *s* w mianowniku jeszcze w prajęzyku, która to forma u tych imion w języku pols. została (*Hist.* str. 29). Zatém formacya tych imion sięga, podług mnie, do epoki prasłowiańskiéj, na miejsce jeszcze starszéj, z zakończeniem -*as* (gdzie *a* jest krótkiem) i dla tego nadałem jéj, w chronologicznéme zestawieniu, pierwszeństwo przed odpowiedniemi im imionami bez tego zakończenia. Panu recenzentowi „rzecz ta nieco inaczéj się przedstawia“. Podług jego teoryi imiona te są „formami zdrobniałemi nijakiemi“, które za pomocą suffiksu -*ъko* zapewne pod wpływem analogii rzeczowników r. n., takich, jak np. *dziecko*, utworzone zostały. Imiona te używały się, podobnie jak dziś, w języku pols. już od najdawniejszych czasów obok męzkich, utworzonych za pomocą suffiksu -*ъkъ* (*Janek*), które pomału wypierając, brały nad niemi przewagę (*At.* str. 197, 198). Ile słów, tyle błędów!

Czy w języku staropolskm imiona zdrobniałe, zakończone na *o*, tworzą się tylko za pomocą suffiksu -*ъko*? Czy dotychczas nie mówią dzieci polskie: *tato*, *dziadunio Józio* itd? Czy zakończenie -*o* imion osobowych r. m. w języku staropolskim zachodzi tylko u tych, które są utworzone za pomocą suffiksu -*ъko*? Wszak Baudouin de Courtenay, którego, ku wielkiemu żalowi recenzenta „nie uwzględniłem jak należało“, w swéj książce str. 95 przytacza jeszcze: obok *Vojen* i *Vojno*, obok *Sąd* i *Sądo*, które nie mają sufiksu -*ъko* a przecież kończą się także na *o*. Do tych dodaję jeszcze następujące, które wyjęte są z książki tegoż Baudouina, jak czytelnik w słowniku tamże zobaczyć może: *Ivo*, *Wierzgo*, *Kmieto*. Do tych można dołączyć: *Becho*, *Karlo*, *Samo*, *Kmiło*, *Dobo*, które oprócz innych na -*ъko* Małecki (*Gram. hist. por.* I, 376) z średniowiecznych aktów łacińs. przytacza. Przykłady te wystarczyłyby, aby okazać bezzasadność twierdzenia recenzenta. Jednakże mamy inne dowody, poświadczające egzystencyą na szeroką skalę zakończenia -*o* u imion osobowych męzkich. Takowe zaś podaje nam deklinacya imion polskich w aktach łacińs., które, jak wiadomo, stanowią najstarsze nasze piśmiennictwo aż do końca XIV wieku. Żeby imiona pols. zastosować do modły języka łacińs. (gdyż te przecież istniały już w narodzie, zanim łaciną pisać zaczęto), musiano z jednéj strony zachować tyle przy-

najmniéj z ich rodziméj formy, ile koniecznêm było do ich zrozumienia; z drugiéj strony zaś trzeba je było tak przemienić, aby mogły zadosyć uczynić wymaganiom języka łacin. Jeżeli więc imię pols. kończyło się na spółgłoskę twardą, wówczas dodawano tylko zakończenie łacińs. -*us*, a -*ius* jeżeli na miękką i odmieniano regularnie jak odnośne formy łacińskie. Tak z *Bob* powstało *Bobus*, z *Bieżelin-Bezelinus*, z *Czestmir - Czeszmirus*, z *Bogdan - Bogdanus*, z *Wojan-Voyanus*, z *Gostach - Gostachus*, z *Crivosand*, *Krzywosąd - Kriuozudus*, z *Petrik - Petricus*, z *Ziemowit - Semovitus*, z *Bogumił - Bogumylus* itd. (ob. słowniczek Baudouina pod temi wyrazami). W równy sposób odpowiadają pols. formom, z miękkiém zakończeniem, łacińskie z -*ius: Błażej - Blaseus*, *Blasius; Jakusz - Jacussius*, *Janusz - Janussius*, *Bronisz - Bronisius*; *Włodarz - Wlodarius*; *Wszeborz - Wseborius* itp. Deklinacya odbywała się regularnie, podług tak zwanéj 2-giéj łacińskiéj.

Opócz tego sposobu odmiany imion osobowych napotykamy w tych aktach jeszcze drugi, według analogii łacińskich, zakończonych w mianowniku l. poj. na -*o*, które w dalszém skłanianiu występują z sufiksem -*on*: *onis*, *oni* itp.: *Cicero - Ciceronis*. Z tego wynika jako niezbity dowód, że formy pols. musiały być zakończone na -*o*, które odmieniały się znów regularnie, podług 3-éj deklinacyi łacińs. Trudno bowiem posądzić staropolskich pisarzy o taką nieświadomość i niekonsekwencyą, którzy mając jakie imię własne na spółgłoskę i mogąc je odmieniać podług odnośnéj drugiéj deklinacyi łacińs., jak to też czynili, jakby przez nieznajomość odmieniali je podług 3-éj deklinacyi. W ten sposób znajdujemy nadto przykłady następujące, które wyraźnie w innych przypadkach zakończenie -*o* mianownika okazują: *Barto*, *Bełzo*, *Bożo*, *Bożeno*, *Biesiado*, *Czadro*, *Drzemliko*, *Iliko*, *Młodo*, *Miklo*, *Mikuło*, *Nikuło*, *Razo*, *Skoko*, *Ślazo*, *Tyło*, *Tymo*, *Wojsiło*, *Wido*, *Ziemako*, *Włosto*, *Bodo*, *Wojciecho*, *Głąbo*, *Gołucho*, *Żyro* lub *Syro*, *Żuko* lub *Suko*, *Jazdo*, *Krzywosądo*, *Miło*, *Smiło*, *Uciecho*, *Falibogo*.

W tenże sposób tworzyły się i imiona, zakończone na miękką spółgłoskę, których mianownik mógł się kończyć na *je*, w przeciwieństwie do -*o* twardych tematów, podobnie jak to przy tematach nijakich zachodzi, a w innych przypadkach według analogii *a*-tematów dźwięk *o* powracał, ale nic nie przeszkadza też, że przypadek ten kończył się na -*jo*. O to są przykłady *Jakuszo* lub *Jakusze* (Jakusie?); *Januszo*, *Bożejo*, *Bartoszo*, *Wilkoszo*, *Warszo*, *Zdzieszo*, *Pardaszo*, *Boguszo*, *Stoszo* (Staszo?). Czy wyrazy te są także „formami nijakiemi", i utworzone „pod wpływem rzeczowników rodzaju nijakiego", jak się to zdaje recenzentowi? Ale „z drugiéj strony formy,

jak: Falonis, Piotrkonis, Jankonem itp., odmieniające się na wzór Ciceronis, Ciceronem itd. mogły łatwo wpłynąć na to, że i w mianowniku powstały na wzór *Cicero* formy: *Phalo*, *Piotrko*, *Janko*, *Pasko*". Klasyczny przykład dowodzenia! Więc od *Ciceronis*, *Ciceronem* itd. tworzy się *Cicero?* Więc fundament jakiegoś budynku stawia się na samym końcu, pod wpływem i według analogii ścian i dachu!

Obok form z zakończeniem *-o* istniały także krótsze bez niego w najstarszéj dobie języka pols. Co więcéj, jedna i ta sama forma występuje w obydwu postaciach, jak: *Biesiad* i *Biesiado*: Bezado 1273, Bezzadonem 1271; *Drzemlik* i *Drzemliko*: Dremlico 1268, Dremliconem 1270; *Jakusz* i *Jakuszo*: Jacussio 1253, Jakussonis 1200; *Janusz* i *Januszo*: Janussio 1254, Janusonem 1206; *Ilik* i *Iliko*: Ilico 1239, Iliconis 1255; *Bartosz* i *Bartoszo*: Bartossio 1206, Bartossonem 1254; *Warsz* i *Warszo*: Warsii 1278, Warsonis 1271; *Bogusz* i *Boguszo*: Bogussio 1290, Bogussone 1293; *Śmił* i *Śmiło*: Zmil 1136, Smilonem 1271. Formy te występują równocześnie, podobnie jak powyższe na *-o* i z twardą spółgłoską, a twierdzenie recenzenta, „że w źródłach naszych formy na *-ko* często późniéj występują niż formy na *-ek*", należy do tych, które wbrew rzeczywistym faktom chcą imponować nowością.

Które z tych form są starsze? Naturalną jest rzeczą, że język polsk. nie może w tém rozstrzygać, ponieważ obydwie równocześnie w nim były w użyciu. Formy męzkie, z zakończeniem *-o* zachodzą we wszystkich językach słow., jak się z odnośnych gramatyk przekonać każdy może. Imiona osobowe męzkie z tém zakończeniem używają się również we wszystkich językach słow., szczególnie zaś w południowo-słow. są bardzo rozpowszechnione. W staroserbskim języku już w najdawniejszej dobie zachodzą w dokumentach serbskich takie formy: *Slavko*, *Berilo*, *Gostilo*, *Vlacho*, *Žucho*, *Drago*, *Maro* itd. i z *ja*-sufiksem: *Bajo*, *Kojo*, *Stajo*, nawet i takie: *Radoje*, *Dragoje*, *Maroje* itd. (Daničić: *Istorija oblika srpskoga ....jezika*, 1874, str. 6). Taki sam stosunek istniał także w stsł. języku, lub w tych zabytkach, które pod jego wpływem powstały, jak *Marъko*, Marcus, obok *Marъkъ*, *Vakъho* Bacchus, *Danilo* obok *Danilъ* Daniel, *Dražilo*, *Domentije* i *Dometije* Dometius (Miklosich *Lexicon palaesl.*). Imiona zaś rzeczowne, połączone z zaimkami *sъ*, *tъ* przybierają w zakończeniu bardzo często *o* zamiast ъ (Miklosich *Gram.* I², str. 81, III², str. 13). Z tego wynika, że formy na *-o* zachodzą we wszystkich językach słow., wskutek czego sięgają jeszcze do doby jedności słowiańskiéj i jako takie starsze są, aniżeli bez tego zakończenia. W języku serb. żyły one aż do końca XV wieku, a w polskim przeszły jeszcze do XVI, gdzie zamarły, a tylko w resztkach słabych, w zdrobniałych osobowych

imionach zachowały się do obecnéj chwili. Twierdzenie zatém recenzenta, że formy na *-o* „wypierając pomału formy męskie (bez zakończenia *-o*), brały nad nimi przewagę“, jest zupełnie fałszywe. Nieprawdą również jest, jakoby formy na *o* były tylko utworem polskim, od krótszych form pod wpływem rzeczowników r. n. urobionym, gdyż są to ogólne słowiańskie najstarsze formacye.

Wywód ten koniecznym był, ażeby w rzeczy tak ważnéj, dotyczącéj tak prastarych resztek języka polskiego, wykazać, jak wywody recenzenta pozbawione są naukowéj podstawy (zob. Daničić: *Nom. sing. na* o *i na* e w *Rad jugoslav. akad. znan. i umjet.* t. XXVI, str. 53—63).

Jeżeli mimo to przykłady moje wypisałem z zabytków polskich z końca XIV wieku i XVI, a nie z aktow łacińs., zużytkowanych przez Baudouina, uczyniłem to dla tego, ponieważ spodziewałem się, iż mógłby mię, ze strony pewnych krytyków, spotkać zarzut, że to są utwory łacińskie, jak recenzet sam siebie zbijając, wpływ deklinacyi łacińskiéj na powstanie ich zakończenia przypuszcza (*Aten.* 198), a nie pisząc ani etymologii, ani głosowni języka pols., nie mogłem się wdawać w takie wywody, jak obecnie uczynić byłem zmuszony. O zabytkach czysto polskich trudno przypuścić, aby na taki sposób przekształcały rodzinne formy. Z objaśnienia zaś do tego działu jako też z następnego, w którém zachowanie form na-*o* przypisuje wpływowi analogii rodzaju nijakiego, co recenzent jako swoje własne twierdzenie za mną powtarza tylko na cel niewłaściwy, nie mniéj z mego orzeczenia, że „już w prajęzyku słow. zakończenie to uległo przemianie itd. (str. 30), każdy pojmie łatwo, że historya tych form nie „zaczyna się podług mnie z wiekiem XV, lub końcem XIV“, lecz, że możemy ją prowadzić nie od wieku XII, jak twierdzi recenzent, ale od prasłowiańskiéj doby!

Przejdźmy do zarzutów, które mi stawia recenzent z powodu objaśnień moich za to, że „ani jedném słowem nie pokazałem znajomości najnowszych teoryj gramatycznych“.

Na str. 271 méj pracy zestawiam polską formę miejscownika *tem*, za pośrednictwem stsł. *tomь* z skr. *tasmin*, która otrzymała rozszerzenie przez wstawkę *sm*, z któréj w sł. języku *s* wypadło. Wywód ten pochodzi od Boppa, który pierwszy wstawkę tę dla skr. języka i innych przypuszczał (*Vrgl. Gram.* I³ str. 334 nast., 358, 540), a za nim Schleicher (*Compend.* 4 wyd. str. 613), Miklosich (*Vrgl. Gram.* III², str. 47), Leskien (*die Declin im Slav. lit. und Germ.* str. 116) i inni to samo przyjmują. Recenzent odrzuca wywód ten z powodu, że *s* nie może sobie wypadać, kiedy mu się podoba“, i jako dowód

przytacza stsł. *jesmъ* (stind. *asmi*). Ale przykład przez recenzenta podany, pokazuje właśnie, że „*s* **może** wypaść w słow. językach“, jak to np. w polskim *jesm* (stsł. *jesmъ*), w połączeniu z imiesłowem II cz. przesł. czyn. nastąpiło: *byłem - byłesm - był jesm* (*Hist.* 464 nast). Że *m* w *byłem* nie jest końcówką osobową w tém znaczeniu, jak np. w czasie teraźn. *woła-m*, lecz zabytkiem słowa posiłkowego, z którego tylko zakończenie osobowe pozostało, o tém nauczał już ks. Malinowski (*Kryt. porówn. gram.* str. 548). Nie ulega wątpliwości, że na wytworzenie się formy *byłem* itp. wpływały czasy niezłożone, w których zakończenia osobowe bezpośrednio z tematem słowa są połączone, ale z drugiéj strony historya języka pols. pokazuje, że na takiéj, a nie innéj drodze powstał czas przeszły, złożony w polskiéj konjugacyi.

Przykład powyższy służyć może za ilustracyą tego procesu, który przy wytworzeniu się stsł. *tomъ*, w stosunku do skr. *tasmin* nastąpił. Że wstawka *sma* rzeczywiście w dobie lit. słowiańskiéj jako środek, dodawany do tematów w zaimkowéj deklinacyi, fungowała, dowodem tego język pruski, w którym, tak *sm* dla rodzaju m. i n., jako *sj* dla r. ż. w l. poj. się zachowały. Możebném jest, nawet więcéj niż prawdopodobném, że analogia zakończeń skłonnikowych z samém *m* wpłynęła na wypadnięcie *s* z *sm* w lit. i słow. języku, ale to nie obala twierdzenia, że ono przedtém było. Proces ten nastąpił po rozłączeniu się języków lit. i słow., a więc w ich odosobnieniu, a nie, jak recenzent (*Aten.* str. 193) powiada, „w dobie wspólności litewsko-słow.“, chyba że nam dowiedzie, że język pruski prędzéj oddzielił się od téj grupy, aniżeli słowiański.

Jeżeli czytelnik porówna powyższy wywód ze słowami memi (*Hist.* 271), które recenzent także przytoczył: „po wypadnięciu dźwięku *s* z sufiksu *sm* i zamianie *a* na *o*, powstała forma na r. m. i n. stsł. *tomъ.*, pol. *tem*“, czy nie widzi w nich zaznaczonego gołosłownie faktu, który mieści w sobie ten sam rezultat, jaki z powyższego rozprowadzenia wynika? Przy téj sposobności recenzent nie potrzebnie się z uczonością popisuje, tém więcéj, że nie jest ona jego własnością, ale pochodzi od prof. Brücknera, który (w *Archiv f. slav. Philol.* III, str. 259, uw. 16) pierwszy wypowiedział swoje wątpliwości i podał powody, dla których przeciwny jest wyprowadzeniu zakończenia *m* z *sm* w lit. łotyskim języku. Recenzent zastosował to wszystko do języka słow., z czego mu zarzutu nie robimy, choć nie nazwał swego źródła, ale czemu nie zastosował się do słów, wypowiedzianych tamże przez prof. Brücknera: „ob der Grund, den wir für das lit.-lettische Aufgeben des *sm* annahmen, auch fürs Slavische angewendet werden darf, ist nicht zu entscheiden“, i nie postarał się o dowód, obalający

moję dedukcyą. Wszak od naukowéj krytyki wymaga się, aby zarzuty, przeciwko autora twierdzeniom wymierzone, poparła dowodami, a nie żądała sama dowodów od autora, gdyż przez-to nauka przechodzi z realnéj podstawy w pewien *circulus vitiosus*.

Recenzent przecież nie uważa tego za potrzebne, ponieważ za nadto przekonany jest o prawdziwości *swoich* twierdzeń, jako też o niewiadomości autora. Wszak według jego przekonania, żyję jeszcze w tém świętém mniemaniu, że „słow. formy powstały z indyjskich i identyfikuję język praindo-europ. ze staro-indyjskim“ (str. 193)! Pozostawiam recenzenta w tém mocném przekonaniu o takiéj mojéj nieznajomości, w czém jednakowoż to mię pociesza, że w podobnym błędzie, naturalnie według mego rozumienia, trwają wszyscy dzisiejsi lingwiści, jak czytelnik z pierwszéj lepszéj ich książki lingwistyczéj przekonać się może. Również nie martwię się tém, że „język indo-europejski znam tylko podług dyalektu Schleichera“ (*Przegląd* str. 506), a który „pod względem fonetycznym jest, wedle p. Hanusza, bardziéj nawet zbliżony do niektórych języków europ. niż sanskrytu“ (*Aten.* str. 194). Czytelnik zapewne znajdzie się w kłopotliwém położeniu, któremu z twierdzeń uczonego lingwisty ma wierzyć, czy powyżéj zacytowanemu, czyli téż temu, które na str. 193 o tym języku praindoeurop. wypowiedział. Według tamtego bowiem twierdzenia recenzenta „język ten praindoeurop. choć w części zastępuje nam choć zmarły, lecz zachowany w literaturze język *staroind.*, a względnie *sanskryt*, który bogactwem swych form językowych najbardziéj się zbliża do owéj pierwotnéj gwary narodów indo-europejskich“. Jednakowoż ze szkicu mego, który we wstępie podałem, przekona się łatwo, że według „najnowszych teoryj gramatycznych“ jedno i drugie jest nieprawidłowe.

Na str. 29 i nast. méj pracy przedstawiam deklinacyą tematów, zakończonych na *-a*, które przybrawszy zakończenia przypadkowe po odpowiedniéj zamianie, odnośnie do prawideł głosowni słowiańsko-polskiéj, stały się całkowitemi wyrazami, co w gramatyce deklinacyą się zowie. Naturalnie proces ten powstania tematów musiał znacznie wyprzedzić powstanie form deklinacyjnych, które sięga już do wspólności praindo-europejskich. Z tych względów, jako też z praktycznych, aby specyalne postaci wyrazić przez generalną téj saméj kategoryi, we wszystkich prawie pracach lingwistycznych mówi się o tematach zakończonych na *a*, a nie na *o*, *e*. Odkrycie zaś ъ- tematów obok *o-*, *i-*, *u-* tematów przez mego recenzenta (zob. *Archiv f. sl. Phil.* VII, 227 itd.), dowodzi nie pospolitéj twórczości jego ducha, ale téż i braku zmysłu dla kwestyi lingwist. Wygląda to tak samo, jakby jaki „uczony“ geolog formacye pokładów torfowych na równi stawiał z formacyami epoki pierwszo lub drugorzędowéj.

Ale recenzent wyrzucając z tematów, zakończonych według mnie (i innych) na *-a*, dźwięk *a*, zastąpił go dźwiękiem *o*, jako „starszym“, który w deklinacyi słow.-polskiéj i z tego względu przed tamtym ma pierwszeństwo „ponieważ każde indo-europ. *a*. krótkie występuje w słow. jako *o*“ (*Aten.* 195). Pomijając tę zagadkę, choć ona „już dziś nie nowiną“, że w prajęzyku tym indo-europ. naraz, według recenzenta, pojawia się krótkie *a*, w którym przecież, według jego własnego twierdzenia *o* było w użyciu, rościmy sobie jakieś prawo do konsekwencyi nie od recenzenta, ale od prawidła przez niego „przełożonego na dzisiejszą teoryą wokalizmu“. Zatém według téj teoryi najnowszéj, że „indo-europ. *a* krótkie występuje w słow. jako *o*“, trzeba poprawić następne dziwolągi, zachodzące we wszystkich językach słow.: zamiast stsł. *azъ*, stpol. *jaz*, *ja*, powinno stać *ozъ*, *joz*, *jo*, ponieważ w innych językach indo-europ. odpowiada mu krótkie *a*: lit. *asz*, stlit. *esz*, prus. *as* i *es*, got. *ik*, łac. *ego*, gr. ἐγώ, skr. *aham*, zd. *azem*; zamiast stsł. *alъkati*, pols. *łaknąć*, lit. *alkti*, stgniem. *ilgi* fames powinno być *olъkati*, *lokati*, pol. *łoknąć*; serb. *jasika*, pr. *abse*, łot. *apsa*, lit. *apuszis*, stgniem. *aspa*, powinno brzmieć jak w pol. *osika*; stsł. *kamy*, pol. *kamień*, lit. *akmů*, gr. ἄκμων. skr. *aśman* okazuje również ten stosunek, który wskutek przestawki musiał być zwichnięty; stsł. *sъvada*, pol. *zwada*, lit. *vadinti*, skr. *vadati* itd. Jak następnie wytłómaczyć mamy z jednéj strony zakończenie *e* wołacza l. poj., *rab-e* a z drugiéj *o* : *žen-o*, gdzie *o* regularnie stoi na miejsce krótkiego *a* innych języków, gdy tymczasem *o*-tematy (według recenzenta) mają *e* (rab-e)? Recenzent słyszał cóś zapewne o wykładach prof. Brugmana o rozmaitéj wartości dźwięku *a*, pod względem fonetycznym, pochodzącéj jeszcze z praaryjskiéj doby, ale wiadomość jego o całéj téj kwestyi nie postąpiła daléj.

Tak samo ma się rzecz z słowiańskim *ъ* jako refleksem dawniejszego połączenia *voc.* + *nasal.* (*a* + *m*) w zakończeniach biern. l. poj. *a*-tematów, dopełn. l. mn. l. os. poj. aor. niezłożonego i złożonego itp., które tłómaczę podobnie jak Miklosich (*Vrgl. Gram.* I², str. 78) w ten sposób, że dźwięki te zlały się pierwotnie w nosową samogłoskę (*ą*), z której późniéj nosowy oddźwięk się ulotnił, a pozostała samogłoska w stsł. języku odpowiednio do całego procesu przeszła w *ъ*, jeżeli była poprzednio krótką, co się zwątleniem lub zesłabnięciem wskutek słabszéj ekspiracyi nazywa. Do tego tłómaczenia dźwięku *ъ* w tych przypadkach za pośrednictwem *ą*, skłoniła mię analogia podobnych procesów, które w historycznéj dobie języków słow. się powtórzyły i powtarzają, a które mają przynajmniéj dla mnie więcéj dowodowego znaczenia niż wszystkie chociaż najsztuczniejsze kombinacye i analizy językowe, ale tylko na papierze. Jeżeli

więc w czasie historycznym pierwotna nosowa samogłoska przechodzi w czystą, nie tylko w tych językach słow., które je utraciły całkowicie, ale i w tych, które jak polski w zupełności je zachowały, jeżeli daléj te czyste dźwięki na miejsce dawniejszych nosowych przechodzą w krótkie *ъ*, jak w bułgarskim: wówczas fakt ten powszechnie znany, może dla mnie tem samem prawem służyć jako środek tłómaczenia procesów językowych z dawniejszych epok, jak np. memu recenzentowi mechaniczna analiza tych form, mająca tylko na papierze zastósowanie ale nie w życiu języka. Ale sprawa ta musi jednakowoż przedstawiać się inaczéj, jak ja sobie ją tłómaczę, skoro recenzent „wykazał, że z końcowego *om* (według mnie krótkie *am*), może w stsłow. powstać tylko *ъ*“. (*Aten.* str. 196). „Dowód“ ten jednakowoż należy się Leskienowi (*Declin.* str. 4), który recenzent sobie przypisuje.

Przypatrzmy się temu „dowodowi“, według którego krótka samogłoska *o* (*a*) † *m*, nie może przejść w nosowe *ą*, ponieważ „każde indoeurop. końcowe *m*, przechodzi w prasłowiańs. w-*n*, (przykłady!), następnie z *on* następuje przesuwka w-*ъn*, (zapewne błąd drukarski zam. *nъ*, jak „przesuwka“ tego wymaga), a następnie podług powszechnego prawidła głosow. słowiańskiego końcowe -*n* odpada i zostaje -*ъ*“. (*Aten.* 194).

Czytając te słowa, wywodzące powstanie form językowych, przypomina sobie mimowoli każdy biblią (Genezis rozdz. 1.) Ale przez niewiarę przychodzi się w nauce do prawdy! Jakim więc sposobem powstały następujące stsł. formy: *są*, skr. *sam*, lit. *su*, *sa*, które w stsł. i w polskim się zachowało, jak w *są-siad*, *są-siek*, stpol. *są-pierz*, *sąmnienie*, n=pol. *sumienie*, stsł. *sąmъnênije*, *sąmъnêti-sę*, *są-protiviti-sę*, *są-protivъ* itp.; daléj stsł. *ą*, pol. *wą: ą-vozъ*, pol. *wą-woz*, skr. *an*, gr. ἐν, łac. *in*; stsł. *ną*, pol. *no*, *nu*=*sed*; stsł. *ką* w *ką-du*, *tą* w *tą-du*, pol. *kędy*, *tędy*, z *kam*, *tam* itd. itd. Prawidła głosowe nie znają żadnych wyjątków według najnowszych teoryi! Jakimże sposobem przyszły te wyrazy do nosowéj samogłoski, w których przecież samogłoska czysta jest krótką? Okoliczność ta bowiem, że wyrazy te używają się jako prefiksa, niczego nie dowodzi, ponieważ i te są wzięte z faktycznego zasobu językowego, a *ną* używało się osobno. Jaki więc jest stosunek pomiędzy *są* a *sъ*, *vą* a *vъ*, *ką* a *kъ*, *tą* a *tъ*? Czy nie jest ten sam, jak pomiędzy stsł. *dąbъ* a bulg. *dъb*, stsł. *ręka* a bułg. *rъká*, lub pomiędzy polskiem książkowém *będę* a ludowem *bede*, książkowém *wziął* a ludowém *wzion*, *wzioł*? Czy taki sposób tłómaczenia, oparty na faktycznym stanie języka, ma być gorszy, aniżeli najmożliwsze kombinacye, analizujące język jak

martwe ciało? Ale „dowód“ ma swoje znaczenie, którego nie można lekceważyć.

Jeżeli końcowa spółgłoska *m* (n) po krótkiéj samogłosce odpada, a natomiast z poprzedzającą długą (*natura*, lub *positione*) zlewa się w samogłoskę nosową, jakiem prawem powstało zakończenie dopełniacza l. mn. ъ u *a*-tematów, które przecież oznaczyć trzeba jako -ā*m*, jak obydwa języki aryjskie, grecki, gocki pokazują? Zakończenie -ā*m* występuje w tych językach, tak przy *a*-tematach, jako też przy spółgłoskowych (zob. Schleicher *Comp.*[4] § 253). Jednakowoż „pierwotną końcówką dopełniacza l. mn. nie jest *-am*, lecz $-a^2m$ (a względnie *-om*), jak znakomicie dowodzi Osthoff *Morphol. Untersuch.* I, 207 nast). jeszcze w r. 1878“ (*Aten.* 194).

„Znakomity dowód“ Osthoffa jest tylko dalszém zastósowaniem twierdzenia, które Brugman (*zur Geschichte der stammabstufenden declinat.* w „Stud. zur griech. und lat. Gram. hrsg. v. G. Curtius und K. Brugman“, t. IX, str. 361 nast.) postawił, że już w prajęzyku indoeurop. istniały trojakie *a*, które greckim α, ο, ε, odpowiadają, a które jako a_3, a_2, a_1, oznaczają. Dźwięk słow. *o*, odpowiada a_2, który w aryjskiem ā, przed pojedynczemi spółgłoskami ma swój ekwiwalent. Konsekwentnie więc prawidło Brugmanowe rozszerzył Osthoff znacznie daléj, gdyż przeniósł je na zakończenia wyrazów. Dla tego też zakończenie dopełniacza oznacza jako a_2m, które odpowiada aryjskiemu ā*m* i odpowiednim zakończeniom w językach europ. w których jednakowoż długość samogłoski, według téjże teoryi, jest stosunkowo późniejszym wytworem.

Recenzent uznał ten dowód za „znakomity“, z którego widać, „że nawet od czasów znakomitéj pracy Leskiena o deklinacyi (r. 1876), — którego objaśnienia, nawiasowo powiedziawszy, w tym przypadku nie uwzględniłem, — nauka już znacznie naprzód się posunęła“. (*Aten.* str. 195). Jak najchętniéj zgadzam się na zdanie to, wypowiedziane przez recenzenta, „że literatura naukowa z każdym dniem się mnoży“, jak to z tego się pokazuje, że po znakomitéj pracy Osthoffa (r. 1878) nie mniéj znakomita pojawiła się Joh. Schmidta: *zwei arische a-laute und die palatalen* (w „Kuhn's Ztschft. f. vrgl. Sprachforsch.“, XXV, str. 1—179. Na str. 59 swéj pracy pisze Schmidt te słowa: „es hat sich also ergeben, dass in keinem einzigen der von Brugman zur stütze seines „gesetzes“ angeführten beispiele *o* einem skr. ā entspricht, vielmehr überall, wo nicht später auf einer von beiden seiten störungen eingetreten sind, *o* einem kurzen *a* des sanskrit gegenüber steht, dagegen dem skr. ā, auch in den europäischen sprachen lange vocale entsprechen“, itd. „Podług téj eoryi, która przecież nowszą jest aniżeli Brugmana, objaśnia się zu-

pełnie inaczéj“ cała ta sprawa i dla tego „lekceważyć jéj“ nie powinien był recenzent, który przecież sam pomiędzy dzisiejszémi teoryami gramat. Brugmana, Leskiena cytuje i Joh. Schmidta (*Aten.* str. 196). Zatem twierdzenie recenzenta, że dopełniacz l. mn. *a*- tematów „jest utworzony pod wpływem tematów spółgłoskowych“, jest jego tylko domysłem, niczem nie uzasadnionym, przeciwko któremu świadczy cała historya nietylko polskiego, ale także litew., germańs. i staroindyjskiego języka, w których przeciwnie samogłoskowe tematy wpływ wywierały w tym i innych przypadkach na utworzenie się form spółgłoskowych tematów. Zob. dla polsk. języka *His.* str. 230 nast., dla litewsk. Brückner: *zur lehre von den sprachl. Neubild. im Litunisch.* (w *Archiv.* III, str. 246 nast.), dla germańsk. Scherer: *Zur Gesch. d. deutsch. Spr.* (2 wyd. str. 560 nast.), i Leskien: *die Declin.* (str. 85 nast.), dla greck. G. Meyer: *Griech. Gram.* (str. 304).

Sprawa zatém, dotycząca nosowych samogłosek, która w ścisłym związku stoi z całą wokalizacyą języka słow., a którą recenzent mój przez zacytowanie pracy Osthoffa za załatwioną uważa, wobec tych kilku uwag, powyżéj przezemnie wypowiedzianych, do których przyłącza się jeszcze całe mnóstwo faktów językowych z tego okresu, tak w zakończeniu jako i w środku wyrazów, przedstawia się w innem świetle, i dużo upłynie wody Wisłą zanim rzeczywiście załatwioną zostanie. O zapuszczaniu się w szczegóły, nie może być tutaj mowy, tém bardziéj, że recenzent tylko gołosłownie wypowiada za drugimi twierdzenia, które wobec „dzisiejszych teoryi gramatycznych“ całkiem inaczéj się przedstawiają. Na błędnem tém rozumieniu praaryjskiego dwojakiego *a*, oparł więc cały swój wywód o powstaniu stsł. *ê*, który odpowiednio do faktycznego o tém rozumienia dzisiejszéj nauki, w innem przedstawia się świetle.

Gdzież ja to twierdzę na str. 232, że „w wyrazie stsł. *mati* sufiksem jest *-ars*“, jak to mi przypisuje recenzent (str. 195)? Ja mówię o „tematach zakończonych na *r*“ a czy „*mater*“ nie kończy się na *r*? Że „stindyjskie *ra*“ przechodzi w „*la*“ nie tylko w słow. języku, ale we wszystkich europejskich, jest dla wszystkich „nie nowiną“; tylko recenzent temu przeczy. O nieprawdziwości zaś swego zdania może przekonać się z rozprawy Ficka: *die gemeinsam-europäische Entwickelung des l* (w „Die ehemal. Spracheinh. d. Indogerm. Europas“, str. 201—261). Żeby forma imperativu stsł, *daždь* utworzoną została z **dazdь* pod wpływem pierwotnego optatiwu, jak recenzent mniema str. 196, musi nam tego dowieść na podstawie głosowni stsł. języka, ponieważ, o ile znam prawidła głosowe tego języka, forma *dazdь* mogłaby pozostać bardzo wygodnie, a przechodząc pod wpływ optativu, musiałaby znów brzmieć **dažda*.

Z tego zaczarowanego koła wyprowadza nas to, co znamy o podobnych zjawiskach tak sł. jako innych języków, że pierwotne *jā* może się skrócić tak w zakończeniu imionowych tematów na *-jā*. (Leskien *declin.* str. 8 nast.), jako też w konjugacyi (Joh. Schmidt: *die ursprüngl. flex. des optativs und der auf* ā. *auslautenden präsensstämme* (w K. Z. 24, 303 nast).

To są wszystkie zarzuty, które recenzent przytoczył na dowód, że „ani jednem słowem nie zdradziłem znajomości najnowszych teoryi gramatycznych". Tymczasem nieszczęście chciało, że do zarzutów tych można zastósować koniec, który w każdéj bajce Ezopowéj czytamy, z tym dodatkiem, że wszystkie za własne wypowiedziane twierdzenia, recenzent milcząco z obcych prac przejął, które nie zawsze rozumiał.

Ale na tém nie koniec. Recenzent przekręca całkiem moje objaśnienia, by mieć materyał do krytykowania. Tak uczynił przy stsł, *mati* (zob. wyżéj), tak samo przy tematach zakończonych na *-anin*, *-in*, o których na str. 73 *Hist.* stoi, że przypadek ten (mianownik l. mn.) tworzą po odrzuceniu sufiksu *-in* według analogii spółgłoskowéj deklinacyi, przyjmując zakończenie *-e* z **as*. Na str. 69 nast. mówiąc o zakończeniu *-i* tegoż przypadku, wymieniłem pomiędzy innemi imionami i te także, ponieważ zakończenie to przyjmują. Dla tego „ci, którzy dopiero z téj książki będą się uczyć całéj genezy form polskich (a nie słowiańskich, ponieważ historyi słow. języków nie pisałem), nie zrozumieją tego fałszywie", jeżeli wogóle nie chciałby ich recenzent posądzić o brak wszelkiéj możności logicznego myślenia. Przeciwnie, czytając mą pracę, przekonają się, że nigdzie nie napisałem, jakoby „końcówka *i-* rozszerzyła się na gruncie polskim", jak recenzent mi takie błędy imputuje, ale „że zakończenie to język polski wraz z drugiemi z epoki prasłowiańskiéj odziedziczył" (zob. *Hist.* str. 69).

Również na całéj stronie 111 méj pracy nie znajdzie czytelnik „formy dwu dziesiątu," którą recenzent (str. 199) tam wyczytał, ale *dwu dziesiątku*. To zaś pochodzi, jak wiadomo, od *dziesiątek* i należy do deklinacyi *a*-tematów. „Najlepiéj więc było kwestyi téj o liczebniku *dziesięć* nie tykać," ponieważ recenzent nic nowego nie powiedział, a o wielu rzeczach nie wspomniał, o których dawno pisałem w rozprawie: O liczebnikach w języku stpol. (str. 19 nast.). Deklinacyę zaś dziesiątka *dziesięć* ma czytelnik wyłożoną przy *i*-tematach.

„Najtrudniejszy jest,—według recenzenta,—przegląd form gramat. w konjugacyi, a to z powodu zastarzałego podziału, jakiego się trzymam w swéj pracy" (*Aten.* 199). Dla czegóż recenzent nie

przytoczył nowszego podziału, który istnieje w nauce konjugacyi słow.? Wszak należało to choćby ze względu na interes tych, którzy z méj książki będą się uczyć form języka polsk. Przecież nie żąda odemnie, abym za Leskienem miał przyjąć system konjugacyi Schleichera, gdyż przez to okazałbym się dopiero przestarzałym, a L. Malinowskiego system, który z jego wykładów miał sobie przywłaszczyć Matusiak, drukował się w tym samym czasie, co moja praca. Żałuję mocno tego, gdyż byłbym się może dowiedział, że „czas teraźniejszy nie ma z tematem wyrazu bezokolicznego (?) nic a nic do czynienia“ (*Aten.* str. 199). Ale jam o tem i bez tego wiedział i uczę tego na str. 340 a od str. 342—389 wyliczam formy słowne urobione na zakładzie tematu infinitiwnego, a od str. 398—462 od tematu czasu teraźniejszego. Nie moja więc wina, jeżeli recenzent nie był wstanie tego pojąć. Również i za to nie mogę odpowiadać, że nie zrozumiał następującego zdania: słowo, tworzące w stsł. języku formę trybu bezok. *klati*, któremu pol. kłoć odpowiada, wzmacnia w czasie teraźn. nie tylko dźwięk *l* za pomocą *o*: *kol*, ale przyjmuje jeszcze podług wzor V, 2 przyrostek *i*: *kolją* (Hist. 399) (1). Jestem przekonany, że uczeń „uczący się z najelementarniejszéj gramatyki“ zrozumie, że w całém tém zdaniu ani jedném słowem nie możnaby poprzéć „teoryi, że czas teraźn. tworzy się od tematu trybu bezok.“ i musiałby zdziwić się, nie pomału, że uczony lingwista w ten sposób naukowe dzieła rozbiera. A co się tyczy owego „wzmocnienia dźwięku *l* w czasie teraźniejszym,“ z czego recenzent tak się gorszy, jak nazwie nasz uczony lingwista z jednéj strony takie temata czasu teraźn. jak następujące: *der-*, *ber-*, *per-*, *żen-*, *zov-*, z któremi na równi stoją pod względem formy: *kol-*, *stel-*, *bor-*, *por-*, a z drugiéj odpowiednie im trybu bezok: *dr-*, *br-*, *pr-*, *gn-*, *zv-*, i *kl-*, *stl-*, *br-*, *pr-*? Czy pomiędzy temi pierwotnikarni tematów obydwu rodzajów konjugacyi słow., nie zachodzi ten sam stosunek, jak pomiędzy greckiemi πελ a πλ w πίμπλημι, pomiędzy πετ a πτ w πέτομαι, pomiędzy τεμ a τμ w τέμνω itd. itd? Czy to nie jest ten sam stosunek pomiędzy mocnemi a słabemi postaciami tematów tak imionowych jako i słownych w deklinacyi i konjugacyi, które opierają się na „najnowszych teoryach gramatycznych Brugmana, Osthoffa,“ a o których recenzent tak głośno mówi? Jakie zaś to są te „najnowsze teorye,“ może się dowiedzieć o nich w H. Paula: *Zur Geschichte des germanischen Vocalismus* (w „Beitr. z. Gesch. d. deutsch. Sprache u. Lit.“ VI, str. 108 nast.) i A. Ficka: *Zum Aorist- und Perfect-ablaut im*

(1) Zob. także, co o tych słowach mówię na str. 347.

Griechischen (w „Beitr. z. Kund. d. indg. Spr. hrgg. v. Bezzenberger“ IV, str. 167 nast.).

Ale recenzent w takie drobnostki się nie wda je; on woli pisać „historyą form polskich *kolę-kłóć* i *kłuję-kłuć*,“ której napróżno by szukał specyalista w méj „Historyi.“ Recenzentowi bowiem „po długim a mozolnym szukaniu udało się znaleść tylko dwie formy czasu teraźn., mianowicie *przekolę* i *wykłuję*, nadto kilka przykładów wyrazu bezokolicznego (kłóć, kłoć). Dla każdego wystarczyłyby te przykłady, gdyż kto zna choć tylko pobieżnie gramatykę elementarną, może dalszy sposób konjugacyi uzupełnić sobie, skoro podane ma oba paradygmata, według których się czasownik ten odmienia. Recenzent mój żąda od „Historyi języka,“ aby każde słowo przez wszystkie osoby i czasy było w niéj przekonjugowane.

Recenzent podaje nam na str. 200 „coś bliższego o stosunku tych form *kolę-kłuję*,“ co dosłownie powtarzam: „Ponieważ *kłóć* kończy się w wymowie zupełnie tak samo jak *czuć*, *suć*, *snuć*, *truć* itp., które mają w czasie teraźn. formy: *czu-ję*, *su-ję*, *snuję* itd. przeto też pod wpływem tych form powstało *kłó-ję*“ (str. 200) (1). Dziwny ten język polski! Mając takie formy jak *gno-ję*, *do-ję*, *sto-ję*, *po-ję* itd., wolał poszukać takich jak *czuję*, *su-ję* itd. i według nich utworzyć: *kłu-ję*, *pru-ję*. Tryb bezokoliczny bowiem tak jednych jak i drugich nie może wchodzić w rachubę, ponieważ i „najelementarniejsza gramatyka uczy, że czas teraźn. nie tworzy się od tematów trybu bezok.“ Czy recenzent nie walczy swemi argumentami sam przeciwko sobie? A zkąd język polski przyszedł do *kłóć*, zamiast *kłoć*, kiedy pozycya pierwotna *kolti* wymaga *kłoć*, odpowiadającego stsł. *klati*, jak *słoma*=stsł. *slama*, *głowa*=stsł. *glava* itd. Czy „historya tych form,“ jaką w swéj recenzyi sam p. dr. Jan Hanusz napisał, nie będzie tylko taką samą, jaką poprzednio tenże w swéj recenzyi pracy Leciejewskiego (w *Archiv. f. sl. Phil.* VI, str. 413) podał, takich wyrazów jak: *arbata*=książk. herbata, *rumatys* (rheumatismus), które miały powstać pod wpływem wyrazów takich jak: *garbata*, *rum* (sic!!!). Z „najnowszych prac naukowych“ przekonałby się recenzent, że tutaj coś innego odgrywało rolę, a co? może się dowiedzieć z Brugmana: *Zur Physiologie der r-Laute in den indogerm. Sprachen*, (w „Curtius Stud.“ V, str. 131 nast.), Joh. Schmidta *Zur Gesch. der indg. Vocal.* (II, str. 201 nast.). Z tych prac naukowych

(1) Czytelnik może porównać zdanie to z mojem, które o stsł. klatl, pol. kłoć na str. 399 znajdzie, a zobaczy, że pomiędzy nimi całkowita jest zgoda. Mimo to, ja uczę, że „czas teraźn. tworzy się od tematu trybu bezok. jak mi to recenzent zarzuca str. 199. Czytelnik niech taki sposób postępowania recenzenta sam scharakteryzuje.

i wielu jeszcze innych dowie się uczony lingwista, że takie procesy we wszystkich językach indoeurop. się odbywały i że to są przemiany głosowe, które już wówczas były czynne, kiedy Polacy „rumu“ nie znali.

Podobnie się ma rzecz i z sufiksem *ywa* słów V klasy, który zamiast *awa* w obecnym stanie języka prawie wyłączną stanowi formę ich użycia. Recenzent uczy mię, że „forma ta powstała pod wpływem słów takich jak: *bywać*, *pożywać* itp. chociaż w nich *ywa* nie stoi zamiast *uwa*.“ Takie tłómaczenie, które co do joty odpowiada powyższemu za pomocą „rumu,“ pozostawiam dla p. recenzenta. Czy zaś „pełna forma przyimka *w* w *wnidę* itp. jest *vzn*, jak recenzent za Baudouinem (*Filolog. zapis.*, Woron. 1877, str. 17 nast. osob. odb.) powtarza, czytelnik łatwo sobie wytłómaczy z tego, co powyżéj o nosowych samogłoskach powiedziałem.

Co się zaś tyczy „transkrypcyi wyrazów staropolskiéj, jakiéj używam,“ będzie miał recenzent „stosowną chwilę do zrobienia niejednéj uwagi“ na zjeździe Kochanowskiego w Krakowie, gdzie o tym przedmiocie z referatem już się zgłosiłem.

Takiemi zarzutami obsypał p. Jan Hanusz moją pracę, do których „jeszcze mnóstwo innych“ dałoby się dodać. Ale i te wystarczyły dla recenzenta, aby dowiódł, że nie znam wcale nowszych prac naukowych i dla tego objaśnienia moje są ,,błędne i przestarzałe.“ Tymczasem dziwném zrządzeniem ani jeden z jego zarzutów nie ostał się wobec „najnowszych prac naukowych“ i pokazało się, że recenzent z „najnowszemi teoryami gramatycznemi“ jest wcale nieobeznany. Przecież to nie przeszkadzało mu wypowiadać z całą pewnością siebie zdania o niewiadomości mojéj i innych. Jednakowoż nie biorę mu tego za złe i nie gniewam się za ten ton jego. Żeby zaś przekonał się o mojéj dlań życzliwości, przypomnę mu to, co r. 1882 prof. Brückner (w *Archiv* VI, 114) mu powiedział, że „pilnością i wytrwałością usunie niedostatki metody i wypełni luki swych językowych wiadomości,“ a ze swéj strony dodam jeszcze jako ostrzeżenie na przyszłość: *verbis jactans gloriam, ignotos fallit, notis est derisui.*

Antoni Kalina.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA

I WRAŻENIA LITERACKIE.

Rocznik pedagogiczny. Przegląd postępów w dziedzinie wychowania i nauczania, wydawany staraniem i pod redakcyą S. Dicksteina, przy współudziale wielu pedagogów. Tom II, 1882—1883. Warszawa, 1884, str. IX i 470, w 8-ce.

Pisząc przed dwoma laty (*Aten.* 1882, I, 560—566) o pierwszym tomie „Rocznika Pedagogicznego“, starałem się wykazać jego znaczenie dla wyrobienia w społeczeństwie świadomości o sprawie niewątpliwie najważniejszéj, bo sprawie przyszłych pokoleń, ale zarazem wyraziłem obawę, iż taka praca, do rozmyślań poważnych zmuszająca, nie zdoła sobie wytworzyć dostatecznéj liczby czytelników-nabywców, coby jéj byt trwałym uczynili. Skłonność do okazywania swojéj miłości dla kraju i jego najżywotniejszych interesów za pośrednictwem gorących ekspektoracyi tylko, a nie czynu poważnego, ciągle jeszcze wśród ogółu grasuje; tak dalece, że książka téj skłonności nie folgująca, nie może liczyć na szczere poparcie.

Przewidywania nasze sprawdziły się, niestety. Redaktor wprawdzie wytrwał przy swéj pożytecznéj myśli, ale o podjęciu wydawnictwa na rachunek przyszłych nabywców marzyć nie mógł, musiał się więc uciec do pomocy publicznéj, do Kasy imienia Mianowskiego. Jéj-to nakładem wyszedł tom drugi, obejmujący obraz ruchu pedagogicznego, z lat 1882 i 1883.

Zestawiając te fakta, nie zamierzam wyciągać wniosków, pozostawiam to czytelnikom, którzy sami potrafią ocenić, to tak smutnie, o stopniu naszego rozwoju świadczące zjawisko. Nie zapuszczę się nawet w dowodzenie pożyteczności wydawnictwa i powołując się tylko na to, co dawniéj pisałem, podam choć krótkie streszczenie zawartości tomu drugiego, bardzo obfitéj i nader pouczającéj.

Jak poprzedni tak i obecny tom składa się z czterech części.

W pierwszéj mieszczą się cztery artykuły ogólniejszéj treści, przedstawiające już-to kwestye psychologiczno-pedagogiczne, już-to

sprawozdania o działalności pewnych, bliżéj nas interesujących, instytucyj wychowawczych. Na czele znajdujemy obszerną rozprawę p. A. Dygasińskiego, p. n. „Rzut oka na genezę duszy ludzkiéj". Przedstawiwszy w krótkich słowach dwa przeciwne sobie poglądy na skuteczność wychowania, z których jeden za dużo, a drugi za mało wpływu, na wyrobienie duszy przyznaje edukacyi, zwraca uwagę na brak baczniejszéj troskliwości i wiedzy w sprawie, którą we frazesach tak wysoko podnosić lubimy. „Pedagog. i nauczyciel—powiada autor—mają do czynienia ze zjawiskami życia, są to hodowcy ludzkiego gatunku; ale zwykle każdy z nich o powszednich faktach życia ludzkiego jest znacznie gorzéj poinformowany, aniżeli o subtelnościach, dotyczących używania jakiego spójnika. Zresztą hodowcy owiec daleko troskliwiéj robią obserwacye, dotyczące higieny, anatomii, fizyologii, aniżeli się to zdarza pedagogom. Doprawdy, trzeba wyznać, iż do wiedzy o owych oklepanych zjawiskach życia jesteśmy w takim samym stosunku, w jakim do nauki o parze wodnéj jest palacz, dorzucający nieustannie węgli pod wielki kocioł". Spostrzeżenia te służą panu D. za przejście do wykazania konieczności studyów psychologicznych dla każdego wychowawcy. Określa następnie znaczenie mózgu w organizmie ludzkim, a potém z dziełka Preyera *Die Seele des Kindes* podaje cały szereg uwag, odnoszących się do rozwoju zmysłów, woli i rozumu; czyli, innemi słowy, przedstawia wykład psychologii pedagogicznéj, w zastosowaniu do pierwszych lat życia wychowańca.

P. H. Wernic w artykule „Dwa główne punkty wychowania" stara się zburzyć ten silny wał, jaki usypała wiekowa rutyna, posługująca się jednostajnemi zawsze i wszędzie formułami. Określiwszy wychowanie jako „przeniesienie obecnéj cywilizacyi na wzrastające pokolenie", dodaje, iż celem wychowania nie jest samo przekazanie obecnéj cywilizacyi następnemu pokoleniu, lecz raczéj uzdolnienie go do dalszego snucia wątku postępu. „Gdyby—powiada—ostatecznym celem wychowania było tradycyjne przekazanie obecnéj cywilizacyi, to nabytek umysłowy i moralny młodzieży nie posiadałby jeszcze nowych pędów, z których ma nastąpić rozwój wyższéj cywilizacyi niż dzisiejsza". Stąd wynika, że „pierwszą zasadą nauczania być powinno skłonienie wychowańca do samodzielnej czynności umysłowéj, która polega na powtarzaniu się w młodym umyśle tych samych procesów myślenia, jakich wymaga treść wykładanéj nauki. Uczeń, chociaż pod przewodnictwem nauczyciela, ale sam ma wyprowadzić prawidło z przykładów, na które spogląda, sam uklasyfikować okazy historyi naturalnéj, jedném słowem, pod przewodnictwem nauczyciela, ma sam w krótkości przebiedz dzieje nauk

i również na przykładach rozniecić w swoim umyśle zapał do wszystkiego, co piękne i dobre, co późniéj wzmocni pojęciami naukowemi. Wszędzie winien być sam uczeń czynny, a nauczyciel ma tylko przewodniczyć. W szkole nie robią się ani wynalazki, ani odkrycia; nie kształcimy tu ani wynalazców ani odkrywających, lecz należy tak kierować nauką, iżby uczniowie sami odkryli to, co zostało zbadane, wynaleźli, co zostało wynalezione". Jak tu dążymy do wyrobienia samodzielności umysłu, tak téż starać się potrzeba o samodzielność woli — i to stanowi drugi główny punkt wychowania. Wyrazem téj samodzielności jest panowanie nad sobą. Ażeby wdrożyć do tego uczniów, proponuje autor przykładowe założenie w szkole pewnego towarzystwa wstrzemięźliwości, do którego należał i nauczyciel, a w którémby każdy powstrzymywał się w pewnym oznaczonym czasie od tego, co mu sprawia wielką przyjemność, a nie jest dla zdrowia koniecznėm. Naprzód odnosiłyby się akty wstrzemięźliwości do takich rzeczy jak cukier, przysmaczki itp., potém do powściągania się w gniewie, do przymuszania się w staranności wykonania jakiéj roboty itp. Gdy się następnie siły umysłowe rozwiną, kontrolę ukochanego nauczyciela zastąpi własna wola ucznia.

Sprawa reformy szkół średnich w Galicyi wywołała w „Roczniku pedagogicznym" szereg spostrzeżeń krytycznych, napisanych przez pp. Sobieskiego, Ślosarskiego, Szumowskiego i Dicksteina (str. 46—89).

Jako dalszy ciąg artykułu, pomieszczonego w I tomie Rocznika uważać należy sprawozdanie p. T. Gerstmana, p. n. „Działalność Towarzystwa Pedagogicznego w Galicyi za dwa ubiegłe lata" (str. 90 — 106).

Przechodzimy do części drugiéj, do „Rozbiorów i sprawozdań", części najobszerniejszéj w Roczniku, bo zajmującéj stron 254 (od 107—360). Jest to główna i najcenniejsza zasługa Rocznika, iż podaje ogółowi sumienne, przez specyalistów pisane oceny dzieł, ogłaszanych do nauki i zabawy dzieci. Rodzice i wychowawcy zasięgać stąd mogą informacyi pewnych, gruntownych co do wartości książek w handlu spotykanych. W Roczniku obecnym oceniono takich książek 147; sprawozdawców było dwudziestu ośmiu; wszyscy są-to mniéj lub więcéj znani w zawodzie pedagogicznym pracownicy. Z działu „Pedagogiki i dydaktyki ogólnéj" (pozycyi 22) złożyli sprawozdania pp. Dickstein, Dygasiński, Goldberg, Sobieski, Wernic. Z działu „Książek dla dzieci i młodzieży" (pozycyi 28) dali oceny, oprócz trzech już wymienionych: pp. Chmielowski, Kühn, Łagowski, Nowicki. Bardzo starannie i szczegółowo opracowany jest dział książek, odnoszących się do nauki języka ojczystego, przez St. Mieczyń-

skiego i kilku innych. I język niemiecki bardzo gorliwego znalazł sprawozdawcę w osobie p. M. M. Zaleskiego. O dziełach z zakresu filologii klasycznéj znaleść także można dobre informacye. Sprawozdawcą z działu historyi powszechnéj jest p. T. Korzon, z działu historyi polskiéj p. Wł. Smoleński; nazwiska krytyków są rękojmią sumienności i ścisłości. Dział Gieografii opracowany został starannie przez pp. Nałkowskiego, Szumowskiego i Wróblewskiego. Z matematyki zdaje sprawę sam redaktor Rocznika, z historyi naturalnéj p. Ślosarski, z fizyki, chemii i kosmografii pp. Boguski, St. Kramsztyk, Kwietniewski; nazwiska tu również przemawiają same za siebie.

Część trzecia Rocznika obejmuje „Przegląd nadesłanych do redakcyi sprawozdań szkolnych“, oraz „Wiadomości o zakładach naukowych“, wraz ze statystycznemi danemi. Znajdujemy tu streszczenie 34 sprawozdań, daléj statystykę zakładów naukowych w Królestwie pols., kilka danych ze statystyki szkół ludowych w Galicyi przez p. Amborskiego, statystykę szkół wyższych w W. księstwie poznańskiém, przez p. Löwenfelda.

Część czwarta mieści w sobie nekrologią pedagogów (w liczbie 25), oraz bibliografią padagogiczną za dwa lata. Bibliografia jest tu podana oczywiście najobszerniéj według działów naukowych; szkoda, że redakcya nie znaczyła pozycyi numerami porządkowemi, ciągnącemi się przez całość, tylko każdy dział osobno numerowała; pierwszy sposób znaczenia jest o tyle lepszy, iż daje odrazu poznać obfitość lub umniejszenie się produkcyi pedagogicznéj. Prócz polskiéj podano także bibliografią rosyjską, czeską, niemiecką, francuską i angielską, rozumie się w szczupłych rozmiarach.

Z powyższego streszczenia czytelnicy mogą, zdaje się, nabrać niejakiego wyobrażenia o zasobach wiadomości, jakie Rocznik Ped. im podaje. A gdy powiemy, że obok usterek nieodłącznych od każdéj zbiorowéj, czy jednostkowéj pracy, znajdujemy tu takie zalety, jak: gruntowna znajomość rozbieranego przedmiotu, sumienność i staranność w wykazywaniu zarówno dobrych jak złych stron w dziełach roztrząsanych; to wypadnie tylko chyba życzyć, ażeby rozprzedaż tego tomu Rocznika umożliwiła dalsze istnienie tak potrzebnego i pożytecznego wydawnictwa. *P. R.*

Czesław. Poezye. III. Warszawa. 1884, str. 185.

Trzeci to już zbiorek poezyi swoich daje nam Czesław. O dwu pierwszych pisałem już przed trzema laty w *Ateneum*. W obecnym trudno się dopatrzyć wyraźnych śladów postępu pod względem głębokości i jasności pomysłów, lubo co do formy stała się ona wytworniejszą i poprawniejszą.

Na czele zbiorku mamy osiem sonetów, w których poeta starał się wypowiedzieć swój pogląd na wielkie zagadnienia spółczesne, na stan duchowy dzisiejszego świata. Nastrój uroczysty, powaga słowa zdają się uprzedzać czytelnika, że usłyszy cóś ważnego, cóś, co jest kwintesencyą myśli poety. Nasłuchawszy się tych słów, tych rzeczywiście pięknie utoczonych wierszy, nie możemy, niestety! powiedziéć, nie tylko żeśmy jakąś trafną, rozumną czy nową myśl poznali, ale nawet, żeśmy właściwe przekonanie poety pochwycili.

Czesław widzi wszędzie „zmrok tylko, niepewność i trwogę, i żądz nienasyconych żrącą dusze wściekłość“, wszędzie dostrzega „łzy lub śmiech, w którym słychać jęk tłumiony i konającą wiarę w ideałów wieczność, porywów gorączkowych ironiczną sprzeczność z zawodami nadziei nigdy nieziszczonéj“; we wszystkich pracach ludzkości rozpoznaje tylko majaki nowych obietnic i nowych zapowiedni, rozpływające się ciągle wśród powszedniéj troski życia: „i tylko płonnych marzeń ta chwila szczęśliwa złudzeniem nowém nasze wspomnienia wzbogaca“.

Jeżeli w tym obrazie zamętu i niemocy nie będziemy się doszukiwali przedmiotowéj charakterystyki wieku, tylko podmiotowy sposób widzenia poety, to nietrudno nam będzie przyznać, iż jest-to jeden z najudatniejszych jego wierszy. Każdy oczywiście widzieć musi tak, jak patrzeć może i umie; narzucać komuś nasz sposób widzenia nie przyda się nawiele, bo choćby ten ktoś pozornie przyznał nam słuszność“, w głębi duszy jednak, z powodu nałogu patrzenia tak a nie inaczéj, powróci do swéj myśli. Niech więc poeta boleje nad zamętem i niemocą świata, jeżeli porządku i siły dopatrzyć się nie może; ale niechże już będzie w poglądzie swoim konsekwentny, zwłaszcza kiedy go rozpowszechnić pragnie; niechże ogół wie, pod jakim kątem widzenia poeta ukazywać mu będzie przedmioty. Otóż o konsekwencyą u Czesława trudno. Zdaje się niekiedy, że dla pięknego frazesu, lub udatnego rymu przekonaniom swoim odmienny nadaje kierunek.

Z poprzednio przedstawionego wywnętrzenia się poety wypadałoby, iż to go boli najwięcéj, że ludzkość nie posiada dostatecznéj siły do urzeczywistnienia swoich pragnień; gdyż troska powszednia wciąż ją odrywa „od jaśniejszych widziadeł“. Tymczasem z III sonetu dowiadujemy się, że poecie wcale nie przypada do smaku „marny zachwyt“ ludzkości „nad własnych sił potęgą“, że mu wstrętném jest uniesienie, wstrętną jest rozkosz, z jaką ludzkość bierze wciąż nowe na siebie kształty bytu... A więc jakże tylko kamienna ludzkość mogłaby odpowiedziéć aspiracyom wieszcza? Bynajmniéj, gdyż w dalszym ciągu tegoż sonetu, wbrew temu, co powiedział o niemi-

łém mu przybieraniu nowych kształtów, drwi poeta z tych, co chcą pojednać ludzi z rzeczywistością, a to dlatego, że „od rzeczywistości ludzkość wciąż ucieka i w coraz ją to nowe kształty przyobleka, byleby tylko zbliżyć ją do ideału".

A więc jest jakieś dążenie w ludzkości szlachetne i wielkie a więc nie wszystko jest chaosem i niemocą: tém bardziéj, że poeta zdaje się uznawać rządy Opatrzności w przyrodzie i dziejach, gdyż mędrcom dzisiejszym gorzko wyrzuca zaślepienie, które im nie dozwala dojrzeć Boga. Przekonanie to jednak chwilowo tylko może przejść do naszego umysłu, gdyż sonet ósmy przedstawi nam Boga takim, jakim go przy końcu swéj improwizacyi odmalował Konrad. Mówi tu poeta o nędzy, nicości i zgonie ziemi i zapytuje: „ileż ci takich mogił potrzeba, Jehowo?!"

Z tego pesymistycznego nastroju może nas wyrwać sonet V-y, w którym bardzo rozsądne, tchnące otuchą spotykamy zdania:

To dola gwiazd i kwiatów, że wichry i burze
Przedwcześnie kwiat zrywają nawpół rozwinięty,
Że promień gwiazd uroczy, chmurą przysłonięty,
Zapala się i gaśnie niedostrzeżon w chmurze.
Nie trwóżmy się tą rzeczy niezmienną koleją,
Nie złorzeczmy jesieni w żyzny plon bogatéj,
Świtom, zwiastunom pracy, krzepiącym nadzieją.
Niech skwarny dzień przeminie, owoce dojrzeją...
Wieczne jak ziemia - matka, jak niebios bławaty,
Zabłysną znowu gwiazdy, zakwitną znów kwiaty!

Gdyby te myśli częściéj gościły w duszy poety, nie potrzebowałby się zżymać na tych, co zachęcając ludzi do wytrwania i pracy, krzepią ich słowami: będzie lepiéj; nie potrzebowałby nazywać szałem gorączki usiłowania tych, coby chcieli zbadać prawa owéj „niezmiennéj rzeczy kolei," o któréj pisze sam poeta.

Po sonetach następuje dłuższy poemat p. n. *Psyche*. Czesław przedstawia tu dosyć mglisto, bez wyrazistéj plastyki, bez uwydatnionéj myśli przewodniéj, tę chwilę, kiedy bogi pogańskie strącone zostały z nieba, Psyche zaś wygnana schroniła się nad brzegi Jordanu, być może spodziewając się, że tam gdzie rozbrzmiewał głos miłości i przebaczenia, znajdzie spółczucie kochanka.

Tak smutna, zbłąkana wśród głuszy
Puszcz ciemnych drzemiących u rzeki,
Wieczorem gdy z łąki dalekiéj
Flet cicho przygrywa pastuszy,
Gdy rzesza komarów brzęcząca
Nad kwiatów rozwiesza się wonią,
Wiatr lekko kołysząc wód tonią

Mgły białe przed sobą roztrąca,
Gdy zachód falami purpury
Czerwieni wyniosłych palm czoła;—
Ujrzała raz Psyche anioła,
Co ciemne przebiegał lazury.

Psyche wyznała aniołowi swą gorącą miłość i usłyszała w odpowiedzi, że tylko miłość niebiana może ją z wygnania wyzwolić; poczém anioł odlatuje. W jakiś czas potém anioł miłosierdzia ujrzał w Psysze obraz dawnéj swéj kochanki i ucałował ją śpiącą; rozpromieniona Psyche unosi się ku gwiazdom. Myśl, jak widzimy, mętna; obrazowanie jednostajne przypomina usypiający szmer strumyka; wierszowanie miejscami zaniedbane (rze*ką*—le*kko* itp.).

Obrazki zatytułowane „Za dni cezarów" mają niepowszednie zalety zewnętrzne; wspaniałe pentametry „Opowiadania" pieszczą ucho obznajmione z miarami klasycznemi. W treści jest przeciwstawienie bogaczów, panów świata, cezarów biednym, lekceważonym, pogardzanym i srodze karanym niewolnikom. Niedopowiadanie myśli, niekończenie obrazów nie dozwala czuć w zupełności zadowolnienia estetycznego, a nawet uczuciu moralnemu niezawsze czyni zadość.

Od tych poważnych, mniéj odpowiednich talentowi autora rozmyślań i obrazków przechodzimy do lżejszych, kapryśnych, ciągle się zmieniających, różnorodny nastrój przybierających natchnień, w których Czesław wyborne nieraz tworzy wierszyki.

Milutkie są bardzo obrazki, przedstawiające miłość, chwilowe nieporozumienie, ponowną zgodę, radości i smutki młodego małżeństwa, p. n. „Między nami." Jeszcze piękniejsze, a pod względem formy zupełnie nieraz doskonałe są tak przez Czesława ulubione „Arabeski," w których składa wyniki swoich chwilowych spostrzeżeń, swoich zmiennych usposobień, swoich marzeń, smutków, krótkich radości i krótkich zwątpień lub rozczarowań. Nie widzimy w nich ani umysłu, który doszedł już do jakich niewątpliwych (dla siebie) pewników, ani serca świeżego, naiwnego, któreby odebranemi wrażeniami natychmiastowo, bezpośrednio podzielić się z kimś chciało; ale znajdujemy człowieka zastanawiającego się nad zjawiskami życia i nieraz trafne robiącego spostrzeżenia, widzimy duszę trawioną sceptycyzmem, łagodnym wprawdzie, ale dojmującym, widzimy umysł jakby przesycony wrażeniami, ale umiejący i chcący je odtwarzać jeszcze z subtelnością iście artystyczną. Do odmalowania tego stanu duszy zaczerpniemy barw z wiersza p. n. „Przesyt".

Wiesz ty, co przesyt? Ani łza na rzęsie,
Ani téż błyska żaden promień w oku,

Nawet wspomnienia nie mają uroku.
Zewsząd-byś uciekł jak z pustego domu,
Gdzie wszyscy twoi najdrożsi pomarli;
Do serca nie dasz przystępu nikomu,
Bo cała ludzkość w oczach twych się karli,
Bo gardzisz światem i przeklinasz życie,
Drażni cię nawet to, że serca bicie
Wciąż jeszcze słyszysz, drażni widok ludzi,
Bo choć się kryjesz z tém i łudzisz siebie,
Nawet ich smutek zazdrość w tobie budzi;
Zaś śmiech ich boli, jakby nad twą trumną
Ktoś parsknął śmiechem i zelżył twą dumną
Duszę,—lecz sam ty na własnym pogrzebie
Wybuchasz śmiechem...

Taki-to nastrój najlepiéj umie uwydatniać Czesław. Co w powyższym wierszu przedstawił w sposób retoryczny trochę, to w „Arabeskach" występuje w ładnéj lirycznéj a zwięzłéj formie. Oto np. jeden epizod z dziejów miłosnych:

Wiem już, czemu ty wciąż pytasz mnie:
W co ja wierzę, a w co ja nie wierzę?
Pan Bóg, dziewczę, tyle rzeczy wie,
Nuż go spytam, czy kochasz mnie szczerze?..
Wierzym w Boga, dziewczę, ja i ty
I jednakie mówimy pacierze,
Lecz ja, wybacz, w szczęścia wieczne sny
Nawet wtedy, gdy kocham, nie wierzę.

A całość tych dziejów jakże znamiennie, jakże ładnie przedstawiona we wstępie do drugiego dzieła „Arabesków:"

Na listku róży dzieje zwykłéj treści
Opiszę; praca ręki méj nie znuży;
Miłości naszéj poemat nie duży
Wraz z epilogiem, ręczę, że się zmieści
Na listku róży.
Dwie łzy, półuśmiech i kaprys niewieści...
Ten utwór, pani, niechaj tobie służy!
Wspomnij, gdy krótkość jego cię oburzy,
Że dzieje szczęścia mego w téj powieści
Na listku tóży...

Ale obok tych igraszek wrażeniowych znajdują się w „Arabeskach" myśli poważniejsze, które poecie wydawały się albo nowemi, albo przynamniéj godnemi powtórzenia w nowéj formie. Niektóre z nich są rzeczywiście bardzo udatnie wypowiedziane. Dla przykładu przytoczymy najprzód jeden arabesk, w którym poeta łagodnego marzycielskiego usposobienia zaleca hart duszy:

Potęgą własnych nie gardź sił,
Lecz nie mów: cuda stworzę!
Bo ten, kto wielkim w czynach był,
Największym jest w pokorze.
A bohaterskich wieńców wart,
Choć go nie sławią chwalce,
Ten, kto zachował duszy hart
W codziennéj życiem walce.

Drugi arabesk, przeciw bierności lepiéj widzących rzeczy wymierzony, zasługuje również na przytoczenie, zawiera bowiem prawdę, któréj coraz szersze zastosowanie w naszych mianowicie stosunkach bardzo byłoby pożądane:

Ten, kto z pola walki zmyka,
Zamiast pierś nadstawić hardo,
Ten milczeniem i pogardą
Nie zabije przeciwnika,

Choć ty mędrszy, lepszy, wyższy,
Ciebie, mówisz, nikt nie słucha?
Nie dziw!,.. Tłum nadstawia ucha
I tam biegnie, gdzie głos słyszy.

Tego żaden cud nie zbawi,
Kto w swéj pysze się zasklepi,
Twój przeciwnik głupi prawi,
Nie milcz, ale powiedz lepiéj.

Może nie powiem lepiéj, niż poeta, ale bądź-co-bądź w myśl jego rady postąpię, jeżeli założę opozycyą przeciw myślom, zawartym w wierszu, p. n. „Nekrolog“. Jest-to satyryczna wycieczka przeciwko krytyce. Jakiś krytyk gazeciarski donosi o śmierci młodego poety i ocenia jego życie i działalność. Choć nie mówi tego Czesław, ze sposobu jednak, w jaki przedstawia nekrolog, widać, że go pisze ktoś pijacką czkawką dręczony, który po sutych libacyach o zgonie biedaka rozpowiada. Nie myślę bronić takich krytyków ani wszystkiego co piszą, zrobię tylko uwagę, że w niektórych razach, o ile z poza satyrycznych wyrażeń wnieść można, mają oni trochę racyi. Wpływy fizyologiczne na ustrój ducha są rzeczą niewątpliwą, tak że Czesław prędzéj stępi swój dowcip, niż pewnik ten obali. Że poeci jak zakochani tylko w wyższym jeszcze stopniu idealizują swe kochanki, to także twierdzenie, na które nowych dowodów przytaczać już nie potrzeba; a i to nawet, co Czesław może jako największy dowód filisterskiéj nieczułości krytyka nie przytacza, że gdyby się pobrali kochankowie, tobyśmy piosnek pełnych łez nie czytali, nie należy do zbyt śmiałych hipotez. Używanie zbyt pospolitych, a co

gorsza fałszywych rymów jest wadą, któréj między innymi podlega i sam Czesław, kiedy wskutek fałszywego widać wymawiania rymuje *króciéj—smuci*, *kładzie—znajdzie*. Zaniedbanie rytmiczności dla każdego, kto ceni muzykę słowa, będzie zawsze wykroczeniem estetyczném; a jeżeli go Czesław broni, to dziwić się tylko wypada, iż taki w praktyce czciciel formy jest nieprzyjacielem jéj teoretycznego uzasadnienia. Wreszcie i ostatni punkt krytyki nekrologowéj, w którym krytyk narzeka, iż piosnki młode zmarłego są smutne i że wolałby w nich widzieć więcéj pogody duchowéj, jest ze względów psychologicznych nieusprawiedliwionym, jeżeli smutek był wynikiem rzeczywistego nastroju duszy, ale jeżeli to był smutek sztuczny, wynikający z chęci pozowania, dramatyzowania swego życia, to nagana zarówno psychologicznie jak społecznie była najzupełniéj zasłużoną; prawda bowiem wszędzie, sztuki nie wyłączając, popłaca. Odstręczać od smutków błahych i jałowych, jest jedném z zadań krytyki w interesie zdrowego rozwoju społeczeństwa, w interesie tego hartu duszy, który i Czesław widocznie ceni, kiedy go zaleca, lubo nie zdołał mu w poezyach swoich wydobyć się na jaw w całéj pełni.

P. Ch.

Hajota. Poezye. Warszawa, 1884, str. 176 i II.

Lubo sama młoda, doskonałe daje Hajota rady „młodemu poecie“. Oto każe mu wyrzucić z dłoni zwiędłe kwiaty, bardzo rostropnie tłomacząc, że „dłoniom będzie lżéj“, każe mu „cierpień ślad już zadawniony jak kurz z serca strzepnąć“ i nie nosić „czarnych krep“, gdy żałoby czas skończony; nie każe mu powtarzać już przebrzmiałych ech, bardzo słusznie twierdząc, że „powtarzanie u pieśniarza, to śmiertelny grzech“, ale każe „wsłuchać ucho w teraźniejszość“, śpiewać hymny wytrwałości, sławić myśl, wolę, czyn, zwiewać wątpień pomrok mglisty, snuć nadziei nić.

Jest stare łacińskie przysłowie, które powiada: gdy zdrowi jesteśmy, lubimy dobre rady dawać chorym. Możnaby to przysłowie dopełnić w tym sensie, że gdy chorujemy, to o własnych radach zapominamy. U niektórych osób pisanie wierszy, jest, jak się zdaje, objawem chorobliwym, przynajmniéj częściowo; takby wnosić wypadało z zestawienia rad Hajoty „młodemu poecie“ udzielanych z wielu jéj wierszami. Ileż tam jest zwiędłych kwiatów, ileż „czarnych krep“, po dawno miniowéj żałobie, ile przebrzmiałych i to dobrze przebrzmiałych ech, ileż mglistego pomroku zwątpień! Duszę swoją poetka porównywa do „wyschłego łożyska strumienia, w którem już nie trzeba szukać ochłody, ni odzwierciedlenia nadbrzeżnych krzewin, ni błękitów nieba, bo dno kamienne nie daje odbicia, bo

pierś wystygła nie odczuwa życia"... Gdy razu pewnego siedziała pod drzewem, w ogrodzie, a wiatr musnął jéj czoło chłodniejszym powiewem i rzucił jéj na piersi liść uwiędły, to ten liść drżał przy jéj sercu „jak sztandar zwątpienia(!) ponad *samotną ruiną* zatknięty"... Miłość jéj „to taki kwiat, co na cmentarnéj wyrósłszy glebie, przed urodzeniem znał śmierci świat".

Naturalnie, jest to tylko pozowanie na ruinę, nie zaś stan rzeczywisty. Obok bowiem tych ponurych są jaśniejsze myśli w poezyach Hajoty; znać w nich duszę żądną wrażeń i uciech. Kilka utworów tak wygląda jak ta zabawka dziewczęca: byłam na jednym balu, tam mi powiedziano; byłam na drugim balu itd. itd. Taniec, światła, strój, wszystko to żywo poetkę obchodzi. Czasami wprawdzie i wśród walca czy polki przychodzą jéj na pamięć „czarne krepy" i wtedy udaje, że chce smutek zatańczyć; więc woła:

Niech pęd szalony wirowych kół
Rozpędzi wspomnień straszną szarańczę,
Co mi już duszę *zjadła przez pół*...

Lecz te wybuchy są bardzo podobne do tych teatralnych wykrzyków, które ktoś scharakteryzował wierszykiem: „Szaleństwo w zęby chwyciłem"!...

Najczęstszym, najzwyklejszym tematem pieśni Hajoty jest oczekiwanie, pragnienie miłości, lub zawód w tém uczuciu.

Trzy większe utwory mają charakter próby wierności serc męskich i niewieścich. W „Doli Grajka" opowiada jak Stach, samorodny muzyk i poeta wiejski tak serdecznie pokochał swoję Marysię, że się wyrzekł wyższego wykształcenia w ulubionéj sztuce, jakie mu chciał ułatwić bogaty a dobry pan; Marysia zaś, lubo się także z miłością dla Stacha oświadczała, na propozycyą bogatego choć starego wieśniaka, zapomniała o tém i wyszła za nielubionego wprawdzie, ale mogącego zapewnić wygody człowieka. Stach zwaryował. Co prawda nie wielka szkoda jego talentu, jeżeli mamy brać miarę z tych pieśni, jakie mu autorka przypisuje, a w których takie np. są wiersze, przypominając znany nagrobek:

Dla dziewy niech
Będzie mój śmiech.

„Dwie Próby" są historyą doświadczeń młodzieńca, który chciał być pewny trwałości uczuć swoich i kochanki. Opuszcza więc na rok jednę ukochaną a po powrocie trafia na jéj ślub; opuszcza na rok drugą, a z powrotem trafia na jéj pogrzeb.

W „Bladych Różach" chłoszcze znów poetka niewierność męską. Raz na balu, gdy „z nowym strojem, nowych uczuć siła do niewinnéj duszy wstąpiła", on oświadczył jéj swą miłość, a na drugim

balu asystował bogatéj pannie, a ona biedna. opuszczona, rozmyślała o tém, jak to przykro patrzeć, gdy słońce zbyt żywo płonąc, warzy nierozkwitłe kwiaty, ale stokroć przykrzéj „gdy marzeń *przędziwo*, *niewysnute* jeszcze, *rwie się w szmaty*“!..

Ze wszystkich wierszy pomieszczonych w zbiorku stosunkowo najlepszemi są „scherza“; ironiczny dowcip, nie świeży wprawdzie i nie oryginalny, ale zdaje się przynajmniéj odpowiedniejszy usposobieniu poetki od innych tonów, dość udatne znajduje dla siebie wyrazy („Jedyna rada“, „Piosenka ladajaka na nutę krakowiaka,“ „Z matrymonialnych dumań“), lubo od niewłaściwych porównań i wykrzykników wolnym nie jest. Jako najzręczniejszy uważam następny krótki wierszyk:

Kochaliśmy się... ach, któż nie wie,
Co to jest miłość, rajskie słowo,
Gdy na zieloném życia drzewie
Zakwitnie różą purpurową.

Rozstaliśmy się... ach, któż nie wie,
Czém jest rozłąka, straszne słowo,
Kiedy w milknącym szczęścia śpiewie
Ozwie się nutą pogrzebową.

Liczne przykłady z Musseta, Wiktora Hugo, Manuela, Byrona mają raczéj znaczenie ćwiczeń wersyfikacyjnych, bardzo pożytecznych dla każdego poety, aniżeli wartość artystycznych odtworzeń.

P. Ch.

= **Złota przędza poetów i prozaików polskich.** *Tom I-szy pod redakcyą Piotra Chmielowskiego i Stanisława Krzemińskiego*, *ze słowem wstępném J. I. Kraszewskiego* (Warszawa. Nakład i własność Władysława Maleszewskiego i Teodora Paprockiego. 1884, str. XIV i 979). O pierwszych dwu zeszytach tego wydawnictwa pisaliśmy już swojego czasu w *Ateneum*; wytknęliśmy wtedy usterki i wady pod względem wyboru znamiennych wyjątków z Brodzińskiego. Z każdym niemal dalszym zeszytem staranność redakcyjna stawała się większą; widocznie dążono do utworzenia wyczerpującego, o ile możności, podręcznika, którymby posługiwać się można było przy nauczaniu dziejów literatury polskiéj, oraz w tych wszystkich wypadkach, gdzie idzie o szybkie a mimo to nie powierzchowne zaznajomienie się z najwybitniejszemi zjawiskami w dziedzinie twórczości poetyckiéj lub pracy naukowéj. Dla osiągnięcia tego celu zrobiono bardzo wiele. Na czele wyjątków mieszczono treściwe, przedmiotowo pisane życiorysy, w których podano najważniejsze fakta zewnętrz-

ne, wywierające wpływ na wyrobienie umysłu i charakteru autorów, przypominając zarazem tę chwilę dziejową, w któréj oni na widowni literackiéj występowali. Następnie, wyjątki z dzieł starano się tak ułożyć, ażeby jaknajwszechstronniéj zarekomendować mogły pisarza. Utwory mniejsze rozmiarem pomieszczano w całości, większe streszczano, zwracając głównie uwagę na stronę faktyczną, charakterystyczne zaś ustępy takich utworów w odpowiednich miejscach streszczenia wstawiano. Tym sposobem uniknięto wady, wspólnéj wszystkim prawie wypisom, mieszczącym liczne wyjątki z większych dzieł bez wykazania ich łączności, ich znaczenia w układzie utworu. Tu czytelnik ma przed sobą właściwie całe dzieło, częścią w streszczeniu, częścią w słowach pierwotworu. Nakoniec, po wyjątkach następuje bibliografia dokładna wydań danego autora oraz artykułów i rozpraw o nim pisanych; wskazówki te służyć mogą do znalezienia większych źródeł, z których wiadomości o autorze i jego dziełach zaczerpnąć się dają; są zatém niemałą pomocą dla tych, którzy nie są w możności sami zbierać notatek bibliograficznych, a pragnęliby wiedzę swą o czytanym poecie wzbogacić, czy to pod względem życiorysowym czy estetyczno-krytycznym. Mniéj więcéj tym sposobem opracowano wypisy z dzieł Brodzińskiego, Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Malczeskiego, Zaleskiego i Goszczyńskiego. Oddając należne uznanie staranności redakcyi i wydawców, wspomnieć téż wypada na zaletę I tomu „Złotéj Przędzy“, iż mieści on, co do Słowackiego mianowicie, rzeczy szerszemu ogółowi bardzo mało znane, gdyż w Warszawie ukazały się one z druku po raz pierwszy dopiero właśnie w „Złotéj przędzy.“ Do téj kategoryi należy znaczna część poezyj lirycznych, wyjątki z takich utworów jak *Król-Duch*, *Beniowski*, *Złota Czaszka*. Niektórych czytelników zastraszyć może objętość tomu (blisko 1000 stron), zawierającego wypisy z siedmiu tylko poetów. Zważyć jednakże potrzeba, iż to są poeci w nowym okresie literatury naszéj najważniejsi, najbardziéj wpływowi; należało się im więc i przestrzeniowo znaczniejsze miejsce. Tom II téj saméj objętości co I-szy zawrze już, jak zapowiada program, wypisy z 48 pisarzów okresu Mickiewiczowskiego. Początek tego tomu, świeżo ogłoszony, obejmuje życiorys Joachima Lelewela, skreślony przez p. Stanisława Krzemińskiego, oraz dokonany przezeń wybór z dwu dzieł mistrza historyografii naszéj nowożytnéj, to jest z „Ocalenia Polski za Łokietka“ oraz z „Uwag nad dziejami Polski i ludu jéj.“ To drugie dzieło, przy zachowaniu najważniejszych ustępów, podane jest w streszczeniu, tak że czytelnik ma miniaturowy obrazek całości.—Zachęcić należy wydawców do wytrwania w prowadzeniu wydawnictwa, które może niemałe oddać przy-

sługi sprawie zaznajomienia szerokiego ogółu z tworami literatury ojczystéj. Cena bardzo przystępna, 4 ruble za 60 arkuszy powinnaby się przyczynić do rozpowszechnienia tego dzieła.

Odprawa posłów greckich Jana Kochanowskiego (*jéj wzory i geneza*). *Napisał Józef Kallenbach* (Kraków, 1883, str. 40). Rozprawka ta dzieli się na dwie części: w pierwszéj zastanawia się autor nad pytaniem, o ile „Odprawa posłów“ zależy od wzorów grecko-rzymskich; w drugiéj stara się wykazać wpływy stosunków współczesnych na Kochanowskiego, oraz okoliczności, wśród których napisany został dramat. W rozwiązaniu pierwszego zagadnienia rozwinął p. Kallenbach obszerny zapas erudycyi filologicznéj, a przytém złożył dowody bystrości krytycznéj. Zaznaczywszy najprzód, że ustęp trzeciéj pieśni Iliady (tłómaczonéj na polski przez Kochanowskiego), od wiersza 121 do 291 uważać można jako zawiązek, z którego się w myśli poety naszego zrodziła osnowa dramatu, wykazuje, że podobieństwa szczegółowe pomiędzy Iliadą a Odprawą odnaleźć się dają w charakterystyce niektórych osób (Antenora, Ulisesa, Menelaja i po części Heleny), oraz w języku dramatu (to jest właściwie w porównaniu z przekładem Kochanowskiego III pieśni Iliady). W przedstawieniu postaci Kassandry dopatruje p. Kallenbach wpływu kilku autorów starożytnych, a najprzód Seneki (szczególniéj tragedyi „Agamemnon), daléj Owidyusza (szczególniéj heroidy V, XVI i XVII), Wergilego (w niektórych ustępach Eneidy), wreszcie Likofrona, który napisał tragedyą p. n. „Aleksandra“ (czyli Kassandra). W obrazie snu Hekuby poszedł Kochanowski częścią za XVI heroidą Owidyusza, częścią za nieznanym poetą, z którego przytoczył wyjątek Cyceron w dziele o wróżbach. W opowiadaniu posła, dowody, których Aleksander na swą obronę używa, jako też argumenta, któremi Antenor i Hibetaon walczą, zaczerpnięte są, zdaniem p. K. z XVI i XVII heroidy Owidyusza, lubo przykładowe dowodzenie tego zdania nie bardzo się autorowi powiodło, tak że sam wyznaje, iż nie tyle poszczególne, odosobnione miejsca, ile raczéj wrażenie ogólne po przeczytaniu... przemawia za tém, aby im wpływ niemały na Odprawę przyznać“. — Co do chórów wreszcie, to p. K. zwraca bliższą uwagę na chór trzeci („O białoskrzydła morska pławaczko) i wykazuje dowodnie wpływ chórów Eurypidesowych, mianowicie z „Hipolita“, „Andromachy“ i „Medei“. — Jakkolwiek Kochanowski starał się usilnie o to, ażeby dramat swój jaknajpodobniéjszym do wzorów klasycznych uczynić, nie mógł się przecież wyłamać z pod wpływu otoczenia. Ten wpływ otoczenia wykazuje p. Kallenbach w drugiéj części swéj pracy. Widzi ślad jego we wprowadzeniu do dramatu „pani staréj“, w wyrażeniu Antenora o po-

granicznych starostach, w upatrywaniu sądu bożego w nieszczęściach, kraj trapiących, w obrazku sejmowania, w narzekaniu na zepsucie młodzieży, w radach Antenora, co do gotowości wojennéj. Co do ostatnich punktów zestawia krytyk wiersze Kochanowskiego z wyrażeniami spółczesnych mu głosów na sejmach, akcentując mianowicie przemowy biskupa Myszkowskiego. Przechodząc w końcu do kwestyi, jakie pobudki miał Kochanowski do napisania „Odprawy posłów", zaznacza krytyk, że pod tym względem bezwzględnéj pewności mieć nie można: jeżeli bowiem był cel polityczny w przedstawieniu dramatu, to tak autorowi samemu, jak i tym, co dali mu bodźca do napisania go, zależéć musiało na tajemnicy, gdyż w przeciwnym razie zamierzony skutek mógłby być chybionym. Są atoli wskazówki, przemawiające za tém, że „Odprawa posłów" miała na celu popieranie ówczesnych zamiarów króla Stefana. Już w r. 1577 powziął był Batory myśl zabezpieczenia zupełnego granic państwa od wschodu. W instrukcyach poselskich na sejm, wyznaczony na 14 stycznia 1578 r., doczytać się można wezwań do stanowczego rozprawienia się z nieprzyjacielem. Znakomita większość szlachty gotowa była usłuchać odezwy króla, ale z opozycyą wystąpiły trzy województwa: sieradzkie, krakowskie i sandomierskie. Aby niechętnych wojnie usposobić inaczéj, postanowiono na feście Zamojskiego, w dniu 12 stycznia 1578 r., a więc téż przed otwarciem sejmu, odegrać dramat, któryby do gotowości wojennéj zagrzał. Zamojski naglił poetę, który 21 grudnia 1577 r. aż dwa listy od niego otrzymuje „około téj trajedyéj". Kochanowski się śpieszy i dramat choć niewygładzony, choć nie *ad amussim* wykonany posyła. Końcowe tego dramatu wiersze tak brzmią:

Na każdy rok nam każą radzić o obronie...
Ba, radźmy téż o wojnie, nie wszystko się brońmy;
Radźmy, jako kogo bić, lepiéj niż go czekać.

Jak wiadomo, sejm r. 1578 rzeczywiście tak uchwalił: „uważając wszystko z obu stron, naprzód się zawarto, żeby *bellum offensivum*, a nie *defensivum* przedsięwziąć". Całe to rozumowanie jest zupełnie uzasadnione. Niesłusznie wszakże autor dodaje, że żaden ze spółczesnych nie podał do wiadomości, w jakim celu „Odprawa posłów" była napisana i przedstawiona. Heidenstein w życiu Zamojskiego mówi wprost, iż celem tym było podniecenie umysłów młodzieży do walki (*excitandorum maxime animorum juventutis ad bellum causa*). W pierwszém wydaniu „Odprawy" z r. 1578, dodał poeta wiersz łaciński p. n. *Orpheus sarmaticus*, który był odśpiewany przy dźwięku liry po skończonéj sztuce. Orfeusz Sarmacki w najgorętszych słowach zachęca do walki, do wyrwania się z gnuśnéj obojętności, przy-

pominając, że dzielny wódz jest w pogotowiu: „dux alacris praesto est, casusque paratus in omnes”.

---

† **Stanisław Grudziński**, poeta i powieściopisarz, zmarł w młodym bardzo wieku na odziedziczone po matce suchoty. Pochodził on z Ukrainy, która już tylu w naszém stuleciu wydała pieśniarzy i wogóle autorów... Urodził się w r. 1851 we wsi Wodzianikach (pow. zwinogrodzkim). Studya uniwersyteckie rozpoczął w Kijowie, a ukończył w Krakowie, gdzie téż ogłosił pierwsze swe próby poetyckie: „Idealista“ (1871), „Marzenia i Piosnki“ (1872). Niebawem wydał zbiorek nowy p. n. „Urwane akordy“ (1874). Rok 1875 przebył we Lwowie jako spółpracownik tygodnika: „Ruch literacki.“ Tu miał odczyt o stanowisku poetów w społeczeństwie. Tu także się ożenił. A potrzeba stałego zarobku dla utrzymania rodziny przymusiła go do pracy dziennikarskiéj, dającéj dochód stalszy od honoraryów poetyckich. Wtedy to przeniósł się do Warszawy, gdzie był spółpracownikiem kilku pism kierunku zachowawczego. Pisał poezye, powieści, felietony i artykuły treści społecznéj. Został wreszcie kierownikiem literackim „Tygodnika Powszechnego“ i przez trzy lata mozolny ten obowiązek spełniał. Dla poratowania osłabionego wielce zdrowia musiał wyjechać na wieś, na Podole, do siostry. W roku zeszłym wyszedł nowy zbiorek wierszy: „Poezye,“ którego ocenę podało pismo nasze w czasie właściwym.

Zaledwie ze wsi wrócił do Warszawy, chcąc nanowo wziąć żywszy udział w pracy publicystycznéj, zgasł 3 czerwca. Zacność charakteru, uczynność dla wszystkich kolegów, wyrozumiałość dla obcych przekonań cechowały duszę zmarłego zawcześnie i dla rodziny i dla literatury.

KOMITET STYPENDYJNY

fundacyi ś. p. Dra Seweryna Gałęzowskiego, imienia Śniadeckich, podaje do wiadomości interesowanych, co następuje:

Rada administracyjna wyż rzeczonego funduszu zawiadomiła Komitet, iż w roku bieżącym następujące kwoty użyte być mogą na cele stypendyjne:

Dwa stypendya jednoroczne, każde w ilości 2000 franków;

Dwa z możnością korzystania przez 3 lata, każde po 5000 franków rocznie.

Z dwóch pierwszych korzystać mogą oddający się naukom humanitarnym, z dwóch drugich zajmujący się naukami przyrodniczemi.

Kandydat winien być docentem w którym bądź Uniwersytecie krajowym lub zagranicznym, i język polski posiadać w tym stopniu jakiego wymaga poprawne wykładanie w nim obranego przedmiotu.

Do podań, które najdaléj po koniec lipca r. b. wniesione być powinny pod adresem Sekretarza jeneralnego Akademii (ul. Sławkowska), dołączyć należy:

1) Dowód, że kandydat jest docentem, jakiego przedmiotu, jak dawno i ilu miewał słuchaczy;

2) Prace naukowe, bądź już publikowane, bądź jeszcze w rękopiśmie będące;

3) Program studyów, które w ciągu przedsiębrać zamierza.

Po upływie pierwszego półrocza, kandydat będzie obowiązany złożyć sprawę z prac naukowych, któremi zajmował się w tym czasie, i usilność swoję w téj mierze w właściwy sposób udowodnić.

Sumę sobie przyznaną pobierać będzie stypendysta w ratach półrocznych z góry, poczynając od d. 1 października r. b.

Stanisław Tarnowski.
Sekr. jen. Akademii.

W Krakowie d. 13 czerwca 1884 r.

Wydawca, **W. Spasowicz**. — Redaktor, **Piotr Chmielowski**.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w ciągu m. Czerwca 1884 r.

---

1. **Pamiętnik Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego** w Królestwie Polskiem. Warszawa. Staraniem naczelnych władz T. K. Z. 1884 (in 4-to, str. XIV, 379 i kart nieliczbowanych 5).
2. **Regulacya Wisły,** podług projektu inżyniera *Marka Lajourdie*, przekład z niedrukowanego rękopisu francuzkiego. (Odbitka z „Korrespondenta Płockiego“). Płock, 1884 (in 4-to, str. 92).
3. **Ważność hodowli drobiu.** Napisał *Adolf Bachner*. Odbitka z Gazety Rolniczej. Warszawa, 1884 (str. 31).
4. **Pamiątka rekollekcyj.** Spolszczył ksiądz *Antoni Chmielowski*. Częstochowa, 1883 (str. 52).
5. *Dr. Jan Leniek.* **Kongres Wyszegradzki** w roku 1335. Lwów, 1884. (8-vo. str. 42).
6. **Rezultaty spisu jednodniowego ludności miasta Warszawy** 1882 roku. Część II-ga: Statystyka zabudowań, taryfa domów miasta Warszawy i przedmieścia Pragi i Statystyka mieszkań. Warszawa 1884 (in 4-to, str. 79 i nieliczbowanych 6).
7. **Rzecz o nawozach miejskich**. napisał *Władysław Frydro.* Warszawa 1883 (in 8-o str. 30 i II, oraz 4 tablice litogr).
8. **Złota przędza poetów i prozaików polskich**. Tom II, zeszyt 2. Warszawa 1884 (od str. 49 do 128).
9. **Pan Wincenty.** Szkic z natury. Przez *B. Zorjana.* Przedruk z „Biblioteki romansów i powieści.“ Warszawa, 1884 (8-vo str. 64).
10. *Wiktor Czajewski* **Historya literatury czeskiej** od czasów odrodzenia. Warszawa. 1884 Zeszyt II (od str. 77 do 140).

Дозволено Цензурою. Варшава. 20 Іюня 1884 г.